

DIANE CHAMBERLAIN

Jak gdybyś tańczyła



Kiedyś, na początku, były takie chwile, że ledwie mogłam spojrzeć na Kaia i Olivera, nie mówiąc już o tym, żeby wziąć ich na ręce. Urodzili się trzy miesiące po tym, jak straciłam Sarę.

Prószyński i S-ka

DIANE
CHAMBERLAIN

Jak gdybyś tańczyła

PRZEŁOŻYL
MICHAŁ JUSZKIEWICZ

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
PRETENDING TO DANCE

Copyright © 2015 by Diane Chamberlain
All rights reserved

Projekt serii
Olga Reszelska

Opracowanie graficzne okładki
Agencja Interaktywna Studio Kreacji
www.studio-kreacji.pl

Zdjęcie na okładce
© Deborah Pendell/Arcangel Images

Redaktor prowadzący
Monika Kalinowska

Redakcja
Joanna Habiera

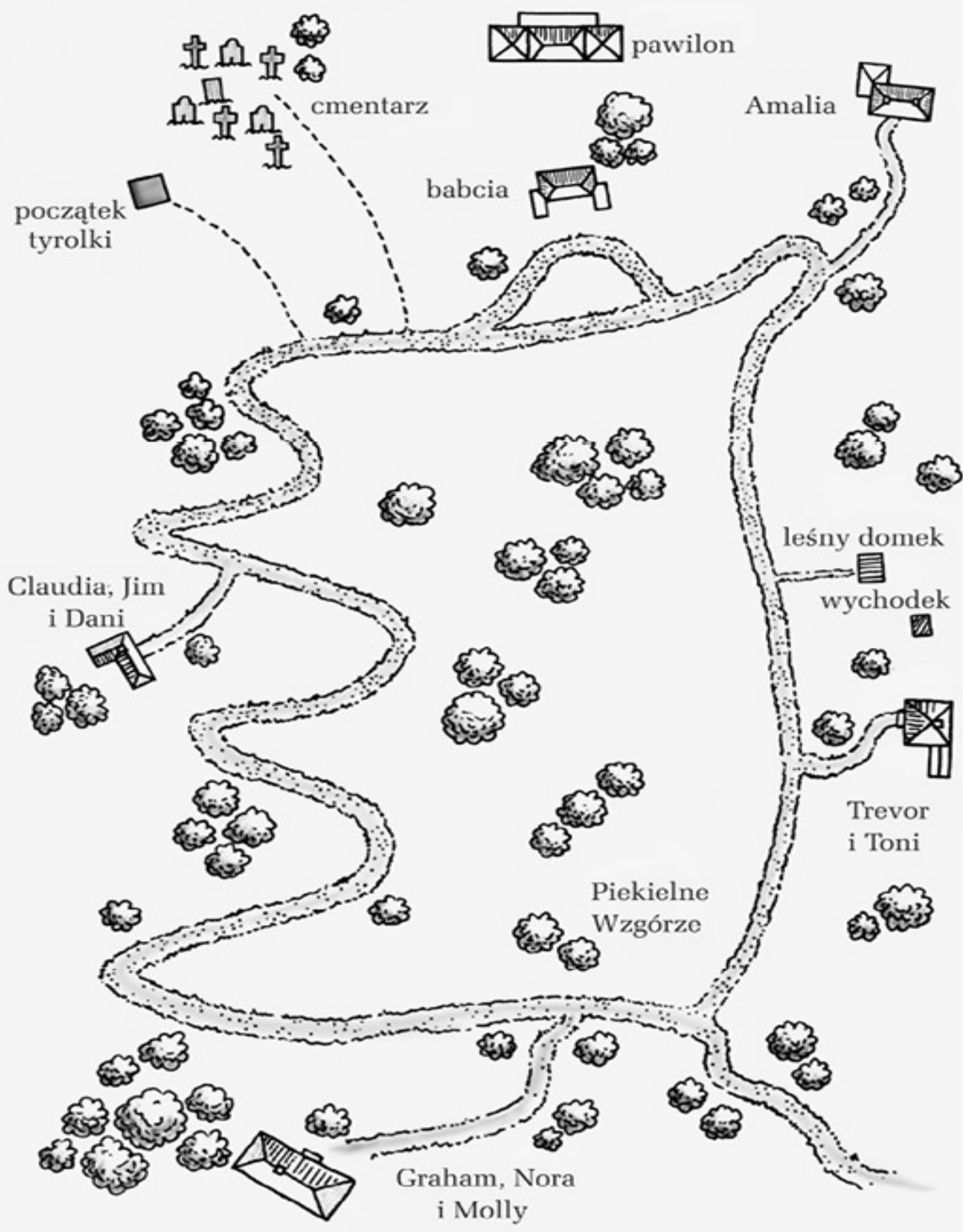
Korekta
Katarzyna Kusojć
Grażyna Nawrocka

ISBN 978-83-8097-034-2

Warszawa 2017

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

*Dla Joann Lopresti Scanlon,
mojej siostry, inspiracji,
najdroższej przyjaciółki*



2014

1

San Diego

Umiem dobrze kłamać.

Taką myślą się pocieszam, gdy siedzimy z Aidanem na naszej skórzanej kanapie, tak blisko siebie, że niemalże dotykamy się udami. Może za blisko? Na drugim końcu kanapy siedzi Patti z opieki społecznej i robi notatki, a ja z każdym ruchem jej pióra zamieram ze strachu, że ta kobieta właśnie przekreśla nasze szanse na dziecko. Wyobrażam sobie, co pisze: „Dostrzec można wzajemne uzależnienie, przekraczające zdrowe normy współżycia”. Aidan chyba wyczuwa moje zdenerwowanie, bo bierze mnie za rękę i lekko ściska moje palce swoją ciepłą dłonią. Jak on może być taki spokojny?

– Jesteście w tym samym wieku, trzydzieści osiem lat, zgadza się? – pyta Patti.

Oboje jednocześnie kiwamy głowami.

Patti jest zupełnie inną osobą, niż się spodziewałam. W myślach nazywam ją „Prędka Patti”. Wyobrażałam sobie, że będzie starsza, groźna i nastawiona krytycznie. Tymczasem ona, choć jest dyplomowanym pracownikiem opieki społecznej, ma nie więcej niż dwadzieścia pięć lat. Blond włosy związane w koński ogon, olbrzymie niebieskie oczy i rzęsy jak z reklamy w „Vogue”. Często się uśmiecha i promieniuje entuzjazmem. A jednak, mimo wszystko, nasza przyszłość spoczywa właśnie w rękach Prędkiej Patti i boję się jej, chociaż jest tak młoda i pełna radosnego wdzięku.

Patti odrywa wzrok od notatek.

– Jak się poznaliście? – pyta.

– Na konferencji prawniczej – odpowiadam. – W dwa tysiące trzecim roku.

– Zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia – dodaje Aidan, a ja wiem, że mówi poważnie. Wiele razy mi to powtarzał. „To przez te twoje piegi”, wspomina i za każdym razem muska palcem grzbiet mojego nosa. W tej chwili też czuję na sobie jego ciepły wzrok.

– Od razu coś między nami zaiskrzyło. – Uśmiecham się do niego, przeżywając na nowo chwilę, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy. To było na warsztatach z prawa imigracyjnego, w którym Aidan miał się później wyspecjalizować. Spóźniony wszedł do sali z plecakiem na ramieniu i rowerowym kaskiem dyndającym na pasku. Był zdyszany, jasne włosy sterczały mu na wszystkie strony, a na koszulce widniały wilgotne plamy potu. Warsztaty prowadziła sztywna babka bez poczucia humoru, uczesana w ciasny kok. Posłała mu niechętnie spojrzenie, ale on przepraszająco błysnął zza okularów brązowymi oczami i odpowiedział tym swoim ujmującym uśmiechem, który mówił: „Wiem, że się spóźniłem, i przykro mi, ale przekona się pani, że dobrze mieć mnie w swojej grupie”. I na moich oczach ta kobieta zmiękła, a jej

ściągnięta twarz złagodniała; wskazała mu głową puste miejsce na środku sali. Ja w tamtym okresie byłam samotną, poranioną duszą. Po bolesnym rozstaniu z Jordanem, moim wieloletnim partnerem, obiecałam sobie, że to koniec z facetami, ale wtedy w mig pojęłam, że ten konkretny facet, Aidan James, jest wart bliższego poznania, więc przedstawiłam mu się na przerwie. Zawrócił mi w głowie. Był wesoły, seksowny oraz inteligentny – zniewalająca mieszanka. Upłynęło jedenaście lat, a ja wciąż nie potrafię mu się oprzeć.

– Pan zajmuje się prawem imigracyjnym, zgadza się? – Patti spogląda na Aidana.

– Tak. Obecnie wykładam na Uniwersytecie w San Diego.

– A pani jest specjalistką od prawa rodzinnego? – Patrzy na mnie. Przytakuję skinieniem głowy.

– Jak długo spotykaliście się przed ślubem?

– Około roku – odpowiada Aidan. Tylko osiem miesięcy, ale wiem, że jego zdaniem „rok” brzmi lepiej.

– Czy starania o dziecko podjęliście od razu?

– Nie – wyjaśniam. – Najpierw zdecydowaliśmy skupić się na pracy. Gdy w końcu zapragnęliśmy zostać rodzicami, okazało się, że mamy problem.

– A z jakiego powodu nie macie własnych dzieci?

– Na początku po prostu nie mogliśmy zajść w ciążę – odpowiada Aidan. – Po dwóch latach udaliśmy się do specjalisty.

Pamiętam te lata aż nazbyt dobrze. Płakałam co miesiąc, gdy dostawałam okres. Za każdym razem.

– W końcu się udało – podejmuję. – Poroniłam w dwudziestym tygodniu, konieczna była histerektomia.

Te słowa brzmią sucho w moich ustach, nie ma w nich śladu tamtego cierpienia. Nasza mała Sara. Nasze niespełnione marzenie.

– Współczuję – mówi Patti.

– To był koszmar – dodaje Aidan.

– Jak sobie z tym poradziliście?

– Bardzo dużo rozmawialiśmy – wyjaśniam. Aidan wciąż trzyma mnie za rękę; zaciskam mocniej palce.

– Kilka razy spotkaliśmy się z psychologiem, ale głównie rozmawialiśmy we dwoje.

– Zawsze radzimy sobie z problemami w ten sposób – dodaje Aidan. – Nie dusimy ich w sobie i umiemy słuchać siebie nawzajem. To proste, kiedy ludzi łączy miłość.

Mam wrażenie, że odrobinę przesłodził, ale wiem, że naprawdę tak myśli. Poszczęściło się nam, jesteśmy zgranym małżeństwem, zazwyczaj świetnie się dogadujemy. Teraz jednak, kiedy pomiędzy nami stoi mur moich kłamstw, mam dreszcze, gdy słyszę od niego takie słowa.

– Czy utrata dziecka wzbudziła w pani złość? – To pytanie Patti kieruje do mnie.

Cofam się pamięcią o rok. Nagła operacja. Koniec nadziei. Nie, złości sobie nie przypominam.

– Czułam się zdruzgotana, niezdolna do przeżywania takich emocji – odpowiadam.

– Przeorganizowaliśmy się – dodaje Aidan. – Kiedy w końcu byliśmy w stanie jasno myśleć, dotarło do nas, że nic się nie zmieniło... że nadal chcemy... mieć rodzinę, zaczęliśmy więc gromadzić informacje na temat otwartej adopcji. – Można by odnieść wrażenie, że decyzję o adoptowaniu dziecka podjęliśmy natychmiast. Przypuszczam, że jemu przysłała bez trudu.

– Dlaczego właśnie otwarta adopcja? – dopytuje Patti.

– Ponieważ nie chcemy mieć przed naszym dzieckiem żadnych tajemnic – wyjaśniam. Może nieco zbyt stanowczym tonem, ale moje uczucia w tym względzie są bardzo silne. O tajemnicach wiem wszystko i zdaję sobie sprawę, jaką krzywdę mogą wyrządzić dziecku. – Nie chcemy, aby zadawało sobie pytania typu: „Kim są moi biologiczni rodzice?” albo „Dlaczego oddali mnie do adopcji?” – wyjaśniam.

Mówię to z mocą i zdecydowaniem, ale żołądek mam ściśnięty w twardą kulę. Nie osiągnęliśmy z Aidanem pełnego porozumienia w pewnych kwestiach naszej otwartej adopcji.

– Czy jesteście skłonni na bieżąco informować biologicznych rodziców o ich dziecku? Udostępnić zdjęcia? Być może pozwolić, aby utrzymywało z nimi kontakt, jeśli sobie tego zażyczą?

– Zdecydowanie – zapewnia Aidan, a ja kiwam głową. To nie jest odpowiedni moment na dyskusję o moich zastrzeżeniach. Zdążyłam już pokochać tych bezimiennych, anonimowych ludzi, którzy powierzą nam swoje dziecko, ale jeszcze nie wiem, jak bliskie stosunki chcę z nimi utrzymywać.

Patti zmienia pozycję, pociąga lekko swój koński ogon.

– Jak opiszecie swój tryb życia? – Nieoczekiwanie zmienia temat, a ja gwałtownie potrząsam głową, aby usunąć sprzed oczu wizję wielkodusznych biologicznych rodziców. – Jakie miejsce zajmie dziecko w waszym życiu?

– Cóż, oboje pracujemy – odpowiada Aidan. – Ale Molly bez problemu może przejść na pół etatu.

– Jeśli adoptujemy dziecko, wezmę też sześć tygodni urlopu.

– Nie „jeśli”, lecz „kiedy”. – Aidan ściska moją rękę. – Więcej optymizmu.

Uśmiecham się do niego. Szczerze mówiąc, najchętniej w ogóle zwolniłabym się z pracy. Jestem już zmęczona: ciągle tylko rozwód za rozwodem. Coraz mniej lubię zawód prawnika. To jednak temat na osobną rozmowę.

– Spędzamy czas dość aktywnie – informuję Patti. – Piesze wycieczki, biwaki, rowery. Latem często jeździmy nad morze. Oboje surfujemy.

– Cudownie będzie dzielić to wszystko z dzieckiem – mówi Aidan. Mam wrażenie, że tam, gdzie nasze dłonie się stykają, czuję przez skórę jego ekscytację.

Patti odwraca kartkę w notesie.

– Proszę mi opowiedzieć o waszych rodzinach – zwraca się do nas. – Jak was wychowywano? Co bliscy sądzą o decyzji adoptowania przez was dziecka?

„Tutaj rozmowa zejdzie na manowce”, myślę. „Tutaj muszę zacząć kłamać”. Na szczęście Aidan zabiera głos jako pierwszy.

– Moja rodzina popiera nas w stu procentach – oznajmia. – Wychowałem się tutaj, w San Diego. Mój ojciec też jest prawnikiem.

– Jak widzę, tradycja rodzinna – uśmiecha się Patti.

– Mama była nauczycielką, obecnie na emeryturze, a moja siostra Laurie pracuje jako szef kuchni – ciągnie Aidan. – Już zaczęli kupować rzeczy dla dziecka.

Brzmi to jak opis idealnej rodziny. I rzeczywiście, jego rodzina jest idealna. Kocham ich z całego serca: błyskotliwego ojca, łagodną mamę, twórczą i opiekuńczą siostrę oraz jej małych bliźniaków. Z biegiem lat zastąpili mi własnych krewnych.

– Jakie jest podejście pańskich rodziców do wychowania dzieci? – pyta Patti.

– Na luzie – odpowiada Aidan i odpręża się, wymawiając te słowa. – Przekazali nam dobre wartości, a potem zachęcali do podejmowania własnych decyzji. Oboje, Laurie i ja, wyrosliśmy na porządnych ludzi.

– A jak w domu wyglądała kwestia dyscypliny?

– Główną metodą było odbieranie przywilejów. Kary cielesne – wykluczone. Nigdy w życiu nie dałbym dziecku klapsa.

– Jak było z dyscypliną w pani domu? – Patti z kolei zwraca się do mnie, a ja dziękuję Bogu, że opuściła pytanie pod tytułem „Opowiedz mi o swojej rodzinie”.

– Każdy problem trzeba było wałkować do upadłego. – Uśmiecham się. – Mój ojciec był psychologiem terapeutą, więc kiedy robiłam coś nie tak, musiałam to dogłębnie przeanalizować. – „Czasem naprawdę wolałabym dostać w skórę”, dodaję w myślach.

– Czy pani matka pracowała, poza prowadzeniem domu?

– Była aptekarką – odpowiadam. Zresztą, o ile mi wiadomo, Nora wciąż może pracować w aptece. Będzie teraz miała sześćdziesiąt parę albo około siedemdziesięciu lat.

– Czy pani rodzice także pochodzą z tych okolic? – pyta Patti.

– Nie. Oboje już nie żyją. – To jest pierwsze prawdziwe kłamstwo, które padło z moich ust podczas tej rozmowy.

– Och, współczuję – mówi Patti. – Ma pani braci albo siostry?

– Nie mam rodzeństwa. – Miło, że tym razem mogę powiedzieć prawdę. – A wychowałam się w Karolinie Północnej, więc z dalszą rodziną nie widuję się często.

Właściwie nie widuję się z nikim i nigdy. Utrzymuję kontakt jedynie z kuzynką Dani, ale sporadyczny. Nagle czuję, że Aidan lekko się napina. Wie, że stąpamy po niebezpiecznym gruncie. Nawet nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo niebezpiecznym.

– Skupmy się teraz na kwestiach zdrowotnych – mówi Patti. – W jakim wieku zmarli pani rodzice? I z jakiej przyczyny?

Milknę, bo nie mogę się zdecydować, co odpowiedzieć.

– Czy to ma coś do rzeczy? – pytam po chwili, starając się zachować przyjazny ton. – Przecież gdybyśmy mieli własne dzieci, nikt by nas nie pytał...

– Kochanie – odzywa się Aidan – to ważne, bo...

– Wydaje się, że pani rodzice zmarli dość młodo – przerywa mu Patti, ale jej głos jest łagodny. – To nie przekreśla pani szans na adopcję, ale jeśli mieli jakieś dziedziczne choroby, to biologiczni rodzice dziecka powinni o tym wiedzieć.

Puszczam rękę Aidana i wycieram wilgotne dłonie o bluzkę.

– Mój ojciec chorował na stwardnienie rozsiane – mówię. – A mama miała raka piersi.

Żałuję, że taką wersję przedstawiłam Aidanowi. To kłamstwo może teraz ściągnąć na nas problemy.

– Ale ja jestem zdrowa – zapewniam szybko. – Badałam się na obecność genu... – Urywam w pół słowa. Jak on się nazywał? Gdyby moja matka naprawdę miała raka piersi, nie zacięłabym się teraz.

– BRCA – podpowiada Patti.

– Właśnie. – Uśmiecham się. – I jestem zdrowa.

– Ani Molly, ani ja nie mamy żadnych przewlekłych chorób – mówi Aidan.

– Co sądzicie o szczepieniach?

– Popieramy – odpowiada mój mąż, a ja przytakuję i dodaję: – Nie rozumiem, jak można odmówić dziecku ochrony, skoro jest dostępna.

Cieszę się, że to już koniec pytań o rodzinę.

Dalej rozmowa przebiega gładko, przynajmniej z mojego punktu widzenia. Kiedy Patti zamyka wreszcie notes, informuje nas, że chciałyby obejrzeć dom, a także podwórko. Od samego rana odkurzaliśmy podłogi i wycieraliśmy półki, jesteśmy gotowi na inspekcję. Prowadzimy ją do pokoju dziecięcego. Ściany są sterylne białe, a drewniana podłoga pusta, ale stoi tam cudne mahoniowe łóżeczko, które dostaliśmy od rodziców Aidana, kiedy byłam w ciąży. Jest tam również biała biblioteczka, którą zapełniłam moimi ulubionymi książkami dla dzieci. Nie zrobiliśmy nic więcej, aby przygotować pokój na pojawienie się naszej córeczki. Cieszę się z tego. Nigdy tam nie wchodzę. Zbyt wiele bólu mnie kosztuje patrzenie na łóżeczko, przypominam sobie wtedy, z jaką radością wyszukiwałam te książeczki. Teraz jednak, mając u boku Patti, ośmielam się dopuścić do siebie nadzieję i wyobrażam sobie ściany pomalowane na ciepły żółty kolor. W kącie fotel na biegunach. Przy oknie przewijak. Po moich ramionach przebiega niepewny dreszcz wyczekiwania.

Po obejrzeniu pokoiw sypialnych wychodzimy na zewnątrz. Nasz biały, piętrowy dom zbudowany jest w stylu hiszpańskim i znajduje się w Kensington, jednej z najstarszych dzielnic San Diego, a w jasnym

blasku słońca nasza dobrze utrzymana okolica dosłownie lśni. Na niewielkim podwórku rosną dwa drzewka pomarańczowe, jedno cytrynowe i stoi mała huśtawka – kolejny przedwczesny prezent od rodziców Aidana. Patti rozgląda się i co najmniej pięć razy powtarza: „Fantastyczne!”. Aidan i ja patrzymy na siebie z uśmiechem. „Uda się”, myślę. „Dostaniemy zgodę na adopcję. Znajdą się jacyś rodzice, którzy nas wybiorą i powierzą swoje dziecko na wychowanie”. Czuję jednocześnie ekscytację i przerażenie.

Patti wsiada do swojego zaparkowanego na podjeździe samochodu i macha nam na pożegnanie. Aidan obejmuje mnie i szeroko uśmiechnięci patrzymy, jak odjeżdża.

– Moim zdaniem zdaliśmy na szóstkę – mówi mój mąż, po czym ściska mnie za ramiona i całuje w policzek.

– Chyba tak. – Głęboko nabieram powietrza w płuca; mam wrażenie, że przez całe popołudnie wstrzymywałam oddech. Odwracam się i zarzucam mu ręce na szyję. – W weekend popracujemy nad naszym portfolio, dobrze? – Baliśmy się zrobić ten krok, odwlekaliśmy kompletowanie wymaganych fotografii i informacji na nasz temat, na wypadek gdybyśmy nie zdali domowej wizytacji.

– Popracujemy. – Aidan całuje mnie w usta, a jeden z naszych sąsiadów, który akurat przejeżdża ulicą, wciska klakson. Śmiejemy się na głos; Aidan całuje mnie jeszcze raz.

Pamiętam, jak się zastanawiałam, czy nasza córka będzie miała brązowe oczy po nim, czy błękitne po mnie. Jego mocną budowę ciała czy moje szczupłe, smukłe kończyny. Czy będzie spokojna jak on, czy humorzasta jak ja. Teraz jednak wychodzi na to, że nasze dziecko nie będzie posiadało żadnej z tych cech – w każdym razie nie odziedziczy ich po nas – a ja powtarzam sobie, że to nie szkodzi. Miłością, którą Aidan i ja w sobie nosimy, można obdzielić znacznie więcej osób niż tylko dwie. Czasem mam wrażenie, że ta miłość aż się przelewa, chociaż jednocześnie modlę się, abym umiała obdarzyć nią dziecko, którego nie nosiłam pod sercem. Którego nie urodziłam. Skąd we mnie tyle wątpliwości?

* * *

Tej nocy Aidan zasypia pierwszy, a ja leżę obok, myśląc o rozmowie z Patti. Zapewniam sama siebie, że niczym nie muszę się martwić. Patti nie będzie szukać nekrologu mojej matki. Nic nam nie grozi.

Wszystkie kłamstwa, które usłyszał ode mnie Aidan, kiedy zaczęliśmy się spotykać – o tym, że moja matka umarła na raka, a krewni się mną nie interesują – przyjął bez zastrzeżeń. Wyznałam mu, że wyjechałam z Karoliny Północnej w wieku osiemnastu lat i odcięłam się od mojej przeszłości. A on mi uwierzył. I już nigdy nie wracaliśmy do tych kłamstw. Aż do dziś nie było najmniejszej potrzeby. Mam nadzieję, że po rozmowie z Patti znów tak będzie. Musimy stworzyć naszą własną rodzinę, zdrową fizycznie i psychicznie, szczęśliwą i pełną miłości.

Myślę o tej „otwartej komunikacji” pomiędzy nami, o której mówił Aidan w rozmowie z Patti. O naszym uczciwym związku. Miewam wyrzuty sumienia, że tyle przed nim zataiłam, ale naprawdę nie jestem pewna, czy chciałby to wiedzieć. Próbuję wyobrazić sobie moment, gdy wyznaję: „Moja matka zamordowała mojego ojca”. Raz komuś powiedziałam i słono za to zapłaciłam. Nie powiem tego już nigdy. Nikomu.

2

Morrison Ridge

Swannanoa, Karolina Północna

Tata siedział naprzeciwko mnie, na wózku, przy małym stoliku w naszym leśnym domku. Promień słońca dotykał jego gęstych, ciemnych włosów.

– Zobacz. – Skinął nagle głową w stronę okna. Odwróciwszy wzrok, zobaczyłam ważkę siedzącą na wewnętrznej stronie szyby, na samym środku tafli faliście nierównego szkła. Wyglądała jak namalowana cienkim pędzelkiem.

Przyjrzałam się jej uważnie.

– Husarz zielony – stwierdziłam, ale bez przekonania. – Wieczorem widziałam taką u siebie w pokoju – dodałam, siadając z powrotem za stołem. – Ale mogła to też być *Hagenius brevistylus*, potocznie zwana „łowcą smoków”.

Tata uśmiechnął się z rozbawieniem.

– Po prostu spodobała ci się nazwa – zauważył.

– Owszem. Ale bez względu na nazwę ta ważka była naprawdę ładna.

Całe poprzednie wakacje przeżywałam fascynację owadami, miałam trzynaście lat i myślałam, że w przyszłości zostanę entomologiem, teraz nie pamiętałam już większości rzeczy, jakich się wtedy nauczyłam. Bo tego lata wszystko było inaczej. Śmigałam na rowerze po pagórkowatych, nieutwardzonych drogach Morrison Ridge, a już za chwilę depilowałam nogi i wyskubywałam brwi. Tego lata nawet przyroda się pogubiła w tej górzystej okolicy na obrzeżach miasta Swannanoa w Karolinie Północnej. Był lipiec, lecz mimo to drzewka laurowe usiłowały jeszcze raz zakwitnąć, a wokół aż roiło się od ważek. Zawsze uważałam, kładąc dłoń na balustradzie werandy albo na kierownicy roweru, aby żadnej nie rozgnieść.

Wzięłam ze stojącego przede mną talerza ciastko z kawałkami czekolady i podsunęłam tacie.

– Ile to ma kalorii? – zapytał, zanim ugryzł.

– Nie wiem – odparłam. – A ty i tak jesteś chudy.

– Dzięki temu, że liczę kalorie – powiedział, przeżuwając odgryziony kęs. – Russell i tak ma ze mną wystarczająco dużo roboty.

Mój ojciec był wysoki – przynajmniej kiedyś, gdy mógł jeszcze stać o własnych siłach – i szczupły, wręcz tyczkowaty. Sylwetkę odziedziczyłam po nim, wraz z błękitnymi oczami. Szczerze wątpię, czy kiedykolwiek miał nadwagę.

– No dobrze, powiedz mi, co czytasz? – zapytał, gdy przełknął ostatni kawałek ciastka i spojrzał

znacząco na książkę, którą cisnęłam na tapczan przykryty cienką brązową narzutą. W leśnym domku były dwa takie tapczany.

– *Kwiaty na poddaszu* – odparłam.

– Ach, tak. – Uśmiechnął się tata. – Virginia C. Andrews. Saga rodziny Dollangangerów, zgadza się?

Mój ojciec na każdy temat musiał coś wiedzieć. To bywało irytujące.

– Czytałeś? – zainteresowałam się.

– Nie, ale wśród młodzieży, z którą pracuję, ta powieść jest tak popularna, że mam wrażenie, jakbym ją znał – powiedział. – To o rodzeństwie zamkniętym na poddaszu, prawda? Taka metafora dorastającego dziecka, uwięzionego w wieku dojrzewania?

– Potrafisz zepsuć człowiekowi frajdę z czytania fajnej książki...

– Mam talent. – Uśmiechnął się skromnie. – I co, jak się czyta?

– Do tej pory nieźle. Teraz już nie wiem, bo będę myślała o metaforze i takich tam...

– Przepraszam cię, kochanie.

Oby tylko nie powiedział do mnie „kochanie” przy Stacy, koleżance, która miała przyjechać po południu. Nie znałam jej dobrze, ale moje kumpele powyjeżdżały na lato, więc kiedy mama zaproponowała, żebym kogoś zaprosiła, wybrałam ją. Stacy uwielbiała *New Kids on the Block* i obiecała przywieźć czasopisma „*Teen Beat*” i „*Sassy*”, więc tematów do rozmowy na pewno nam nie zabraknie.

Tata chyba czytał w moich myślach, bo skinął głową w stronę trzech plakatów z *New Kidsami*, które powiesiłam na kamiennych ścianach. Przeniosłam je tutaj na lato ze swojego pokoju.

– Puść mi jakąś ich piosenkę – poprosił.

Wstałam i podeszłam do magnetofonu, stojącego na podłodze pod umywalką. W ciasnym domku nie było zbyt wiele miejsca na sprzęty. Kasetą *Step by Step* znajdowała się już w kieszeni odtwarzacza. Wcisnęłam klawisz i maleńkie pomieszczenie wypełniło się muzyką. W domku był prąd z generatora, kuchenka mikrofalowa i bieżąca woda z pobliskiego źródła. Tata i wujek Trevor wyszykowali go specjalnie dla mnie, kiedy miałam sześć lat. Wtedy tata pewnie jeszcze mógł chodzić samodzielnie, przynajmniej trochę, ale ja w zasadzie nie pamiętałam go inaczej niż na wózku. Co lato w tym małym kamiennym domku odbywały się podwieczorki, a kilka razy nocowałam tutaj pod opieką któregoś z rodziców, śpiącego na drugim tapczanie. Ostatnich parę sezonów upłynęło mi pod znakiem fascynacji owadami i roślinami gęstych, zielonych lasów porastających *Morrison Ridge*. Na parapecie jednego z dwóch okien leśnego domku wciąż stał mój mikroskop, ale tego lata jeszcze go nie tknęłam i nic nie zapowiadało, by miało się to zmienić. Teraz moim konikiem był taniec, muzyka oraz fantazje o chłopakach, którzy tańczą i śpiewają. No i jeszcze o Johnnym Deppie. Nie spałam po nocach, starając się wymyślić, jak go poznać. W marzeniach nie nosiłam okularów, tylko soczewki kontaktowe, a moje cienkie, brązowe loczki sięgające ramion cudownym sposobem wyglądały olśniewająco. I miałam też prawdziwe piersi, bo na razie ledwie pasował na mnie stanik w rozmiarze AA. Johnny zakochiwał się we mnie, a ja w nim, braliśmy ślub i mieliśmy rodzinę. Nie wiedziałam, jak zrealizować ten plan, ale to był mój ulubiony temat do rozmyślań.

– Ciepło tutaj, prawda? – zapytał tata. Nie znosił uczucia gorąca, bo wtedy opadał z sił. Chociaż mieszkaliśmy w górach, a kamienne ściany leśnego domku miały trzydzieści centymetrów grubości, w środku faktycznie było jak w piekarniku. – Otworzysz okna?

– Zacięły się.

Tata zmierzył okno nad umywalką takim wzrokiem, jakby chciał je otworzyć siłą woli.

– Powiedzieć ci, co trzeba zrobić?

– Dobra. – Podeszłam do okna. Przez chwilę stałam, kołysząc się w rytm muzyki i czekając na

wskazówki. W tamtym okresie tańczyłam przez cały dzień, nawet podczas mycia zębów.

– Uderz pięścią tam, gdzie dolna część styka się z górną. – Ktoś inny machnąłby ręką, żeby zademonstrować uderzenie, ale nie mój ojciec. Jeszcze dwa lata wcześniej być może był w stanie unieść rękę, ale teraz obie jego dłonie spoczywały bezwładnie na poręczach wózka inwalidzkiego. Prawa była skulona, zamykała się sama; wiedziałam, że to go drażni.

– Tutaj? – Wskazałam palcem miejsce na framudze okiennej.

– Dokładnie. Walnij porządnie z obu stron.

Potrzebowałam kilku podejść, ale w końcu uniosłam szybę. Na zewnątrz szemrało źródło, ale kiedy cofnęłam się pod przeciwległą ścianę, aby otworzyć drugie okno, zagłuszyły je głosy chłopaków z New Kids on the Block, śpiewających *Tonight*. Zastosowałam tę samą technikę i domek wypełnił się zapachem lasu.

Usiadłam z powrotem przy stole, a tata uśmiechnął się do mnie. Mama mówiła, że jego uśmiech jest zaraźliwy – i miała rację. Odpowiedziałam uśmiechem.

– Tak jest znacznie lepiej – pochwalił. – Te okna zacinały się zawsze, od kiedy pamiętam.

Podsunęłam mu pod usta szklankę lemoniady. Wypił łyk przez słomkę.

– Jakie to fajne, że wtedy woda ze źródła przepływała przez ten domek – powiedziałam. Na starych zdjęciach pod jedną ze ścian widać kanał wypełniony źródlaną wodą. W dawnych czasach moi przodkowie z Morrison Ridge przechowywali mleko, sery i każdą łatwo psującą się żywność w chłodnej wodzie.

– Mój ojciec skierował wodę innym korytem, kiedy wstawiał okna. Wujek Trevor i ja pomagaliśmy mu przy pracy, w miarę swoich możliwości. Byliśmy wtedy bardzo mali. Kiedy już wszystko porządnie wyschło, latem nocowaliśmy tutaj prawie co weekend.

– Ty i wujek Trevor?

– I ciocia Claudia, i nasi znajomi... Oczywiście był z nami ktoś dorosły. A w końcu weszliśmy w ten wiek, kiedy chłopcy nie chcą zadawać się z dziewczynami i vice versa. Wtedy nocowaliśmy tutaj sami, ja z Trevorem. Łóżek jeszcze nie było, spaliśmy w śpiworach. Na zewnątrz rozpalało się ognisko, bo nie mieliśmy mikrofalówki. Ani prądu. – Zapatrzył się w dal, pewnie widział coś, czego ja nie mogłam zobaczyć. – Było fajnie – powiedział, spoglądając na ścianę nad jednym z łóżek, tuż obok plakatu z Johnnym Deppem. – Co teraz trzymasz w skrytce?

W dzieciństwie tata i wujek Trevor wydłubali ze ściany kamień, dzięki czemu powstała nieduża wnęka, którą potem zamknęli gipsową imitacją kamienia. Kto o tym nie wiedział, nigdy by się nie domyślił, że w tym miejscu jest skrytka. Trzymałam w niej muszelki i dwa małe zęby rekina znalezione kiedyś na plaży, a także paczkę papierosów, którą kuzynka Dani rok wcześniej zostawiła na naszej werandzie. Nie wiedziałam, dlaczego je tam ukryłam. Uznałam, że to fajny pomysł. Teraz myślałam, że raczej głupota. W skrytce był jeszcze niebieski ptaszek ze szkła, którego dostałam od mamy na piąte urodziny, i bukiet, który wręczył mi tata przed weselem kuzynki Samantha, żebym mogła przypiąć do sukienki. Całkiem już usechł. Trzymałam tam również „kamień trosk”, ametyst, który dostałam od taty, gdy miałam pięć lat i bałam się jeździć szkolnym autobusem. Dał mi go w wyłożonym aksamitem pudełku na biżuterię. Przez cały rok nie wyjmowałam tego kamienia z kieszeni. Tata opowiadał, że podobno znaleziono go w Morrison Ridge w tysiąc osiemset pięćdziesiątym roku, kiedy kopano ziemię pod fundamenty głównego domu, w którym zamieszkała moja babcia. Po obrobieniu i oszlifowaniu powstał gładki „kamień trosk” z niewielkim wgłębieniem na kciuk. Ten ametyst przechodził w rodzinie z pokolenia na pokolenie. Tata dostał go od swojego ojca – w dzieciństwie, gdy bał się czegoś, ścisnął go mocno i pomagało. Nigdy nie wierzył, że pochodzi z naszej ziemi, ale i tak był dla niego cenny; tata, zdaje się, był przekonany, że przynosi uspokojenie.

Obecnie zamawiał kamienie trosk w sklepach z wyrobami New Age. Rozdawał je młodzieży, którą opiekował się w ramach prywatnej praktyki.

– Schowałam tam kamień trosk – odpowiedziałam na jego pytanie.

– Dlaczego właśnie tam? – zainteresował się. – Kiedyś nosiłaś go przy sobie.

– Od lat już tego nie robię, tato – odparłam. – Przestał być mi potrzebny. Ale wciąż bardzo go lubię – zapewniłam, zresztą szczerze. – No bo powiedz, tak na poważnie: czy ja się czegoś boję?

– Trudno cię przestraszyć – przyznał. – Dzielna z ciebie dziewczyna.

– Przynajmniej nie trzymam tam alkoholu, tak jak ty i wujek Trevor.

– Miło mi to słyszeć – roześmiał się. – O której przyjedzie twoja znajoma... Stacy Bateman, tak?

– O piątej. – Nagle wpadłam na pewien pomysł, zainspirowana jego opowieścią o nocowaniu w leśnym domku. – Czy możemy spać dzisiaj tutaj? – zapytałam. Byłoby super: spanie w lesie, z daleka od rodziców i Russella.

– Hm, nie wiem... – zastanowił się. – Strasznie daleko od nas. I od innych domów.

– Tak, ale sam mówiłeś, jak ty i wujek...

– Byliśmy starsi. Poza tym jak sobie przypomnę, co wyprawialiśmy, to chyba wolałbym, żebyście nie nocowały tutaj bez opieki dorosłego – zaśmiał się.

– A co robiliście? – spytałam.

– Nie bądź taka ciekawa. – Puścił do mnie oko.

– Nie zrobimy nic złego – obiecałam. – Pogadamy i posłuchamy muzyki.

– Wiesz, że w nocy tutaj można się wystraszyć...

– Proszę, pozwól nam!

Tata zamyślił się, a w końcu skinął głową.

– Zapytamy jeszcze mamę, ale ona raczej się zgodzi. Pomożesz mi z pisaniem, zanim Stacy przyjedzie?

– Jasne. – Pozwolił mi nocować w leśnym domku, więc zrobiłabym dla niego wszystko. Poza tym lubiłam pisać na maszynie, nie tylko dlatego, że płacił mi za to, dzięki czemu już wkrótce miałam łączyć całą sumę na zakup wymarzonych fioletowych martensów, ale również dlatego, że byłam z niego bardzo dumna, a ta czynność przypominała mi o tym. Czasami przepisywałam dokumentację jego pacjentów; miło było śledzić ich postępy. Każdy przypadek tata opisywał numerem, pomijał nazwisko, na wypadek gdybym znała kogoś, kto leczył się u niego, bo od czasu do czasu pracował też z uczniami mojej szkoły. Najbardziej jednak lubiłam pomagać mu w pisaniu książek. Tematem każdej z nich była jego autorska terapia „Jak gdyby”. Miał również fachową nazwę dla swojej metody, ale w rozmowie z laikami zawsze używał tej.

– W skrócie chodzi o to – wyjaśniał – że dzięki odgrywaniu osoby, którą chcemy być, dzięki naśladowaniu jej zachowania, z czasem możemy stać się nią naprawdę.

Przepisywałam dokumentację jego pacjentów i z tygodnia na tydzień się przekonywałam, że ta metoda działa. Napisał dwie książki na temat terapii „Jak gdyby”, jedną dla terapeutów, a drugą dla dzieci. Obecnie kończył trzecią, dla dorosłych, i widziałam, że bardzo chce mieć tę pracę już za sobą. Wkrótce wybierał się w trasę promocyjną przygotowaną przez agentkę, którą zatrudnił do promocji książki dla dzieci. Ustalono, że ja pojadę z nim, ponieważ, jak się wyraził, byłam jego królikiem doświadczalnym, kiedy opracowywał metody pracy z dziećmi i nastolatkami. Oczywiście jechał z nami Russell. Tata nie mógł się nigdzie ruszyć bez swojego opiekuna, ale mnie to nie przeszkadzało. Russell mieszkał z nami od trzech lat i przez ten czas nauczyłam się go doceniać, a może nawet pokochałam go jak prawdziwego członka rodziny. Dzięki niemu życie mojego ojca było znośne.

Wstałam i wyłączyłam magnetofon.

– Musimy już iść, praca czeka – powiedziałam. Stacy miała przyjechać za dwie godziny.

– W porządku – odparł. – Na pasku mam krótkofalówkę. Wezwij Russella.

– Sama cię zawiozę. – Położyłam dłonie na rączkach i obróciłam wózek.

– Dasz radę sprowadzić wózek z Piekielnego Wzgórza?

– A co, masz stracha? – rzuciłam, drocząc się z nim. Główna droga, obiegająca całe Morrison Ridge, zataczała pętlę długości ponad trzech kilometrów. Po drugiej stronie tej pętli, naprzeciwko leśnego domku, zaczynała się więc ostrymi zakosami, dzięki którym zjazd ze wzgórza był nieco łatwiejszy. Natomiast z tej strony droga biegła długim stokiem, przeważnie łagodnym, ale w pewnym miejscu robiło się stromo jak nożem uciął. Warunki idealne do zjeżdżania na sankach – i właściwie tylko do tego. Kiedyś rozpędziłam się tam na rowerze i skończyłam z ręką w gipsie.

– Owszem, mam – przytaknął tata. – Niepotrzebne mi jeszcze złamania do kompletu.

– Zachowuj się tak, jak gdybyś się nie bał, tato – poradziłam, wciąż się z nim drażniąc.

– Wiesz co, ty czasami masz jeszcze pstro w głowie – mruknął, ale zaśmiał się pod nosem. Czuję wibracje przez uchwyty rączek wózka.

Ruszyliśmy ścieżką prowadzącą od leśnego domku do głównej drogi. Ścieżka była ledwie widoczna, zasypana liśćmi i różnymi gałązkami, ale wiedziałam dokładnie, którędy biegnie. Kilka razy trzeba było przystanąć, żeby wyciągnąć pnącza zaplątane w szprychy kół, ale wkrótce dotarliśmy do głównej drogi i skręciliśmy w lewo. Była to droga gruntowa, skryta pod baldachimem zieleni i wąska – samochody musiały się na niej mijać powoli i ostrożnie. Zresztą rzadko pojawiały się tutaj dwa samochody naraz. W Morrison Ridge na czterdziestu hektarach mieszkało zaledwie jednaście osób, bo rok wcześniej, ku wielkiemu zmartwieniu mojej babci, moi najstarsi kuzyni, Samantha i Cal, wyprowadzili się do Kolorado. Babcia uważała, że kto się urodził w Morrison Ridge, powinien tutaj umrzeć. Byłam skłonna przyznać jej rację. Nie umiałam sobie wyobrazić, że zamieszkał gdzie indziej.

Mieliśmy pięć domów, znacznie od siebie oddalonych – z jednego nie było widać drugiego. Łączyła nas zygzakowata droga, a także wzajemna miłość, bo wszyscy byliśmy ze sobą jakoś spokrewnieni. Miłości na ogół było więcej, ale nie mogę zaprzeczyć: w rodzinie zdarzały się konflikty. Gdy mijałam z tatą odgałęzienie drogi prowadzące do domu wujka Trevora i ciotki Toni, poczułam, jak odzywa się we mnie echo tej złości.

Tata odwrócił wzrok w stronę domu wujostwa, ukrytego za drzewami. Wydawało mi się, że wspomina swoją ostatnią kłótnię z wujkiem Trevorem, który zastanawiał się nad zagospodarowaniem części ze swoich dziesięciu hektarów Morrison Ridge i wybudowaniem tutaj osiedla domów jednorodzinnych. Chciał rozkręcić deweloperski biznes i namawiał moją tatę oraz ciotkę Claudię, aby odsprzedali mu część swoich dziesięciohektarowych działek.

Okazało się jednak, że tata nie ma takiego zamiaru.

– Idzie Amalia – powiedział i w tym momencie znajoma postać wyłoniła się zza zakrętu drogi prowadzącej do domu wujka Trevora.

Poznałabym Amalię z daleka. Miała gibkie ciało tancerki i poruszała się z gracją, której jej zazdrościłam. Nawet w szortach i koszulce z krótkim rękawem, jak teraz, wyglądała, jakby płynęła nad ziemią. Zaciągnęłam hamulce w wózku i pobiegłam jej na spotkanie. Amalia odstawiła niesiony w ręce koszyk ze środkami czystości i objęła mnie. Kosmyki jej długich, falujących brązowych włosów musnęły moje nagie ramiona. Włosy Amalii zawsze pachniały kwiatami wiciokrzewu.

– Kiedy mam przyjść na następną lekcję tańca? – zapytałam, gdy ruszyliśmy ścieżką w stronę taty, który uśmiechał się do nas. Wiedziałam, że bardzo lubi widzieć nas razem. Amalia w jednej ręce niosła koszyk, a drugą obejmowała mnie za ramiona.

– W środę? – zaproponowała.

– Po południu?

– Świetnie.

Jedną z najwspanialszych atrakcji tego lata był czas spędzony z Amalią. Przy niej czułam się swobodna. Nie było żadnych zasad. Nie było domowych obowiązków. Nawet lekcji tańca Amalia nie prowadziła nigdy według konkretnego planu. Ceniła sobie totalną wolność.

Przystanęliśmy obok wózka.

– Gdzie jest Russell? – zapytała Amalia.

– Molly postanowiła zawieźć mnie sama – odparł tata.

– Nie zgub go na stoku – ostrzegła Amalia, ale wiedziałam, że nie mówi poważnie. Ona nie potrafiła się niczym martwić. A przynajmniej nigdy nie widziałam jej zmartwionej. – Pomóc wam? – zaproponowała.

Tata potrząsnął głową.

– Musiałabyś wracać kawał pod górę.

Amalia mieszkała w starych barakach dla niewolników, w pobliżu domu babci, na szczycie wzgórza. Baraki zostały rozbudowane i zmodernizowane: dwa maleńkie budynki połączono, tworząc przestronne, otwarte wnętrza, w którym szkło łączyło się z drewnem. Amalia sama je urządziła – zmieniła w ładne, przytulne miejsce. Niektórzy mieszkańcy Morrison Ridge byli zdania, że baraki dla niewolników to dom w sam raz dla niej. Mój ojciec do nich nie należał.

– Skoro uważasz, że dasz radę... – powiedziała Amalia. Nie miałam pewności, czy mówi do mnie, czy do taty.

– Nic nam nie będzie – zapewnił tata. – Molly bardzo podobają się letnie lekcje tańca u ciebie.

– Ona ma talent. – Amalia położyła mi dłoń na ramieniu. – Jest skoncentrowana i nie boi się niczego.

„Nie boi się niczego” – to było dziwne określenie mojego tańca, ale przypadło mi do gustu. Chyba wiedziałam, co Amalia chciała przez to powiedzieć. Kiedy byłyśmy w jej domu i zaczynałyśmy tańczyć, czułam, że zostawiam cały świat daleko za sobą.

– Molly ma dzisiaj gościa, przyjeżdża do niej koleżanka – wyjaśnił tata. – Zamierzają spać w leśnym domku.

– Jeśli mama się zgodzi – dodałam, bo najwyraźniej zapomniał o tej przeszkodzie.

– Owszem – przytaknął. – Jeśli Nora się zgodzi.

– Przygoda! – Zielone oczy Amalii rozbliły. Skinęłam głową, ale ona nie patrzyła na mnie, tylko na tatę. Czy tylko to sobie uroiłam, czy też naprawdę tych dwoje potrafiło porozumiewać się bez słów?

Amalia podniosła z ziemi koszyk i przewiesiła go sobie przez rękę. Rzuciła mi się w oczy butelka białego octu wystająca spod ścierki do kurzu. Dani mówiła, że kiedy Amalia u nich sprząta, w całym domu pachnie octem jeszcze przez kilka dni. Amalia sprzątała wszystkie domy w Morrison Ridge. Oprócz naszego.

– Zbierajmy się – zarządził tata. – Wolałbym mieć ten zjazd już za sobą.

– Cześć, Amalio – pożegnałam się.

– Do środy, kochanie. – Pomachała mi wolną ręką, a ja zwolniłam hamulec i popchnęłam wózek taty.

– Zatem co będziecie dzisiaj robić, kiedy Stacy przyjedzie? – zapytał po chwili, gdy mijaliśmy drewnianą ławkę stojącą na skraju drogi; jedną z wielu w Morrison Ridge, a wszystkie postawił mój dziadek. W tamtych czasach pewnie rozciągał się stąd widok na góry, ale teraz drzewa go przesłoniły.

– Posłuchamy muzyki – odpowiedziałam. – Będziemy rozmawiać.

– I chichotać – dorzucił. – Lubię słuchać, jak chichoczesz ze swoimi przyjaciółkami.

– Ja nigdy nie chichoczę – zaprzeczyłam zirytowanym głosem. Czasami tata mówił do mnie tak jak do dziesięciolatki.

– Nie? – zdziwił się. – No popatrz, a przysiągłbym, że tak.

– Zjeżdżamy ze wzgórza – oznajmiłam i obróciłam wózek tyłem, zaciskając mocniej palce na

uchwytach. Widziałam wiele razy, jak Russell go wtedy sprowadzał. On nie miał z tym żadnych problemów. – Gotowy?

– Bardziej już nie będę – zapewnił.

Gdyby tylko był w stanie się do tego przygotować – napiąć mięśnie, zebrać się w sobie – na pewno by to zrobił, ale on mógł tylko mieć nadzieję, że się uda.

Ruszyłam tyłem, mocno trzymając uchwyty i wbijając obute w tenisówki stopy w miękką ziemię. Tata na wózku to był straszny ciężar, znacznie większy, niż się spodziewałam. Ręce drżały mi od wysiłku. Gdy nabieraliśmy prędkości, zrozumiałam, że popełniłam błąd. Czułam w uszach głucho łomotanie pulsu. Gdy dotarliśmy na dół, byłam już bliska płaczu. Dobrze, że tata siedział tyłem do mnie i nie widział mojej twarzy.

– Tadam! – zawołałam, jak gdyby nic mnie to nie kosztowało.

– Zuch dziewczyna! – odparł, a potem dodał, tłumiąc śmiech: – Więcej już tego nie róbmy.

– Dobrze. – Pod wpływem impulsu pochyliłam się i objęłam go mocno. Przez chwilę po prostu tak stałam. Nie chciałam stracić mojego taty. Nigdy.

3

Gdy Russell zobaczył, jak wprowadzam do domu tatę na wózku, ze zdumienia wytrzeszczył oczy.

– Zjechałaś z nim z góry? – zapytał, gdy przeprowadzałam wózek przez próg, do salonu. Wiedziałam, że nie chodzi mu o to, żejechałam razem z tatą. Russell zawsze opisywał rzeczy własnymi słowami.

– Oczywiście – przytaknęłam, jakby to była bułka z masłem.

– Następnym razem damy ci znać – uspokoił go tata.

– No, ja myślę. – Russell posłał mi zagniewane spojrzenie, a w każdym razie bardzo się starał, bo miał wielkie oczy cocker-spaniela, tak samo czekoladowe jak jego skóra, i nigdy nie widziałam, żeby w przekonujący sposób udało mu się okazać irytację. Ja w każdym razie byłam pewna, że się nie gniewa. Co najwyżej się zmartwił. Uwielbiał mojego ojca. Robił dla niego wszystko. Rano podnosił go z łóżka, mył, opróżniał worek na mocz, zmieniał mu cewnik, mył zęby, ubierał. Moim zdaniem, kiedy ktoś jest od ciebie bez reszty zależny, jak mój ojciec od Russella, to możesz go albo kochać, albo nienawidzić. Nic pośredniego nie jest w takiej sytuacji możliwe.

– Zajrzemy do mamy – zaproponował tata. – A potem możemy pisać.

– Zajmiesz się nim? – zapytał Russell, a gdy skinęłam głową, poszedł do swojego pokoju, zaraz obok pokoju moich rodziców. Zawsze trzymał się blisko taty, na wypadek gdyby ten go potrzebował.

Przeprowadziłam wózek przez salon, obok szerokich okien, za którymi w oddali widniały góry. Wujek Trevor pomógł dziadkowi zbudować nasz dom, kiedy rodzice się zaręczyli. Moim zdaniem mieliśmy najładniejszy dom w Morrison Ridge: pomalowany na błękitny kolor nieba, z mnóstwem okien, z których rozciągał się hipnotyzujący widok na lesiste wzgórza i bezkresne doliny. Dawniej siadywałam w wykuszu w jadalni i wyobrażałam sobie, że jestem orłem, wzbijam się w niebo i lecę w góry. Aż pojawili się New Kids on the Block i Johnny Depp i moje fantazje stały się nieco bardziej prowokujące.

Mama była w kuchni. Siekała cebulę na desce do krojenia. Nie zdjęła jeszcze swojego białego aptekarskiego fartucha z wyszytym nad kieszonką na piersi napisem: „Nora Arnette, magister farmacji”. Jej udreńczona mina mówiła: „Cały dzień jestem na nogach, a teraz jeszcze muszę zrobić kolację dla rodziny i gościa, więc nie zdążyłam zdjąć fartucha po pracy”. Moja mama zawsze miała dużo na głowie. Nawet przy milionie obowiązków znalazłaby sobie do roboty jeszcze coś niecierpiącego zwłoki. Nie potrafiła się odprężyć. Była bardzo ładna, a jej uroda miała w sobie jakąś kruchość, zwłaszcza w chwilach zmęczenia albo pośpiechu, tak jak teraz. Jej blond włosy były tak jasne, że nikt by nie zauważył, że zaczynają siwieć. Strzygła je do ramion i prawie zawsze nosiła krótki koński ogon związany nisko, tuż nad karkiem. Miała oczy w odcieniu bladego błękitu, a cerę tak białą, że niemalże przejrzystą, usta natomiast pełne i czerwone, choć nigdy ich nie malowała. Byłam tego pewna, bo nieraz grzebałam w jej kosmetyczce; wypróbowywałam kredkę do oczu, tusz do rzęs i róż, ale ku mojemu rozczarowaniu nigdy nie znalazłam szminki do podkreślenia moich bladych warg.

– Czy twoja znajoma je wszystko? – zapytała mama, kiedy wprowadziłam do kuchni wózek taty.

– Nie mam pojęcia. – Wzruszyłam ramionami. – A co będzie na kolację?

Mama podeszła, żeby cmoknąć tatę w usta. Odsunęła przy tym na bok rękę z nożem.

– Enchilada – odpowiedziała i wróciła do blatu kuchennego.

– Super. – Klapnęłam na krzesło. – Śpimy dzisiaj w leśnym domku. – Zerknęłam na tatę, a on ledwie dostrzegalnie skinął głową w kierunku mamy. – Jeśli się zgodzisz – dodałam szybko.

Mama obejrzała się na mnie, a nóż w jej dłoni zawisł nad cebulą.

– Molly, sądzę, że to kiepski pomysł – odparła. – Za daleko od domu, straszne odludzie, masz pojęcie, jak tam będzie ciemno w środku nocy?

– Jest przecież światło – zauważyłam.

– Pamiętasz, jak postanowiłaś spać pod namiotem? A on stał tutaj, na podwór...

Urwała w pół słowa; byłam pewna, że tata w tym momencie posłał jej ostrzegawcze spojrzenie.

– Miałam wtedy dwanaście lat – przypominałam jej. – I byłam sama. Teraz jadę ze Stacy i nic się nie stanie. Tata się zgodził.

Mama odwróciła się do niego, z dłonią na biodrze.

– Aha, to ty jesteś ten dobry, a ja jestem ta zła? – zapytała poirytowana.

– Wcale nie musisz być zła – odparł tata spokojnie.

Zmarszczyła brwi, pojawiły się między nimi dwie bruzdy.

– Uważasz, że to dobry pomysł, by spały we dwie w leśnym domku?

– Nie jest może znakomity, ale ja nie widzę problemu. – Tata droczył się z mamą, a kolor jej policzków wyraźnie wskazywał, że irytacja w każdej chwili może się przerodzić w prawdziwą złość.

– Graham, to jest poważna sprawa – powiedziała, opierając się biodrem o czarny granitowy blat. – Molly to jedno, ale ta druga dziewczyna? O niej też musimy myśleć. Nawet jej nie znamy.

– Ona jest fajna, naprawdę – zapewniłam, jakbym rzeczywiście dobrze znała Stacy. Albo jakby to mogło mieć cokolwiek wspólnego z naszym spaniem w leśnym domku.

Mama chyba nie usłyszała.

– Myślę, że powinniśmy uzgodnić to z jej rodzicami. – Zaczęła mięknać. – Zapytać, czy się zgadzają.

– Po co robić z tego taką szopkę, mamó? – bąknęłam.

– Molly – odezwał się tata – kiedy Stacy przyjedzie, zamienimy słowo z jej rodzicami, w porządku?

– Dobrze. – Wstałam z krzesła. – Pomóc ci z pisaniem?

– Coś mi się zdaje, że mama i ja musimy najpierw zaśpiewać w operze – odparł.

– Nie... – jęknęła mama. – Nie mam czasu na opery. Nie trzeba. Nie jestem zdenerwowana. Już mi przeszło.

– To jest ważniejsze niż twoje cebule – oznajmił tata.

– Graham – wycedziła. – Nie zdążę z kolacją.

– A czy nam to przeszkadza? – Tata spojrzał na mnie, a ja, stojąc już w drzwiach do kuchni, posłusznie pokręciłam głową, że nie przeszkadza.

– Będę w twoim gabinecie – powiedziałam i wyszłam na korytarz, ale przystanęłam jeszcze za drzwiami, pod ścianą. I nadstawiłam uszu.

– O czym zaśpiewamy? – zapytał tata.

Mama westchnęła z rezygnacją.

– Wszystko jedno. Sam wybierz.

– Hm... – zastanowił się. – O zmywarce?

– Jak chcesz.

– O-ooo! – zaintonował tata tubalnym operowym głosem. – Zmywarka! Zmywaaarkaaa!

– Zmyyywarka! – zawtórowała mu mama, a po chwili zaśmiała się i już wkrótce oboje zawodzili to jedno słowo na operową nutę, pełnym głosem, z prawdziwym dramatycznym zacięciem.

Russell wyjrzał na korytarz.

– Pokłócili się? – zapytał szeptem.

– Drobną różnicą zdań – wyjaśniłam z uśmiechem.

Zatkał palcami uszy i wycofał się do swojego pokoju, szczerząc zęby. Ja nie ruszyłam się z miejsca. Lubiłam tego słuchać. Stałam pod ścianą i uśmiechałam się do siebie. W głosach rodziców słyszeć było przemianę, poprawę nastrojów, tak mi się przynajmniej zdawało. „Tata zawsze potrafi uzdrowić atmosferę”, pomyślałam. „Odpędzić smutki, przegnać strach, rozładować złość”. W takich chwilach jak tamta wydawało mi się, że mój tata jest czarodziejem.

4

San Diego

– A co sądzisz o tym? – pyta Aidan. – To jedno z moich ulubionych.

Odwraca laptopa i pokazuje mi zdjęcie. Siedzimy na hawajskiej plaży. W tle wygasły wulkan Diamond Head. Wyglądamy zdrowo, jesteśmy opaleni i bardzo, bardzo szczęśliwi. Tyle że to zdjęcie nie nadaje się do naszego portfolio.

– Pamiętaj o zasadach – mówię. – Na zdjęciach nie może być ciemnych okularów i kostiumów kąpielowych.

– Hm, rzeczywiście, zapomniałem. – Aidan z powrotem przestawia laptopa ekranem do siebie. Siedzimy na naszej kanapie i przeglądamy setki zdjęć, starając się wybrać taki zestaw, który najlepiej sprawdzi się w naszym portfolio. Oprócz zakazu noszenia okularów przeciwsłonecznych i kostiumów kąpielowych, upomniano nas też, że na zdjęciach nie może być alkoholu. I czapek z daszkiem. Ciekawe, o co tutaj chodzi? Nie mam pojęcia, ale Aidan i ja zaczęliśmy nagle gorliwie przestrzegać wszelkich reguł. Musimy zapewnić sobie jak największe szanse u matki, która zdecydowała się na adopcję.

Dwa tygodnie temu agencja adopcyjna zakończyła wreszcie papierkową robotę. Dostali już kopie naszego aktu ślubu, obu aktów urodzenia, dokumentację medyczną, zeznania podatkowe i referencje od znajomych i pracodawców. Zbadano naszą przeszłość kryminalną oraz stan zdrowia. Martwiłam się o dokumenty medyczne. Byłam pewna, że gdzieś po drodze wypełniłam formularz z pytaniem: „Czy któreś z Pani/Pana rodziców chorowało na raka?” i napisałam, że nie. Jak skrupulatnie pracownicy agencji sprawdzają dane z formularzy? Czy zweryfikują moją odpowiedź z notatkami Patti, której powiedziałam, że moja matka miała raka piersi? Takie niewiadome doprowadzały mnie do szaleństwa.

Od wizyty Patti upłynęły już trzy tygodnie, a my dopiero teraz zabraliśmy się do naszego portfolio. Na koniec zostało nam napisanie listu, który zawsze zaczyna się słowami: „Droga przyszła Mamo”. Oboje boimy się tego strasznie. Przygotowywaliśmy portfolio, nie wiedząc, czy agencja nas przyjmie, i to wykończyło nas nerwowo. Wczoraj jednak przyszedł list z krótką informacją: „Gratulacje! Zostaliście wpisani na listę rodzin adopcyjnych w agencji Hope Springs. Oprócz Was na adopcję oczekują dziewięćdziesiąt dwie rodziny”. Ta liczba podcięła mi skrzydła. Anonimowa kobieta w ciąży ma wybrać jedną z dziewięćdziesięciu dwóch rodzin i powierzyć jej swoje dziecko. My mamy po trzydzieści osiem lat, więc może jesteśmy najstarsi? Co ta młoda kobieta pomyśli o rzednących włosach Aidana? O brzdach od uśmiechu na mojej twarzy? Która kobieta przy nadziei chciałaby oddać swoje dziecko małżeństwu w wieku własnych rodziców?

Przyglądam się fotografii na monitorze mojego laptopa. Zrywam na nim cytrynę z drzewka na naszym podwórku. „Idealne”, myślę, dopóki nie przypominam sobie o zakazanych ciemnych okularach. To jasne, że je mam na tym zdjęciu. W San Diego wszyscy chodzą w okularach. Być może ograniczymy się do zdjęć robionych we wnętrzach.

– Co zrobić, żeby nasze portfolio się wyróżniało? – pytam Aidana.

– Moim zdaniem powinno być słodkie.

– Słodkie? – śmieję się. – A konkretnie w jaki sposób zamierzasz to osiągnąć?

– Podejrzymy styl jakiegoś magazynu dla nastolatek – odpowiada całkiem serio. – Może wstawimy jakąś dopieszczoną grafikę. Ze zdjęć ułożymy kolaż, niektóre lekko skosem. Do tego jaskrawe, żywe kolory.

Mierzę go wzrokiem, szeroko uśmiechnięta. Uroczy jest. Pan Słoneczko.

– No nie wiem – mówię. – Chyba raczej powinno być bardziej serio i od serca. Nie chcę, żebyśmy wyglądali niepoważnie.

– Jakoś to pogodzimy – uspokaja mnie Aidan i znów odwraca ekran w moją stronę. – Co powiesz na zdjęcie z bliźniakami?

W agencji powiedzieli nam, że warto dać zdjęcia, na których jesteśmy z dziećmi, a to jest wręcz idealne. Oboje stoimy na karuzeli w wesołym miasteczku, a każde z nas podtrzymuje na grzbiecie kolorowego konia jednego z dwóch synków Laurie, siostry Aidana. Nazywają się Kai i Oliver.

– Jasne, super! – zgadzam się.

– Tylko zobacz... – Aidan wskazuje moje ciemne okulary.

– Chrzanić to – ucinam. – Zdjęcie jest świetne.

Aidan zaznacza je do umieszczenia w portfolio.

– Skoro przyjmujemy zasadę „Chrzanić ciemne okulary” – mówi – to chyba warto pokazać nas trochę w akcji. Wiesz, na kajakach, na nartach, mamy też foty z jesiennego obozu wędrownego.

– Mogą pomyśleć, że jesteśmy jakimiś... hedonistami, którzy gonią za przygodą, a z dzieckiem im wcale nie po drodze. Lepiej pokazać nasz dom, żeby matka mogła zobaczyć, gdzie jej dziecko będzie dorastać.

– A może wszystkiego po trochu? – proponuje Aidan.

– Moim zdaniem zdjęć z bliźniakami powinno być więcej.

Kiwa potakująco głową.

– Laurie mówiła, że ma ich sporo. Przyniesie do rodziców w niedzielę.

Kliknięciem myszki wyświetla na ekranie kolejny folder, okno pełne małych kwadracików. Wiem, co to jest. Jego zdjęcia z dzieciństwa. Zoe, pracownica agencji adopcyjnej, poradziła mu, żebyśmy dorzucili kilka takich obrazków. „Pokażcie swoje wspaniałe dzieciństwo w szczęśliwych rodzinach”. Aidan bardzo się do tego zapalił i teraz przegląda stare albumy. To niesamowicie rodzinny człowiek. Zeskanował zdjęcia, wrzucił je do komputera, mało tego – uporządkował według lat. Który facet byłby do tego zdolny? Aidan ceni sobie swoją historię. Patrzą, jak się uśmiecha, przeglądając obrazki, i nagle zalewa mnie fala smutku.

Ja nie mam starych zdjęć rodzinnych. Zabrałam kilka ze sobą, gdy odeszłam z domu w wieku lat osiemnastu, ale pewnego dnia wszystkie wyrzuciłam, bo nie mogłam poradzić sobie z gniewem.

Szkoda, że wspomnień nie można pozbyć się tak łatwo.

Morrison Ridge

– Oczywiście, nie mam nic przeciwko temu – zapewniła mama Stacy moją mamę przez otwarte okno swojego srebrnego vana. Stacy wysiadła już i stała obok mnie z wypchanym plecakiem na ramieniu.

– Czyli w porządku – powiedziała mama. – Wolałam panią zapytać, zanim...

– Muszę jechać! – zawołała mama Stacy, a samochód już ruszył z miejsca. – Bawcie się dobrze, dziewczyny!

Odniosłam wrażenie, że ta kobieta podchodzi do życia na większym luzie niż moja matka. Odprowadziłyśmy ją wzrokiem, a potem mama spojrzała na Stacy.

– Jestem Nora. – Wyciągnęła do niej rękę. Kiedy byłam młodsza, moi znajomi musieli zwracać się do niej „proszę pani”, a do mojego ojca „proszę pana”, ale to się zmieniło mniej więcej przed rokiem. Moja mama pochodziła z Pensylwanii i nigdy tak naprawdę nie przyswoiła sobie zasady, że w Karolinie Północnej ludzie są na „pan, pani”, więc teraz wszyscy mówili sobie po imieniu. Wciąż nie mogłam się do tego przyzwyczaić.

– Jestem Stacy. – Stacy uścisnęła wyciągniętą dłoń i uśmiechnęła się, słysząc oficjalny ton mamy. Wydawała mi się inna niż w szkole, chociaż nie umiałam powiedzieć, na czym polegała różnica. Włosy miała takie same: długie do ramion, proste, czarne i niewiarygodnie lśniące. Gęsta, równo obcięta grzywka niemalże opadała na powieki. Oczy Stacy były prawie czarne, a rzęsy gęste jak grzywka. Miała taką figurę, że chłopcy w szkole nie mogli oderwać od niej wzroku, a teraz można by pomyśleć, że włożyła białe szorty i różową koszulkę bez rękawów specjalnie po to, żeby się nią pochwalić. Ja byłam ubrana podobnie – tyle że moja koszulka była niebieska, a nie różowa – a jednak czułam się... może nie brzydka, ale do bólu zwyczajna, chuda i płaska. No i jeszcze okulary. W porównaniu ze Stacy moje włosy przypominały wiecheć, a nos miałam usiany piegami, których szczerze nie znosiłam. Jedno mnie ratowało: wyjątkowe błękitne oczy Arnette’ów. Jasne tęczówki okolone granatową, niemalże czarną obwódką. Zza szkielek były mało widoczne, ale przynajmniej wiedziałam, że mam takie oczy. Tylko że obok Stacy czułam się wyblakła i nijaka; nagle pożałowałam, że ją zaprosiłam, ale zdawałam sobie sprawę, że to strasznie małostkowe. Przecież ona, tak samo jak ja, nie miała wpływu na swój wygląd.

– Lubisz enchiladę? – zapytała ją mama, kiedy ruszyłyśmy w stronę domu.

– Uwielbiam meksykańską kuchnię! – zawołała Stacy.

– Świetnie – uśmiechnęła się mama. – Wy zrobicie sałatkę, a ja dokończę ryż.

* * *

Zabrałyśmy się do krojenia pomidorów i rwania sałaty. Z innymi koleżankami rozmawiało mi się bez problemów, ale Stacy znałam słabo i nie wiedziałam, jakie tematy ją zainteresują. Przychodzili mi do głowy tylko New Kids on the Block, ale o nich wolałam nie zaczynać przy mamie, więc byłyśmy cicho.

Mama wyjęła enchiladę z piekarnika i ustawiła patelnię na dwóch podstawkach.

– Russell! – zawołała. – Kolacja gotowa!

Zaniosłyśmy wszystko do jadalni, a gdy usiadłyśmy, Russell pojawił się w drzwiach, wioząc tatę na wózku, który ustawił przy stole. Na twarzy Stacy odmalowało się zaskoczenie na widok mojego ojca na wózku inwalidzkim.

– Ty pewnie jesteś Stacy. – Tata uśmiechnął się do niej, a ona szybko odzyskała panowanie nad sobą.

– Tak. – Uśmiechnęła się uroczo.

– Mam na imię Graham – powiedział tata. – A to jest Russell.

Byli tego dnia ubrani jak bliźniacy, w dżinsy i czarne koszulki z krótkim rękawem.

Russell zerknął na mnie zza pleców taty.

– Idę dziś na kolację do znajomych – oznajmił. – Będiesz czynić honory domu, Molly?

– Jasne. – Odsunęłam krzesło i wstałam od stołu. Zazwyczaj ja lub mama karmiłyśmy tatę podczas kolacji, a Russell opiekował się nim przy śniadaniu i obiedzie. Mama mówiła, że kolacja to czas dla rodziny, a ja nie miałam nic przeciwko temu. Nauczyłam się jeść, jednocześnie karmiąc tatę. Obeszłam stół i ustawiłam krzesło tak, żeby usiąść bokiem do niego, a drugim bokiem do stołu. Stacy siedziała naprzeciwko nas, a mama – u szczytu stołu. Gdy zakładałam tacie serwetkę za kołnierzyk, czułam, że Stacy nas obserwuje.

– Jak długo się znacie, dziewczęta? – zapytał tata.

Popatrzyłyśmy po sobie.

– Jakież dwa lata – odpowiedziała Stacy. – Odkąd przeprowadziłam się tutaj z Waszyngtonu.

– To wielka zmiana – zauważyła mama. Nałożyła dwie porcje enchilady i podała talerz gościowi.

– Olbrzymia. – Stacy wzięła od niej talerz. – Jak na inną planetę. Ale podoba mi się. Ludzie w szkole są fajni. – Uśmiechnęła się do mnie, a ja przypomniałam sobie, jak żałowałam, że ją zaprosiłam, i zrobiło mi się wstyd.

– Masz rodzeństwo? – zapytał tata.

– Dwie siostry i brata. Wszyscy starsi ode mnie.

– O – powiedział. – Rozpieszczają cię?

– Żartuje pan? – zaśmiała się. – Życ mi nie dają!

Mama podała mi talerz, a ja widelcem odciąłam kawałek enchilady i podałam tacie.

– Co takiego robią? – zaciekawiał się, zanim wziął go do ust.

– No, drażnią się ze mną bez przerwy, a kiedy coś przeszkobią, zwalają na mnie. Nic ich nie zmieni.

– Jaka jest najgorsza rzecz, jaka cię spotkała z ich strony? – pytał dalej tata, przełknąwszy jedzenie. Był dobry w przepytywaniu ludzi, zwłaszcza dzieciaków. Zbyt dobry. Taką miał pracę. Człowiek mógł się poczuć jak na przesłuchaniu, chociaż Stacy, trzeba przyznać, chyba to nie przeszkadzało. Opowiedziała mu, jak kiedyś jej brat powiedział jednemu chłopakowi, który się jej podobał, że Stacy ma wszy. Ja tymczasem zaczęłam bardziej energicznie machać widelcem, żeby jak najszybciej wstać od stołu.

– Mój ojciec jest psychologiem – wyjaśniłam Stacy, kiedy skończyła opowiadać o wszach.

– I czasami zapomina, że nie jest już w pracy – dodała mama, ale uśmiechała się przy tym do niego. Z miłością. Teraz, po kolacji, którą poprzedziło wspólne odśpiewanie opery, trochę się odprężyła.

– Aha – powiedziała Stacy. – Nic nie szkodzi.

– A czym zajmują się twoi rodzice? – chciał wiedzieć tata.

– Ojciec pracuje w branży komputerowej – odparła. – Mieszka w Waszyngtonie. Są z mamą po rozwodzie, stąd nasza przeprowadzka. Moja rodzina jest, tak jakby, totalnie dysfunkcyjna.

– Jak większość rodzin. – Tata uśmiechnął się do niej ze współczuciem.

Stacy dziabnęła enchiladę widelcem.

– Moje rodzeństwo zostało z nim, ale ja chciałam być z mamą, więc przyjechałam tutaj.

– Jak to wszystko przeszłaś? – ciągnął temat tata. – Pytam o rozwód.

– Było ciężko – wyznała. – Z dnia na dzień nasze życie stanęło na głowie. Ojciec nie wywiązuje się z płacenia alimentów na mnie i tak dalej. W ogóle się z nim nie widuję. A mama pracuje w biurze swojego brata. Dlatego przeprowadziłyśmy się tutaj. Bo jej brat mieszka w Black Mountain i nam pomaga. – Nakłuwała widelcem swoją porcję, nie podnosząc głowy. – Niezły bajzel.

Nagle ucieszyłam się, że ją zaprosiłam. Szczerze. W ciągu pół godziny Stacy Bateman z prześlicznej księżniczki zmieniła się w dziewczynę, która bardzo potrzebuje przyjaciółki.

– Przykro mi, że musisz przez to przechodzić – powiedział tata.

– Może po kolacji pokażesz Stacy Morrison Ridge? – zaproponowała mama.

– Taki miałam zamiar – odparłam. – Pożyczysz Stacy swój rower?

– Jasne. – Mama posłała mi ten sam kochający uśmiech, co tacie, a ja pomyślałam: jestem szczęściarą, bo mam taką rodzinę.

6

Po kolacji posprzątałyśmy w kuchni, a potem wyprowadziłam z garażu rower mamy i ruszyłyśmy główną drogą na objazd Morrison Ridge. U stóp Piekielnego Wzgórza zsiadłyśmy z rowerów i wprowadzałyśmy je na piechotę.

– Nie damy rady podjechać pod górę – wyjaśniłam i opowiedziałam jej, jak kiedyś złamałam tutaj rękę.

W połowie stoku dostałyśmy zadyszki.

– Co się stało twojemu ojcu? – zapytała Stacy.

– Stwardnienie rozsiane.

– Może się w ogóle ruszać?

– Z aparatem mowy, jak się przekonałaś, nie ma problemu – odpowiedziałam, a ona parsknęła śmiechem. – Ale nie, nie może. Porusza tylko głową i szyją. Większość chorych nie doznaje takiego upośledzenia, a u niego wciąż się tylko pogarsza.

– O rany... – westchnęła Stacy. – Taki fajny facet. Strasznie przykre, że... to mu się przytrafiło.

Wzruszyłam ramionami.

– I tak może robić, co chce – powiedziałam, chociaż wcale tak nie było. Tata po prostu nie lubił się skarżyć. – On zawsze widzi szklankę do połowy pełną.

Przez chwilę nic nie mówiłyśmy. Tuż przed nami przemknęły dwie ważki, a gdzieś w lesie po lewej stronie drogi zacwierkał ptak. Szłyśmy pod górę, ciężko oddychając.

– To musi być dziwne mieć w domu psychologa – odezwała się Stacy po jakimś czasie. – Taki ktoś zawsze wie, co myślisz.

– Psycholog nie jest jasnowidzem – zauważyłam.

– Ale wiesz, o co mi chodzi. – Przystanęła, żeby podrapać się w kolano, po czym popchnęła rower dalej. – Jak on daje radę pracować z taką niepełnosprawnością?

– Jest w stanie słuchać, mówić i myśleć. Nie potrzebuje żadnej innej sprawności.

Po dotarciu na szczyt wzgórza byłyśmy już zbyt zdyszane, żeby rozmawiać, wsiadłyśmy na rowery i ruszyłyśmy dalej. Pokazałam Stacy odnogę drogi, gdzie kilka godzin wcześniej spotkaliśmy z tatą Amalię.

– Tam mieszkają mój wujek Trevor i ciocia Toni.

– Nawet nie widać stąd domu – zauważyła Stacy, błędząc wzrokiem pomiędzy drzewami. – Ja to raczej rzadko bywam w takim lesie.

Dla mnie ten las był jak z bajki i miałam nadzieję, że Stacy też się podoba. Z jej tonu nie potrafiłam tego odgadnąć.

Kawałek dalej pokazałam Stacy prawie niewidoczną ścieżkę po prawej stronie drogi.

– Ta droga prowadzi do leśnego domku. Tam dzisiaj będziemy spać.

– Tak daleko? – Zrobiła wielkie oczy. – No nieźle. Ale czad, że twoi rodzice nam pozwolili. Moja mama myślała pewnie, że to gdzieś za waszym domem.

– A zgodziłaby się, gdyby wiedziała?

– Pewnie. Jej nie obchodzi, co robię.

W jej głosie zabrzmiała chyba gorycz, ale nie byłam pewna, więc zmieniłam temat.

– Mam tam magnetofon – powiedziałam.

– O, super! Przywiozłam mnóstwo kaset, ale bałam się, że masz tylko odtwarzacz na kompakty.

– Zbieram na to, ale jeszcze trochę mi brakuje. A w ogóle to pewnie i tak mamy te same kasy.

– Masz *Step by Step*?

– Oczywiście! Kupiłam od razu, jak wydali. – Droga w tym miejscu wznosiła się na krótkim odcinku, więc stanęłam na pedałach, żeby podjechać pod górę. – Bardzo bym chciała pójść na któryś z letnich koncertów New Kidsów – dodałam, gdy znalazłyśmy się z powrotem na równym gruncie.

– Trasa Magic Summer Tour... – rozmarzyła się Stacy. – Nie grają nigdzie blisko nas, a mojej mamy i tak nie stać by było na bilet. – Nagle jęknęła głośno. – Czy tutaj jest wszędzie pod górę?

Zaśmiałam się. Bolały mnie uda i byłam pewna, że ona czuje to samo.

– Jeszcze kawałek – pocieszyłam ją. Nie było nawet siódmej, ale na wzgórzu powoli zapadał już zmrok, bo drzewa rosły tu gęsto. Zamierzałam objechać Morrison Ridge do końca, zabrać rzeczy i dotrzeć do leśnego domku, zanim zrobi się całkiem ciemno.

– Tam są dawne baraki dla niewolników. – Wskazałam na prawo, gdzie biegła kolejna droga, tym razem znacznie węższa i tak zakopana wśród drzew, że przypominała tunel.

– Dla niewolników! – wykrzyknęła Stacy. – Boże, nigdy się nie przyzwyczaję do życia na Południu.

– Przecież Waszyngton to też Południe – zauważyłam.

– Raczej nie sądzę.

– W każdym razie to było dawno temu. – Ni stąd, ni zowąd poczułam, że muszę stanąć w obronie Morrison Ridge. – Teraz mieszka tam pewna kobieta. Nazywa się Amalia. Jest tancerką i plastyczką. Maluje, robi witraże i uczy mnie tańca.

– To znaczy... czego? Baletu?

– Tańca interpretacyjnego – wyjaśniłam. – Poruszasz się w rytmie uczuć, które budzi w tobie muzyka.

W tym miejscu droga zakręcała. Nagle zalał ją złoty blask wieczornego słońca, bo za zakrętem była polana.

– Ten dom po prawej nazywamy dużym domem – objaśniłam. – Mieszka tam moja babcia. – Zahamowałam, a Stacy zatrzymała rower obok. – W tych górach niewiele jest starych domów z cegły – czułam się jak przewodniczka wycieczki. – Ma sto czterdzieści lat. Stoi tutaj, odkąd ziemia stała się własnością mojej rodziny.

– A więc twoja rodzina miała niewolników? – Stacy uczepiła się tego wątku.

– Sto czterdzieści lat temu, ale tylko kilku – odparłam, jakby to robiło wielką różnicę: posiadać pięciu niewolników czy pięćdziesięciu. Zaczęłam się zastanawiać, co czuje Russell, kiedy słyszy o barakach dla niewolników. Może powinniśmy nazywać je inaczej?

Dom babci różnił się od pozostałych czterech domów w Morrison Ridge. Tamte stały schowane w lesie, a tymczasem do niego prowadził podjazd okalający jedyny prawdziwy trawnik w całym naszym siedlisku. Czerwone cegły i białe kolumny nadawały mu wytworny wygląd, w odróżnieniu od innych, które lepiej wyglądałyby w górach. Właśnie otworzyły się frontowe drzwi i na werandę wyszła babcia, która pomachała uniesioną wysoko ręką.

– Witaj, Molly! – zawołała, schodząc po schodkach. Miała na sobie dżinsową sukienkę ogrodniczkę i błękitne tenisówki, a jej równo obcięte siwe włosy kołysały się wokół twarzy.

– Kto z tobą przyjechał? Koleżanka? – Babcia ruszyła w naszą stronę szybkim krokiem. Niedawno skończyła siedemdziesiąt lat, ale nie miała w sobie absolutnie nic ze staruszki. Mama mówiła, że babcia jest „dziarska”.

– To Stacy – powiedziałam. – A to moja babcia. To znaczy pani Bess. – Babcia pochodziła z Południa

i bardzo ją drażniło, że moi znajomi mówili moim rodzicom po imieniu.

– Dzień dobry, Stacy – odparła. – Przyjdiesz, mam nadzieję, na naszą wielką letnią zabawę dwudziestego ósmego?

– Hm... – zająknęła się Stacy, zerkając na mnie.

– Nie zdążyłam jej zaprosić, babciu – wyjaśniłam. Babcia miała bzika na punkcie dorocznej zabawy, urządzanej u nas w samym środku lata. Szykowała ją przez cały rok.

Odwróciła się od nas, wskazując ręką w stronę domu, ale ja wiedziałam, że chodziło jej o stojący kawałek dalej pawilon, gdzie zabawa miała się odbyć.

– Będą fajerwerki! – zawołała. – Muzyka! Tańce! – Klasnęła w dłonie. – Mnóstwo jedzenia! Przyjdź koniecznie.

Stacy obejrzała się na mnie, a ja odpowiedziałam jej uśmiechem.

– Powaga. Czuj się zaproszona.

Nagle poczułam niespodziewane klepnięcie w ramię. Odwróciłam się spłoszona.

– Komar – zaśmiała się babcia. – Nie chciałam cię przestraszyć.

W tej chwili poczułam, że komary zainteresowały się także moimi gołymi nogami. Atakowały, kiedy tylko przestawałam się poruszać.

– Lepiej już jedźmy – zdecydowałam. – Pa, babciu! – zawołałam, gdy ruszyliśmy. – Całusy!

– Pamiętajcie o zabawie! – dogonił nas jeszcze jej głos.

Ujechałyśmy kawałek, ciesząc się, że tym razem pedałuujemy po równym gruncie.

– Ale czad, że twoja rodzina ma własny kawałek ziemi – odezwała się Stacy.

– To prawda – zgodziłam się. Byłyśmy już blisko mojego ulubionego miejsca w całym Morrison Ridge, więc wyhamowałam i zsunęłam się z siodełka.

– Patrz. – Wskazałam na prawo.

Stacy zmrużyła oczy, usiłując przebić wzrokiem wieczorną ćmę.

– Widzę tylko drzewa – powiedziała.

– Nie widzisz liny? – zapytałam. – Tam jest tyrolka.

– Tyrolka? Do zjeżdżania?

– Dokładnie. – Pokazałam palcem jeszcze raz. – Stąd zobaczysz wieżę. Tam zjazd się zaczyna, a kończy w pobliżu mojego domu.

– Teraz widzę. Ale wysoko! Wygląda, jakby biegła pomiędzy wierzchołkami drzew.

– Ponad nimi – uściśliłam. – Przynajmniej na pewnym odcinku.

– Super! Przejedziemy się?

– Kiedy indziej – odparłam. – Z tym jest sporo roboty. Upręże są tutaj, więc trzeba je zawieźć na górę, ale może wkrótce byśmy mogły, skoro chcesz.

– No pewnie!

Wsiadłyśmy z powrotem na rowery. Wskazałam w prawo.

– Tam jest nasz rodzinny cmentarz.

– Co? Żartujesz...

– Dziś już za późno na zwiedzanie – powiedziałam. – Może jutro.

– Dziękuję bardzo – wzdrygnęła się Stacy. – Umarłabym ze strachu.

A ja lubiłam ten kameralny cmentarz – rodziny Morrisonów i Arnette'ów nigdy nie były liczne – i za dnia chętnie tam chodziłam, czytałam nazwiska na nagrobkach i wyobrażałam sobie moich przodków. W nocy wybrałam się tam jednak tylko raz i to nie sama, co to to nie. Kiedy miałam osiem lat, w noc halloweenową kuzyn Cal zaciągnął tam Dani i mnie, żeby nas nastraszyć. Udało mu się. W tej „świętej ziemi”, jak mówiła babcia, spoczywała cała nasza rodzina – wszyscy urodzeni po tysiąc osiemset

pięćdziesiątym roku, małżeństwa, a czasem także dzieci, wśród nich trójka noworodków; jedno z nich urodziło się i zmarło tego samego dnia. Pochowano tam również kilkoro niewolników. Ich nagrobki były mniejsze i zgromadzone w jednym rogu, ale przecież leżeli razem z rodziną, za tym samym niskim żelaznym parkanem. Oglądałam te nagrobki z wielką ciekawością i dumą. Chciałam się dowiedzieć o moich przodkach wszystkiego. Od czasu do czasu męczyłam babcię, wypyując ją o różne wspomnienia, ale często miałam wrażenie, że po prostu zmyśla. Tak jak każda rodzina, szybko gubiliśmy kartki z kalendarza.

W pobliżu domu cioci Claudii i wujka Jima dostrzegłam na końcu podjazdu kuzynkę Dani. Wyglądała jak zabłąkany w lesie zombi.

– O Boże. – Stacy nacisnęła hamulec. – Kto to jest, do diabła?

– Moja kuzynka – wyjaśniłam i również zwolniłam. Nie miałam ochoty na rozmowę z Dani. – Wygląda, jakby sama przed chwilą leżała na tym cmentarzu, co? – dodałam, zniżając głos. – Chyba wyszła po listy ze skrzynki.

Tak właśnie było: Dani spojrzała w naszą stronę, a potem otworzyła skrzynkę stojącą na słupku obok drogi. Jak zwykle była ubrana na gotycko. Pomimo upału miała na sobie czarne dzinsy i czarny golf bez rękawów. Włosy, kiedyś tak samo brązowe jak moje, od lat farbowała na kruczoczarny kolor. Obcinała je równo z podbródkiem i zdaje się, że robiła to tępym nożem. Jej oczy, tak samo jak moje, miały ten nasz niezwykle, rodzinny odcień błękitu, ale czarna, rozmazana kredka do powiek nadawała Dani wygląd niewyspanej zmory. Usta zawsze malowała czerwonawoczną szminką, a w wardze nosiła okrągły kolczyk w kształcie małego wężyka z czerwonym okiem.

Wyjęła ze skrzynki kilka kopert, po czym zamknęła ją i stała, czekając na nas. Nie miałyśmy wyjścia: musiałyśmy się przywitać.

Nacisnęłam hamulec.

– Hej, Dani – powiedziałam.

Stacy podjechała obok i zsunęła się z siodełka.

– Kto to? – zapytała Dani, mierzając ją spojrzeniem swoich wymalowanych oczu.

– Moja koleżanka, Stacy. Przyjechała do mnie na noc. – Nie zamierzałam jej mówić, że śpimy dzisiaj w leśnym domku. Znałam dobrze pannę Danielle. Skrzyknęłyby swoich dziwnych kumpli i próbowaliby nas wystraszyć w nocy. Miała siedemnaście lat i przez całe życie była mi solą w oku. Dwa lata temu ciocia i wujek wypisali ją z miejscowego liceum i wysłali do szkoły imienia Virginii Dare w High Point. To była szkoła z internatem. Bardzo się ucieszyłam, że jej nie ma. Teraz, rzecz jasna, przyjechała do domu na wakacje. Straciłam z nią kontakt, ale nie przeszkadzało mi to.

– Pokazałam Stacy Morrison Ridge, właśnie wracamy do domu – wyjaśniłam, żeby coś powiedzieć.

– Zarąbiste masz hery – rzuciła Dani. Nic dziwnego, że zachwyciły ją włosy Stacy, długie, proste, lśniące i czarne, ale zaskoczyło mnie, że powiedziała coś miłego mojej koleżance. Nie przepadałyśmy za sobą.

– Dzięki – odparła Stacy.

– Jedziemy. – Postawiłam stopę na pedale. – Na razie, Dani.

– Kurde... – mruknęła Stacy, kiedy się oddaliłyśmy. – Laska nie z tej ziemi.

– Dziwna jest i tyle – odparłam. – A na dodatek to ostatnia moja kuzynka, która została w Morrison Ridge.

– Czyli mieszka tutaj cała rodzina, ale tylko dwa dzieciaki?

– Zgadza się.

– Raj na ziemi... – westchnęła Stacy, a ja po raz kolejny odniosłam wrażenie, że mam przynajmniej odrobinę lepsze życie od niej.

San Diego

– Powiedzieli wam, jak długo to potrwa? – pyta mama Aidana. Jesteśmy u państwa Jamesów. Teściowa siedzi na kanapie i trzyma na kolanach album ze zdjęciami, chociaż już go przejrzelismy.

– Czeka się średnio czternaście miesięcy – odpowiada Aidan, poprawiając naszego siostrzeńca Olivera, który siedzi mu na kolanach i zawzięcie usiłuje rozpiąć wujkowi zegarek.

– Długo – mówi jego ojciec, w głosie słychać rozczarowanie.

– Ale warto, skoro to oznacza szansę na dziecko – zauważa Laurie, nie spuszczając wzroku z synka siedzącego na kolanach brata. Widzę, że ma ochotę nakazać mu, żeby zostawił zegarek wujka w spokoju, ale Aidanowi ta zabawa nie przeszkadza.

Zjedliśmy u teściów obiad i przejrzelismy setkę fotografii, szukając do portfolio dobrych ujęć z bliźniakami Laurie. Znaleźliśmy bez trudu. Teraz relaksujemy się w salonie przy kawie i rozmowie. Kai siedzi u mnie na kolanach; całuję go w czubek głowy. Nie wiem, czy to chłopców ciągnie do nas, czy też może odwrotnie, ale jakoś tak się dzieje, że zawsze lądują na naszych kolanach. Smutno robi mi się na myśl o tym, że kiedyś wyrosną z przytulania, ale wtedy, jeśli szczęście nam dopisze, będziemy już mieli własne dziecko.

Kai już prawie zasnął. Jest ciężki, ale ja uwielbiam czuć jego ciężar. Opiera głowę o moją pierś. Wciąż jeszcze ma ten dziecięcy zapach, który chciwie spijam. Kiedyś, na początku, bywały chwile, że ledwie mogłam spojrzeć na Kaia i Olivera, nie mówiąc już o braniu ich na ręce. Urodzili się trzy miesiące po tym, jak straciłam Sarę, i przez pierwszych kilka miesięcy ich życia musiałam udawać, że się cieszę. To był dla mnie straszny okres; miałam wrażenie, że wszystkim znajomym właśnie wtedy urodziły się dzieci. Z okładki każdego czasopisma na stojaku przy kasie w sklepie spożywczym patrzyły na mnie kobiety w ciąży. Gdziekolwiek się ruszyłam, wszędzie wózki albo ciężarne masujące swoje okrągłe brzuchy. Długo miotaly mną żal, zazdrość i złość. Robiłam wszystko, żeby nie zdradzić się przed Laurie. Bardzo lubię moją szwagierkę. Nie zasłużyła sobie na to, żeby znosić moje nastroje, a ponieważ jej mąż często podróżował służbowo, należało jej pomagać, a nie zalewać żalem i złością. Tego właśnie potrzebowała od Aidana i ode mnie, ale ja, kiedy widziałam ją z dziećmi, czułam się chora. A potem nagle coś się zmieniło i nie mogłam wręcz napatrzeć się na bliźniaków. Jak gdybym odzyskała równowagę hormonalną i zdolność kochania. Uwielbiam tych malców i pragnę dać im wujecznego brata albo siostrę.

– A czy jest coś takiego jak... – Teściowa zawiesza głos, a potem kończy ze śmiechem: – ...kontrola jakości?

– Gdyby chodziło o nasze własne dziecko, nie byłoby mowy o kontrolowaniu jakości. – Uśmiecha się żartobliwie Aidan.

– Dostaliśmy formularz do wypełnienia, mamó – wtrącam. Nigdy nie miałam problemu z nazywaniem jej w ten sposób. Większym wyzwaniem było mówienie „tato” do ojca Aidana. Tylko jednemu mężczyźnie w moim życiu przysługiwało to miano. – Zawiera konkretne pytania o nasze oczekiwania

wobec dziecka, jakie jesteśmy gotowi przyjąć. Czy może być rasy mieszanej albo na przykład mieć zroszczep podniebienia, porażenie mózgowe albo matkę narkomankę. Wiecie, o co chodzi.

Formularz podzielał na nas jednocześnie przytłaczająco i otrzęwiająco. Zmusił do przyjrzenia się sobie samym i swoim uprzedzeniom. Jak również własnym ograniczeniom. Naszym marzeniem był zdrowy, śliczny dzidzius rasy białej. Pytania z formularza, niczym kubeł zimnej wody wylany na głowę, uzmysłowiły nam, iż rzeczywistość może okazać się inna. Przez szereg dni omawialiśmy potencjalne możliwości. Aidan zwrócił uwagę, że najprawdopodobniej to ja będę poświęcać naszemu dziecku najwięcej czasu i opieki, więc muszę starannie przemyśleć decyzję. Doszliśmy do wniosku, że z kalectwem u dziecka możemy sobie poradzić. A porażenie mózgowe? Uznaliśmy, że raczej nie, ale coś nas powstrzymało przed wpisaniem tego do formularza. W nocy przyśnił mi się ojciec. Siedział na swoim wózku przy skraju urwiska i wyglądał tak nieszczęśliwie jak nigdy. Z wielką radością opiekowałabym się nim do końca jego życia. Żałowałam, że nie zostało mi to dane. Po przebudzeniu wiedziałam już, jak chcę wypełnić formularz. Rano, przy śniadaniu, oznajmiłam Aidanowi, że moim zdaniem damy sobie radę ze wszystkim. „Zgadza się”, powiedział, jakby tylko czekał, aż sama dojdę do takiego wniosku. Podpisaliśmy wypełniony formularz i wysłaliśmy. A teraz czekamy.

– Jak na portalach randkowych? – pyta teściowa. – Tyle że tutaj kojarzą was z kobietą, która spodziewa się dziecka?

– Mniej więcej – przytakuje. – Wstępna selekcja polega na tym, że wysyłają dziewczynie czy też młodej kobiecie portfolio od rodzin, które ich zdaniem będą dla niej odpowiednie. Ona wybiera jedną albo więcej, po czym nawiązuje kontakt. A później podejmuje decyzję.

– Rodzina spotyka się z nią osobiście? – pyta Laurie.

– Trudno powiedzieć. – Aidan ratuje swój rozpięty już zegarek z rączek Olivera. – Kontakt może przebiegać w różny sposób. Najpierw e-mail albo telefon, a potem spotkanie. Pożyjemy, zobaczymy.

– Stresujące – komentuje jego mama. – Będziecie nas informować o wszystkim na bieżąco?

Uśmiecham się. Kiedy byłam w ciąży, dzwoniła do mnie prawie codziennie i pytała, jak się czuję, co mówił lekarz, czy potrzebuję czegoś. A gdy Aidan zawiadomił ją przez telefon, że straciłam dziecko, słyszałam przez cały pokój, jak płacze do słuchawki, chociaż sama wtedy płakałam.

– Wiecie, że będziemy kochać to dziecko tak samo jak Kaia i Olivera – zapewnia nas ojciec Aidana. – Nie przejmujcie się tym, nigdy.

– Dziękujemy, tato – mówię. – Wiemy o tym.

– Dziecko, które do was trafi, będzie największym szczęściarzem na świecie – dodaje jego mama, a ja w tym momencie mam już łzy w oczach.

Kiedy jestem z rodziną Aidana, to całym sercem, duszą i ciałem pragnę mieć dziecko. Jestem przekonana, że będę dobrą matką. Może nawet bardzo dobrą. W tym domu, rodzinnym domu Aidana i Laurie, życie jest cudownie normalne. W tym domu, z tą rodziną, nigdy nie mam mieszanych uczuć, które nachodzą mnie późną nocą, gdy nie mogę zasnąć.

Muskam wargami jedwabiące miękkie włosy Kaia, który smacznie śpi. On i Oliver biologicznie nie są moimi dziećmi, ale nie umiałabym kochać ich bardziej. Jestem pewna, że nasze dziecko obdarzę równie silnym uczuciem.

* * *

Po powrocie do domu idziemy do pracowni, żeby sprawdzić pocztę. Mamy dwa duże, identyczne biurka ustawione naprzeciwko siebie. Aidan szybko stuka w klawisze, a ja otwieram program pocztowy. Mam tylko jedną wiadomość – od DanielleK422. Czyli od kuzynki Dani. Wpatruję się w nagłówek, ale

nie najeżdżam na niego kursorem. Nie miałam kontaktu z Dani od kilku lat, chociaż kiedyś przysłała mi kartkę na Boże Narodzenie. Było w niej zdjęcie, a na nim ona, jej mąż Sean, ich dwa psy oraz osiemnastoletni syn Evan, najwyraźniej wrobiony w pozowanie z rodziną. Chłopak ma włosy do ramion i drut kolczasty wytatuowany na szyi. Dani na tym zdjęciu jest już w średnim wieku i wygląda na poważną, zasadniczą kobietę; pewnie musi się użerać ze swoim synem tak samo jak jej rodzice kiedyś z nią. Współczuję jej, na szczęście dała sobie spokój z koszmarnym malowaniem oczu.

Aidan i ja też wysyłamy kartki na święta, ale do Dani ani razu nie napisałam. Boję się, że przekaże wiadomości moim krewnym, a im mniej oni wiedzą o mnie i moim życiu, tym lepiej. Na urodziny zazwyczaj dostaję kartkę od Nory. Ona nie ma mojego adresu, więc wysłała ją za pośrednictwem Dani. Do kartki zawsze jest dołączony list, ale ich nie czytam. Wędrują prosto do śmieci. Nigdy się nie ugięłam. Odkąd skończyłam osiemnaście lat, nie widziałam się i nie kontaktowałam z żadnym mieszkańcem Morrison Ridge oprócz kuzynki Dani.

Klikam w wiadomość.

Hej, Molly. Chciałam ci przekazać, że Amalia złamała nogę i będzie musiała przejść szereg operacji, żeby wrócić do zdrowia. Mama nie ma pojęcia, jak to się stało – wiesz, że nie rozmawiają ze sobą. Wiadomo nam tylko tyle, że Amalia po zabiegach zostanie przez jakiś czas w szpitalu, a potem czeka ją rehabilitacja. Pomyślałam sobie, że chciałabyś wiedzieć.

xoxo, Dani

– Marszczysz brwi – odzywa się Aidan zza swojego biurka. – Napisali z Hope Springs?

– Nie. – Kręcę głową i silę się na uśmiech. Wpatruję się w ekran, ale nie widzę liter. Nie przypominam sobie, żeby Dani kiedykolwiek wspominała Amalię w e-mailach do mnie. – Moja kuzynka Dani zawiadamia, że znajoma złamała nogę.

– Bliska ci osoba?

Zanim potrząsnę przecząco głową, chwilę się waham. Wyobraźnia podsuwa mi zapach kwiatów wiciokrzewu.

– Nie – mówię w końcu. – To nic takiego.

Kładę palce na klawiaturze.

Dziękuję za wiadomość, Dani.

Nie podpisuję się. Nie wstawiam krzyżyków ani kółeczek. Dani nie ponosi odpowiedzialności za to, co stało się w Morrison Ridge, ale traktuję ją równie chłodno, jak resztę mojej rodziny.

– Kocham cię, kotku. – Niespodziewanie zza bezkresnej połaci dwóch złączonych biurek dobiega mnie głos Aidana.

Uśmiecham się do niego.

– Ja ciebie też. – Z powrotem kieruję wzrok na ekran komputera, chociaż tak naprawdę niczego tam nie widzę.

Aidan jest ostatnim człowiekiem, przed którym chciałabym coś ukryć. Kiedyś na pytanie o tajemnicę naszego małżeństwa odpowiedzieliśmy zgodnie: „Uczciwość”. Nie czułam się obłudnicą, wymawiając to słowo. Ufam Aidanowi, a nasza relacja jest uczciwa. Powiedziałam mu, że moi krewni byli toksyczni i nienormalni, więc dla własnego dobra zerwałam z nimi kontakt. I to była prawda. Owszem, podrasowałam ją gdzieś tam, na przykład uśmierciłam matkę, ale to z powodu przemilczenia prawdy czuję się winna. Aidan czasem żartuje sobie z mojej rodziny, nazywa ich „endogamicznym górskim ludem z Południa”. Nigdy go nie poprawiam. Czy to ważne?

Mimo to Aidan wie, że kochałam mojego ojca. I że po jego śmierci życie w Morrison Ridge stało się dla mnie nie do zniesienia. To przecież jest prawda, bez dwóch zdań.

Kiedyś żałowałam, że nie mogę powiedzieć Aidanowi całej prawdy, ale teraz już pozbyłam się żalu. To zbyt niebezpieczne. Ufam mężowi najbardziej na świecie, ale przecież jestem adwokatem. Widziałam wiele dobrych małżeństw, w których coś się popsuło. A wtedy zaczyna się wolna amerykanka. Wszystkie chwytaki dozwolone, można wykorzystać wspólne sekrety, całe lata wspólnych tajemnic. Nigdy mu nie powiem, co się wydarzyło w Morrison Ridge. Nigdy nie wyjaśnię, dlaczego zerwałam z rodziną. To już nie dotyczy mojego życia. Tak przynajmniej sobie powtarzam. Ale jednak e-mail od Dani, teraz, kiedy czekam na adopcję, był dla mnie wstrząsem. Nagle poczułam się jak akrobata, który idzie po linie, a grawitacja ciągnie go w dół.

Na ogół wydaje mi się, że mam to za sobą. Okres dojrzewania skończył się już dawno, a ból i złość dały się zastąpić wykształceniem, karierą, pracą społeczną, dobrymi przyjaciółmi oraz kochającym mężem. Nie trzeba jednak wiele, aby wszystko stanęło mi z powrotem przed oczami. Wystarczy jeden artykuł o stwardnieniu rozsianym albo wzmianka o Karolinie Północnej w wiadomościach. Albo też, jak się okazało, krótki e-mail od kuzynki Dani. „Tak”, wzdycham w myślach, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w monitor. „To wystarczy, aby wszystko do mnie wróciło”.

Morrison Ridge

Na Piekielne Wzgórze można było dotrzeć schodami, z obu stron. Nie wiedziałam, kto i kiedy je zbudował, ale na pewno powstały przed moimi narodzinami. Może nawet nie było jeszcze na świecie mojego ojca. Na jednym odcinku wchodziło się po dużych spłaszczonych kamieniach. Na kolejnym – po drewnianych stopniach, a jeszcze dalej – po łupkowych płytkach. Większość w opłakanym stanie, ale i tak łatwiej było iść tędy, niż wspinać się drogą, zwłaszcza że niosłyśmy plecaki, ciasto w próżniowych pojemnikach, pepsi w butelkach i mnóstwo kaset magnetofonowych. W połowie wzniesienia przystanęłyśmy, by złapać oddech. Właściwie wcale nie musiałam, ale widziałam, że Stacy brakuje wprawy we wspinaczce.

Gdy dotarliśmy do miejsca, gdzie ścieżka odbijała w stronę leśnego domku, było już prawie ciemno, a cykady grały tak głośno, że z trudem słyszałyśmy siebie nawzajem.

– Skąd wiesz, że trzymamy się ścieżki? – zapytała Stacy. – Tutaj wszystko wygląda tak samo.

– Nie martw się – uspokoiłam ją. – Znam drogę.

Za dnia widziałybyśmy już kamienne ściany domku, ale o tej porze otaczała nas zduszona zielonkawa szarość gęstwiny drzewnej.

– To był chyba kiepski pomysł – zaśmiała się Stacy nerwowo. – Jesteśmy w kompletnej głuszy.

– Nic nam nie grozi. – Wskazałam palcem przed siebie. – Spójrz, tam stoi. Zobacysz, jaki fajny jest w środku.

– Ładny domek, rzeczywiście – przyznała Stacy, kiedy byliśmy już tak blisko, że dało się go zobaczyć.

– Jaki maleńki!

Otwierane drzwi skrzypnęły. Weszłam pierwsza do ciemnego pomieszczenia, a Stacy wsunęła się za mną. Kiedy włączyłam stojącą lampę, a mój domek z dala od domu ukazał się w całej swej krasie, aż pisnęła z przejęcia.

– Ale plakaty! – Obracała się dookoła i oglądała jeden po drugim. – Ja swoje musiałam wyrzucić przed przeprowadzką.

Uklękała na tapczanie przed plakatem New Kidsów. Widziałam wyraźnie, że ślini się do Joeya McIntyre’a.

– Boże, jakie on ma oczy! – Wyciągnęła rękę, aby dotknąć jego policzka, a dopiero potem zauważyła pozostałe rzeczy: umywalkę, mikrofalówkę, małą komodę. Zeskoczyła z posłania i wyciągnęła ręce przed siebie.

– Niesamowite! – zawołała. – O Boże, Molly, ale z ciebie szczęściara!

Na widok jej zasmuconej miny zrobiło mi się przykro, bo dla mnie to wszystko było najzwyczajniejsze pod słońcem.

– Tam jest magnetofon. – Wskazałam palcem szafkę pod umywalką i pochyliwszy się, wcisnęłam klawisz. Włączyła się znów ta sama kasetka: *Step by Step*. W ogóle mi się nie nudziła. Stacy, kiwając

głową w rytm muzyki, oglądała resztę moich plakatów.

– Johnny Depp poważnie wpadł ci w oko, co? – Wskazała plakat wiszący nad sąsiednim tapczanem.

– Oglądasz *21 Jump Street*? – zapytałam.

– Oczywiście. – Stacy przysiadła na skraju posłania. – Ale on jest dla ciebie za stary. Ma ze dwadzieścia sześć lat. Nigdy go nie zdobędziesz.

Oparłam się o umywalkę, składając ręce na piersi.

– A ty uważasz, że zdobędziesz Joeya McIntyre’a? – zapytałam.

– On ma siedemnaście. Mam większą szansę niż ty z Johnnym.

– To i tak tylko fantazje – odparłam.

Stacy obejrzała się w stronę okna.

– Te robaki robią tyle hałasu, że nie słychać muzyki – zauważyła.

– To są cykady. – Gdy wychodziłam z tatą, zostawiłam okna otwarte. – Pomóż mi zamknąć, zanim komary nas dopadną, dobrze?

Stacy pociągnęła w dół jedną przesuwную ramę, a ja drugą. Gwar cykad ucichł, przeszedł w łagodny, odległy szemranie.

– A to kto? – Stacy wzięła w dłoń fotografię w ramce, stojącą na komodzie. Ja praktycznie przestałam już ją zauważać. Ten portret kobiety, mężczyzny i trójki ich nastoletnich dzieci był częścią mojego życia, odkąd sięgałam pamięcią.

– Babcia i dziadek Arnette, który umarł przed moim urodzeniem. – Stałam obok niej, wskazując palcem. – Z dziećmi. Moją ciocią, wujkiem i moim tatą.

– O Boże, to jest twój ojciec? Przystojniak!

Przyjrzałam się zdjęciu, starając się patrzeć jej oczami. No, fakt. Rzeczywiście był przystojny. Ciemne włosy, mocno zarysowany podbródek, białe zęby błyskające w zabójczym uśmiechu, no i te błękitne oczy, tak bardzo przykuwające uwagę. Jak to możliwe, że nigdy tego nie zauważyłam?

– To jest ciocia Claudia. – Wskazałam palcem. – Mama Dani. Obok stoi wujek Trevor.

– Twój ojciec jest najprzystojniejszy – podsumowała Stacy i odstawiła zdjęcie na komodę. Potem klapnęła pod plakatami z Johnnym Deppem. Ścisłe rzecz biorąc, na moim tapczanie, ale uznałam, że mogę go jej odstąpić na jedną noc.

– Zrobiłabyś to z nim? – zapytała Stacy, przyglądając się plakatowi. – Z Johnnym Deppem?

Usiadłam na drugim tapczanie.

– Oczywiście – przytaknęłam. Do tej pory nie ustaliłam jeszcze, jak właściwie „to” się robi, ale nie chciałam wyjść na tępą. – A ty z Joeyem?

– No kurde, jasne! Od razu! – Obejrzała się na mnie. – Powinniśmy ćwiczyć razem całowanie z języczkiem, żeby się nauczyć.

– Eee... – Zaśmiałam się. – Raczej nie.

– Całowałaś się już z kimś?

– Nie – przyznałam zawstydzona. – A ty?

– Z Bryanem Watkinsem – odparła. – Można powiedzieć, że chodzimy ze sobą. Ale z języczkiem całowaliśmy się tylko raz i nie wiem, czy dobrze mi poszło.

Byłam w szoku. Bryan Watkins chodził już do szkoły średniej.

– On kończy za rok, prawda? – zapytałam.

– W tym roku – poprawiła mnie, a jej głos niespodziewanie zabrzmiał zupełnie inaczej, niezwykle wytwornie, jak u kobiety z reklamy, siedzącej w drogim aucie. – Znasz go? Jest strasznie podobny do Joeya. – Wskazała palcem plakat. – No, przynajmniej trochę.

Co to miało znaczyć: „Można powiedzieć, że chodzimy ze sobą”? Nagle zrozumiałam, że Stacy i mnie

dzieli znacznie większa przepaść, niż mi się wydawało.

– Skąd go znasz? – zapytałam.

– Mieszka w mojej okolicy.

– I co... Naprawdę z nim chodzisz?

– Tego nikt nie wie. – Ułożyła się na boku, twarzą do mnie, i oparła głowę na dłoni. – Wymykam się z domu, żeby z nim pobyc.

Ciekawa byłam, co dokładnie robią, ale nie chciałam być wścibska. Może sama w końcu powie, pocieszałam się w duchu. Jakoś nie miała oporów przed zdradzaniem mi swoich mrocznych sekretów. Nagle wydała mi się dużo starsza. Urodziłam się wcześniej, o cały miesiąc, ale proszę – ja fantazjowałam o Johnnym Deppie, a ona tymczasem wymykała się do prawdziwych chłopaków, trzy lata starszych, i nie wiadomo, co z nimi wyczyniała.

– Moja siostra powiedziała, że jej facet robi jej minetę, ale dla mnie to totalna ohyda – wypaliła nagle Stacy. – Wyobrażasz to sobie?

Nie, nie potrafiłam sobie tego wyobrazić, ponieważ nie miałam zielonego pojęcia, o czym ona mówi.

– Co to znaczy? – zapytałam.

Stacy zmarszczyła nos.

– No, liże ją – powiedziała z naciskiem.

– O co ci chodzi? – Słyszałam wyraźnie frustrację w moim głosie. Było tak, jakby Stacy zaczęła mówić w jakimś nieznanym mi języku.

– Liże ją... między nogami.

– Co?! – Obraz, jaki podsunęła mi wyobraźnia, był odrażający. – Po co on... Przecież to chore!

– Wiem. Ale ona dzięki temu dochodzi.

– Dochodzi... dokąd?

Stacy spojrzała na mnie z lekkim zdziwieniem, jakbym zadała niewiarygodnie durne pytanie.

– Molly – rzekła tonem starej, zmęczonej nauczycielki. – Czy ty w ogóle wiesz, co znaczy „dojść”?

Potrząsnęłam głową.

– Naprawdę przydałoby ci się rodzeństwo. – Stacy usiadła i oparła się o kamienną ścianę. – Dochodzenie to cudowne uczucie, niepodobne do żadnego innego. Jazda na maksa. To się dzieje, kiedy uprawiasz seks, chociaż możesz też dojść sama. Sama ze sobą. Ja tego nigdy nie robiłam, w przeciwieństwie do mojej siostry.

Zaśmiałam się nerwowo. To była najdziwniejsza rozmowa w moim życiu.

– Czytałaś *Forever* Judy Blume? – spytała Stacy.

Znów potrząsnęłam głową.

– A powinnaś, naprawdę. Wszystkiego się dowiesz. To jest niesamowita książka. Pożyczę ci.

– Dobrze. – Wiedziałam, że wielu rzeczy muszę się nauczyć, ale kto by się spodziewał, że będzie ich aż tyle?

Przez kilka minut siedziałyśmy w kompletnej ciszy. Kiedy zaczęła się piosenka *Where Do I Go from Here*, Stacy położyła się znowu, tym razem na plecach.

– Ach, Joey... – westchnęła, błędząc wzrokiem po suficie. Po chwili zaczęła nucić razem z New Kidsami.

Ja też się położyłam, a gdy tylko moja głowa dotknęła poduszki, coś mi się przypomniało. Rok temu – albo może dwa – weszłam wieczorem do sypialni rodziców. Powinnam była zapukać, ale spieszyło mi się i nie pomyślałam. W pokoju panował mrok, ale zobaczyłam, że tata leży na łóżku, nago, na wznak. Mama siedziała mu na twarzy, z kolanami po obu stronach jego głowy. Pochylona w przód, jedną dłonią trzymała się wezgiłowia, a drugą ścisnęła za pierś. Poruszała biodrami, jęcząc cicho. Jej blond włosy,

uwolnione z kucyka, powiewały dziko dookoła głowy. Stałam w progu jak wryta, sparaliżowana szokiem. Co ona robi, próbuje go udusić? Chce go zabić w jakiś dziwaczny, zboczony sposób? A jednak... Coś mi mówiło, że nie o to chodzi. Wycofałam się za drzwi, wstrząśnięta i trochę znieśmaczona. Stałam w korytarzu, dopóki z sypialni rodziców nie dobiegł głos taty. To był znak, że on żyje. A jakże, żył, i nawet śmiał się razem z mamą. To mi dopiero dało do myślenia. Rzeczywiście, tata nie mógł dotknąć mamy rękami, czyżby więc mógł dać jej przyjemność wyłącznie za pomocą ust? Czy tylko w taki sposób mógł sprawić, żeby... doszła?

– Nie mów rodzicom, że spotykam się z Bryanem. – Głos Stacy sprowadził mnie na ziemię, do leśnego domku.

Przewróciłam oczami do sufitu i wykrzywiłam twarz.

– No jasne, bo ja z nimi gadam o takich rzeczach. – Usiadłam prosto i przeciągnęłam ramiona, jakby na znak, że rozmowa skończona. – Włączmy jakąś inną kasetę.

* * *

– Dobrze widzisz bez okularów? – zapytała Stacy, kiedy przełknęłyśmy ostatnie kęsy placka z brzoskwiniami.

– Z bliska – odparłam. – Z daleka już nie bardzo.

– Masz niesamowite oczy. Mogę ci je umalować?

– Nie wzięłam żadnych kosmetyków. – Nawet u siebie w pokoju miałam tylko róż i błyszczyk.

– Ja noszę mnóstwo tego w plecaku – odparła. – Chodź, zrobię cię na bóstwo. Umiem ekstra malować oczy. Jestem w tym mistrzynią.

– No dobra. – Żałowałam, że w domku jest tak ciemno. I że nie ma porządnego lustra, tylko małe nad umywalką, które nie ma nawet ramy.

Umyłyśmy pojemniki na jedzenie i usiadłyśmy naprzeciwko siebie na tapczanie pod plakatami Johnny'ego Deppa. Stacy przysunęła lampę podłogową nieco bliżej i ustawiła abażur. Moje okulary były ogromne. Wybrałam plastikowe ramki w kolorze bladnoróżowym, bo miałam nadzieję, że dzięki temu nie będą się rzucały w oczy, ale nikt nie dał się nabrać. To był chyba najbardziej przyciągający wzrok szczegół mojego wyglądu. Tata obiecał, że będę mogła nosić soczewki kontaktowe, kiedy skończę szesnaście lat – równie dobrze mogłoby to być w przyszłym życiu. Zdjęłam okulary i uniosłam twarz, żeby Stacy mogła mi się przyjrzeć.

– Hm... – Patrzyła na mnie z namysłem. – Nie mogę się zdecydować, czy zamalować ci piegi, czy zostawić. Słodkie są. A wielu chłopaków lubi słodkie dziewczyny, wiesz?

– Zamaluj – poprosiłam, bo chciałam po raz pierwszy w życiu zobaczyć swoją twarz bez piegów.

– Dobra. – Stacy wyjęła z plecaka wypchaną kosmetyczkę. Gdy ją otworzyła, na brązową narzutę wysypały się buteleczki, tubki i puderniczki. Nigdy nie widziałam tylu kosmetyków naraz. Nawet moja mama miała zaledwie drobną część tych skarbów, które zgromadziła Stacy.

– Rany – westchnęłam.

Stacy wzięła do ręki niedużą buteleczkę i potrząsnęła.

– Uwielbiam ten podkład – powiedziała. – Kryje pryszczki i w ogóle wszystko.

Przyjrzałam się jej uważnie. Cerę miała idealnie gładką.

– Masz go teraz na twarzy?

– Nie. Używam go tylko, kiedy spotykamy się z Bryanem albo kiedy wymykam się z domu. – Zdjęła zakrętkę. – Ładnie pachnie. – Podsunęła mi buteleczkę pod nos. – Powąchaj.

Powąchałam.

– Rzeczywiście – zgodziłam się, chociaż w zasadzie czułam tylko zapach brzoskwiń z jej ust.

– Nałożę ci kropelkę. Zamknij oczy.

Palcami rozprowadziła płyn po moim nosie i policzkach.

– Ale czad! – zawołała. – Poczekaj, aż sama zobaczysz. Ani śladu piegów. – Gdy skończyła z podkładem, otworzyłam oczy i zobaczyłam, jak podnosi z narzuty niewielkie pudełko z fioletowym cieniem do powiek. – Kradziony – rzuciła, po czym zdjęła wieczko i nabrała puder aplikatorem zakończonym gąbką.

– Ukradłaś go siostrze? – zaciekawiłam się.

– Zamknij oczy – rozkazała Stacy.

Posłuchałam, a ona rozprowadzała cień na moich powiekach.

– Tego nie zwinęłam siostrze, chociaż kilka innych rzeczy owszem – zachichotała. – Nie, ten cień mam z drogerii w sąsiedztwie.

Otworzyłam usta ze zdumienia.

– Ukradłaś to w sklepie?

– Oczy – powtórzyła rozkazująco, więc zamknęłam powieki, czekając, aż odpowie.

– Tak – przyznała. – Nie robię tego często, ale kosmetyki są strasznie drogie, a wsunąć taki drobiazg do kieszeni to banał... Ty nigdy nie buchnęłaś niczego ze sklepu?

– Nie. – Brakowało mi odwagi, żeby coś ukraść. Na pewno by mnie przyłapali.

– Mogę cię tego nauczyć – powiedziała. – Otwórz.

Otworzyłam oczy i spojrzałam na nią. Przede mną siedziała piękna dziewczyna wyglądająca na znacznie starszą. Nie wiedziałam sama, czy jej zazdroścę, czy się jej boję.

* * *

Stacy malowała mnie przez pół godziny, a efekt był naprawdę powalający. Stałam przed lustrem, które w końcu zdjęłam ze ściany i zabrałam na łóżko, żeby móc podziwiać jej dzieło.

– Jestem zupełnie niepodobna do siebie – zauważyłam.

– Wyglądasz przynajmniej na szesnaście lat. – Stacy zebrała buteleczki i kredki, a następnie schowała je do kosmetyczki.

„To prawda”, pomyślałam. Bardzo mi się podobała moja twarz bez piegów. I bez okularów. Szkoda, że w rzeczywistości miałam piegi i musiałam nosić okulary.

Stacy zasunęła zamek kosmetyczki.

– Muszę siku. – Wstała z łóżka. – Gdzie łazienka?

– Jest wychodek – powiedziałam. – Na zewnątrz. Mnie też się chce, więc chodźmy...

– Mam sikać na dworze? – Otworzyła oczy tak szeroko, że rzęsy uniosły jej grzywkę.

– To niedaleko.

– Gdybym wiedziała, zostałabym u ciebie w domu.

– Włóż sandały – poleciłam, wiążąc swoje tenisówki. Wsunęłam okulary na nos. Ostatni raz byłam w wychodku przed kilkoma tygodniami, a już wtedy ścieżka mocno zarosła. Teraz na pewno nie znalazłabym jej bez okularów, tym bardziej po ciemku.

Wyjęłam rolkę papieru toaletowego z dolnej szuflady komody i zabrałam z blatu kuchennego nasze latarki, jedną z nich podałam Stacy.

– No to w drogę – powiedziałam. – Po prostu idź za mną.

Na zewnątrz uderzył nas hałaśliwy gwar cykad. Opuściłam latarkę ku ziemi. Zarośnięta ścieżka była ledwie widoczna. Jeszcze tydzień i zniknie w poszyciu.

– Idziemy – zakomenderowałam.

– O Boże – jęknęła Stacy. Ścieżka była za wąska, żebyśmy szły obok siebie, ale złapała mnie od tyłu za ramię i kurczowo zacisnęła palce. – Czy tutaj są węże?

– W nocy nie – odparłam.

– To mnie wcale nie uspokoiło!

Ten właśnie moment wybrał sobie puszczyk, których w lasach Morrison Ridge było sporo, aby dać znać o sobie upiornym skowytom. Stacy z wrzaskiem stanęła w miejscu i wbiła mi paznokcie w bark.

– Co to było? – wydukała.

– To tylko sowa – uspokoiłam ją, ale ona dalej stała jak wryta.

– Myślałam, że sowy robią „hu-hu”.

– Sowy robią różne rzeczy. – Skierowałam snop światła przed siebie. – Chodź.

Z ulgą poczułam, że ruszyła za mną. Obyśmy tylko nie usłyszały niczego gorszego niż puszczyk. Bywały noce, kiedy miałam absolutną pewność, że w naszym lesie, wśród tych pisków, skowytów i przejmujących zwierzęcych głosów, umiera jakaś żywa istota. A Stacy wymiękła już teraz.

Po chwili dostrzegłam pomiędzy drzewami deski – to była ściana wychodka.

– Prawie jesteśmy – zapewniłam.

Stacy szła za mną, mamrocząc coś o robakach i pajęczynach, a także braku porządnej ścieżki. Wreszcie stanęłyśmy przed wiekową konstrukcją o drzwiach tak spaczonych, że nie domykały się do końca, a na dachu obluzowana deska dyndała na jednym gwoździu. Nie miałam pojęcia, kiedy postawiono tutaj ten wychodek. Ostrożnie otworzyłam drzwi. Ze środka nie buchnęła na nas fala smrodu, jak można się było obawiać – po prostu rzadko ktoś z niego korzystał. Skierowałam snop światła na drewnianą deskę z dziurą w środku.

– O nie – oznajmiła twardo Stacy. – Nie ma mowy. W życiu nie widziałam czegoś gorszego. I co teraz?

– Siadasz na desce i robisz swoje – odparłam. – Mam wejść pierwsza?

– Pierwsza i ostatnia. Ja się wstrzymam, dziękuję bardzo.

Weszłam, załatwiłam się i wyszłam z powrotem.

– Nic wielkiego – powiedziałam. – Dawaj. Chcesz trzymać całą noc?

Słyszając, jak Stacy szczęka zębami, zrozumiałam, że autentycznie się boi.

– Wyobraź sobie, że przychodzisz tutaj codziennie – poradziłam jej.

– O czym ty mówisz?

– Po prostu powiedz tak sobie. Nie żartuję. Korzystasz z tego wychodka każdego dnia, od urodzenia. Nie masz z tym żadnego problemu. Tak naprawdę to bardzo, bardzo się cieszysz, że jest w tej chwili pod ręką.

– Zwariowałaś.

– Spróbuj – zachęciłam. – Uwielbiasz ten wychodek. Kochasz go tak samo jak Joeya McIntyre’a.

Parsknęła śmiechem.

– No, teraz to pojechałaś... Obrzydliwe!

Sama wybuchnęłam śmiechem. Cóż, przynajmniej przestała szczękać zębami.

– Proszę cię – powiedziałam. – Tylko spróbuj. Powiedz sobie, że bardzo lubisz ten wychodek. Powiedz to. Powiedz, że go uwielbiasz.

– Uwielbiam go – powtórzyła za mną.

– Świetnie!

– Uwielbiam ten pierdolony sracz! – krzyknęła Stacy, szarpnęła drzwi i weszła do środka. Usłyszawszy wulgarnie słowo, byłam w totalnym szoku i nawet nie zauważyłam, że znalazła się za drzwiami, usiadła na desce i zrobiła siku.

– Nie mam papieru! – zawołała.

Uchyliłam drzwi i podałam jej rolkę.

Po chwili wyszła, dygocząc na całym ciele.

– Udało ci się! – zawołałam.

– I mam nadzieję, że się już nigdy nie powtórzy.

Ruszyliśmy z powrotem do leśnego domku. Stacy była już znacznie spokojniejsza. Opowiedziałam jej o terapii „Jak gdyby”, którą stosował mój tata.

– Bez sensu – skomentowała.

– Tak? A u ciebie przypadkiem się nie sprawdziła przed chwilą?

– Sądzisz, że ja naprawdę uwielbiam ten kibel?!

– Ale ucieszyłaś się, że był pod ręką, kiedy go potrzebowałam.

– Twój ojciec naprawdę pisze książki o udawaniu?

– W rozmowach z psychologami nie nazywa tej terapii „Jak gdyby”, tylko „autointerwencja poznawczo-behawioralna”. Ale w zasadzie chodzi o siłę sugestii.

– Bez sensu – powtórzyła.

Pomyślałam o dwójce psychologów, z którymi mój tata dzielił pracownię w Asheville. Jeden z nich miał na imię Peter i podobnie jak Stacy uważał jego system za bezsensowny. Tata zresztą też nie darzył wielkim szacunkiem jego metod terapeutycznych.

– Peter wciąż uważa Freuda za jedyną wyrocznię – narzekał. – Ale i tak się lubimy.

Janet, druga terapeutka pracująca razem z tatą, miała bzika na jego punkcie – tak przynajmniej twierdziła moja mama. Najpierw odbyła u niego staż, aby lepiej poznać metodę autointerwencji poznawczo-behawioralnej, a potem już została i po uzyskaniu prawa wykonywania zawodu dzieliła pracownię z nim i Peterem. Poznałam dosyć dobrze Janet i Petera, a także jego żonę Helen. Wszyscy troje byli naprawdę mili.

– A ty pomagasz mu pisać książki? – zapytała Stacy.

– Jestem tylko maszynistką. Piszę to, co on mi podyktuje.

– Fajnie – powiedziała. – Naprawdę.

Wróciliśmy do leśnego domku. Kasetą *Step by Step* kręciła się w odtwarzaczu już czwarty albo piąty raz. Ułożyliśmy się na posłaniach. Nagle Stacy zerwała się, wytrzeszczyła oczy wielkie jak spodki i wskazała palcem pod mój tapczan.

– Tam ktoś jest! – szepnęła bezgłośnie. – Uciekajmy!

Chwyliła latarkę z posłania i rzuciła się do drzwi.

– Nikogo tam nie ma! – Skoczyłam na równe nogi i ruszyłam za nią. Stacy zdążyła już otworzyć drzwi, a kiedy wybiegłam za nią na dwór, zatrzasnęła je i zaparła się o nie całym ciałem, żeby ten ktoś, kogo zobaczyła, nie mógł nas dorwać.

– Poważnie! – pisnęła. – Ktoś był pod twoim łóżkiem!

– Nie wygłupiaj się – powiedziałam. – Nikt się tam nie zmieści. Posłania kończą się tuż nad podłogą.

Właśnie ten moment wybrał sobie puszczyk, żeby ponownie wydać swój upiorny skowyt. Stacy wrzasnęła.

– Wracajmy do domu, Molly! Proszę cię! Ja się boję. I nie każ mi niczego sobie wmawiać. Tam naprawdę ktoś jest. Pewnie zakradł się, kiedy byliśmy w tym głupim wychodku.

To było niedorzeczne, ale wiedziałam, że tym razem z nią nie wygram.

– Twój plecak został w środku – zauważyłam.

– Jutro po niego wrócimy. Teraz za żadne skarby tam nie wejść.

– Przyniosę go. – Sięgnęłam dłonią za jej plecy, do klamki, ale Stacy szybko złapała mnie za rękę.

– Nie! Nie zostawiaj mnie samej.

– No dobra. – Poddałam się, wyobrażając sobie długi spacer w ciemnościach, krętą główną drogą, a potem powolne, ostrożne zejście z Piekielnego Wzgórza. Niestety, wyglądało na to, że nie mam innego wyjścia.

Gdy szłyśmy ciemną ścieżką, Stacy trzymała mnie kurczowo za rękę. Wciąż oglądała się za siebie i parę razy o mały włos potknęłabym się o jej nogi. Ucieszyłam się, gdy w końcu dotarłyśmy do głównej drogi, ale niemalże natychmiast stanęłam jak wryta, gdy promień światła z mojej latarki padł na coś lśniącego, stojącego na drodze przed nami.

– Co to? – wyszeptałam.

– Gdzie? – Stacy ścisnęła moje ramię tak mocno, że aż zabolęło.

Kolejny krok – i nabrałam pewności: to były szprychy wózka mojego taty. Wózek stał obok ławki, którą zrobił mój dziadek. Na ławce siedział tata. Spał twardo, ale nie był sam. Obok niego siedziała Amalia i też spała, z głową na jego ramieniu i dłonią na jego dłoni, spoczywającej w bezruchu na udzie.

Stacy wstrzymała oddech.

– To nie jest twoja mama – szepnęła.

Skinęłam głową.

– To Amalia – wyjaśniłam również szeptem. – Zobacz, przyszli tutaj, żeby czuwać nad nami. Żebyśmy były bezpieczne. – Uśmiechnęłam się do siebie, wzruszona na myśl o trosce taty i Amalii. – I nic nie może nam się stać – dodałam. – Wróćmy więc do domku, dobrze? W razie czego oni tutaj czuwają. A w środku nikogo nie ma, przysięgam na wszystko.

– Ale... – zająknęła się Stacy, zdumiona tym, że cała ta scena mną nie wstrząsnęła, wręcz zapewniła mi komfort psychiczny. Bo tak zresztą było. – Przecież to nie jest twoja matka – powtórzyła. – A siedzi z nim, jakby...

– Wszystko w porządku – powiedziałam i zawróciłam w stronę leśnego domku. Ucieszyłam się, że Stacy w końcu poszła za mną.

Nagle chwyciła mnie za ramię.

– Ale to nie jest twoja matka! – powtórzyła. – W ogóle cię to nie rusza?

Zatrzymałam się i spojrzałam na nią.

– Tak naprawdę – ucięłam – to właśnie jest moja matka.

9

Po powrocie do leśnego domku Stacy stanęła w otwartych drzwiach, a ja udowodniłam jej, że pod łóżkiem nikt by się nie zmieścił. Uniosłam zakurzoną kapę i skierowałam latarkę na deski wiszące nie wyżej niż pięć centymetrów ponad podłogą.

– Przysięgam, że widziałam pod twoim łóżkiem czyjeś palce – wymamrotała z zakłopotaniem, gdy weszła niepewnie do środka.

Usiadłyśmy na posłaniach i oparłyśmy się plecami o chłodne kamienne ściany. Opowiedziałam jej o Amalii.

– To jest moja biologiczna matka – wyjaśniłam. – Mieszka w barakach... – Ugryzłam się w język. – W tym fajnym domu, który się mija w drodze do babci. Uczy mnie tańca.

– No to jak to jest... – dopytywała Stacy. – Jesteś adoptowana?

– Tylko częściowo. Tata jest moim prawdziwym... biologicznym ojcem. – Nie byłam pewna, czy można tak powiedzieć o mężczyźnie. – Ale mama... To znaczy Nora, którą poznałaś... Ona mnie adoptowała. Więc chyba jestem póładoptowanym dzieckiem.

– Ale odjazd – skomentowała Stacy.

– Nie za bardzo. Przynajmniej nie dla mnie. To po prostu moje życie. – Wzruszyłam ramionami. Po co robić z tego wielkie halo? – Amalia mieszka tutaj, odkąd pamiętam, i zawsze wiedziałam, że jest moją biologiczną matką, więc nigdy nie było żadnych wielkich, mrocznych sekretów ani nic z tych rzeczy.

– Ale przecież... No... ona się kleiła do twojego ojca!

– Wcale się do niego nie kleiła – zaprotestowałam rozdrażniona.

– Opierała się o niego i trzymała go za rękę. A on miał rękę na udzie!

– Oni się przyjaźnią – ucięłam, chociaż w duchu musiałam przyznać, że jeszcze nigdy nie widziałam takiej zażyłości pomiędzy tatą i Amalią. Czy mamie by to przeszkadzało, gdyby ich zobaczyła? Może, ale nie zamierzałam przyznawać się przed Stacy, że nagle opadły mnie wątpliwości. – Robisz z igły widły.

Stacy odchyliła głowę i przyglądała się belkom pod sufitem.

– Twoi rodzice byli już po ślubie, kiedy twój ojciec przeleciał Amalię?

– Co? Nie! Oczywiście, że nie!

Czy na pewno? Jak to się stało? Nagle dotarło do mnie, że ta historia ma białe plamy. Że są rzeczy, o których nie wiem, bo nigdy nie przyszło mi do głowy zapytać.

– Mój ojciec miał romans – powiedziała cicho Stacy. – Dlatego rozstali się z mamą. Brzydziło mnie, kiedy wyobrażałam sobie, jak robi to z tamtą kobietą. Ona była praktycznie w wieku mojej siostry.

Spróbowałam wyobrazić sobie, jak tata całował się z Amalią. Jak leżeli razem w łóżku, w czasach, kiedy jeszcze był zdrowy. Jak uprawiali seks. Targnęła mną fala mdłości. Lepiej o tym nie myśleć.

– Nie chcę już gadać o takich rzeczach – ucięłam. – Przywiozłaś czasopisma?

Stacy przez chwilę przyglądała mi się uważnie, ale wreszcie odpuściła i sięgnęła po swój plecak, z którego wyciągnęła plik „Teen Beat” i „Sassy”. Przyniosła je na moje łóżko. Siedziałyśmy obok siebie, przewracając stronę po stronie. Oglądałyśmy zdjęcia chłopaków z różnych zespołów – tych ślicznych, nieszkodliwych chłopaków, których w marzeniach mogłam całować, ale raczej nic więcej – z całych sił

staralam się wyrzucić z głowy te nowe myśli i obrazy, które tak niespodziewanie zaczęły się do niej dobijać.

* * *

Stacy zasnęła, ukołysana stłumionym koncertem cykad, ale ja długo leżałam z otwartymi oczami. Myślałam o tym, że w nocy albo może wczesnym rankiem Russell przyjedzie po tatę furgonetką i zabierze go do domu. Czy zobaczy ich razem, czy może Amalia zdąży zniknąć, zanim on się pojawi? Nie sądziłam, żeby zostawiła tatę samego. Trudno mu było siedzieć prosto bez podparcia, tak jak na tej ławce. Mógł się przewrócić. Czy Russell wiedział, że Amalia z nim jest? A mama? Czy ona wiedziała? Wystarczyło, że ja wiedziałam – to już samo w sobie było mocno niepokojące i nie potrafiłam się zdecydować, co o tym myśleć. Czy to możliwe, żeby tata zdradził mamę z Amalią? „Amalia to twoja biologiczna matka, a Nora cię adoptowała”. Powiedziano mi o tym, kiedy byłam małym dzieckiem. Teraz jednak uświadomiłam sobie, że ta historia jest znacznie bardziej złożona, a ja muszę dowiedzieć się wszystkiego.

10

San Diego

Jak jeden list może przysparzać aż tylu trudności?

List do „drogiej przyszłej mamy” to ostatni punkt naszego wniosku o adopcję. Dopóki go nie napiszemy, nie mamy co czekać na telefon z wiadomością, że ktoś nas wybrał. To moja wina, przeciągam sprawę i właśnie kończą mi się wymówki.

Siedzimy na tarasie, Aidan z laptopem na kolanach, i razem staramy się napisać list, który stworzy naszą rodzinę. Trudno mu się czyta w słońcu, więc wciąż zdejmuje ciemne okulary, aby zaraz wsunąć je z powrotem na nos. Ale nie narzeka. Jest skoncentrowany na zadaniu.

– Spróbujmy napisać to na wesoło – proponuje. – Żartobliwie.

– Lepiej trzymajmy się faktów – mówię. – Opowiedzmy o naszej pracy, o problemach z zajściem w ciążę, o tym, jakie prowadzimy życie, co możemy dać dziecku i tak dalej.

– Nuda – protestuje Aidan. – Wyobraź sobie piętnastolatkę, która zмага się z takim listem. To musi być coś chwytliwego.

Rozglądam się po naszym podwórku. Widać stąd małą huśtawkę, którą zbudował dla nas ojciec Aidana, ale mój wzrok nawet jej nie rejestruje, bo przed oczami mam przerażoną nastolatkę, która drżącymi rękami przerzuca stertę listów z nagłówkiem „Droga przyszła Mamo” i usiłuje znaleźć tę jedną, właściwą rodzinę, która wychowa jej dziecko. Po raz pierwszy wyobrażam ją sobie tak plastycznie. „Biedactwo”, myślę. Czy Amalia też się bała, gdy odkryła, że jest w ciąży? Ciekawe.

– Och, Aidan... – Mój głos to cichy jęk.

– Co, kotku?

– Współczuję tej dziewczynie – mówię. – Albo kobiecie. Bez względu na to, kim jest.

– Wiem. – Aidan uśmiecha się smutno i bierze mnie za rękę.

– Nie podoba mi się to. Jakbyśmy chcieli jej coś sprzedać.

– A moim zdaniem staramy się zbudować wzajemną relację, korzystną dla wszystkich.

Nie odpowiadam, wciąż mając przed oczami przerażoną młodą kobietę, przerzucającą kartka po kartce dziewięćdziesiąt dwa listy.

– Ona z pewnością kogoś wybierze, Molly – mówi Aidan. – Może padnie na nas.

– W takim razie – podejmuję – twój pomysł, żeby odnieść się do jej młodego wieku, pokazać się jako bardzo nowoczesna para... My tacy nie jesteśmy. A chcemy, żeby ten list mówił prawdę o nas, tak? Czy rzeczywiście jesteśmy tacy nudni, że nikt nie zechce nas wybrać, jeśli szczerze opowiemy o sobie?

Nie wierzę, że przeszło mi przez gardło coś tak obłudnego.

Aidan przygląda mi się przez długą chwilę.

– Masz rację – mówi wreszcie i otwiera nowy dokument na swoim laptopie. – Zatem od początku.

Piszemy list. Poświęcamy temu cały weekend i ledwie znajdujemy czas, żeby coś zjeść. Gotowy tekst ma zaledwie dwie strony, ale jest to porywająca historia o naszej walce o dziecko, miłości do siebie nawzajem i o pasji do pracy zawodowej. Wspominamy o San Diego, opisujemy, co to miasto ma do zaoferowania dziecku, a na sam koniec, choć to przecież wcale nie mniej istotne, dzielimy się z przyszłą mamą naszym przekonaniem, że jesteśmy w stanie zapewnić jej dziecku stabilny i pełen miłości dom. List chowamy do koperty, kopertę zaklejamy i wrzucamy do naszej skrzynki, skąd wyruszy w swoją drogę, niesiony całą nadzieją, na jaką nas stać.

Morrison Ridge

Po nocy spędzonej w leśnym domku ja i Stacy wróciłyśmy rano do mojego domu. W kuchni zastałyśmy spory tłumek. Po jednej stronie dużego kuchennego stołu siedzieli rodzice Dani, czyli ciocia Claudia i wujek Jim, a po drugiej ciocia Toni i wujek Trevor. Wózek taty stał u szczytu stołu. Mama karmiła tatę. Kiedy stanęłyśmy w drzwiach, wszyscy się śmiali, ale w tym śmiechu wyczuwalne było napięcie. A może to ja przyniosłam je ze sobą? Bałam się, że Stacy wygada, że widziałyśmy tatę i Amalię razem. Powinnam była ją poprosić, żeby o tym nie wspominała, ale bardzo mi zależało na pokazaniu, że dla mnie to nic takiego, więc jakikolwiek komentarz w tym stylu popsułby mi kamuflaż.

Przedstawiłam Stacy wszystkim. Usiadłyśmy przy stole, naprzeciwko moich rodziców. Ktoś – najprawdopodobniej mama – położył dla nas dwa nakrycia. Wzięłam dzbanek z sokiem pomarańczowym i napełniłam szklanę Stacy.

– O której godzinie mama po ciebie przyjedzie? – zagadnęła ją moja mama, gdy tata przełknął łyżeczek kawy z filiżanki, którą mu podsunęła.

– Pomiędzy dziewiątą trzydzieści a dziesiątą – odparła Stacy.

Ciocia Claudia wyciągnęła w naszą stronę koszyk pełen babeczek.

– Świeżo pieczone, z jeżynami, skosztujcie – zachwalała.

– Dziękuję. – Wzięłam od niej koszyk i poczęstowałam Stacy.

– Najlepiej smakują z masłem – powiedziała ciocia Toni i podsunęła nam maselniczkę. Ciocia miała bardzo krótkie i ciemne włosy, z jednym siwym kosmykiem biegnącym nad lewym uchem. Ten kosmyk zawsze kojarzył mi się ze skunksem. Była mocno opalona, wysportowana i przez cały rok grała w tenisa.

– Ciocia Claudia piecze świetne ciasta – poinformowałam Stacy, gdy skubałyśmy babeczki nad talerzami.

– Dziękuję ci, Molly – rozpromieniła się ciocia. Miała czterdzieści lat, czyli cztery lata mniej niż tata, ale on był szczupłym brunetem, a ona pulchnym rudzielcem; strzygła się na chłopaka, o wiele za krótko przy tak okrągłej twarzy. Jej twarz zawsze kojarzyła mi się z dynią. Jeśli chodzi o usposobienie, to ciocia była bardzo miła. Nie potrafiłam zrozumieć, jak to się stało, że jej córka Dani ma taki paskudny charakter.

– Wczoraj objechałyśmy Morrison Ridge na rowerach i spotkałyśmy Dani – powiedziałam.

– Och, biedna Dani, zupełnie nie wie, co ma ze sobą zrobić – wtrąciła ciocia Claudia.

– Powinna znaleźć sobie jakąś pracę – zauważył wujek Jim.

Ciocia Claudia puściła jego uwagę mimo uszu.

– Odkąd uczy się w High Point, nie ma tutaj wielu znajomych – westchnęła. – No, ale przynajmniej szkoła jej się spodobała. Panuje tam atmosfera tolerancji. Nie próbują wślaczać dzieciaków na siłę w jakieś ramy.

„I bardzo dobrze”, pomyślałam, „bo Dani nie pasuje do żadnych”.

– Podobno nocowałyście dzisiaj w starym leśnym domku, dziewczyny – włączyła się do rozmowy

ciocia Toni. – Mam nadzieję, że nie musiałyście w środku nocy wychodzić za potrzebą?

– Musiałyśmy – przytaknęła Stacy i spojrzała na mojego ojca. – Ten wychodek jest obrzydliwy i zamierzałam dać za wygraną, ale pańska szalona córka namówiła mnie, bym udawała, że strasznie mi się tam podoba.

– Naprawdę? – zapytał tata. Wydawało mi się, że na jego twarzy dostrzegam rozbawienie oraz dumę. – I co, poskutkowało?

– No cóż, skorzystałam – przyznała Stacy.

– Nie znosiłam tego wychodka z całego serca – powiedziała ciocia Claudia. – Pamiętacie, jak kiedyś przez całe lato gnieździł się tam miedziogłowiec?

– Wąż? – Stacy zadrżała.

– Trevor go tam wpuścił, żeby wystraszyć dziewczyny – wyjaśnił tata. – Wam teraz nic nie groziło.

– Wcale go nie wpuściłem. – Wujek Trevor sięgnął po dzbanek z kawą stojący na stole. – Przysięgam.

Przyglądałam się, jak na jego potężnym, opalonym ramieniu grają mięśnie i ścięgna, kiedy nalewał sobie kawę do filiżanki. Miał w domu siłownię i bez przerwy ćwiczył, a do tego pracował jako budowlaniec, więc mógł się pochwalić świetną formą, zwłaszcza w porównaniu z bratem, czyli moim chudym, liczącym każdą kalorię ojcem. Praca pod gołym niebem naznaczyła mu jednak twarz licznymi zmarszczkami. Miał czterdzieści sześć lat, dwa lata więcej niż mój ojciec; często gderał, że tata poszedł na studia, a on musiał zostać w domu i pomagać dziadkowi w warsztacie stolarskim. Wkurzało mnie strasznie, że wujek śmie powiedzieć prosto w oczy mojemu tacie – który nie był w stanie nawet drgnąć – że to on miał gorzej w życiu. Poza tym przesadzał z piciem; kilka razy widziałam go nietrzeźwego. Bałam się go wtedy. Siła i alkohol – taka mieszanka wydawała mi się groźna.

– Co tam robiłyście przez całą noc? – zapytała nas ciocia Claudia.

Spojrzałyśmy po sobie z uśmiechem.

– Gadałyśmy – odpowiedziała Stacy. Z ulgą pomyślałam, że nie ma zamiaru poruszać tematu Amalii. Do tej pory już by się wygadała.

– Tylko nastolatki potrafią rozmawiać całą noc – uśmiechnęła się ciocia Toni.

– No dobra, Graham, wracając do tematu – wtrącił wujek Trevor, którego najwidoczniej nie interesowałam ani ja, ani Stacy. – Skrupulatnie wszystko przeliczyłem. Uwierz mi, siedzimy na żyłach złota. Grzechem byłoby pozwolić, żeby taka ziemia poszła na zmarnowanie.

Tata uśmiechnął się pobłaźliwie, tak samo jak uśmiechał się do mnie, kiedy usiłowałam wystawić na próbę jego cierpliwość.

– Nasza ziemia się nie marnuje, Trev – oznajmił. – Ale to nie jest odpowiedni moment na taką dyskusję.

– Skinął głową w stronę Stacy albo ogólnie w naszym kierunku.

– Trevor, ty zawsze musisz dramatyzować – odezwała się ciocia Claudia. – Już w dzieciństwie byłeś taki śmiesznie...

– Nieważne, jaki byłem – przerwał jej wujek. – Nie rozumiem, dlaczego nie chcecie dostrzec tutaj logiki. Macie dzieci, które trzeba posłać na studia. Zamierzacie wpakować się w kredyty, żeby zapewnić im wykształcenie, tak jak my z Samanthą i Calem?

Boże, ale to było nudne, a teraz na dodatek jeszcze żenujące. Stacy jadła swoją babeczkę i wyglądała przez okno, błędząc wzrokiem po zboczach gór widocznych w oddali. Trzeba jak najszybciej się stąd ulotnić: kulturalnie odczekać chwilę, przeprosić i wyjść.

– Co prawda, to prawda, Grahamie – powiedziała ciocia Claudia do taty. – Danielle nie ma szans na stypendium. Mnie wkrótce zwolnią z fabryki koców, a domowy browar Jima nie przynosi dochodów.

– Na razie – wtrącił z naciskiem wujek Jim. Pracował w firmie zajmującej się wywozem śmieci, ale robił wszystko, żeby z tym skończyć, i w tym celu zabrał się do warzenia piwa w piwnicy; tata twierdził,

że traci tylko czas i pieniądze.

– Właśnie. – Ciocia Claudia poklepała go po dłoni. – Na razie nie przynosi.

– Molly, czy ty jesteś umalowana? – zapytała nagle mama.

Kompletnie zapomniałam. Wyszczotkowałam rano zęby, ale nawet nie zjrzałam do lustra nad umywalką. Pewnie wszystko się rozmazało i miałam na twarzy jeden wielki kleks.

– Ja ją umalowałam – wyznała Stacy. – Niesamowicie wyglądają jej oczy, prawda?

– Bardzo ładnie – przyznała mama.

– Teraz naprawdę rzucają się w oczy – zaśmiał się tata.

– Ja nie pozwalałam Danielle się malować, dopóki nie skończyła piętnastu lat – odezwała się ciocia Claudia.

Tymczasem wiedziałam, że Dani zaczęła się malować, kiedy miała lat dwanaście. Podkreślała sobie oczy czarną kredką, kiedy tylko zamknęły się za nią drzwi szkolnego autobusu, i zmywała ją w drodze powrotnej do domu. Byłam też pewna, że w szkole z internatem robiła już wszystko, co jej się żywnie podobało.

– No, nie wiem – powiedział tata. – Moim zdaniem można pozwolić dziewczynie na makijaż podkreślający oczy, zwłaszcza kiedy nosi okulary.

– Chociaż może nieco mniej cienia do powiek, przynajmniej na co dzień – dodała mama.

Przypomniał mi się podprowadzony cień Stacy i spróbowałam wyobrazić sobie, jak to jest schować towar do kieszeni i wyjść ze sklepu bez płacenia.

– Nieźle ci wyszło, Stacy – pochwalił tata. – Masz zdolności artystyczne?

– Możemy wrócić do tematu naszej ziemi? – wszedł mu w słowo wujek Trevor.

– Oj, Trevor, daj mu porozmawiać z Molly i jej koleżanką – powiedziała ciocia Claudia.

Tata mówił mi, że w młodości ciocia była rodzinną mediatorką, i tak jej zostało. Zawsze starała się wszystkim dogodzić, często stąpając po bardzo kruchym lodzie. Kiedy wyobrażałam sobie w takiej roli siebie, robiło mi się niedobrze.

– Chyba mam trochę talentu – odpowiedziała Stacy. – Lubię rysować, ale raczej nie jestem naprawdę dobra ani w tym, ani w niczym innym.

– Molly mówiła ci, że wybiera się ze mną w trasę promocyjną mojej książki? – zapytał tata.

– Poważnie? – Ciocia Claudia sięgnęła po kolejną babeczkę.

– Byłam królikiem doświadczalnym taty, kiedy opracowywał niektóre metody – wyjaśniłam.

– Super – powiedziała Stacy, a wujek Trevor skrzyżował ramiona na piersi i sapnął ze zniecierpliwieniem.

– Molly łatwo nawiąże kontakt z młodzieżą podczas spotkań w księgarniach – tłumaczył tata. – O ile w ogóle ktoś przyjdzie. Poza tym, jak zwykle, będzie mi miło w jej towarzystwie. – Spojrzał na mnie ponad stołem, a ja poczułam, jak przepełnia mnie miłość do tego człowieka. Wszyscy odwrócili głowy w moją stronę; ciekawe, czy to uczucie było widać na zewnątrz – może nad moją głową pojawiło się wielkie, czerwone rysunkowe serce, jak w kreskówce?

– Zanim wyjedziesz, nauczę cię robić makijaż – obiecała Stacy.

Tata zerknął na swojego brata; wiedziałam, że ostentacyjne zniecierpliwienie wujka Trevora nie umknęło jego uwagi.

– Trevor, sprawa wygląda tak: nawet gdybyśmy wszyscy, czyli Claudia, Jim i Nora, chcieli sprzedać część naszej ziemi – a od razu powiem, że nie chcemy – i tak nie możemy nic zrobić, dopóki żyje mama. To by ją zabiło. Na pewno by...

– Przecież ona ma dopiero siedemdziesiąt lat! – Wujek Trevor podniósł głos, prawie krzyczał.

– A cóż ci tak spieszo! – mitygowała go ciocia Claudia.

– Może pożyć jeszcze dwadzieścia lat – zauważył wujek. – Albo trzydzieści! A pieniądze przydadzą się teraz. Teraz!

– Będą nam potrzebne na emerytury, Grahamie – odezwała się ciocia Toni, po czym wyznała, że jej marzą się podróże. Zerknęłam na Stacy i skinęłam głową w stronę dużego pokoju. To już naprawdę były śmiertelne nudy.

* * *

Usiadłyśmy na schodkach werandy i czekałyśmy na mamę Stacy.

– Masz fajnych rodziców – powiedziała. – Są naprawdę mili, a przy twoim tacie szybko się zapomina o tym wózku, wiesz?

Skinęłam głową bez słowa. Prawie jej nie słuchołam. Czekałam, aż powie coś na temat Amalii, ale ona chyba zapomniała, że widziała ją w nocy z moim ojcem. To ja nie mogłam wyrzucić tego obrazu z pamięci.

– Bryan ma kumpla – rzuciła Stacy. – Chciałabym was spiknąć ze sobą, poważnie.

– Fajnie – powiedziałam, chociaż byłam pewna, że rodzice nigdy w życiu nie pozwolą mi wyjść z siedemnastolatkiem. W ogóle z nikim nie pozwoliliby mi wyjść.

– Jedzie moja mama! – Stacy zerwała się na równe nogi na widok wyjeżdżającego zza zakrętu srebrnego vana. Pochyliła się i objęła mnie mocno. – Dziękuję! Fajnie było!

Patrzyłam, jak wsiada do samochodu, a kiedy ruszył z miejsca, jej mama lekko zatrąbiła. Siedziałam na schodkach i jeszcze długo czułam dotyk Stacy. Nigdy nie miałam kumpeli, z którą mogłabym się uściskać, i dobrze mi było ze świadomością, że teraz ją mam, nawet mimo tylu dzielących nas różnic. Moje życie, z dwojgiem kochających rodziców, z kochającą biologiczną matką i radosnymi, niewinnymi fantazjami o Johnnym Deppie, bardzo mi się podobało, ale miałam przeczucie, że Stacy Bateman może je zmienić w jeszcze lepsze.

Późnym popołudniem tata poprosił, żebym coś dla niego przepisała. Zanim Russell przywiózł go do gabinetu, zdążyłam już się przygotować: włączyłam komputer i otworzyłam plik o nazwie *Terapia „Jak gdyby” dla dorosłych* – tak brzmiał roboczy tytuł książki taty. Do zeszłego roku musiałam wkładać dyskietkę, ale teraz mieliśmy już nowy komputer i wszystko było na twardym dysku, co znacznie ułatwiało pracę, chociaż tata wciąż kazał mi umieszczać pliki na dyskietkach. Uwielbiałam pisać na kompie i robiłabym to, nawet gdyby mi nie płacił. Mama mnie nauczyła, kiedy miałam dziesięć lat, i postanowiłam zostać pisarką. „Moja córka nie będzie stukać dwoma palcami”, powiedziała i powtarzała to niemalże za każdym razem, kiedy siadałam do komputera; tamtego popołudnia szczególnie jednak dźwięczały mi w głowie słowa „moja córka”.

Gabinet taty był nieduży i funkcjonalnie urządzony; regały z książkami zajmowały dwie ściany. Tata kochał swoje książki, chociaż samodzielne czytanie sprawiało mu już sporą trudność. Zwykle słuchał książek z kaset, ale miał też wyjątkowo toporną maszynę do przewracania kartek, którą skonstruował dla niego jeden facet z uniwerku; maszyna miała to do siebie, że zaciniała się po trzech stronach, i ktoś z nas musiał przyjść z pomocą, co doprowadzało tatę do strasznej frustracji. Mimo to był gotowy na wszystko, byle móc czytać. Byle usterka nie mogła mu w tym przeszkodzić.

Połowę gabinetu zajmowało olbrzymie biurko. Jego blat był wykonany z długich i szerokich drzwi naszej stajni, którą przeznaczono do rozbiórki. Tata zatrzymał sobie drzwi, a wujek Trevor dodał do nich nogi. Ojciec lubił tchnąć nowe życie w stare przedmioty z duszą, które kiedyś służyły mieszkańcom Morrison Ridge; według mnie zakrawało na ironię, że na tych starych drzwiach stoi teraz lśniąca nowością sprzęt: komputer i drukarka.

Poprawiłam ułożone w jednym rogu biurka książki, bo leżały krzywo, i zebrałam dwa długopisy i ołówek leżące luzem w pobliżu komputera, po czym rozejrzałam się za szklanym, witrażowym piórnikiem, który Amalia zrobiła dla ojca przed kilkoma laty. Pojemnik z opalizującego szkła w szaloną, biało-niebieską kratkę zwykle rzucał się w oczy, ale nigdzie nie mogłam go znaleźć, więc w końcu położyłam długopisy i ołówek obok książek.

- Wybacz, że kazałem na siebie czekać – przeprosił tata, gdy Russell wprowadził wózek do gabinetu.
- Nie ma sprawy – odparłam.
- Potrzebujesz czegoś, zanim pójdę? – zapytał Russell.
- Poprawisz mi zagłówek? – poprosił tata.
- Wciąż ci przeszkadza, prawda? – domyślił się Russell, kręcąc gałką umieszczoną z boku nowego zagłówka. Tata nie mógł się do niego przyzwyczaić. Jego głowa spoczywała w nim jak piłka w rękawicy baseballowej. – Założę później ten stary, chcesz? Nie wyrzuciłem go.
- Dobry pomysł – przyznał tata. – Ten nie pozwala mi swobodnie obracać głowy, a przecież człowiek chciałby mieć kontrolę nad jedyną częścią ciała, którą może jeszcze poruszać. – Uśmiechnął się do mnie, ale ton jego głosu zdradzał irytację.
- Nie mogę znaleźć twojego szklanego piórnika – powiedziałam. – Wiesz, gdzie jest?
- Hm. – Tata rzucił okiem w stronę biurka. – Nie mam pojęcia. A ty, Russell?

Russell potrząsnął głową.

– Wezmę go pod lupę – obiecał. – Coś jeszcze?

– Chyba już niczego nam nie potrzeba – powiedział tata i zostaliśmy sami w gabinecie.

Zakręciłam młynka palcami, jakby dla rozgrzewki, a potem położyłam dłonie na klawiaturze.

– Na czym skończyliśmy? – zapytał tata. – Przeczytaj mi kilka ostatnich akapitów.

Wiedziałam, że chce skończyć książkę przed końcem lata i dlatego zależy mu, aby praca posuwała się naprzód. Wyświetliłam ostatnią stronę i odczytałam wskazany fragment, a potem tata zaczął dyktować.

Robiłam więcej błędów niż zwykle, bo wciąż zastanawiałam się, jak zapytać o Amalię. Ostatecznie tata sam ułatwił mi zadanie.

– Gdzie błędzisz myślami, Molly? – zapytał pół godziny później, kiedy po raz kolejny przerwałam, żeby poprawić literówkę. – Bo tutaj na pewno cię nie ma. Co się dzieje?

Tata potrafił mnie przejrzeć na wylot bez najmniejszego wysiłku. Miało to swoje wady i zalety; dzisiaj byłam z tego zadowolona. Oderwałam palce od klawiszy i obróciłam się fotelem do taty.

– No, gryzie mnie jedna sprawa – przyznałam.

– Powiedz – poprosił.

Odetchnęłam głęboko.

– Czy Amalia była twoją żoną, zanim pojawiła się mama? – zapytałam. – Czy może byłeś już po ślubie z mamą i zdradziłeś ją z Amalią albo... sama już nie wiem. – Skrzywiłam się, zakłopotana własnymi pytaniami, ale dokończyłam: – Co tak naprawdę wtedy się stało?

Tata uniósł brwi, jakby nie do końca rozumiał, o co mi chodzi.

– No cóż – powiedział wreszcie. – Zastanawiałem się, kiedy o to spytasz. Miałem tylko nadzieję, że to nastąpi później. A może nigdy – zaśmiał się, po czym spojrzał na mnie przenikliwie, jak tylko on potrafił. Gdyby mógł, pochyliłby się pewnie do przodu, ale ponieważ to było niemożliwe, samą mimiką musiał oddać mowę całego ciała. – Nie doszło do żadnej zdrady, kochanie – zapewnił mnie. – Chcesz wiedzieć, jak pojawiłaś się na świecie?

– Tak – odparłam stanowczo. – Chcę.

Tata, jak gdyby usiłując zebrać myśli, wyjrzał przez okno, za którym rozciągał się las.

– To może nie jest najweselsza historia – zaczął, odwracając wzrok z powrotem na mnie – ale zawsze będę się cieszył, że dane mi było ją przeżyć, ponieważ dzięki temu mam ciebie.

Uśmiechnęłam się, już trochę spokojniejsza, i złożyłam ręce na kolanach, zamieniając się w słuch.

– No więc tak. – Tata skinął lekko głową. – Miałem dwadzieścia osiem lat, zrobiłem doktorat na Uniwersytecie Karoliny Północnej i wróciłem do Morrison Ridge. Zamieszkałem w dużym domu razem z rodzicami i Claudią. Natomiast Trevor i Toni z Samanthą i Calem mieli już własny dom. Znalazłem pracę w Asheville, w placówce o nazwie Highland Hospital. Dzisiaj ona już nie istnieje, a była to instytucja raczej dość niekonwencjonalna.

– Co to znaczy?

– Stosowali jedyne w swoim rodzaju podejście do leczenia pacjentów – wyjaśnił. – Ludziom w złym stanie psychicznym pomagali terapią poprzez sztukę, muzykę albo kontakt z przyrodą, nie polegali wyłącznie na lekach, elektrowstrząsach albo psychoterapii. Ich nieszablonowe metody, jak się zapewne domyślasz, były dla mnie pociągające. – Tata posłał mi porozumiewawczy uśmiech. – Tak czy inaczej, powiem ci teraz coś, czego o mnie nie wiesz, Molly – dodał, wzdychając z cicha. – Kiedyś uwielbiałem tańczyć, tak jak i ty.

– Naprawdę? – Trudno mi było wyobrazić sobie, że tata chodzi, a co dopiero – że tańczy.

– Co weekend chodziliśmy na tańce we czwórkę: Trevor, Toni, Claudia i ja. Potem zaczęliśmy jeździć na wybrzeże. Do Wrightsville Beach, czasem do Myrtle. Wszędzie królował plażowy rock i tańczyło się

*Carolina shag*¹, a my naprawdę mocno się w to wkręciliśmy. Sprowadziliśmy ten taniec do nas, w góry, i zorganizowaliśmy kółko taneczne.

– W Asheville? Tam, gdzie chodzą ciocia Claudia i wujek Jim?

– Tak. Tam się poznali, a kółko działa do dzisiaj, chociaż ja, z oczywistych względów, już do niego nie należę, także Trevor i Toni stracili zainteresowanie.

– Tam poznałeś mamę?

– Nie. – Pokręcił głową. – Amalię też poznałem gdzie indziej. – Obrócił głowę opartą na zagłówek; widziałam, że jest mu niewygodnie. – Amalia była zatrudniona w Highland Hospital jako instruktorka tańca dla pacjentów – wyjaśnił. – Chociaż właściwie „zatrudniona” to nie jest odpowiednie słowo. – Zapatrzył się w dal i dalej mówił jakby do siebie: – No dobrze, powiedzmy, że była tam zatrudniona. Tak będzie łatwiej. Szpital zapewnił jej mieszkanie i wyżywienie. Miała dopiero dwadzieścia lat i wspaniale tańczyła, znasz ją zresztą z tej strony. W jej tańcu był element beztroski, dzięki któremu umiała trafić do pacjentów z różnymi zaburzeniami. Była swobodna, niczym nieskrępowana.

Tata zatonął w swoich myślach, a ja czekałam, siląc się na cierpliwość. Nie mogłam się doczekać, kiedy zacznie opowiadać o mnie.

– Amalia miała trudne dzieciństwo – kontynuował. – Jej rodzice nie mieszkali razem, a matce brakowało instynktu macierzyńskiego. Ale o tym niech opowie ci ona sama. – Potrząsnął głową. – Tak czy inaczej, powiedziałem jej o tym kółku tanecznym i zaczęła przychodzić tam razem ze mną. Stopniowo nasza przyjaźń przerodziła się w... coś więcej. Zakochałem się w niej, choć byliśmy tak różni. Po pierwsze, byłem starszy o dziewięć lat. Ona zakończyła naukę na szkole średniej, a ja miałem doktorat. Nasze rodziny, a także nasza sytuacja finansowa to były dwa zupełnie inne światy. Moi rodzice i rodzeństwo, Trevor i Claudia, od początku odradzali mi ten związek. Ale... no cóż, znasz Amalię. – Tata uśmiechnął się do mnie. – Wiesz, że ma, jak by to powiedzieć... magnetyczną osobowość.

Skinęłam głową. Czułam się dziwnie, słuchając opowieści, jak zakochał się w jakiejś innej kobiecie, nie w mojej mamie. Miałam ściśnięty żołądek, a dłonie kurczowo splecione na kolanach, ale sama go prosiłam, żeby o wszystkim opowiedział, więc choć aż wiłam się w fotelu, nie chciałam złagodzonej wersji.

– Pierwszy raz w życiu poznałem kogoś takiego – wyznał tata. – Członkowie mojej rodziny nagle wydali mi się strasznie sztywni i spięci w porównaniu z Amalią. Miałem wrażenie, że odnalazłem kogoś, przy kim mogę wreszcie pozwolić sobie na luz.

Wiedziałam, o co mu chodzi. Przyjmowała wszystko, co niesie los. Nic nie było w stanie wytrącić Amalii z równowagi.

– Było nam razem dobrze, a ja uwierzyłem, że różnice nie grają roli. Ale zacząłem mieć problemy z nogami. Czasem w tańcu, ale też podczas chodzenia, robiły się jak z ołowiu i musiałem wyteżać siły, żeby nimi poruszyć. Z początku uznałem, że mi się tylko wydaje. Nie miałem pojęcia, co mi jest. Poszedłem do lekarza – a właściwie do kilku lekarzy – i po niezliczonych badaniach wreszcie doczekałem się diagnozy: stwardnienie rozsiane. Nie zniosłem tego najlepiej. – Uśmiechnął się ponownie, a ja odniosłam wrażenie, że było znacznie gorzej.

– Stałeś się kłębkiem nerwów? – zapytałam.

– Można tak to nazwać – zaśmiał się. – Amalia początkowo okazywała mi wiele serca, ale potem niespodziewanie zamknęła się w sobie, a któregoś dnia zniknęła.

– Zniknęła?

Tata przytaknął.

– Pewnego wieczoru spakowała wszystko, co miała w swoim pokoju w Highland Hospital, i wyprowadziła się, nie mówiąc nikomu ani słowa. Byłem... – Wbił wzrok w sufit. – No cóż,

„zdruzgotany” to jedyne słowo, które przychodzi mi do głowy – dokończył, spoglądając z powrotem na mnie. – Szukałem jej, ale zapadła się pod ziemię. Uznałem, że przestraszyła się mojej choroby. Nie umiała sobie z nią poradzić ani powiedzieć mi tego prosto w oczy, więc po prostu wyjechała. Sytuacja ją przerosła.

Nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić, że Amalia mogła zachować się równie tchórzliwie.

– Okrutne. – Zmarszczyłam brwi.

– Wtedy rzeczywiście czułem się skrzywdzony – zgodził się tata. – Kilka miesięcy po zniknięciu Amalii poznałem Norę. Władze szpitala zatrudniły ją w aptecę i tam się poznaliśmy, a potem zaprzyjaźniliśmy. Stwardnienie rozsiane jej nie przerażało, wręcz przeciwnie; opracowała dla mnie metody radzenia sobie z coraz większymi ograniczeniami, jeździła ze mną po lekarzach i wymyślała sposoby, żebym mógł dalej robić to, co chcę i czego potrzebuję.

– Cała mama. – Uśmiechnęłam się.

– Była niesamowita. Mogłem na nią liczyć w każdej sytuacji, a właśnie taka osoba była mi potrzebna. Zakochałem się w niej. Moja rodzina oczywiście ją uwielbiała. Ona do nich pasowała, no i ulżyło im, że Amalia wyjechała.

– Ale i tak nie jestem w stanie uwierzyć, że Amalia cię porzuciła... Och! – Nagle zrozumiałam. – Była w ciąży, tak?

– Bystra z ciebie dziewczyna – powiedział tata. – Otóż właśnie. Była w ciąży. Ja, ma się rozumieć, nie miałem o tym pojęcia. Sama się domyśli, dlaczego uznała, że musi zniknąć. Może nie chciała, żebym pakował się w związek z kobietą, której moja rodzina nie lubi, a może po prostu się przestraszyła. Tak więc wziąłem ślub z twoją mamą, a pewnego dnia nagle w progu stanęła Amalia z dzieckiem na ręku. Czyli z tobą. Amalia nie dawała sobie z tobą rady jako samotna matka. Twoja mama – Nora – nie mogła mieć dzieci... Zdaje mi się, że zdajesz sobie z tego sprawę?

Skinęłam głową.

– Na początku było mi trudno się z tym pogodzić, ale w końcu pogodziłem się z sytuacją, tym bardziej że moja choroba postępowała. – Tata znowu wyjrzał przez okno, błędząc wzrokiem wśród drzew, a potem uśmiechnął się do mnie. – Ale wydarzył się cud – ciągnął. – Pojawiłaś się ty. Zdecydowaliśmy, że zamieszkasz z nami, a Amalia – chociaż bardzo cię kochała – poczuła ulgę i chętnie nam cię powierzyła. Cała nasza trójka chciała, abyście miały ze sobą kontakt, zamieszkała w Morrison Ridge. Sama, rzecz jasna, też pragnęła, więc...

– Ale przecież tak naprawdę nikt jej tutaj nie chce, co? – Raz usłyszałam, jak moi wujkowie mówili między sobą: „I słusznie, że Amalia, która sprząta nasze domy, mieszka w dawnych barakach dla niewolników”. Nazwali ją Kopciuszką. – Nikt z rodziny jej nie lubi.

– O, z czasem polubili ją wystarczająco – powiedział tata. – Tylko twojej babci nigdy się nie podobało, że Amalia tutaj mieszka, ale jej także w końcu przejdzie.

– Minęło już czternaście lat – zauważyłam. – Skoro wciąż jej nie przeszło, to raczej nie sędzę.

– W sumie nieistotne, prawda? Masz Amalię blisko i to jest najważniejsze.

– No tak – zgodziłam się, bo pomyślałam o mojej mamie – o Norze – zastanawiając się, co ja bym zrobiła, mając za sąsiadkę dawną partnerkę mojego męża. – A jak mama się z tym czuje?

Tata westchnął.

– No cóż, skłamałbym, mówiąc, że nie dochodzi pomiędzy nimi do spięć – powiedział. – Jestem pewien, że sama to wyczuwasz od czasu do czasu, ale dla Nory jesteś najważniejsza na świecie i ona będzie tolerować Amalię ze względu na ciebie.

Opuściłam wzrok, bo zastanowiło mnie, iloma zdaniem opisał, jak zakochał się w Amalii. Było ich tak dużo, a o mamie powiedział tak niewiele.

– O czym myślisz, Moll? – zapytał po chwili tata.

Spojrzałam mu w oczy.

– Czy ty... wciąż jesteś w niej zakochany? W Amalii?

Uśmiechnął się.

– Kocham ją i zawsze będę ją kochał, ale „zakochany”? – Pokręcił głową. – Nie. „Zakochany” jestem w twojej mamie, która jest niezwykłą osobą, nie sądzisz?

– Sądzę. – Jego odpowiedź nie rozwiała jednak wszystkich wątpliwości. Nie umiałam wyrzucić z pamięci tamtego obrazka: Amalia siedząca obok niego i trzymająca mu głowę na ramieniu. – Tata – powiedziałam, wciąż patrząc mu prosto w oczy – widziałam cię w nocy z Amalią na ławce. Oboje spaliście, a ona trzymała cię za rękę.

Tata spoważniał.

– Przykro mi – odparł. – Czy to cię zaniepokoiło?

– Nie wiedziałam, co o tym myśleć.

– Zastanawiasz się, czy mama wie, że Amalia tam ze mną była?

Przytaknęłam.

– Wie – zapewnił. – Nie mamy przed sobą tajemnic.

– Nie jest zazdrosna?

– O to powinnaś sama ją zapytać, kochanie. Nie mogę odpowiadać za nią.

Skinęłam głową, ale wiedziałam, że nigdy w życiu jej nie zapytam. Była cudowną matką na milion różnych sposobów, ale po prostu miała taki charakter, który nie zachęcał człowieka do wynurzeń.

– Została jeszcze jedna rzecz do omówienia – powiedział tata. – W środę wieczorem odbędzie się spotkanie rodzinne.

– Spotkanie rodzinne? – Zmarszczyłam brwi. Po ostatniej takiej imprezie, zwołanej w celu omówienia wywozu śmieci i dostarczania poczty do Morrison Ridge, pozostały mi bardzo mgliste wspomnienia i tylko jedno wyraźne: zasnęłam z głową na kolanach taty.

– Nie musisz w nim uczestniczyć – dodał od razu, jakby czytał w moich myślach. – Babcia też się nie wybiera, więc zaprasza cię do siebie. Obejrzyście razem jakiś film. Co ty na to?

– Będziecie omawiać pomysły wujka Trevora odnośnie do naszej ziemi? – zapytałam.

– Tak, kochanie, a dodatkowo też kilka innych kwestii – odparł tata. – Same nudy, zapewniam cię.

Przyjemniej spędzisz czas z babcią.

– W porządku – zgodziłam się.

– Świetnie. – Tata spojrzał na monitor komputera. – Kończymy na dzisiaj. Zapisz dokument i zrób kopię na dyskietce, a potem zawieź mnie do kuchni, dobrze? Nie ma co wołać Russella.

– Jasne. – Zapisałam dokument w dwóch kopiach, a następnie wyprowadziłam wózek taty z za biurka. Kiedy byliśmy w drzwiach gabinetu, zadzwonił telefon. Ktoś odebrał, a po chwili z kuchni dobiegło wołanie mamy:

– Molly! Stacy do ciebie!

– Dobrze, zaraz przyjdę! – odkrzyknęłam i popchnęłam wózek w tamtą stronę. Czy uda mi się kiedyś wyjaśnić Stacy, jak to właściwie jest w mojej rodzinie? Do tematu Amalii siedzącej na ławce z moim tatą nie było potrzeby wracać, bo chyba zdążyła o tym zapomnieć... i zresztą bardzo dobrze, bo niezależnie od tego, z jaką swobodą tata odpowiadał na moje pytania, w głębi serca nie czułam się całkowicie przekonana.

¹ *Carolina shag* (ang.) – szybki młodzieżowy taniec partnerski, popularny w USA w drugiej połowie XX wieku (przyp. tłum.).

San Diego

W dużej sali w siedzibie agencji adopcyjnej Hope Springs jest już szesnaście osób. Aidan i ja siadamy w kręgu składanych metalowych krzeseł; czekamy na Zoe, która ma poprowadzić spotkanie. Wszyscy rozmawiają szeptem, jak w kościele. Wcale nie chcę tutaj być. Boję się, że będę musiała się wywnętrzać przed innymi i jak zwykle rozpłaczę się za dzieckiem, które straciłam.

W sali wyczuwalna jest atmosfera desperacji; ciekawe, jak bardzo Aidan i ja przyczyniamy się do tego. Rozglądam się ukradkiem po twarzach zgromadzonych. Widzę kilka osób starszych od nas. Jeśli chodzi o wiek, szczęśliwie mieścimy się pośrodku – to trochę pocieszające.

W trakcie procesu kwalifikacji rozmawiałam z Zoe parę razy przez telefon i mam wrażenie, że ją znam, chociaż nigdy się nie spotkałyśmy. Po głosie i łagodnej, niemalże matczynej troskliwości wyobrażałam sobie stateczną matronę około pięćdziesiątki, brunetkę z nitkami siwizny – jakież więc jest moje zdziwienie, kiedy do sali wchodzi piękna, ruda kobieta na szpilkach. „Jestem Zoe”, przedstawia się. Wymieniamy z Aidanem zdumione spojrzenia.

– Inaczej ją sobie wyobrażałem – szepcze mi Aidan do ucha.

– To nie może być „nasza” Zoe – odpowiadam też szeptem, ale wystarczy kilka słów i rozpoznaję jej troskliwy głos.

– Być może potrwa to jakiś czas – zaczyna Zoe, wodząc spojrzeniem po obecnych – ale każde z was w końcu znajdzie swoje dziecko.

Jeden z panów klaszcze, parę osób bierze z niego przykład. My dwoje wymieniamy nerwowe spojrzenia. Aidan wsuwa rękę za oparcie mojego krzesła i ściska mnie za ramię, aby dodać mi otuchy.

Zoe prosi nas wszystkich, żebyśmy się przedstawili i powiedzieli „coś o sobie”. Szybko okazuje się, że tworzymy ciekawą grupę. Jest kilka par hetero czekających na pierwsze dziecko, są dwie pary lesbijskie, para gejów oraz dwie singielki, a do tego dwa małżeństwa, które ubiegają się o kolejną adopcję. Jedni mają już trójkę adoptowanych dzieci i teraz starają się o czwarte. Mam im to za złe, niestety, nic nie poradzę. Dajcie nam szansę – ciśnie mi się na usta i jestem przekonana, że nie tylko mnie chodzą po głowie podobne myśli. Ludzie opowiadają o sobie. Serce mi się kraje, kiedy słyszę o zmaganiach z bezpłodnością, kilku próbach z in vitro zakończonych niepowodzeniem, wielokrotnych poronieniach. Jedna z par lesbijskich dzieli się koszmarną historią: najpierw zostały wybrane przez biologiczną matkę, a przed upływem tygodnia ona zmieniła zdanie i zabrała dziecko. Po sali przebiega zbiorowy dreszcz, kiedy te dwie kobiety opowiadają, jak bardzo cierpiały, ponieważ zdążyły przywiązać się do tego dziecka i myślały już o nim jak o swoim własnym. Czuję, że powoli zaczynam się rozklejać, kiedy tak po kolei słucham opowieści tych ludzi; postanawiam, że nie powiem im o dziecku, które straciłam. Nie dam rady. Powiem po prostu: bezpłodność, a potem histerektomia. Tylko że kiedy przychodzi nasza kolej, Aidan wali prosto z mostu: „Straciliśmy naszą córeczkę, kiedy Molly była w dwudziestym drugim tygodniu ciąży”. I już, wszyscy wiedzą, zanim zdążyłam powiedzieć choć jedno słowo. Grupa odpowiada

pomrukami współczucia. W moich oczach wzbierają łzy, głos więźnie w gardle. Nawet nie próbuję się odzywać, staram się podziękować samym uśmiechem. Niech Aidan mówi za nas oboje.

– Wychowałem się w kochającej, szczęśliwej rodzinie – zaczyna – i chcę, aby moja była taka sama. Molly jako młoda dziewczyna straciła oboje rodziców i nie ma rodzeństwa, tym bardziej chciałaby mieć szansę stworzenia własnego, prawdziwego domu.

Czuję ulgę, kiedy Aidan kończy i Zoe przejmuje pałeczkę. Wychodzi na środek sali, aby przekazać informacje, które większość zdążyła już poznać. Opisuje normy prawne odnoszące się do naszej relacji z biologicznymi rodzicami, którzy na razie, rzecz jasna, są jeszcze postaciami fikcyjnymi. Informuje, że agencja zapewnia porady dla biologicznych matek. Kalkuluje koszty opieki medycznej oraz inne ewentualne wydatki, które będziemy musieli pokryć. Trwa to około dwudziestu minut. Potem Zoe niespodziewanie wrzuca drugi bieg.

– No dobrze – mówi. – Chciałabym poprosić każdą osobę, która przyszła do nas z partnerką lub partnerem, o wyjaśnienie, dlaczego właśnie ten człowiek będzie dobrą mamą albo dobrym ojcem. Ci z was, którzy są tutaj sami, opowiedzą, ma się rozumieć, o sobie.

Patrzy prosto na nas i już wiem, że pójdziemy na pierwszy ogień. Wstyd mi, że tak się zacięłam poprzednim razem, gdy się przedstawialiśmy, więc odzywam się pierwsza. Opowiadam, że Aidan jest spokojny i wyluzowany, że marzy o dziecku, z którym mógłby dzielić się swoją pasją do sportu i przygody.

– To jest człowiek, na którego można liczyć – zapewniam. – Wyznaje dobre wartości i wciela je w życie, dlatego właśnie został specjalistą od prawa imigracyjnego. Będzie wspaniałym wzorem dla dziecka.

Odwracam się do niego, a on uśmiecha się do mnie.

– Dziękuję ci, kochanie – mówi i rozgląda się po sali. – Molly to najbardziej życzliwa osoba, jaką znam – zaczyna. – Należy do tych osób, które wiedzą, czego komu trzeba, jeszcze zanim ten ktoś uświadomi sobie taką potrzebę. Dotarło to do mnie, kiedy zaczęliśmy się spotykać. Ma się rozumieć, Molly dbała wtedy o moje potrzeby w sposób szczególny. – Posyła słuchającym z lekka bezwstydnym uśmiechem. – Ale najbardziej rzuciło mi się w oczy to, jak odnosi się do innych ludzi. Jak troszczy się o najśłabszych, jak pomaga znajomym, którzy zmagają się z problemami. Pracuje społecznie w ośrodku pomocy dla kobiet w śródmieściu – świadczy bezpłatne usługi prawnicze. Kiedy moja siostra urodziła bliźniaki, Molly zorganizowała wśród rodziny i sąsiadów akcję gotowania zdrowych posiłków dla młodej mamy – zaledwie kilka tygodni po tym, jak straciliśmy nasze własne dziecko. Nie wiem, jak jej się to udało, bo ja sam nie byłbym w stanie się tym zająć.

Znów czuję, że coś ściska mnie w gardle. Też nie mam pojęcia, jak tego dokonałam.

– Molly w wyjątkowy sposób troszczy się o ludzi, których kocha – mówi dalej Aidan. – Będzie wspaniałą matką.

Spogląda na kobietę siedzącą po prawej i daje znak, że skończył, teraz jej kolej. Ona zaczyna mówić, ale w ogóle jej nie słyszę. Jestem porażona jego wizją mojej osoby. Czy ta wielkoduszna, troskliwa kobieta, którą opisał, to naprawdę ja? Chciałabym taka być. Może naprawdę jestem. Ostatnio myślę głównie o tym, że postępuję nieuczciwie, i nie zwracam uwagi na dobre strony mojego charakteru.

– Jeśli chodzi o tak zwaną adopcję otwartą – mówi Zoe, kiedy wszyscy siedzący w kręgu opowiedzieli już o sobie – można dowolnie ustalić, na ile kontakt z rodzicami biologicznymi ma być otwarty. Nie ma żadnych zasad, które mówią: tak jest dobrze, a tak źle. Wszystko zależy od tego, jakie „warunki kontaktu” zawiera umowa z biologicznymi rodzicami. Pomyślałam sobie jednak, że byłoby dobrze zaprosić na to spotkanie rodzinę, która jest wzorcowym przykładem w pełni otwartej adopcji.

Z uśmiechem wskazuje ruchem głowy drzwi za moimi plecami. Odwróciwszy się, widzę grupkę ludzi:

dwie kobiety, mężczyznę i małą dziewczynkę. Idą w naszym kierunku. Aidan wstaje, aby wpuścić ich do kręgu, a Zoe i któryś z panów ustawiają dla nich trzy krzesła na samym środku.

Mężczyzna i dwie kobiety zajmują miejsca; jedna z nich podaje dziewczynce, która ma najwyżej roczek, pluszowego kotka. Zoe przedstawia nam całą czwórkę: rodzice adopcyjni dobiegają czterdziestki, a biologiczna matka ma dwadzieścia lat. Opowiadają nam o swoich relacjach.

– Przez ostatni miesiąc ciąży Gracie mieszkała u nas – mówi mama adopcyjna. – Miała trudną sytuację w domu, my natomiast zdążyliśmy ją pokochać, więc było to po prostu sensowne rozwiązanie.

– Ale teraz mieszkam z moim chłopakiem – dodaje Gracie.

– Dwa razy w miesiącu spotykamy się na niedzielnym obiedzie – opowiada dalej adopcyjny ojciec.

– Bywa, że w tygodniu spędzamy ze sobą trochę czasu – kończy Gracie. Dziewczynka stuka ją w kolano, a ona sadza ją sobie na kolanach. Nie jestem w stanie spojrzeć teraz na Aidana.

Czy tylko ja w całej tej sali jestem oszołomiona tym, jak ci ludzie odnoszą się do siebie? Czy tego właśnie chcemy? Czy ja tego chcę? Dzielić się swoim dzieckiem do tego stopnia? I w tej chwili przychodzi olśnienie: nie, nie dam rady. Boję się tego. Boję się, że biologiczna matka odbierze mi uczucie mojego dziecka. No proszę. Dopuściłam do siebie tę myśl. Wiem, że to oznaka słabości, ale taka jest prawda. Nie jestem wielkoduszną osobą z opowieści Aidana. W skrytości ducha zaczynam się zastanawiać, czy można jeszcze adoptować dziecko staroświecką, utajnioną metodą, i jak to zrobić.

* * *

– Ale rodzinka! – mówi Aidan, gdy siedzimy już w samochodzie. – Fantastyczna, co?

– Dla mnie to lekka przesada – mówię. – Ci ludzie, na dobrą sprawę, adoptowali dziecko wraz z jego matką.

– To trochę za dużo powiedziane, ale pomyśl, jak to wspaniale dla tej dziewczynki, że może mieć kontakt ze swoją biologiczną matką. Szkoda, że jej ojciec nie mógł się zaangażować w równym stopniu. – Ojciec, jak się okazało, jest „nieznany”.

– Naprawdę chciałbyś się zgodzić na tak otwartą adopcję? – pytam.

Aidan kiwa głową.

– Oczywiście. – Spogląda na mnie, marszcząc brwi. – Wydawało mi się, że ty też. Mówiłaś, że nie powinno być żadnych mrocznych sekretów.

On nie rozumie. Nigdy nie opowiedziałam mu o sobie tyle, żeby mógł to zrozumieć.

– No cóż – mówię – jak powiedziała Zoe, stopień kontaktu z rodzicami biologicznymi można dowolnie ustalić. – Kładę złożone dłonie na udach. – Nie chcę mrocznych sekretów – dodaję. – Ale wolałabym też, aby biologiczna matka nie mieszkała pod naszym dachem.

– Ona wprowadziła się do nich na krótko – przypomina Aidan. – Trochę przesadzasz.

– Ty jesteś ojcem – zwracam mu uwagę. – Nie potrafisz spojrzeć na to z mojego punktu widzenia.

– Chodzi ci o... rywalizację? Przecież to śmieszne.

– Doprawdy?

– Tak. Tamta mała dziewczynka wie, która pani to jej mama, ale kocha je obie, a co ważniejsze, od obu dostaje miłość. Kotku, przecież sama mówiłaś, że otwarta adopcja jest idealna, bo dziecko ma świadomość, że jest kochane przez wiele osób.

Naprawdę to powiedziałaś? Ostatnio chyba mówię jedno, a myślę drugie. Jestem w totalnej rozsypce. Odwracam twarz do okna i wpatruję się w ciemność. Myślę o moim ojcu. Gdyby teraz tu był, w dziesięć sekund dokopałby się do moich prawdziwych uczuć. On by wiedział, czego się boję: otóż boję się stracić dziecko, którego nie znam, którego nawet jeszcze nie widziałam.

Morrison Ridge

Gdyby ktoś trafił do Morrison Ridge i miał wskazać wśród pięciu domów mieszkalnych dawne baraki dla niewolników, dom Amalii wybrałby dopiero na końcu. No, może nie jako ostatni, bo od razu rzuciło się w oczy, że najważniejszy jest duży, murowany dom babci, ale mały domek Amalii był tak nowoczesny i fajny, że nikt by się nie domyślił jego niechlubnej przeszłości. Działka, na której stał, ćwierć hektara ziemi, formalnie rzecz biorąc, należała do dziesięciohektarowej działki babci. Sobie tylko znanym sposobem tata zdołał namówić swoją mamę, aby pozwoliła Amalii tam mieszkać. Myślałam, że tak zostanie już na zawsze.

Zjechałam rowerem z głównej drogi na wąską ścieżkę prowadzącą do domu Amalii i natychmiast usłyszałam muzykę, chociaż dopiero kilkanaście metrów dalej udało mi się rozpoznać kawałek: Phil Collins śpiewał *I Can Feel It Coming in the Air Tonight*. Przyspieszyłam. Uwielbiałam przy tym tańczyć.

Miało się wrażenie, że dom Amalii wynurzał się z lasu. Długo nie było go widać i nagle się pojawiał, niski, parterowy, jakby przytulony do ziemi ciałem z drewna i szkła.

Zeskoczyłam z roweru i oparłam go o jedno z drzew rosnących na podwórku. Za rozległą szklaną ścianą salonu zobaczyłam Amalię, która już tańczyła w rytm muzyki: niewyraźna postać zlewająca się z cieniastym odbiciem drzew w szerokich szybach. Wbiegłam do środka, a ona na mój widok uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę. Ujęłam jej dłoń i ruszyłyśmy niespiesznym krokiem, przemierzając rozległą drewnianą podłogę w takt ostatniego, porywającego refrenu piosenki. Amalia miała na sobie obcisłą koszulkę na cienkich ramiączkach, z czarnej lycry, a do tego luźną szyfonową spódnicę koloru lawendy, sięgającą za kolana i rozciętą na środku, aby swobodnie można było robić wymachy nogami. W jej szafie wisiało mnóstwo takich spódnic, w przeróżnych kolorach. Przy każdym obrocie tkanina płynęła w powietrzu, a długie włosy Amalii okręcały się wokół ramion. Gdy robiła piruet, wszystko wirowało razem z nią.

Ja natomiast byłam w obciętych dzinsowych szortach i różowej bluzce bez rękawów, a włosy miałam związane w kucyk. Zrzuciłam sandały i obie zostałyśmy boso.

Salon był wręcz stworzony do tańca. Pod jedną ścianą stały dwa duże, okrągłe fotele papasan, a pod oknami leżały rozrzucone poduszki podłogowe. Szczyt każdej szyby zdobił witraż o abstrakcyjnym wzorze. Witraże były pasją Amalii, a gdy tańczyłyśmy, obmywały nas rozkołysaną barwną falą. Patrzyłam z fascynacją, jak skóra na moich ramionach robi się niebieska, potem złota, a na końcu czerwona. Uwielbiałam tańczyć. W szkole, wśród znajomych, rządziły takie style jak *electric slide* albo *running man*, ale bardzo podobała mi się swoboda tańca interpretacyjnego, którego uczyła Amalia: poruszałam się zgodnie z uczuciami wzbudzonymi przez muzykę. Dzisiaj jednak byłam pełna uczuć, których na poprzedniej lekcji z Amalią nie było. Dowiedziałam się o niej różnych rzeczy, o których wtedy nie miałam pojęcia.

Piosenka dobiegła końca i Amalia włączyła chorały gregoriańskie. Te ciche, przedziwne, pełne ech

Śpiewy zawsze służyły nam podczas niespiesznej rozgrzewki na gładkiej drewnianej podłodze. Amalia dawała mi instrukcje, chociaż wolała o nich mówić „sugestie”, ponieważ tak naprawdę miałam robić to, co czuję, a nie sztywno trzymać się kroków. „Przenieś ciężar ciała na nogę wysuniętą przed siebie”, radziła na przykład. „A teraz przesun ją w bok. Wyobraź sobie, że do mostka masz przymocowaną linkę, która delikatnie ciągnie cię do przodu”. Kiedy byłam młodsza, nudziły mnie te rozgrzewki, chciałam od razu tańczyć. Później jednak dzięki Amalii nauczyłam się obserwować oddech, odczuwać każdy, nawet najdrobniejszy ruch i uświadamiać sobie, jakie uczucia budzą się we mnie podczas tańca. Dzięki niej zwolniłam. Skupiłam się. Lecz ten dzień był inny: siedziałam naprzeciwko niej na podłodze, zgięta w pół, wyciągając ręce w stronę stóp, i nie mogłam się uwolnić od myśli o tym, jak bardzo Amalia różni się od mojej mamy. Ona wszystko robiła powoli, łagodnie, z rozmysłem. Mama działała szybko, precyzyjnie i efektywnie. Jak to możliwe, że mój ojciec zakochał się w dwóch tak całkowicie odmiennych kobietach?

Od czasu sobotniej rozmowy z tatą analizowałam uparcie dziwny układ, w którym żyliśmy. To, co było dla mnie normalne, teraz zrobiło się dziwaczne, a do tego poczułam, że w jakiś niewytłumaczalny sposób mi zagraża. „Nie mamy przed sobą tajemnic”, powiedział tata o swoich relacjach z mamą. Bardzo chciałam mu wierzyć, ale... czy mama naprawdę nie miała nic przeciwko temu, że Amalia położyła mu głowę na ramieniu? Dlaczego nie mogłam przestać o tym myśleć?

Spojrzałam na drugą stronę salonu, gdzie Amalia siedziała na podłodze z szeroko rozłożonymi rękami i nogami. Spod podciągniętej szyfonowej spódnicy błyskały białe uda. Była pochylona tak mocno w przód, że jej ręce leżały na podłodze prawie płasko, a długie, gęste brązowe włosy rozsypywały się dookoła głowy. Teraz patrzyłam na nią zupełnie innym wzrokiem. Wyobrażałam sobie, jak prowadziła zajęcia taneczne w tamtym „niekonwencjonalnym” szpitalu. Jak zakochała się w moim tacie i jak mnie razem poczęli. Jak on musiał się czuć, kiedy tak nagle zniknęła? I co pomyślała sobie mama, kiedy Amalia pojawiła się u nas z jego dzieckiem na ręku?

Nagle poczułam, że muszę się odezwać.

– Tata opowiedział mi, jak się poznaliście i tak dalej – wypaliłam.

Amalia uniosła głowę, zaskoczona, a potem wyprostowała się powoli.

– Dawne dzieje – odparła lekceważącym tonem. – Rozgrzałaś się już? Chcesz zacząć od czegoś szybkiego czy raczej wolnego?

„Aha”, pomyślałam. „Czyli nie rozmawiamy o tym, co ich łączy”.

– Od czegoś wolnego – powiedziałam.

Amalia podeszła do wieży CD, a po drodze obmywało ją kolorowe światło przefiltrowane przez witraże. Włączyła temat przewodni z filmu *Rydwany ognia*. Wstałam z podłogi i zamknęłam oczy, kołysząc się lekko i czekając na uczucia, które mogłabym wyrazić poprzez taniec. Chociaż się nie doczekałam, zaczęłam się poruszać, mając nadzieję odnaleźć inspirację w samym ruchu. Amalia też tańczyła, ale czułam na sobie jej wzrok.

– Molly – odezwała się po jakimś czasie. – Za dużo dzisiaj rozmyślasz, kochanie. Wyłącz głowę, spróbuj czuć.

Skąd mogła to wiedzieć? Jakim sposobem wyczytała po prostu z moich ruchów, że zagubiłam się w myślach?

– Proszę – powiedziała i z szafki, na której stał odtwarzacz, wyjęła plastikową torbę. Wiedziałam, co w niej jest. Krepina. To mogło mi pomóc.

– O, super. – Wyciągnęłam rękę. Amalia zanurzyła dłoń w torbie, po czym podała mi rolkę czerwonej krepiny. Oderwałam długi pasek i oddałam jej, żeby też wzięła sobie kawałek. Tańczyłyśmy dalej, ciągnąc za sobą wirujące papierowe serpentyny, które płynęły w powietrzu.

– Mogę dostać trochę krepiny? – zapytałam, kiedy ucichła muzyka. – Chciałam udekorować wózek taty

na naszą letnią zabawę.

– Och, oczywiście. – Amalia machnęła ręką w stronę leżącej na podłodze torby i ruszyła z powrotem do odtwarzacza. – Weź wszystko.

– Pomożesz mi z dekoracją?

– Raczej nie – odparła, przerzucając pudełka z kompaktami na półce wiszącej nad odtwarzaczem. Nagle jej dłonie zatrzymały się i odwróciła głowę w moją stronę. – Wiesz, że nie idę na zabawę, prawda?

– Chyba żartujesz!

– Nie zostałam zaproszona, ale nie szkodzi – odparła. – Rozumiem.

– Jak to nie zostałam zaproszona? Wszyscy są zaproszeni. To się rozumie samo przez się.

Amalia opuściła rękę.

– Na prośbę twojej babci, Molly – wyjaśniła. – Naprawdę, dobrze ją rozumiem. To jest rodzinna impreza, a...

– Nieprawda! – zawołałam. – Przyjdzie mnóstwo ludzi spoza rodziny. Na przykład Stacy, moja koleżanka. Babcia sama ją zaprosiła. Wiem też, że będą Peter i Helen, i Janet też, a przecież to tylko znajomi taty z pracy. Nic ich nie łączy z rodziną. A ty jesteś moją matką! Bardzo wiele cię łączy z moją rodziną! Ty sama jesteś moją rodziną!

– Kochanie... – Uśmiechnęła się. – Naprawdę nic się nie stało.

– Przecież to nie jest impreza, na którą wysyła się zaproszenia pocztą – ciągnęłam. – Wszyscy o niej wiedzą i po prostu przychodzą.

Amalia przygryzła wargę; odniosłam wrażenie, że bije się z myślami. Wreszcie wyszła na chwilę do kuchni i przyniosła stamtąd list.

– Znalazłam w drzwiach w zeszłym tygodniu – powiedziała, wręczając mi go.

Amalio,

jak z pewnością wiesz, za kilka tygodni urządzam letnią wieczornicę. Uważam, moja droga, że w tym roku najlepiej by było, gdybyś się nie pojawiła. Nora jest dla ciebie życzliwa i dzieli się z tobą mnóstwem rzeczy. Pozwól jej choć raz mieć rodzinę dla siebie.

*Z poważaniem
Bess Morrison Arnette*

Uniosłam wzrok znad kartki, wiedząc, że na mojej twarzy maluje się niepohamowany gniew.

– Mnie to nie przeszkadza – zapewniła szybko Amalia. – To tylko jeden wieczór w całym życiu, a poza tym ona ma rację. Nora dzieli się tobą ze mną codziennie, przez okrągły rok.

– A mnie przeszkadza – oznajmiłam, po czym usiadłam na jednym z okrągłych foteli i zapadłam się w olbrzymią bladobłękitną poduszkę. Ramiona skrzyżowałam na piersi, zła jak osa. – Jak ona mogła być taką świnią? – Wiedziałam, że babcia nie przepada za Amalią, ale przede mną zawsze się z tym kryła. Ten paskudny list naprawdę mnie wkurzył.

– No i dobrze! – Amalia też skrzyżowała ręce na piersi, małpując mój gest. – Coś mi się wydaje, że potrzebna ci gniewna muzyka!

Odwróciła się z powrotem w stronę półki z płytami, a ja siedziałam i gotowałam się ze złości. To było wstrętne, że babcia nie pozwoliła Amalii przyjść na zabawę. „Z poważaniem”? Gdzie tu poważanie? Podłość i tyle.

– A może to? – Amalia włączyła płytę; po chwili zabrzmiała piosenka Twisted Sister *We're Not Gonna Take It*. Nie mogłam się powstrzymać od śmiechu. Amalia wyciągnęła rękę, podniosła mnie z podłogi i po chwili podskakiwałyśmy, tupiąc energicznie i wymachując pięściami w powietrzu.

Kiedy kawałek się skończył, dyszałam już ciężko, a ona włączyła trzecią część drugiego koncertu fortepianowego Rachmaninowa. To był mój ulubiony utwór do tańca i nie miał absolutnie nic wspólnego z Twisted Sister. Amalia usiadła na okrągłym fotelu, wsunęła nogi pod siebie i okryła je swoją długą spódnicą.

– Tańcz to, co czujesz, Molly – powiedziała.

Przyklękałam na podłodze, nie mając pewności, co właściwie teraz czuję. Gniew minął. Mogłam rozbudzić go na nowo w sekundę albo dwie, ale nie chciałam. Nie teraz, kiedy otaczała mnie ta przepiękna muzyka. Przypomniałam sobie ten fragment opowieści taty, kiedy Amalia pojawiła się w naszym domu. Pomyślałam, jak bardzo się ucieszył na wieść o mnie, o moim istnieniu. Pomyślałam też, że moja mama zgodziła się mnie przyjąć. I że teraz czuję się otoczona miłością trojga bliskich mi osób. Powoli wstałam, otwierając się niczym kwiatny pąk. Rozłożyłam ręce, otaczając nimi cały świat, a potem przycisnęłam je do piersi, a moje serce napełniło się radością i spokojem. Kiedy poczułam, że wytańczyłam już wszystko, spojrzałam na Amalię; uśmiechała się do mnie, przekrzywiwszy lekko głowę, a wpadające przez okna światło migotało w jej zielonych oczach. Wyglądała przepięknie. Odpowiedziałam jej uśmiechem.

– To było cudowne. – Wstała z fotela. – Poczułam, jak ogarnia cię spokój.

– Naprawdę? – To zawsze było wspaniałe, kiedy udawało mi się wyrazić tańcem uczucia.

– Bardzo wyraźnie – potwierdziła. – I nie mam ochoty psuć tego nastroju kawałkiem, którym zawsze kończymy, ale to nasza tradycja, a tradycję należy szanować, prawda?

– Oczywiście – zgodziłam się, patrząc, jak Amalia dotyka kilku przełączników na obudowie odtwarzacza. Z głośników posypały się dźwięki piosenki *Footloose*, a na moich ustach natychmiast pojawił się uśmiech. Przy tym kawałku nigdy nie mogłam ustać spokojnie. Amalia zresztą też nie. Obtańczyłyśmy cały dom, kołysząc się i kręcąc piruety, niesione radością, która wymazała z mojej pamięci wszystkie poprzednie emocje.

Ale gdy wsiadłam na rower i ruszyłam z powrotem do domu, przypomniałam sobie o babci. Wieczór spędzę u niej, bo rodzina umówiła się na spotkanie w naszym domu. Postanowiłam rozmówić się z nią i oświadczyć, że chcę zobaczyć obie moje matki na zabawie. Babcia nigdy nie umiała niczego mi odmówić.

Wieczorem wyszłam z domu później, niż zamierzałam, bo zadzwoniła Stacy i długo rozmawiałyśmy.

– Bryan ma kumpla, nazywa się Chris Turner – powiedziała. – Pokazał mu twoje zdjęcie w szkolnym albumie, a Chris powiedział, że jesteś ładna i chce cię poznać!

Na tamtym zdjęciu wyszłam okropnie. Zdjęłam okulary, ale nie wiedzieć czemu zrobił mi się zez i uśmiechałam się krzywo, jakbym z jednej strony chciała pokazać, że strasznie się cieszę, a z drugiej nie mogła się zdecydować, czy aby na pewno. Jeśli ten chłopak naprawdę pomyślał, że jestem ładna, to chyba był dziwny. Co nie przeszkodziło mi się nieźle nakręcić, gdy to usłyszałam.

– Rodzice nie puszcza mnie nigdzie z chłopakiem, który ma siedemnaście lat – zauważyłam.

– Przecież nie muszą wiedzieć – odparła.

Przebiegł mnie dreszcz i nagle pojawiło się to znane mi już uczucie: dziwaczna pokusa zmieszana ze szczyptą zazdrości. Stacy żyła w innym świecie. W jej świecie było więcej swobody. Ja też tak chciałam, chociaż trochę.

– Ale jak to zorganizować...?

– Molly! – zawołała mama z dołu. – Za pięć siódma. Zbieraj się.

– Muszę iść – wyjaśniłam Stacy.

– Dokąd?

– Do babci. W domu jest spotkanie rodzinne.

– No dobra, coś wykombinuję, jak cię spiknąć z Chrisem.

Przeszył mnie dreszcz podniecenia na myśl o spotkaniu z chłopakiem, który uważał, że jestem ładna.

– Fajnie – powiedziałam.

* * *

Kiedy weszłam do salonu, Russell przynosił tatę z wózka na rozkładany fotel. Domyśliłam się, że tam właśnie tata chciał siedzieć w trakcie spotkania. W całym domu pachniało krówkowym ciastem czekoladowo-orzechowym mojej mamy; jego aromat spowodował, że zaczęłam się ślinić.

Russell poprawił tacie nogawki dzinsów, które podczas sadzania na fotelu podjechały aż ponad skarpetki.

– Weź od mamy kasetę – powiedział tata, wyjrzawszy zza ramienia Russella. – Jest na niej tylko pierwsza część sesji, bo zanudziłabyś babcię na śmierć. Resztę obejrzymy we dwoje innym razem, dobrze?

– Dobrze. – Przed wyjazdem w trasę promocyjną tata chciał, żebym obejrzała prawdziwą sesję jego terapii „Jak gdyby”. Moim zdaniem nie było takiej potrzeby. Spędziłam całe życie pod jednym dachem z terapeutą pracującym tą metodą.

Mama wyjrzała z kuchni.

– Zbieraj się, Molly – powtórzyła. – Miałaś być u babci o siódmej.

– Buziak na do widzenia? – Tata uniósł wzrok, bo stałam tuż obok jego fotela.

– Przecież nie wyjeżdżam – zdziwiłam się. Zaskoczyła mnie jego prośba, ale pochyliłam się i zarzuciwszy mu ręce na szyję, cmoknęłam go w policzek.

– Kocham cię, maleństwo. – Uśmiechnął się, gdy go puściłam.

– Ja ciebie też.

Z kuchni dobiegał gwar kilku głosów, a gdy poszłam po kasetę do mamy, zobaczyłam, że obok drzwi na podwórko stoją ciocia Claudia, wujek Jim oraz Dani. Ciocia i wujek rozmawiali z mamą, a Dani opierała się o ścianę, demonstrując znudzoną minę. Nie spodziewałam się jej tutaj. Poczułam ukłucie zazdrości: ona miała siedemnaście lat i była wystarczająco dorosła, żeby wziąć udział w rodzinnym spotkaniu, a ja, czternastolatka – nie. Jednocześnie zrobiło mi się jej żal na myśl, że będzie musiała wysłuchiwać tych nudnych dyskusji.

– Myślałam, że cię nie ma. – Dani odezwała się pierwsza. Świdrujące czerwone oczy węża na kolczyku w jej wardze lśniły w świetle wiszącej pod sufitem lampy.

– Bo już mnie nie ma – odparłam. – Idę do babci.

– Proszę. – Mama wręczyła mi kasetę.

– A mogę zabrać do babci trochę ciasta? – poprosiłam.

Mama zawahała się, ale w końcu uległa.

– Oczywiście. Ciasta jest bardzo dużo.

– Ukroję ci kawałek. – Ciocia Claudia ruszyła w stronę naszego dużego stołu kuchennego, na którym stały dwie blachy z ciastem, wystawione do wystygnięcia. Postawiła obok nich talerz ciastek, który przyniosła. – Weź też kilka moich ciasteczek z masłem orzechowym. – Na jej okrągłej, podobnej do dyni twarzy rozlał się uśmiech. – Będziecie miały coś z każdej grupy żywności.

Mama podała jej nóż i ciocia zaczęła kroić ciasto.

– Witajcie! – zabrzmiał nowy głos.

Obejrzałam się; do kuchni weszła Amalia.

Mama stała przy ekspresie do kawy i wsypywała ziarenka do młynka, ale słysząc jej głos, uniosła wzrok.

– Witaj, Amalio – powiedziała.

– Cudownie pachnie czekoladą, Noro – powiedziała Amalia, a na mój widok uniosła brwi ze zdziwieniem. – Myślałam, że pojechałaś do babci, Molly.

– Właśnie wychodzę – odparłam. – Pakuję dla niej trochę ciasta.

– W czym mogę pomóc? – zapytała Amalia.

– Nastaw, proszę, czajnik na herbatę – powiedziała mama, nalewając wody do ekspresu.

Obserwowałam je obie uważnie, wypatrując na ich twarzach śladów tych spięć, o których mówił tata. Cóż, nie odnosiły się do siebie tak serdecznie, jak siostry po długiej rozłące, ale jakiejś rażącej wrogości nie dostrzegłam. Ani teraz, ani w ogóle nigdy.

– Dobrej zabawy. – Ciocia Claudia wręczyła papierową torbę, do której zapakowała ciasto i ciasteczka.

– Russell odbierze cię o jedenastej – powiedziała mama, wyciągając filiżanki z szafki nad ekspresem.

– W porządku – rzuciłam. – Na razie!

Na zewnątrz było jeszcze jasno, balsamiczne powietrze niosło oszałamiające zapachy, a dookoła cykady zaczynały już swój koncert. Idąc wśród drzew porastających naszą posesję, zobaczyłam skręcający na podjazd samochód. Kiedy się zatrzymał, zobaczyłam, jak tylnymi drzwiami wysiada Janet, koleżanka taty z pracy. Z przodu siedzieli Peter i jego żona Helen. Wyglądali jak typowa para po czterdziestce: mniej więcej ten sam wzrost i podobne ubrania, czyli jasne spodnie i koszulki z krótkim rękawem, Peter w kolorze niebieskim, a Helen złotym. Włosy też mieli w zbliżonym odcieniu brązu.

Natomiast Janet, jak zwykle, bardzo się wyróżniała. Pomachała do mnie na powitanie.

– Hej, dziewczynko! – zawołała, a ja podeszłam bliżej. – Dokąd się wybierasz?

Janet nosiła peruki i nie obchodziło jej, czy ktoś o tym wie. Za każdym razem, gdy ją widziałam, miała na głowie coś innego. Dzisiaj wybrała skręcone rudobrazowe loki do samych ramion; w zestawieniu z jej ciemną skórą efekt był niesamowity. W tej peruce Janet wyglądała jak Whitney Houston.

– Idę do babci – wyjaśniłam.

– Aha. – Janet zerknęła na Petera.

– Bess przyjdzie na spotkanie? – zapytał mnie, a ja potrząsnęłam głową.

– Pachnie czekoladą – zauważyła Helen, więc otworzyłam torbę i pokazałam jej ciasto.

– W domu jest tego dużo – powiedziałam. – A ciocia Claudia przyniosła ciastka z masłem orzechowym.

Peter wskazał głową taśmę, którą miałam w dłoni.

– Seans filmowy? – zapytał.

– Pewnie tak, ale to akurat jest nagranie z sesji terapeutycznej taty.

– Aha, z tej jego jak gdyby terapii? – Peter uśmiechnął się półgębkiem. Helen trąciła go łokciem pod żebro, a Janet przewróciła oczami.

– Zazdrość zawodowa nam się tu odzywa – powiedziała, spoglądając na mnie. – Nie zwracaj na pana uwagi.

Odgadłam, o co jej chodzi. Peter też napisał książkę, ale wciąż nie znalazł wydawcy.

– Muszę iść – oznajmiłam, wiedząc, że spóźnię się do babci co najmniej dwadzieścia minut.

Cała trójka pomachała mi na pożegnanie, gdy ruszyłam w stronę głównej drogi; dopiero u stóp Piekielnego Wzgórza zastanowiła mnie obecność Janet, Petera i Helen na naszym spotkaniu rodzinnym.

San Diego

Moje małżeństwo się popsuło, tak trochę, odrobinę. Na razie defekt jest prawie niewidoczny. Szczerze mówiąc, Aidan chyba nawet go nie dostrzega, ale ja tak. Od grupowego spotkania w agencji Hope Springs i naszej dyskusji w samochodzie na temat otwartej adopcji minęły już dwa miesiące. Kilka dni później uświadomiłam sobie, że coś się psuje. Widziałam to za każdym razem, kiedy Aidan wspominał tamtą szczęśliwą czteroosobową rodzinę. Jeśli ja o nich mówiłam, a w moim głosie wyczuł choćby ślad sarkazmu, irytował się, więc kończyłam temat, żeby uniknąć kłótni. Pozostała mi nadzieja, że trafimy na kobietę, która nie będzie chciała aż tak się angażować.

Martwi mnie, że coś się psuje. Ostatnia rzecz, jakiej bym chciała, to żeby pragnienie dziecka oddaliło nas od siebie. W tej chwili mamy działać razem, tworzyć zgraną drużynę. Potrzebujemy tego jak nigdy wcześniej.

Wiadomość, na którą oboje czekamy, zastaje mnie w pracy. Dzwoni telefon, natychmiast rozpoznaję głos Zoe.

– Molly, zgadnij, co się stało! – słyszę. – Jedna mama zainteresowała się wami!

– Już? – dziwię się. – Przecież minęły dopiero dwa miesiące.

W słuchawce zapada cisza i od razu wiem, że niewłaściwie zareagowałam. Moje zaskoczenie wzięła za rozczarowanie, że to wszystko stało się zbyt szybko.

– Dziewczyna rozważa też propozycje od innych rodzin – odzywa się Zoe po chwili. – Ale z wami chce się spotkać szczególnie. Powiedziała, że po przejrzeniu waszego portfolio dosłownie się w was zakochała.

Zakochała się w nas. W jednej chwili czuję, że też kocham tę dziewczynę, kimkolwiek jest.

– Aidan wyjechał na konferencję, na cały tydzień – zaczynam i od razu krzywię się z niesmakiem. Zabrzmiało tak, jakbym wynajdywała przeszkody. – Ale ja mogę się z nią spotkać – dodaję szybko. – Bardzo, bardzo bym chciała. Kiedy ma termin?

– Trzy miesiące.

– To znaczy, że to trzeci miesiąc czy że...

– Rodzi za trzy miesiące.

O Boże. No nic, dobrze. Głęboki wdech.

– Możesz mi coś o niej powiedzieć?

– Hm... Siedemnastolatka, ma na imię Sienna. Ojciec biologiczny – nazywa się Dillon – jest w tym samym wieku. Byli razem, ale się rozstali, a on zadeklarował, że zrzeknie się praw rodzicielskich. Sienna korzysta w swojej szkole ze specjalnego programu wsparcia dla dziewczyn w ciąży. Jest w przedostatniej klasie i bardzo jej zależy na ukończeniu nauki. Mieszka z mamą i młodszym bratem. – Zoe zawiesza głos z wahaniem. – Wolałabym jednak, żeby sama ci się przedstawiła. Znajdziesz dzisiaj czas, żeby z nią porozmawiać?

Dzisiaj mam dyżur w ośrodku pomocy dla kobiet, ale boję się o tym powiedzieć – to kolejna przeszkoda, Zoe gotowa pomyśleć, że się nie cieszę albo nie jestem wdzięczna.

– Mam – mówię. – Oczywiście. Nie mogę się doczekać!

* * *

– Żartujesz! – woła Aidan do słuchawki. – Tak szybko? – Słysząc po głosie, że się uśmiecha. – To ten nasz list do przyszłej mamy. Ale bomba! Jesteśmy genialni!

Śmieję się głośno, widząc już oczyma duszy, jak rysa w naszym małżeństwie sama znika. Będzie dobrze. W takiej sytuacji to normalne, że czasem komuś odbija.

– Zapytać, czy ona może poczekać, aż wrócisz? Żebyśmy zadzwonili do niej razem? – pytam.

– Nie, nie. Lepiej nie dawać jej okazji, żeby się „zakochała” w innej rodzinie. Porozmawiaj z nią. Jesteś lepsza ode mnie w takich sprawach. Dwie kobiety zawsze prędzej się dogadają.

– Nie doceniasz się. – Aidan potrafi z jednakową łatwością nawiązać rozmowę praktycznie z każdym.

– Jak ona ma na imię?

– Sienna.

– O, pięknie! – zachwyca się. – Podoba mi się. – Szybko wyrzuca z siebie słowa, jest mocno podekscytowany. – Który to miesiąc?

– Za trzy miesiące rodzi – odpowiadam.

– Jasna cholera!

– No, wiem.

– Tylko jedna rzecz... – Aidan urywa na moment. – Nie magluj jej za bardzo, dobrze?

– To chyba jasne, że nie będę jej maglować!

– Bo wiesz, czasami w kontakcie z ludźmi wychodzi z ciebie prawniczka i...

– Naprawdę?

– Od czasu do czasu – przyznaje Aidan. – Potrafisz onieśmielić człowieka. A z nią tak nie możemy. Bądź miła.

– Oczywiście. – Zaczyna mnie irytować.

– Czy ona się bada podczas ciąży?

– Hm... Przecież wie, który to miesiąc, więc pewnie tak.

– Moim zdaniem lepiej zachować różne swoje opinie dla siebie – dodaje Aidan. – Wiesz, polityka i... no, takie drobne sprawy, ulubione filmy i tak dalej...

– Aidan, o czym ty mówisz?

– A jeśli powiesz, że lubisz *Mad Mena*, a ona nie znosi tego serialu? Szkoda stracić szansę przez takie głupstwo.

– Kochanie... – Uśmiecham się, słysząc, jaki jest spięty. Uświadamiam sobie, że nie tylko ja się denerwuję. Miło dla odmiany poczuć się ostoją spokoju. – Dam sobie radę – zapewniam. – Zadzwonię do ciebie od razu po rozmowie z nią, w porządku?

* * *

Mam zadzwonić do Sienny o wpół do ósmej. Po powrocie do domu robię sobie płatki na kolację, ale nerwy nie pozwalają mi nic przełknąć. Zamiast jeść, idę do pokoju dziecinnego. Nie zaglądałam tutaj od wizyty Prędkiej Patti. Włączam światło i z progu przyglądam się pustemu łóżeczku. Moje serce wypełnia

tęsknota za dzieckiem; już bardzo dawno nie pozwoliłam sobie na takie uczucie. Jest potężne, niemalże zwala mnie z nóg, muszę się przytrzymać futryny, żeby nie upaść. Boże, jak ja pragnę mieć dziecko! Ta świadomość przynosi mi ogromną ulgę. Naprawdę, naprawdę tego chcę. Ale gdy opuszczam wzrok, widzę, że weszłam do pokoju dziecinnego tylko jedną nogą. Druga wciąż tkwi na korytarzu.

Morrison Ridge

– Molly. – Gdy weszłam do salonu, babcia przytuliła mnie tak mocno, jakbyśmy się nie widziały rok, a nie kilka dni. Puściła mnie dopiero po dłuższej chwili. – Bardzo się cieszę na nasz wspólny wieczór! – powiedziała, trzymając dłoń na moim lewym ramieniu. – Chodź ze mną. Chcę ci coś pokazać. – Wzięła mnie za rękę. Skórę miała chłodną i gładką w dotyku jak jedwab. – Bałam się, że uciekną, zanim przyjdiesz.

– Kto ucieknie? – zapytałam, stawiając torbę z ciastem na stoliku.

– Zobaczysz.

Kiedy stanęliśmy przed tylnymi drzwiami, babcia puściła moją rękę i uniosła palec do ust, po czym delikatnie nacisnęła klamkę. Zeszliśmy po stopniach werandy osłoniętej siatkami przeciwko owadom. Podwórko u babci było oceanem gęstych traw, a jego brzegi porastały wielkie, prężne rododendrony. W wieczornym świetle trawa pyszniła się intensywną zielenią, a w oddali widać było potężny pawilon, w którym za kilka tygodni miała się odbyć wielka letnia zabawa. Fajerwerki byłoby widać nawet stąd.

Babcia ujęła mnie pod ramię i wskazała kępę rododendronów po prawej stronie.

– Tam – szepnęła.

Pomiędzy dwoma rozłożystymi krzewami pasła się łania, a obok niej trawę skubały trzy małe jelenki. Wstrzymałam oddech z wrażenia.

– Aż trzy? – zapytałam.

– Trojaczki – wyjaśniła. – Pierwszy raz w życiu widzę taki miot. Podobno to oznacza, że stado jest zdrowe. – Jej głos ociekał dumą, jak gdyby sama osobiście przyczyniła się do tego, że dziesiątki jeleni nawiedzających Morrison Ridge chodzą w zdrowych stadach.

– Ależ one śliczne – zachwyciłam się.

– Wystawiłam im lizawkę. Nie mów wujkowi Trevorowi, bo przyjdzie tutaj z łukiem.

– Nie powiem.

– Mogłabym na nie patrzeć od rana do nocy – rozmarzyła się babcia, a zaraz potem westchnęła. Wyglądała na zmęczoną.

Obejrzałam się jeszcze raz na pawilon, wyobrażając sobie tłum zadowolonych ludzi, mnóstwo jedzenia i głośną muzykę, która nikomu nie przeszkadza, bo sąsiedzi mieszkają za daleko, żeby cokolwiek usłyszeć. Stało mi to przed oczami z całą wyrazistością. Jakaś paranoja, że Amalia nie może przyjść, bo jej zakazano.

– Babciu – powiedziałam – bardzo mi zależy, żeby Amalia mogła przyjść na zabawę.

Nie odrywała wzroku od łani z młodymi, ale uniosła brwi – domyśliłam się, że ze zdziwienia.

– Już postanowione, Molly – odparła cicho, żeby nie spłoszyć zwierząt. – Amalia to rozumie.

– Ale ja nie – zaprotestowałam, starając się nie podnosić głosu. – Myślisz, że mamie będzie przeszkadzać obecność Amalii, ale jestem na sto procent pewna, że ona nie widzi w tym problemu.

Amalia w tej chwili jest u nas, w naszym domu – dodałam. – Czują się dobrze w swoim towarzystwie. Jak zawsze.

Babcia uśmiechnęła się do mnie.

– Jesteś jeszcze taka młoda, Molly. – Odsunęła mi z twarzy kosmyk włosów. – Zdaję sobie sprawę, że trudno ci zrozumieć, przez co tak naprawdę przeszła twoja matka.

– Tata powiedział, że nie miała zupełnie nic przeciwko Amalii. – Wprawdzie wyraził się nieco inaczej, ale brnęłam dalej: – Mama sama chciała, żeby Amalia zamieszkała tutaj i żeby obie mogły być przy mnie. Kocham je obie.

Babcia spojrzała na mnie bez słowa, a ja dostrzegłam swoją szansę.

– Uważam, że powinnam mieć coś do powiedzenia w kwestii zapraszania gości.

Babcia westchnęła jeszcze raz, przygryzła wargę.

– No tak, chyba masz rację – przyznała wreszcie.

– Naprawdę? – Nie byłam w stanie ukryć zaskoczenia. Nagle poczułam w sobie wielką siłę. – Amalia może przyjść?

Babcia przytaknęła.

– Napiszę do niej, że zmieniłam zdanie – obiecała. – Jeśli chce, może przyjść.

Zarzuciłam jej ręce na szyję.

– Dziękuję! – zawołałam, niestety, zbyt głośno. Łania i jelonki poderwały głowy, machnęły ogonami i puściły się pędem w stronę lasu.

* * *

Dom babci był dla mnie zagadką. Z zewnątrz wyglądał jak posesja starej bogaczki: czerwone cegły, białe kolumny, wypielęgnowany trawnik. Tymczasem w środku przypominał myśliwską chatę. Gzyms kominka w salonie zrobiony z grubej belki, nad kominkiem głowa jelenia dziesiątaka, upolowanego przez mojego dziadka. Obicia mebli w kraciaste brązowo-zielone wzory, a grube poręcze ciężkich foteli męskie w charakterze. Babcia idealnie pasowała do tego wnętrza. Dzisiaj była ubrana w dżinsy i koszulę z długim rękawem i kołnierzykiem przypinany na guziki; siwe włosy, jak zwykle równo obcięte, kołysały się wokół jej twarzy. Była po prostu niepodobna do wszystkich innych babć, jakie widziałam w życiu.

Przeszliśmy do kuchni. Babcia wyjęła ciasto i ciasteczka z papierowej torby i ułożyła je starannie na ciężkim kamionkowym talerzu, a ja nalałam do szklanek pepsi.

– Co oglądamy? – zagadnęła, wyjmując kilka serwetek ze stojącego na stole koszyka. – Na jaki film masz ochotę?

– Ty wybierz – odpowiedziałam. – Ja przyniosłam kasetę z domu. Tata chce, żebym zobaczyła, jak wyglądają jego sesje terapeutyczne. Dobrze? To jest bardzo krótkie – zapewniłam. – A potem obejrzymy któryś z twoich filmów.

Babcia była zapaloną kinomanką. Miała biblioteczkę pełną kaset wideo. Uwielbiała klasykę, na przykład *Afrykańską królową*, lubiła zresztą wszystko, w czym zagrała Katharine Hepburn. Kupowaliśmy jej też nowe filmy – na urodziny albo do wspólnego oglądania.

Babcia chyba nie dosłyszała, co powiedziałam o kasecie od taty, bo kiedy zabrałyśmy jedzenie i picie z kuchni, mocno rozkojarzona ruszyła prosto do salonu. Opamiętała się dopiero po chwili i skręciła w lewo do pokoju telewizyjnego. Pomyślałam, że coś jej leży na sercu, i zaczęłam się zastanawiać, czy wie, że w domu trwa teraz dyskusja na temat pomysłów wujka Trevora dotyczących naszej ziemi. Może dlatego nie chciała brać udziału w dzisiejszym spotkaniu.

Postawiliśmy szklanki i talerz na stoliku. Na ścianie za telewizorem wisiało kolejne trofeum: głowa jelenia, trochę mniejsza niż tamta w salonie.

– Babciu – zapytałam – dlaczego nie poszłaś na rodzinne spotkanie? Wydaje mi się, że wujek Trevor usiłuje przekonać wszystkich do pomysłu zagospodarowania naszej ziemi. Może powinnaś tam być.

Babcia poczerwieniała na twarzy.

– Nie mieści mi się w głowie, że mój własny syn bezdusznie obchodzi się z rodzinną ziemią – wybuchnęła, siadając na kanapie. – Nie tak go wychowaliśmy. Wyobrażasz sobie nasze piękne wzgórza pocięte asfaltowymi drogami, zabudowane identycznymi, tandetnymi domkami, w których ludzie cisną się jeden na drugim? I to obcy, którzy nie mają zielonego pojęcia o Morrison Ridge i w ogóle nic ich nie obchodzi. – Wzięła z talerza kawałek ciasta, ale zaraz odłożyła z powrotem. – On się zrobił taki chciwy! – Potrząsnęła głową. – A jego dzieci! Jakby mnie ktoś w serce ugodził, kiedy Samantha i Cal wynieśli się do Kolorado. – Spojrzała na mnie, a ja skinęłam głową; żałowałam, że poruszyłam ten temat. – A on tak po prostu ich puścił. To oni, ich pokolenie miało stać na straży Morrison Ridge i jego tradycji.

– Wiem – powiedziałam bardziej po to, żeby ją uspokoić, niż jej przytaknąć.

– Danielle też jest już na wylocie, widzisz, prawda? – ciągnęła dalej babcia. – Obawiam się, że wszystko zależy od ciebie. Musisz mieć dużo dzieci, aby utrzymać Morrison Ridge przy życiu.

Zaśmiałam się. Trudno mi było przewidzieć chociażby mój następny dzień; a wyjść za męża i mieć gromadkę dzieci – tego już nie ogarniałam wyobraźnią. Widząc czerwone plamy na policzkach babci, zapragnęłam cofnąć czas o tych parę chwil i wrócić do kuchni. Nie pisnęłabym słowa o dzisiejszym spotkaniu. Wciąż jednak nie mogłam zrozumieć, dlaczego tam nie poszła. Powinna im powiedzieć, jak się z tym wszystkim czuje. Wtedy to miałoby sens, a teraz wiedziałam tylko ja, dziecko, które nic nie mogło zdziałać.

– Włącz swoją kasetę – zaproponowała babcia niespodziewanie. – Nie chcę już dłużej myśleć o tych tandetnych domkach.

Wzięła sobie kawałek ciasta, po czym zrzuciła z nóg sandały i oparła wygodnie stopy o krawędź stolika.

Wstałam, żeby włożyć taśmę od taty do odtwarzacza. W środku była już kasetka, więc nacisnęłam klawisz EJECT.

– Oglądałaś film? – zaciekawiałam się.

– Co? – zapytała, nagle rozkojarzona. – Aha. Nie, to nie film.

Wyciągnęłam kasetę i przeczytałam ręcznie napisany tytuł: *Graham i Nora, taniec weselny*.

– Ojejku – westchnęłam, odwracając się do babci. – To z wesela mamy i taty?

– Sam pierwszy taniec. – Babcia nagle wstała i zabrała mi kasetę. Ustawiła ją na dolnej półce szafki pod telewizorem. – No już, włączaj swoją.

Wsunęłam kasetę od taty w kieszeń odtwarzacza i usiadłam z babcią na kanapie. Na ekranie telewizora pojawił się znany mi gabinet w Asheville. Stały tam trzy skórzane fotele. W jednym siedziała jakaś dziewczyna, ale nie mogłam się jej dobrze przyjrzeć, bo kamera zwróciła się na mojego tatę. Nagranie musiało mieć co najmniej dwa lata, bo siedział za biurkiem, tak jak kiedyś, i był w stanie poruszać lekko prawą dłońią, gdy mówił do kamery. Wyjaśnił, że pacjentka oraz jej rodzice wyrazili zgodę, aby nagranie zostało pokazane osobom trzecim, ale pod warunkiem, że będzie zwracał się do niej fikcyjnym imieniem Dorianna.

– Molly, czy on ma jeszcze władzę w prawej dłoni, jak na tym filmie? – zapytała babcia.

– Nie bardzo. – Brzmiało to lepiej niż po prostu „nie”. Babcia zamilkła. Przygryzłam wargę. Łatwiej było powiedzieć, że tata może jeszcze „trochę” poruszać dłońią. Niewinne kłamstwo wydawało się mniejszym złem.

Kamera stała pod kątem, tatę widać było z profilu, a jego pacjentkę z przodu. Gdy słuchałam, jak z nią rozmawia, czułam wielką dumę. Dumę, a także, jeśli mam być szczerą, zazdrość. Dorianna – czy też jak tam się nazywała – miała kilka lat mniej ode mnie i byłam trochę zazdrosna, że tata z nią tak rozmawia. Przywykłam, że jestem najważniejszym dzieckiem w jego życiu, a tu widziałam, że on stara się sprawić, aby ona też czuła się ważna.

Szybko się zorientowałam, że problemem Dorianny jest paralizująca nieśmiałość. Znałam takie dzieciaki. Większość w ogóle ich nie zauważała, ale dzięki tacie nauczyłam się je dostrzegać. Wpoił mi, że należy być dla nich miłym. „Będziesz zaskoczona, gdy się przekonasz, jacy to wartościowi ludzie”, powiedział.

– Wiele wybitnych postaci historycznych było osobami nieśmiałymi – przekonywał Dorianę tata. – Abraham Lincoln, Elvis Presley, Albert Einstein, Johnny Depp.

Parsknęłam śmiechem.

– Deppa dorzucił dla mnie – wyjaśniłam babci, dziwiąc się w duchu, że już wtedy Johnny mi się podobał.

– A kto to? – zainteresowała się.

– Później ci powiem.

Tata miał gotowe listy sławnych ludzi, którzy cierpieli na dysleksję, napady złości albo autyzm, jak ten facet, którego grał Dustin Hoffman w *Rain Manie*. Miał odpowiednią listę dla każdego człowieka, który pojawiał się w jego gabinecie.

Znane nazwiska nieco poprawiły Doriannie humor, ale potem zaczęła opowiadać, jak ciężko jest w szkole z taką nieśmiałością, i łzy napłynęły jej do oczu.

– O, teraz ona płacze przez niego – odezwała się babcia.

– Czasami to dobrze – powiedziałam. – Znak, że zaangażowała się w sesję.

– A ty skąd tyle wiesz?

Wzruszyłam ramionami.

– Tata uczy mnie różnych rzeczy.

– Och, Molly... – Babcia uśmiechnęła się smutno.

– Co się stało?

– Nic. – Milczała przez chwilę, a potem dodała: – Serce mi pęka, kiedy widzę, jak on cierpi.

– Radzi sobie nieźle – uspokoiłam ją. Nigdy nie słyszałam, żeby tata się skarżył.

Obejrzałyśmy kasetę do końca. Tata polecił Doriannie ćwiczenia „Jak gdyby”, które miały jej pomóc przezwyciężyć nieśmiałość, ale nie zobaczyłyśmy efektu, bo ekran nagle poczerniał.

– O nie – westchnęła babcia. – To już koniec?

– Jest część druga – powiedziałam. – Ale i tak mogę cię zapewnić, że się udało. Tata nie wybrałby dla mnie przegranego przypadku. Ta dziewczyna pewnie wodzi teraz prym na zjeździe absolwentów.

– On rzeczywiście potrafi błyskawicznie odmienić człowieka?

Skubnęłam kawałek ciasta, wyciągnęłam się na kanapie i położyłam nogi na stoliku, tak jak babcia.

– On by powiedział, że oni sami się zmieniają. – Przełknęłam kolejny kęs. – Znasz Petera?

– Terapeutę, z którym pracuje?

– Tak. Peter uważa, że tata traci pieniądze, bo pracuje za szybko. Że powinien leczyć przyczynę nieśmiałości, co może potrwać miesiącami, a nawet latami, ale tata uważa, że przyczyna zazwyczaj nie ma wielkiego znaczenia, a każdy problem na ogół da się wyleczyć szybko.

– Hm. – Babcia wzniosła oczy do sufitu. – Nigdy nie potrafiłam pojąć metody „Jak gdyby”.

– Powinnaś przeczytać jego książkę dla dzieci. Jest naprawdę łatwa.

– W sam raz dla mnie? – Babcia uśmiechnęła się, a ja z ulgą zauważyłam, że jej dziwny nastrój chyba

powoli mija.

– Co to to nie. – Wstałam z kanapy, aby wyjąć kasetę z odtwarzacza. – Wybrałaś film?

Babcia popatrzyła z namysłem na dolną półkę szafki pod telewizorem.

– Włącz taniec rodziców ze ślubu, Molly – powiedziała. – Chcę, żebyś go zobaczyła.

Zaskoczyła mnie. Jeszcze przed chwilą chciała schować tę kasetę przede mną. Wyciągnęłam ją z dolnej półki.

– Dałam stary film do przegrania na wideo – wyjaśniła babcia. – Jest trochę nieostry i trwa zaledwie trzy albo cztery minuty. No i nie ma dźwięku. W tamtych czasach tak się filmowało. Ale da się obejrzeć.

Wsunęłam kasetę do odtwarzacza, a potem wróciłam na kanapę i usiadłam obok babci. Widziałam oczywiście ślubne zdjęcia moich rodziców. Na kredensie w naszej jadalni stała przepiękna fotografia: mama w długiej, białej sukni ślubnej, a za nią tata, obejmujący ją w talii. Oboje są uśmiechnięci i wyglądają znacznie młodziej niż teraz. Tylko że te wszystkie zdjęcia nie przygotowały mnie na to, co poczułam na widok mojego ojca w tańcu.

Poruszali się w takt niesłyszalnej muzyki. Niewiarygodne. Gdy na nich patrzyłam, ogarnęło mnie dziwne odrętwienie. Byłam w szoku. Przy tak nieostrych nagraniu mogłam sobie wyobrazić, że to wcale nie tata. Kim był ten mężczyzna z ciemnymi, sięgającymi ramion włosami, który obracał w tańcu moją mamę? Który przygarniał ją mocno do siebie, aby potem odsunąć w piruetach?

Wstałam z kanapy i usiadłam na podłodze przed telewizorem, żeby ich lepiej widzieć.

– Do jakiej piosenki tańczyli? – zapytałam.

– Och, nie pamiętam – powiedziała babcia. – Szkoda, że nie ma dźwięku.

Rodzice wyglądali tak, jakby tańczyli ze sobą codziennie, przez całe życie. Ich kroki były płynne, patrzyli sobie głęboko w oczy, a z ich twarzy nie schodził idealnie szczery uśmiech. Myślałam się, sądząc, że tata mógłby kochać Amalię bardziej niż mamę.

– Dzięki Bogu, że spotkał Norę. – Uśmiechnęła się babcia, śledząc film razem ze mną. – Kobietę do gruntu uczciwą i wierną. Znalazł w niej oparcie, którego potrzebował najbardziej ze wszystkiego. – Nagle zachichotała pod nosem. – Jeśli chodzi o wybór żony, to trzymał się mocnych, rodzinnych wartości.

Czyżby przytyk pod adresem Amalii? Nie miałam pojęcia. Wielu rzeczy jeszcze nie wiedziałam.

Kaseta urwała się niespodziewanie. Spojrzałam na babcię.

– Szkoda, że choroba rozwinęła się tak szybko – powiedziałam.

– Był już chory, kiedy się pobierali – odparła.

– Wiem. Mówił mi o tym. Ale wyglądał świetnie. Jak okaz zdrowia.

– Starczyło mu sił na ten jeden piękny taniec na weselu – westchnęła babcia. – Chyba był taki szczęśliwy, że jego ciało zapomniało o chorobie. – Wpatrywała się w ekran telewizora, jakby kaseta wciąż jeszcze grała. – Nora oczywiście wiedziała o wszystkim, ale chyba żadne z nas nie sądziło, że choroba nabierze takiego tempa i tak strasznie go dotknie. Oglądałam to nagranie i nie mogłam powstrzymać łez, Molly. – Popatrzyła na mnie. – Teraz jego życie to okropny ciężar i dręczy go depresja.

Depresja. Pomyślałam o tym, jak mój ojciec kocha swoją pracę, jak uwielbia pisać książki. Mnie też przecież kochał, i to bardzo.

– Moim zdaniem on wcale nie ma depresji, babciu – zaprotestowałam.

– Świetnie potrafi ukrywać, że jest nieszczęśliwy.

– Nie jest nieszczęśliwy – upierałam się. – Sama go spytaj. Gdyby cię usłyszał, założę się, że tylko by się roześmiał.

Babcia machnęła ręką, jakby unieważniając całą rozmowę.

– Pewnie po prostu odzywa się we mnie matka – powiedziała. – Stara kobieta, która martwi się o swojego dorosłego syna.

– On się nigdy na nic nie skarży – dodałam.

Babcia posłała mi przeciągłe spojrzenie.

– Molly, Molly, Molly... – odezwała się wreszcie, po czym westchnęła ciężko. – Włączymy już film, dobrze? To lepsze niż słuchanie mojego gładzenia. Wybierz coś, bo inaczej znów będzie Kate Hepburn. Może Hitchcock?

Wstałam i podeszłam do biblioteczki pełnej kaset, ale nagle poczułam, jak wypełnia mnie smutek. Czy mój tata naprawdę był nieszczęśliwy? I czyżbym ja była tak bardzo zaabsorbowana własnym życiem, że nawet tego nie zauważyłam?

O jedenastej w nocy przyjechał po mnie Russell. Wsiadłam do furgonetki na siedzenie z przodu, obok niego.

– Co oglądałyście? – zapytał, wyjechawszy w ciemności na główną drogę.

– *Okno na podwórze* – odparłam.

– Z Jimmym Stewartem, tak? Hitchcock?

– Dokładnie.

Uwielbiałam *Okno na podwórze*, ale tamtego wieczoru nie byłam w stanie się skupić. Wciąż miałam przed oczami rodziców wirujących razem na parkiecie. Co czuł mój ojciec, tracąc władzę nad własnym ciałem, stopniowo, powoli? W dodatku nadal dręczyły mnie słowa babci: że tata zмага się z depresją. Czuałam się z tym źle: ja, zimna, nieczuła dziewczyna, nawet nie zauważyłam, jak bardzo jest nieszczęśliwy.

Wąski sierp księżycy zakrywały gęste chmury. Russell włączył długie światła i samochód potoczył się z wolna nieutwardzoną drogą. Z lewej strony dostrzegłam odgałęzienie prowadzące do domu Amalii.

– Russell – zagadnęłam – czy przeszkadza ci, że mówimy na dom Amalii „baraki dla niewolników”?

W ciemnej kabinie furgonetki ledwie mogłam zobaczyć jego twarz, ale wydawało mi się, że złowiłam wzrokiem biały błysk uśmiechu.

– Skoro zapytałaś – powiedział – to owszem, przeszkadza. Ale zauważ, że twój tata nigdy tak nie mówi. Twoja mama też nie. Ani sama Amalia.

– Więc kto mnie tego nauczył? – zapytałam zakłopotana, bo Russell chyba miał rację. Mama i tata nigdy nie używali tych słów.

– O, nie zamierzam nikogo wytykać palcem – zachichotał.

„Babcia”, pomyślałam. „Moje ciotki i wujowie oraz ich dzieci – moi kuzyni”.

– Przepraszam cię – powiedziałam. – Już nie będę tak mówiła.

– Dziękuję serdecznie. – Russell odwrócił do mnie twarz i tym razem byłam pewna, że się uśmiechnął, a później z powrotem skupił wzrok na drodze. – Wychowałem się w podobnym miejscu. W tak zwanych barakach dla niewolników.

– Jak to?

– W chacie z bali pod Hendersonville.

– Tam mieszka twoja rodzina. – Słyszałam kiedyś, jak wspominał o tej miejscowości.

– Zgadza się. W Karolinie Północnej nie było wielu niewolników, ze względu na słaby rozwój rolnictwa na tamtych terenach – podjął. – Ale mój prapraprapradziadek należał do bogacza z Hendersonville, który posiadał w sumie sześciu niewolników. Pracowali głównie w domu i w stajni, a dziadka traktowano najlepiej ze wszystkich. – Zerknął na mnie z ukosa. – Zgadniesz dlaczego?

– Bo najlepiej pracował?

Russell parsknął śmiechem.

– Raczej nie o to chodziło. – Chichotał pod nosem jeszcze przez kilka sekund, po czym kontynuował: – Podobno – wyjaśnił w końcu – mój dziadek był synem pana.

– Synem...? Aha. – Zrozumiałam. – No nieźle.

– Nauczyli go czytać i pisać, co było w zasadzie wbrew prawu, ale przydało się następnym pokoleniom, bo wszyscy rozumieliśmy, jak ważne jest zdobycie wykształcenia. Kiedy mój prapraprapradziadek został wyzwolony, pan zapisał mu baraki dla niewolników oraz dwanaście hektarów ziemi. I to był nasz dom, nasze siedlisko, takie samo jak twoje tutaj, tylko mniejsze. Mieszka tam teraz moja mama, moje siostry, ciotki i jeden wujek. Ja wychowałem się w jednej z tamtejszych chat. – Spojrzał na mnie. – Ale nigdy nie mówiliśmy na nie „baraki dla niewolników” – dodał. – Nazywaliśmy to miejsce domem.

Spróbowałam wyobrazić sobie Russella dorastającego we własnym domu, podobnym do Morrison Ridge.

– Twój prapraprapradziadek miał naprawdę dużo szczęścia – powiedziałam, zastanawiając się, jak traktowano innych niewolników tego bogacza.

– Owszem – przytaknął Russell. – Ale jego matka pewnie już nieco mniej.

Zrozumienie, co to miało znaczyć, zajęło mi dobrą chwilę, a gdy w końcu to do mnie dotarło, nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Dotarliśmy już na Piekielne Wzgórze; Russell zredukował bieg. Dopiero na samym dole poruszyłam kwestię, która tak bardzo mi ciążyła.

– Jak sądzisz, czy tata jest szczęśliwy?

– Szczęśliwy? – powtórzył zaskoczony. – A skąd takie pytanie?

– Babcia powiedziała, że tata ma depresję, a ja... Po prostu nigdy nie zauważyłam czegoś takiego i pomyślałam, że może to przede mną ukrywa.

Russell nie odpowiadał, zaciskał tylko dłonie na kierownicy. Zaniepokoiło mnie jego milczenie. Chciałam usłyszeć, że mój ojciec jest w pełni zadowolony ze swojego życia, ale on nie mówił nic, i to przez bardzo długą chwilę.

Już miałam powtórzyć pytanie, kiedy wreszcie się odezwał.

– Przypadek twojego taty jest trudny, Molly – powiedział, parkując furgonetkę pod naszym domem, po czym wyłączył silnik. – Postarajmy się zrobić wszystko, co w naszej mocy, aby umilić mu życie. – Spojrzał mi w oczy. – Ty dajesz mu najwięcej szczęścia, Molly – dodał. – Nie zapominaj o tym.

* * *

Kiedy weszłam razem z Russellem do domu, było już po spotkaniu. Wszyscy goście już sobie poszli, a tata śpiewał w swojej sypialni. Kiedyś zdarzało mu się to często; jeżdżąc wózkiem po domu, nucił jakieś przypadkowe piosenki, teraz jednak uświadomiłam sobie, że już od dawna nie słyszałam, jak śpiewa. I cóż on teraz zawodził na całe gardło? *Take It to the Limit* zespołu The Eagles. Spojrzałam na Russella, a on uśmiechnął się do mnie.

– Jedyne w swoim rodzaju – powiedział.

Idąc do sypialni rodziców, usłyszałam, że mama sprząta w kuchni. Tata leżał na łóżku z głową opartą na dwóch poduszkach, nieruchomy jak zawsze. Kiedy stanęłam w drzwiach, piosenka urwała się w pół słowa.

– Hej, Moll! – zawołał i wskazał mi głową wąski pasek wolnego miejsca na skraju łóżka. Ostrożnie usiadłam. Kiedyś, przed kilkoma laty, skoczyłam prosto na jego worek na mocz, a Russell miał potem mnóstwo sprzątanina.

– Jak było u babci? – zapytał tata.

– Dobrze – odparłam. – Obejrzałyśmy kasetę Dorianny, a potem film. – Postanowiłam mu nie wspominać, że widziałam ich weselny taniec. – Co się stało z Dorianną?

– Poszło wyśmienicie – powiedział. – Odgrywanie przychodziło jej z łatwością. To częste u nieśmiałych dzieciaków, bo dużo czasu spędzają sam na sam ze swoimi myślami. Co oglądałyście?

– *Okno na podwórze*.

– Ach, świetny film! Zawsze mi się podobał, bo Jimmy Stewart gra tam niepełnosprawnego. Przynajmniej częściowo niepełnosprawnego. Ale wcale nie jest skazany na bezradność.

– Właśnie – przytaknęłam.

– A poza tym to wypowiedź Hitchcocka na temat małżeństwa. – Tata uniósł brwi. – No i jeszcze ten feminizm w budowaniu postaci granej przez Grace Kelly...

Jęknęłam.

– Potrafisz wszystko rozebrać na czynniki pierwsze, aż nie zostanie nic fajnego.

– Tak robię? – zaśmiał się. – Twoja mama jest trochę do niej podobna, prawda?

– Do kogo? Do Grace Kelly? – zapytałam z niedowierzaniem i już chciałam parsknąć śmiechem, ale ugryzłam się w język. Stacy powiedziała mi, że najważniejszą strefą erogenną jest mózg. Może mój tata już tylko w taki sposób mógł uprawiać seks – w zakamarkach własnego mózgu – więc jeśli, patrząc na mamę, chciał widzieć Grace Kelly, to nie zamierzałam mu psuć tej fantazji. – Trochę tak – przyznałam, kładąc dłonie na udach. – Jak poszło spotkanie?

– Atmosfera była... ożywcza – uśmiechnął się tata. I rzeczywiście, wyglądał na ożywionego.

– A co tu robili Janet, Peter i Helen? – spytałam.

– No, wiesz – odparł – podczas mediacji dobrze mieć czasem przy sobie kogoś z zewnątrz.

– Czyli wujek Trevor zmienił zdanie na temat sprzedaży ziemi?

– No cóż, Trevor dalej zachowuje się jak ćwok, ale nie ma sensu zaprzętać sobie tym teraz głowy. Połóż się obok i pośpiewajmy sobie, dobrze? – Wskazał głową drugą stronę postania, gdzie sypiała mama. – Wybierz jakąś piosenkę The Eagles i śpiewaj drugi głos.

Już dawno nie śpiewaliśmy razem. Kiedy byłam młodsza, robiliśmy to często. Przesunęłam się nad nim i opadłam na drugą stronę łóżka.

– *Lyn' Eyes* – zaproponowałam.

– Tyle zwrotek! – zawołał. – Zakład o pięć dolców, że nie pamiętasz wszystkich.

Stara śpiewka taty – odkąd byłam mała, zakładał się ze mną, że nie dam czemuś rady, chociaż doskonale wiedział, że sobie poradzę. Poczulałam się jak ośmiolatka, ale włączyłam się do zabawy, żeby sprawić mu przyjemność.

– Dobra – powiedziałam, zaczynając pierwszą zwrotkę. Odśpiewaliśmy wszystkie po kolei, a ja przy każdym refrenie machałam rękami w powietrzu. Parę razy się pomyliłam, ale on też.

– Brawo – pochwalił mnie, kiedy skończyliśmy. – Poproszę mamę, żeby wypłaciła ci jutro pięć dolarów.

– Dzięki – powiedziałam, z uśmiechem błędząc wzrokiem po suficie. Doskonały humor taty upewnił mnie, że babcia niepotrzebnie się martwi. Powinna go teraz zobaczyć. Ulżyłoby jej.

– Co myślisz o kobiecie z tej piosenki? – zapytał tata. – Zostawiła męża i odeszła ze swoim dawnym partnerem, a mimo to wciąż nie jest szczęśliwa.

– Puszczalska – powiedziałam krótko.

– Hm. Trochę za ostro, nie uważasz? Jaką ona miała motywację?

Zastanowiłam się nad słowami piosenki.

– Jej mąż ma dłonie zimne jak lód – zaczęłam, lecz po chwili odwróciłam się na bok i żartobliwie trzepnęłam tatę w ramię. – Znowu to robisz! Rozbierasz na czynniki pierwsze. To tylko piosenka. Nie może ci się po prostu podobać?

Tata odwrócił głowę, żeby na mnie spojrzeć. Zaskoczył mnie jego poważny wzrok.

– Masz rację, Molly – przyznał. – Życie jest za krótkie, żeby wszystko analizować. Obiecuję poprawę.

– Molly, ty jeszcze nie w łóżku? – Do sypialni weszła mama. W rękę niosła stos świeżo uprasowanych T-shirtów taty.

– Śpiewaliśmy – wyjaśniłam.

– Słyszałam. – Mama otworzyła najwyższą szufladę w komodzie i włożyła do niej koszulki. – Ale teraz pora spać. Już po północy.

– Noro, po tylu latach wreszcie uświadomiłem sobie, kogo mi przypominasz – powiedział tata.

Mama zamknęła szufladę, po czym odwróciła się do niego.

– Kogo? – zapytała.

– Grace Kelly.

Zaśmiała się i też go klepnęła, ale po stopie, przez koc, potem zawinęła za ucho kosmyk swoich blond włosów i nagle rzeczywiście zrobiła się trochę podobna do Grace Kelly. Uśmiechnęła się do taty i wymienili spojrzenie, które absolutnie nie było przeznaczone dla mnie. Nie powinnam nawet go oglądać.

– Idę do łóżka. – Zeskoczyłam na podłogę, minęłam mamę i ruszyłam w stronę drzwi.

– Śpij dobrze – powiedziała takim głosem, jakby była tysiące kilometrów stąd.

– Dobranoc, kochanie – rzucił tata, nie odrywając wzroku od jej twarzy.

San Diego

Kiedy Sienna odbiera telefon i wita się ze mną, momentalnie uderza mnie ton jej głosu. Jest niski i przypomina mi aktorkę Julię Stiles; nikt by nie powiedział, że ta dziewczyna ma tylko siedemnaście lat. Myślę o Amalii, która miała dwadzieścia jeden albo dwadzieścia dwa, kiedy mnie urodziła. Wyobrażam sobie, że dziewczyna w słuchawce to młoda Amalia w ciąży, i natychmiast budzą się we mnie te pokręcone uczucia, które zawsze towarzyszą myślom o mojej biologicznej matce.

Bez sensu, upominam się. To obca osoba. Siedemnastolatka, której nigdy nie widziałas na oczy.

– Ja i mój mąż bardzo się cieszymy, że zechciałaś się z nami skontaktować, Sienna – zaczynam. – Wiem, że wskazałaś także inne rodziny i...

– Już z nimi rozmawiałam – przerywa mi. – Nie poszło najlepiej.

Czuję ulgę. Korci mnie, by zapytać, dlaczego z innymi rodzinami „nie poszło najlepiej”, żeby nie powtórzyć ich błędów, ale po namyśle rezygnuję.

– Rozmowy z ludźmi, od których tak wiele zależy, muszą być stresujące – przyznaję. – Ja sama trochę się denerwuję.

Dziewczyna przez długą chwilę nie odpowiada, a ja zaczynam się bać, że odłożyła słuchawkę, ale potem uświadamiam sobie, że płacze.

– Sienna – pytam – wszystko w porządku?

– Tak. – Udaje jej się wykrztusić.

– Bardzo ci ciężko, prawda?

– Bardzo.

– Możesz mi o tym opowiedzieć? Chciałabym wiedzieć, co czujesz.

W tym momencie przypomina mi się, że Zoe radziła utrzymywać lekki ton we wstępnych rozmowach z biologiczną matką. Opowiadać o swoich ulubionych zajęciach. O pogodzie. Nie rzucać się od razu na tematy związane z adopcją. Cóż, stało się.

Sienna pociąga nosem. Ja czekam, przygryzając wargę. Jej głos brzmi dorośle, ale płacze jak mała dziewczynka, i serce mi się kraje, gdy tego słucham.

– Ja po prostu... – odzywa się wreszcie – ...chcę znaleźć odpowiedni dom dla mojej małej. Dałam plamę, zachodząc w ciążę, i jestem teraz jej to winna, ona musi trafić do dobrego domu. Do idealnego domu.

Ona! To dziewczynka! Nie mogę się doczekać, żeby powiedzieć o tym Aidanowi.

– Moim zdaniem, Sienna, nie ma domów idealnych – mówię z namysłem. – Można jednak znaleźć naprawdę dobry dom i uważam, że my zapewnimy taki twojemu dziecku. Chciałabyś dowiedzieć się czegoś o nas?

– Nie. To znaczy wszystko już wiem z portfolio. Podoba mi się, że macie już córeczkę, bo moja mała będzie miała siostrzyczkę. I że w domu jest pies, ja zawsze chciałam mieć psa, ale...

– Sienna – przerywam ten potok słów, a serce zamiera mi w piersi. – Pomyliłaś nas z inną parą. My nie mamy córki. Ani psa. Chociaż akurat psa moglibyśmy mieć. – Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale z chęcią sprawię sobie psa, jeśli dzięki temu miałabym też dostać dziecko.

– Żartuje pani. – W słuchawce rozlega się szelest papierów. – A państwo jak się nazywają?

– Mam na imię Molly – odpowiadam. – A mój mąż to Aidan.

– O cholera. Wszystko mi się pomieszało.

Zamykam oczy. Boję się, że teraz z kolei ja zacznę płakać. Nagle budzi się we mnie duch walki: czuję, że muszę się zmierzyć z tamtą parą, która ma córeczkę i psa. Zrobić to, co jest najlepsze dla dziecka, upominam się.

– Może mimo wszystko porozmawiajmy chwilę – proponuję. – Skoro wybrałaś też nasze portfolio, to może...

– Dobrze, w porządku, już je znalazłam. Też mi się podobało. Najbardziej tych dwóch chłopców, bliźniaków.

– To właśnie my! A bliźniacy to nasi siostrzeńcy. Cudni są, prawda?

– Tak. – Słyszę, że Sienna się uśmiecha, i od razu dodaje mi to otuchy. – Są na tych zdjęciach naprawdę szczęśliwi. Napisaliście państwo, że mieszkają niedaleko.

– Kilka kilometrów od nas. Twoje dziecko spotykałoby się z nimi cały czas. Wychowywaliby się razem: trójka małych kuzynów.

– Fajnie.

Zapada milczenie, a ja nagle czuję pustkę w głowie. Wciąż jestem w szoku po tej pomyłce. Nie wiem, co powiedzieć, gorączkowo szukam słów.

– Jak się teraz czujesz? – pytam ostatecznie. – Cięża nie przysparza ci kłopotów?

– Na początku dużo wymiotowałam, ale teraz po prostu... Jestem taka gruba, mam dość. Chcę, żeby już było po wszystkim.

– Wyobrażam sobie – przytakuję. Kiedy byłam w ciąży z Sarą, nie zdążyłam utyć. Żałuję tego. – Uważam, że jesteś bardzo odważna – dodaję. – Decyzja o tym, żeby urodzić dziecko, była bardzo trudna, a teraz podejmujesz kolejną: chcesz oddać je – ją – na wychowanie do rodziny, która jest w stanie zapewnić jej wspaniałe życie.

I znów ta cisza.

– Koleżanki ze szkoły mówią, że popełniam wielki błąd – wyznaje wreszcie Sienna.

– Dlaczego?

– Mam w klasie dziewczyny, które też są w ciąży albo już urodziły – wyjaśnia. – Oprócz mnie żadna nie oddała dziecka do adopcji.

Teraz jestem zadowolona, że znam język otwartej adopcji.

– Moim zdaniem wcale nie oddajesz swojego dziecka – mówię. – Szukasz właściwego domu dla niego. Dzięki temu będzie miało to wszystko, czego sama w tej chwili nie możesz mu dać.

– No tak, ale one mówią, że jej nie kocham, skoro ją oddaję... Skoro szukam rodziny do adopcji. Ale tak nie jest. Ja naprawdę ją kocham.

– Ja myślę, że bardzo ją kochasz, bo podjęłaś tak trudną decyzję.

– Właśnie.

Milczymy obie, a ja nie wiem, co teraz powiedzieć. Nie podoba mi się to, ten przymus, aby koniecznie wybrać właściwe słowa, bo inaczej nie przypadną jej do gustu.

– Możesz mi opowiedzieć o ojcu twojego dziecka? – pytam.

– To palant – pada odpowiedź.

– Przykro mi to słyszeć. Długo razem byliście?

– Nie chcę o nim gadać.

„Czas wrzucić drugi bieg”, myślę.

– Sienna, czy chciałabyś spotkać się z nami osobiście? – proponuję. – W piątek mój mąż wraca z podróży służbowej, więc w sobotę możemy umówić się na lunch, jeśli ten dzień ci pasuje.

Dziewczyna zastanawia się przez chwilę. Gdy znów zaczyna szeleścić papierami, boję się, że sprawdza datę w kalendarzu, może wręcz próbuje wcisnąć nas pomiędzy spotkania z innymi parami z agencji adopcyjnej. Na przykład z tymi od psa.

– Może być – mówi wreszcie.

– Wspaniale. Mieszkasz w Leucadii, prawda? Znasz tam jakąś restaurację, w której moglibyśmy się spotkać?

Sienna rzuca nieznaną mi nazwę, a ja podaję jej swój adres e-mailowy oraz nasz domowy numer.

– Proszę, pisz, gdy tylko będziesz chciała o coś zapytać, a ja w piątek zadzwonię do ciebie potwierdzić nasze sobotnie spotkanie.

– Dobrze – mówi dziewczyna, a potem dodaje: – Coś mi tak właśnie przyszło do głowy...

– Mianowicie?

– Ma pani na imię Molly – wyjaśnia. – Tak samo jak mój kot. Może to jakiś znak?

Serce wyrywa mi się z piersi.

– Z całą pewnością. – Uśmiecham się. – Zadzwonię do ciebie w piątek.

Morrison Ridge

Następnego dnia przed południem tata dyktował mi książkę. Szło mi trochę wolniej niż zazwyczaj, bo w nocy źle spałam. Tata po rodzinnym spotkaniu był w dobrym nastroju, ale mimo to wciąż analizowałam słowa Russella: „Postarajmy się zrobić wszystko, co w naszej mocy, aby umilić mu życie”. Wpatrywałam się w czarny sufit mojego pokoju i myślałam, co zrobić. Wpojono mi, że jestem w stanie osiągnąć każdy cel, jaki sobie wyznaczę, więc nie obawiałam się niepowodzenia, tylko układałam plan. Jeszcze w nocy przyszło mi do głowy kilka niezłych pomysłów. Postanowiłam najpierw przypomnieć mu, że bardzo kocha swoją pracę. Jego książki dotarły do wielu serc i pomogły wielu pacjentom. Planowałam o tym wspomnieć, ale tak subtelnie, żeby się nie zorientował, do czego zmierzam. Po drugie, należało wymyślić dla niego atrakcje na lato. Mogłam na przykład zaproponować wypad do parku tematycznego Carowinds, który uwielbiałam, ale w porę uświadomiłam sobie, że to jest atrakcja dla mnie, a nie dla niego. I wtedy coś mi błysnęło. Tata uwielbiał naszą tyrolkę. Mówił, że na linie czuje się wolny. A przecież nie zjeżdżał już kilka lat. Postanowiłam to zmienić. I wiele innych rzeczy też. Chciałam zrobić wszystko, aby tata poczuł się szczęśliwy, że żyje.

– Mam pomysł – powiedział, kiedy otwierałam nowy dokument do zapisania przedostatniego rozdziału jego książki, nad którą zamierzał pracować nie dłużej niż do końca lata. – Twoja koleżanka Stacy mieszka po drodze do mojego gabinetu, prawda? Więc może w poniedziałek po południu, kiedy Russell zawiezie mnie do pracy, zabierzesz się z nami i spędzisz u niej kilka godzin, jeśli jej mama się zgodzi? Odbierzemy cię, wracając.

– Fajnie! – ucieszyłam się. Chociaż dzwoniłyśmy do siebie prawie codziennie, nie widziałam Stacy przez cały tydzień od jej wizyty, kiedy nocowałyśmy razem w leśnym domku. Nasze rozmowy biegły dość dziwnym torem: ja mówiłam o New Kidsach, a ona o Bryanie, którego zaczęła już nazywać swoim chłopakiem, a także o Chrisie, jego kumplu, z którym zamierzała mnie umówić. Za każdym razem, kiedy zmieniała temat, żeby o nich pogadać, czułam ekscytację zmieszaną z niepokojem. Myślałam wtedy, że dobrze by było mieć pod ręką mój kamień trosk; zamknąć go w dłoni i dzięki niemu poczuć spokój. Postanowiłam, że przy najbliższej okazji wyjmę go ze skrytki w leśnym domku.

– Zadzwoń do niej dzisiaj i zapytam – obiecałam tacie.

– Świetnie. – Skinął głową w stronę komputera. – Gotowa na rozdział jedenasty?

I zaczął dyktować, a ja notowałam. Pisaliśmy przez pół godziny, a potem tata ogłosił koniec pracy na dziś. Po zapisaniu dokumentu odwróciłam się do niego.

– Wiesz, na co mam wielką, największą ochotę? – zapytałam.

– Na co?

– Na naszą tyrolkę!

– Tyrolkę? – powtórzył. – A skąd ten pomysł?
– I chcę, żebyś też zjechał – dodałam. – Powaga.
– No wiesz, Molly... Zdajesz sobie sprawę, ile to roboty dla Russella?
– Russell nie będzie miał nic przeciwko temu. – Byłam tego prawie całkiem pewna. – A ja mogę mu pomóc.
– Nie sądzę...
– Daj spokój – przerwałam błagalnym głosem. – Przecież wiem, że tego chcesz.
Tata uśmiechnął się i wyjrzał przez okno.
– Dobry dzień na takie zabawy – przyznał. – Zobaczmy, czy Russell ma czas. Ale najpierw ty zrób dla mnie coś innego.
– Z przyjemnością.
– Otwórz nowy dokument.
Powstrzymałam żalostny jęk, ale posłusznie otworzyłam na komputerze nowy dokument.
– Gotowe – zameldowałam z palcami na klawiszach.
– Na samym środku strony napisz: „Róbcie tak, jak gdybyście tańczyli”.
– Co? – zaśmiałam się.
– Dobrze usłyszałaś: „Jak gdybyście tańczyli”.
Wystukałam na klawiszach to zdanie.
– To dla któregoś z twoich pacjentów?
– A teraz wydrukuj – polecił, puszczając pytanie mimo uszu.
– Jak chcesz. – Kliknęłam DRUKUJ i gotowa strona wysunęła się z drukarki.
– Weź kopertę.
Sięgnęłam do szuflady biurka.
– Złóż kartkę, schowaj ją do koperty i zaklej.
Wykonałam polecenie.
– A teraz powiedz mi: jaki jest twój ulubiony utwór do tańca na zajęciach z Amalią?
Zastanowiłam się przez chwilę.
– Drugi koncert Rachmaninowa.
– Dobry Boże! – roześmiał się tata. – Przy tym się można pociąć! To zdecydowanie zbyt ciężka muzyka!
– Ja uważam, że jest piękna. – Wydęłam wargi.
Tata spoważniał, ale miałam wrażenie, że wymagało to od niego nieco wysiłku.
– Masz rację – przyznał. – Jest piękna. Ale my potrzebujemy czegoś lżejszego.
– Na koniec Amalia zawsze puszcza *Footloose* i po prostu tańczymy po domu. To nasza tradycja.
– Kawałek Kenny’ego Logginsa?
– Aha. – Zaśpiewałam kilka wersów, kiwając do taktu głową, aż wreszcie przytaknęła.
– Idealne. Na kopercie napisz *Footloose*.
Zatrzymałam dłoń nad biurkiem.
– Po co to wszystko, tato?
– Nie pytaj, pisz.
Napisałam.
– Dobrze, zostaw kopertę na biurku. Mama się nią zajmie.
Oparłam kopertę o drukarkę i spojrzałam na tatę.
– W porządku?
– Idealnie – zapewnił. – A teraz poszukaj Russella i zapytaj, czy znajdzie czas, żeby zabrać nas na tyrolkę.

Russell był w kuchni. Odliczał tabletki dla taty i wkładał je do przegródek specjalnego pojemnika na cały tydzień. Przystanąłam obok stołu i czekałam, aż skończy. Wiedziałam, że tabletek jest mniej niż kiedyś, bo tata postanowił odstawić pewien eksperymentalny lek, po którym czuł się tylko gorzej. Mama chciała go zgłosić do innego programu badawczego, ale nie spełniał wymogów, bo miał nie ten typ stwardnienia rozsianego.

Russell zakręcił ostatnią buteleczkę z lekiem i spojrzał na mnie.

– Co ci chodzi po głowie? – zapytał.

– Pomożesz nam przejechać się tyrolką?

Uniósł brwi, zdziwiony, ale potem się uśmiechnął.

– Nieźle to wymyśliłaś, Molly – pochwalił, zamykając pojemnik z tabletkami. – Twój tata uwielbia tyrolkę.

– Super! – Klasnęłam w dłonie. – To jak, pomożesz?

– Jasne, ale przydałby się ktoś jeszcze.

– Może wujek Trevor jest w domu – powiedziałam. Jego towarzystwo trochę zepsułoby nam zabawę, ale wujek był umięśniony i silny, a tego właśnie potrzebowaliśmy.

Ale Russell potrząsnął głową.

– Po wczorajszym spotkaniu Trevor raczej nie pała chęcią, aby służyć pomocą twojemu tacie – odparł.

– Spróbuj z Amalią. Niepotrzebna nam dzika siła, tylko dodatkowa para rąk.

Zadzwoiłam do Amalii, a ona z chęcią się do nas przyłączyła. Obiecałam, że przyjedziemy po nią za godzinę, a potem przyniosłam z komórki dwie uprząże i dwa kaski. Załadowałam sprzęt do furgonetki.

Wózek taty miał swoje miejsce pośrodku drugiego rzędu foteli. Ja usiadłam z przodu, obok Russella. Po obróceniu kluczyka w stacyjce silnik nie odpalił. Zatrząsał się tylko, ale nie zaskoczył, a ja podupałam na duchu. Tyle wysiłku na marne? Na szczęście za trzecim razem się udało.

– Muszę odstawić furgonetkę do mechanika, Graham. – Russell spojrzał na tatę w lusterku. – Jak wygląda w przyszłym tygodniu twój rozkład zajęć? Kiedy damy sobie radę bez auta?

– We wtorek – odparł tata. – To chyba akumulator.

Zawsze powtarzał, że nasza furgonetka jest warta prawie tyle samo, co nasz dom. Była specjalnie zaprojektowana do transportu jego wózka i zazwyczaj można było na niej polegać, ale od czasu do czasu miewała kaprysy. Bez niej tata nie mógł nigdzie się ruszyć; przestraszyłam się, że Russell odwoła nasz wypad. A gdyby samochód rozkraczył się przy tyrolce i musiał tam zostać?

Na szczęście Russell w końcu wrzucił bieg i ruszyliśmy. Po wyjechaniu z naszego podjazdu przyszło mi do głowy, że po drodze mogłabym zabrać mój kamień trosk.

– Zatrzymajmy się przy leśnym domku, dobrze? – poprosiłam, gdy byliśmy już prawie na wysokości ścieżki prowadzącej do niego. – Chciałabym coś stamtąd wziąć.

– Jasne – powiedział Russell i zjechał na pobocze, nie gasząc silnika, a ja wyskoczyłam z furgonetki i pobiegłam ścieżką zasłaną liśćmi i pnączami. Wpadłam do domku i klękłam na łóżku pod czujnym spojrzeniem Johnny’ego Deppa. Wyciągnąwszy atrapę kamienia ze ściany, zanurzyłam dłoń w ciemnym

otworze, aby wyłowić amulet, który sekundę później trafił do kieszeni moich szortów.

Wróciłam do furgonetki. Tata i Russell rozmawiali o drużynie baseballowej Asheville Tourists, ale kiedy wsiadłam, przerwali rozmowę, a Russell ruszył w dalszą drogę.

– Masz to, co chciałaś? – zapytał tata, zupełnie jakby o wszystkim wiedział.

– Aha – mruknęłam, pamiętając, jak mówiłam mu, że trzymam mój ametyst w skrytce. Pomyślał pewnie, że wzięłam kamień trosk na tyrolkę. Nie wyprowadzałam go z błędu. Nie musiał wiedzieć, że był mi potrzebny podczas rozmów ze Stacy, która koniecznie chciała „spiknąć” mnie z chłopakiem.

Russell skręcił w wąską dróżkę prowadzącą do domu Amalii. Przez chwilę podskakiwaliśmy na wybojach, a po wyjeździe na polanę przed jej domem okazało się, że Amalia już na nas czeka. Siedziała na fotelu wyrzeźbionym w pniaku, który pozostał po ściętym drzewie. Ten fotel powstał wiele lat przed moim urodzeniem.

Amalia otworzyła boczne drzwi i wsiadła do środka; zajęła miejsce obok taty. Kabina wypełniła się aromatem kwiatów wiciokrzewu; tak pachniały jej włosy.

– Hej wszystkim – powiedziała i ścisnęła moje ramię ponad oparciem fotela.

– Hej – odpowiedziałam, a Russell ruszył dalej.

– Jak się czujesz po wczorajszym? – zagadnęła Amalia tatę. Czy chodziło jej o to spotkanie? O ile wiedziałam, nic innego się wczoraj nie wydarzyło, ale i tak w jej ustach to pytanie zabrzmiało dziwnie.

– Wyśmienicie – odparł tata. – A ty?

Nie odpowiedziała od razu, a może tylko ściszyła głos i jej nie dosłyszałam. Potem pochwyciłam jedną frazę, która brzmiała jak „serce się kraje”, a tata powiedział coś, co jeszcze trudniej było zrozumieć. Spojrzałam na Russella, ale on obserwował drogę i udawał głuchego. Postanowiłam wziąć z niego przykład.

Minęliśmy dom babci i kawałek dalej skręciliśmy w las, gdzie po prawej stronie widać już było platformę tyrolki. Upłynął już rok, odkąd ktoś z niej korzystał, ale każde z nas wiedziało, co robić. Russell opuścił zamontowaną w furgonetce mechaniczną rampę podjazdową, po której Amalia wyprowadziła wózek, a ja wyjęłam z tyłu uprząż i kaski. Następnie Russell skierował się w stronę zwisających lin, zaczepionych na platformie wysoko ponad naszymi głowami.

Amalia podeszła, pchając przed sobą wózek, pod platformę, a ja podałam Russellowi jedną uprząż i jeden kask, po czym ruszyłam w górę schodami.

– Do zobaczenia na górze, tato! – rzuciłam na odchodnym.

Pokonałam sto trzydzieści dwa stopnie bez przystanków na złapanie oddechu, chociaż po drodze zwolniłam, i to znacznie. Zapomniałam już, jak pięknie jest tutaj, na górze. Położywszy uprząż na podłodze platformy, łykałam wielkimi haustami czyste górskie powietrze. W końcu podeszłam do wyciągarki i wyjrzałam przez barierkę. Russell i Amalia wciąż jeszcze zmagali się z nieskłonny do współpracy ciałem mojego ojca, które trzeba było wcisnąć w uprząż. Na ten widok ruszyło mnie sumienie i przyszło mi żałować, że w ogóle zaproponowałam tyrolkę. Może to tylko pogorszy sprawę. Zawsze, gdy musiałam przełożyć tacie rękę albo nogę, uświadamiałam sobie, skąd Russell ma takie grube, mocne mięśnie. Kończyny mojego ojca były sztywne i praktycznie się nie zginały. Jakby próbowało się poruszyć obiekt znacznie większy, niż wskazywałyby na to jego masa. Raz słyszałam, jak wujek Trevor powiedział, że tatę podnosi się „jak martwy ciężar”. Russell posłał mu wtedy mordercze spojrzenie.

– Hej tam, na dole! – zawołałam, siląc się na wesoły ton, głównie zresztą po to, aby sama się rozpogodzić.

Amalia uniosła głowę i pomachała mi.

– Jak klimat na górze? – odkrzyknęła.

– Niesamowity!

Russell też uniósł wzrok.

– Wszystko zapięte – powiedział. – Jesteś gotowa?

– Oczywiście. Powiedz kiedy.

– Już.

Włączyłam wyciągarkę, a liny uniosły tatę z siedzenia wózka. To wujek Trevor wymyślił, żeby zainstalować tutaj ten mały dźwig, dawno temu, kiedy tata nie mógł już samodzielnie wejść po schodach. Teraz patrzyłam, jak wznosi się w powietrze, a jego niebieski kask przybliża się coraz bardziej. Mechanizm wyciągarki skrzypiał i szczekał tak głośno, że gdybym nie wiedziała, że to normalne, pewnie zaczęłabym się martwić. Russell i Amalia zniknęli; wiedziałam, że wchodzą na górę, i miałam nadzieję, że przynajmniej jedno z nich zdąży dotrzeć, zanim tata znajdzie się na poziomie furtki w barierce. Nigdy nie musiałam sama wciągnąć go na platformę i raczej nie dałabym rady. Kiedy był już blisko, rzuciło mi się w oczy, jak strasznie bezwładne jest jego ciało. Nogi mu dyndały, ręce zwisały wzdłuż boków, sztywno wyprostowane. Zupełnie jakbym patrzyła na zwłoki; musiałam odwrócić głowę, zgubić wzrok pomiędzy drzewami, tak mocno ścisnęło mnie za gardło.

Usłyszałam, że Russell i Amalia idą po schodach. Byli już coraz bliżej, zwolnili tempo, a ich oddechy przyspieszyły. Chwilę później tata zrównał się z platformą, a gdy zatrzymałam wyciągarkę, zawisł w powietrzu i uśmiechnął się do mnie.

– Cześć, tata – powiedziałam, otwierając furtkę w barierce.

– Cześć, mała – odpowiedział.

– Już jesteśmy! – zawołała Amalia, pojawiając się na platformie razem z Russellem. Zgięła się w pół, łapiąc oddech i niemalże zamiatając włosami drewniany podest.

– Dobra robota, Molly – pochwalił mnie Russell. Jedną ręką przytrzymał się barierki – mięśnie grzbietu zagrały pod czarną koszulką – i wychylił się na zewnątrz, a gdy dosięgnął zaczepu wyciągarki, zakołysał nim, żeby wciągnąć tatę na platformę. Nigdy w życiu nie dałabym rady zrobić tego sama.

Po chwili tata już był z nami, a Russell przepiął karabińczyki z zaczepu wyciągarki na linę tyrolki. Potem ja i Amalia podtrzymałyśmy tatę w pozycji siedzącej, a Russell zaciągnął paski jego uprząży tak, że zawisł kilkadziesiąt centymetrów nad podestem.

– W porządku – powiedział, prostując się, po czym podał mi krótkofalówkę. – Idę na drugi koniec. Dam znać, kiedy możecie go puścić.

Zjazd kończył się na miękkiej stercie sosnowych igieł. Był tak zaprojektowany, że zaczynało się hamować daleko przed drzewami, ale i tak ktoś musiał tacie pomóc się zatrzymać.

Pomyślałam sobie, że tata wcale nie żartował, gdy mówił, że nasza tyrolka oznacza dla Russella mnóstwo ciężkiej roboty. Kiedy ruszył w stronę schodów, chwyciłam go za rękę, a on odwrócił głowę i posłał mi pytające spojrzenie.

– Dziękuję. – Staralam się mówić cicho, żeby tylko on usłyszał, i chyba się udało.

Russell uśmiechnął się do mnie.

– Nie ma za co, Molly – odparł, też szeptem. – Nie ma za co.

Przez chwilę nasłuchiwałam jego kroków na schodach, a potem wróciłam do taty, który wisiał już trochę wyżej, ponad pół metra nad drewnianym podestem, ze stopami opartymi o furtkę, której zadaniem było go zatrzymać, dopóki Russell nie da znaku, że można już ruszać. Usiadłyśmy z Amalią po bokach furtki, twarzą do taty. Po kilku minutach dobiegł nas warkot zapuszczanego silnika; odetchnęłam z ulgą, że rozładowany akumulator tym razem nie zawiódł.

Amalia nie spuszczała oczu z taty.

– Niewygodnie ci? – zapytała.

– Ani trochę – odpowiedział. – Jestem po prostu podekscytowany.

Dziwnie było tak z nimi siedzieć, tylko my troje i nikt więcej. Wszystko bardzo dobitnie mówiło mi, że mam przy sobie moich biologicznych rodziców. Jeśli oni czuli coś podobnego, nie dali tego po sobie poznać. Amalia odchyliła głowę do tyłu, zamknęła oczy i wystawiła twarz do słońca, które z wysiłkiem przedzierało się pomiędzy drzewami; tata wisiał na bloczku do zjeżdżania i zdawało się, że niczego mu nie brakuje. Trzymałam krótkofalówkę na gołym kolanie, wpatrując się w nią uważnie, jakbym mogła ponaglić Russella.

– Kiedy ostatni raz zjeżdżałaś naszą tyrolką? – Tata zagadnął Amalię, a ona wyprostowała głowę, aby spojrzeć na niego, i odrzuciła gruby kosmyk włosów na ramię.

– Kilka tygodni temu – odparła.

– Co? – Zrobiłam wielkie oczy. – Sądziłam, że od zeszłego roku nikt z niej nie korzystał.

– Ty nie korzystałaś – uściśliła. – Trevor chciał sprawdzić, czy przypadkiem można dostać w twarz jakąś nowo wyrosniętą gałęzią, więc zgłosiłam się na oblatywacza. Russell nam pomógł.

Tata się zaśmiał.

– A co byś zrobiła, gdybyś rzeczywiście trafiła na taką gałąź?

– To pewnie ktoś inny by wam o tym opowiedział – uśmiechnęła się Amalia.

– Molly? – W głośniku krótkofalówki nagle zaskrzeczał zniekształcony zakłóceniami głos Russella. Zerwałam się na równe nogi, unosząc ją do twarzy.

– Wszystko gotowe tam na dole? – zapytałam.

– Gotowe – potwierdził pośród szumów i trzasków.

– W porządku! – zawołałam.

Amalia wstała, kładąc tacie dłoń na ramieniu.

– Gotowy? – spytała.

– Dawaj – odparł.

Pochyliłam się i pocałowałam go w policzek. Później pociągnęłam za uchwyt zatrzasku zamykającego furtkę, a tata z radosnym okrzykiem poleciał przed siebie na skręconych paskach uprzęży. Ku mojemu totalnemu zaskoczeniu zakręciły mi się łyzy w oczach. Zrozumiałam niespodziewane uczucie wyzwolenia, które ogarnęło mojego tatę. Patrzyłam za nim, dopóki nie zniknął pomiędzy drzewami, wiedząc, że za sekundę albo dwie zacznie się najlepsza część zjazdu. Ziemia zniknie gdzieś w dole i przez dobre czterysta metrów będzie mknął w powietrzu i oglądał Morrison Ridge z lotu ptaka, rajski krajobraz pełen liściastej zieleni. Miałam nadzieję, że sprawi mu to radość. Że zapragnie przeżyć jeszcze tysiąc podobnych dni.

Oddałam krótkofalówkę Amalii i założyłam sobie uprząż. Byłam już prawie gotowa, kiedy Russell znów się odezwał.

– Orzeł wylądował – oznajmił i chyba się przy tym śmiał, ale nie byłam pewna, bo strasznie szumiało.

– Pomóc wam zdjąć uprząż? – zapytała Amalia.

– Damy sobie radę – odpowiedział Russell. – Molly może ruszać.

Ulżyło mi. Aby dotrzeć na drugi koniec tyrolki, Amalia musiałaby iść główną drogą ponad półtora kilometra, a moja uprząż, chociaż w powietrzu w ogóle się jej nie czuło, na platformie była krępująca i niewygodna.

– Jestem gotowa – powiedziałam, zapinając karabińczyk na linie.

Amalia zbliżyła się do zatrzasku.

– Leć, kochanie! – zawołała i otworzyła furtkę, a ja popłynęłam w powietrzu. Warkot bloczka na linie, wiatr smagający moją twarz – nie myślałam o tym. Śmiałam się w głos, muskając stopami wierzchołki drzew i płosząc stadko skrzeczących ptaków. A kiedy dotarłam do miejsca, gdzie ziemia zniknęła

w oddali, rozłożyłam szeroko ręce i rzuciłam się w powietrze niczym ptak. Było cudownie – chyba nigdy jeszcze nie czułam się tak wspaniale na naszej tyrolce – ale i tak nic nie mogło się równać z ekstazą swobody i radości, którą ujrzałam oczami mojego ojca.

San Diego

Aidan dzwoni do mnie kilka razy dziennie ze swojej służbowej podróży. Muszę mu raz po raz powtarzać wszystko, co powiedziała Sienna, chociaż z perspektywy czasu widzę, że nie było tego wiele. Zmartwił się na wieść, że pomyliła nas z inną parą.

– Ale wszystko naprostowałam – zapewniam go. – A potem rozmawialiśmy o Kaiu i Oliverze. Cieszyła się, że jej dziecko zyska takich kuzynków.

– A jak wyobraża sobie otwartą adopcję? – dopytuje Aidan.

– Nie poruszałyśmy tego tematu – przyznaję. – Była trochę nieprzystępna. Chyba obie się denerwowałyśmy.

Jeśli o mnie chodzi, wciąż się denerwuję. Wciąż nie dowierzam, że to dzieje się naprawdę.

– Szczegóły omówimy, kiedy spotkamy się z nią w restauracji – przypominam. – Ale moim zdaniem to powinno być swobodne spotkanie pod hasłem „poznajmy się”, bez grzebania w trudnych sprawach. Nie chcę jej wystraszyć.

– Zgoda – mówi Aidan.

* * *

W piątek wieczorem Aidan wraca do domu, a dwie godziny później dzwonię do Sienny, żeby potwierdzić plany odnośnie do naszego spotkania następnego dnia. Aidan siedzi na stołku przy stole kuchennym i przygląda się, jak wybieram numer. Nikt nie odbiera telefonu; słychać tylko długi szereg sygnałów. Wymieniamy spojrzenia.

– Nie ma jej w domu? – zastanawia się Aidan.

Zanim zdążę odpowiedzieć, w słuchawce słyszę młody męski głos.

– Halo?

– Czy mogę rozmawiać z Sienną? – pytam. Może to biologiczny ojciec dziecka? Ale ten głos brzmi zbyt młodo. Przypominam sobie, że ona ma młodszego brata.

– Nie ma jej – mówi chłopak, ale przysięgłabym, że gdzieś w tle słyszałam charakterystyczny, dorosły głos Sienny.

– A kiedy najlepiej zadzwonić? – ciągnę.

Chwila wahania.

– Może jutro? – proponuje chłopak. Głos ma niepewny. A potem się rozłącza, nie mówiąc nawet „do widzenia”.

– Co się dzieje? – pyta Aidan z niepokojem.

Powoli odkładam słuchawkę i spoglądam na niego.

– Coś jest nie tak. – Opowiadam mu, co powiedział tamten chłopak, i dodaję, że słyszałam w tle głos

Sienny.

– Zadzwoń do Zoe. – Aidan wstaje i wsuwa dłoń do kieszeni, gdzie ma portfel, a w nim jej wizytówkę.

– Teraz? – dziwię się. – Już po godzinach pracy.

– Dała nam przecież numer na komórkę – odpowiada, otwierając portfel. Podaje mi kartonik, a ja wykręcam numer.

– O nie – mówi Zoe zamiast powitania. – Próbowałam was złapać, zanim do niej dzisiaj zadzwonicie.

– Co się dzieje? – pytam, ale chyba już wiem: dziecko trafi do pary z córeczką i pieskiem w komplecie.

– Sienna postanowiła zatrzymać dziecko – wyjaśnia Zoe.

– Naprawdę? – Jestem w szoku. – W trakcie rozmowy odniosłam wrażenie, że absolutnie nie jest na to gotowa.

– Co się stało? – dopytuje Aidan, pochylając się nade mną i usiłując podsłuchać rozmowę. Uciszam go machnięciem dłoni.

– Może rzeczywiście nie jest gotowa – zgadza się Zoe. – Ale w grę wchodzi wielka presja rówieśników. Czasami tak się dzieje.

– W takim razie to chyba dobrze, że uświadomiła to sobie teraz, a nie później – mówię, ale tak naprawdę chce mi się płakać.

– Właśnie – przytakuje Zoe. – Przykro mi, że się nie udało, ale będą jeszcze inne okazje. Dla was to dopiero sam początek. Trzymajcie się!

Odkładam słuchawkę i spoglądam na Aidana.

– Sienna postanowiła zatrzymać dziecko.

Jego brązowe oczy otwierają się szeroko, olbrzymiejają za szklami okularów.

– Co ty jej nagadałaś przez ten telefon? – pyta.

– Słucham? – Ten oskarżycielski ton zbija mnie z tropu. – Powtórzyłam ci całą naszą rozmowę. I to kilka razy.

– Rozmawialiście o tym, że można zatrzymać dziecko? – dopytuje. – Coś jej zasugerowałaś?

– Aidan! Oczywiście, że nie.

– Może zrobiłaś to nieświadomie?

Osuwam się na krzesło przy kuchennym stole, starając się przypomnieć sobie tamtą niezręczną rozmowę z Sienną. Nie przychodzi mi do głowy nic, co mogłoby ją zachęcić, aby zatrzymała dziecko.

– Ani świadomie, ani nieświadomie – odpowiadam asekuracyjnie. – A poza tym to naprawdę nieistotne, czy jej coś powiedziałam, czy nie. Jeśli pragnie zatrzymać dziecko, to znaczy, że tak będzie dla niej lepiej. To nie jest kwestia jakichś czarodziejskich zaklęć z mojej strony.

Aidan potrząsa głową, patrząc mi w oczy. Potem krzyżuje ręce na piersi i wygląda przez okno. Blask zachodzącego słońca barwi szkła jego okularów na różowo.

– Molly – mówi cicho, odwracając się z powrotem do mnie – musisz mi powiedzieć: chcesz to zrobić czy nie?

– Jak to?

– Wydaje mi się, że od samego początku targają tobą sprzeczne uczucia odnośnie do adopcji. Wiem, że chciałaś mieć ze mną... biologiczne dziecko, ale musisz pogodzić się z tym, że nie było nam to pisane. Moim zdaniem nigdy w pełni nie zaakceptowałaś decyzji o adopcji.

Wpatruję się w niego z niedowierzaniem.

– Jak możesz tak mówić? – podnoszę głos. – Zrobiłam wszystko, co należało. Portfolio, spotkania, wizytacja, list do przyszłej matki. Bardzo się cieszyłam, że z nią porozmawiam – dodaję jakby na swoją obronę. – I uważałam na każde słowo.

– Możesz mi powiedzieć, tak szczerze, że wkładasz w to całe serce?

– Tak!

– Po prostu tyle się słyszy o różnych kobietach, które strasznie się emocjonują adopcją, żyją tym, nie są w stanie myśleć o niczym innym. A ty... Czasami mam wrażenie, że celowo się ociągasz.

Łzy szczypią mnie pod samymi powiekami. To okropne, że Aidan się mną rozczarował. A jeśli ma rację? Czy naprawdę wkładam w to całe serce?

– Nie ociągam się – mówię. – Ale rzeczywiście czuję strach.

Mój głos przechodzi w szept. To, że mogę mu to wyznać, przynosi mi olbrzymią ulgę.

– Nic na to nie poradzę – dodaję. – Boję się.

W jednej chwili Aidan łagodnieje. Wstaje i bierze mnie za rękę, podnosi z krzesła, zamyka w swoich ramionach.

– Czego się boisz? – pyta czule i muska wargami moje ucho, a ja w tej chwili myślę: to najlepszy człowiek pod słońcem. Będzie z niego wspaniały, wyrozumiały ojciec. Żałuję, że nie mogę otworzyć przed nim serca, ale jedno wyznanie pociągnęłoby za sobą następne, a na to nie pozwolę.

– Sama do końca nie wiem – mówię. – Może tego, że nie pokocham tego dziecka równie mocno, jak własnego, biologicznego?

– W to nie uwierzę – śmieje się Aidan. – Przecież bardzo kochasz Kaia i Olivera.

– Ale w nich płynie twoja krew.

– Dasz sobie radę – zapewnia mnie.

– Do tego denerwuję się całą tą otwartą adopcją – wyznaję. – Wiem, że tobie zależy na pełniejszym kontakcie z biologicznymi rodzicami niż mnie.

– Przecież się dogadamy – stwierdza Aidan. – Owszem, skłaniam się ku rozwiązaniu w pełni otwartemu, ale wszystko można uzgodnić. Nie fiksuj się na tym, kochanie. Jest jeszcze czas, żeby to omówić.

– Dobrze. – Opieram czoło na jego ramieniu. – Ja po prostu... W rozmowie z Sienną nie popełniłam żadnego błędu. Proszę cię, już nigdy nie oskarżaj mnie o coś takiego.

– Przepraszam. – Aidan wyciąga rękę, zamyka żaluzje i zasłania nas przed wzrokiem sąsiadów, a potem całuje mnie w usta. – Przepraszam – powtarza jeszcze raz, szeptem. Jego dłonie wsuwają się pod moją bluzkę, przebiegają po plecach, rozpinają mi stanik. Kończy się w sypialni. Kochamy się i jest tak samo dobrze jak zawsze, ale ja jestem w stanie w to włożyć tylko połowę serca. Po wszystkim leżę w jego ramionach. Dochodzę do wniosku, że moja przeszłość to ciężar. Niczym realny, namacalny obiekt, jak blokada drogowa, nie pozwala mi iść dalej, posuwać się naprzód.

Nie mam pojęcia, jak temu zaradzić.

Swannanoa

– Widzisz numery domów? – zapytał Russell, jadąc powoli ulicą Snapping Turtle Lane. Stacy miała mieszkać pod numerem dwadzieścia osiem, ale jak dotąd w tej smętnej okolicy nie wypatrzyliśmy jeszcze ani jednej tabliczki. Tutejsze domy były małe i ściśnięte jeden przy drugim, a zaparkowane samochody osobowe i dostawcze zajmowały mnóstwo miejsca na i tak bardzo wąskiej ulicy. Błąkaliśmy się tutaj od dziesięciu minut i bałam się, że będę musiała jechać z tatą do pracy i czekać, aż przyjmie wszystkich pacjentów.

– Czy to jest dwadzieścia osiem? – zapytał tata, który jak zwykle siedział na swoim wózku w środkowym rzędzie. – Tam, na słupie pod wiatą?

– Tak! – zawołałam z ulgą. Ósemka była przekrzywiona i leżała na boku, przypominając raczej znak nieskończoności niż cyfrę, ale tak, to na pewno tutaj.

Russell skręcił na podjazd tego domu, który bez problemu wygrałby konkurs na najbrzydszy dom pod słońcem. Kiedyś chyba był niebieski, ale farba poszarzała i teraz przypominała pleśń, a miejscami zupełnie odpadła. Rynna nad drzwiami wejściowymi sterczała pod kątem czterdziestu pięciu stopni, a dach wiaty obok domu się zapadł; fragmenty walały się po podłodze. W oknie na piętrze zauważyłam pękniętą szybę, przeciętą długą rysą, a na parterze wiatr szarpał zewnętrzne drzwi z siatki.

– Tu mieszkają ludzie, którzy mają w życiu pod górkę – skomentował tata, siedzący za moimi plecami.
– Może to jednak nie tutaj? – powiedziałam, bo nie mieściło mi się w głowie, że tak wygląda dom Stacy, tej samej Stacy z lśniącymi włosami i idealnym makijażem. Zanim jednak skończyłam mówić, w drzwiach stanęła właśnie ona. Złapała targane wiatrem drzwi z siatki, wyszła na ciasną werandę i pomachała do nas.

– Chyba jednak tutaj – mruknęłam, po czym zabrałam leżący pod nogami plecak i otworzyłam drzwi.

– Przyjedziemy po ciebie, kiedy twój ojciec skończy przyjmować pacjentów – obiecał Russell.

– Mniej więcej o wpół do piątej – sprecyzował tata. – Baw się dobrze.

– Spoko. – Wyskoczyłam z furgonetki i ruszyłam w stronę domu.

Stacy zerknęła nad moim ramieniem w kierunku samochodu.

– Twój tata też przyjechał? – zapytała.

– Tak, siedzi z tyłu – wyjaśniłam. – Jedzie do swojego gabinetu w Asheville. Przyjmie kilku pacjentów i wrócą po mnie o wpół do piątej.

– Super! – Stacy złapała mnie za rękę i wciągnęła do środka. – Zaczekaj, zaraz ci przedstawię mój plan!

Znalazłyśmy się w ciasnym, kwadratowym pokoju dziennym, gdzie pachniało sosem do spaghetti. Wszędzie, na meblach i na podłodze, walały się ręczniki, ciuchy, kasety wideo i książki.

– A gdzie twoja mama? – zapytałam.

– W pracy! – Stacy rozłożyła ręce radosnym gestem. – Mamy cały dom dla siebie i zgadnij, kto

przyjdzie.

Moja dłoń całkiem mimowolnie wsunęła się do kieszeni, a palce zacisnęły się na ametystowym amulecie.

– Kto?

– Bryan i Chris! Chris strasznie się napalił, żeby cię poznać.

Szkoda, że mnie nie uprzedziła, zrobiłabym coś z włosami. Przynajmniej z włosami. Uniosłam bezwiednie drugą dłoń do głowy, usiłując je przygłodzić.

– Kiedy tu będą? – zapytałam.

– Za jakieś pół godziny. Chodź, umalujemy się!

Poszłam za nią na górę, do małego, ciasnego pokoju, gdzie stały dwa tapczany. Jeden był niepościelony. Na każdym skrawku wolnej powierzchni walały się ciuchy i kosmetyki, a w powietrzu wisiał słodki, kwiatowy zapach.

Stacy zabrała z komódki swoją kosmetyczkę.

– O! – zawołała, wyciągając rękę po książkę leżącą na nieposłanym tapczanie. – To jest ta książka Judy Blume, o której ci opowiadałam. *Forever!* Zobaczysz, że ci się spodoba!

Podawała mi książkę. Dziewczyna na okładce wyglądała zupełnie jak ja, tylko o kilka lat starsza. To znaczy byłabym do niej podobna, gdybym nie nosiła okularów. „Poruszająca opowieść o utraconej niewinności”, głosił podpis pod ilustracją.

– Naprawdę fajny romans – zapewniła mnie Stacy. – A do tego piszą o wszystkim, co trzeba wiedzieć o seksie. Możesz mi zaufać.

– Dzięki. – Otworzyłam plecak i schowałam książkę do środka, a przy okazji zdjęłam okulary, które wsunęłam do wewnętrznej kieszeni. W życiu bym się nie pokazała nieznanemu chłopakowi w różowych okularach na nosie.

* * *

Umalowałyśmy się w ciasnej łazience, kolejno stając przed lustrem.

– On już widział na zdjęciu, że masz piegi, i mówi, że jesteś ładna, więc nie musisz ich kryć – powiedziała Stacy.

– Ale chcę – odparłam i wyciągnęłam rękę po jej czarodziejski podkład. „Bądź sobą”, powtarzał mój ojciec. „Niczego ci nie brakuje, jesteś idealna”. Słyszałam te słowa w głowie, ale nic mi to nie pomagało. Przy rodzicach rzeczywiście czułam się idealna; w tej chwili, obok jednej z najładniejszych dziewczyn w szkole, daleka byłam od tego.

– Mogę coś zrobić z fryzurą? – zapytałam, przyglądając się w lustrze jej prostym, lśniącym włosom.

– Przecież wygląda dobrze – odpowiedziała. – Chciałabym, żeby mi się włosy tak trochę unosiły, jak tobie.

Nie uwierzyłam jej. Niemożliwe, żeby zazdrościła mi włosów. Przeniosłam wzrok na twarz. „Z nią przynajmniej mogę coś zrobić”, pomyślałam, smarując piegi podkładem. Następnie drżącą ręką pomalowałam rzęsy tuszem i spojrzałam w lustrze w ciemne oczy Stacy, która uśmiechała się do mnie.

– Nie denerwuj się – powiedziała. – Będziemy tylko słuchać muzyki i rozmawiać.

– Nie denerwuję się – skłamałam. Odstawiłam tusz na półeczkę nad umywalką i wsunęłam dłoń do kieszeni, aby znów zacisnąć palce na moim kamieniu trosk.

* * *

Chris był chyba najprzystojniejszym chłopakiem, jakiego widziałam na własne oczy, pomimo że w przeciwieństwie do wszystkich facetów z moich plakatów miał blond włosy. No, może „najprzystojniejszy” to przesada, ale kiedy wszedł do salonu u Stacy i uśmiechnął się do mnie, jakbym była jedyną dziewczyną na ziemi, po prostu wymiękłam. Nawet patrząc na postery z Johnnym Deppem, nie czułam czegoś takiego. To było mocniejsze, głębsze i w ogóle lepsze. I trochę przerażające. Wydawało mi się, że jeśli nie zachowam zdrowego rozsądku, to zrobię coś naprawdę głupiego. I zresztą chciałam zrobić coś głupiego.

„Miłość od pierwszego wejrzenia”, pomyślałam. „A więc tak to wygląda”.

Bryan momentalnie dopadł Stacy i przyłgął do niej jak magnes. Był wysoki – z metr osiemdziesiąt – a jego włosy, tak samo ciemne i lśniące jak u niej, powiewały nad błękitnymi oczami. Wziął ją w ramiona gestem tak pełnym intymności, że zrobiło mi się słabo na sam widok. Zaczepił kciuki za pasek jej obciętych džinsów i pochylił głowę, po czym pocałował ją mocno i głęboko, aż odwróciłam głowę, zawstydzona. I napotkałam wzrok Chrisa, którego cała ta scena chyba mocno rozbawiła.

– Nie przy ludziach – mruknął, a ja się uśmiechnęłam. Oni jednak albo go nie słyszeli, albo nie chcieli słuchać, więc musiał ich obejść dookoła, aby się do mnie zbliżyć, bo sterczałam pod ścianą jak kołek.

– Fajny kawałek? – Skinął w stronę stojącego w rogu magnetofonu.

– Co? – zapytałam głupio. Nawet nie zauważyłam, że Stacy włączyła Bon Jovi. – Aha. Tak. Bardzo fajny.

Chris nawet trochę przypominał Jona Bon Joviego. Z każdą minutą wydawał mi się piękniejszy.

Podszedł do magnetofonu i zaczął przeglądać inne kasety, porozrzucane na blacie stołu. Nie wiedziałam, co w ogóle robić, dołączyć do niego czy zostać w miejscu, a Stacy i Bryan wciąż tkwili na środku pokoju, zwarci w namiętym pocałunku. Chris obrócił się i skinął na mnie, więc po chwili stałam obok niego, ciesząc się, że nie muszę już podpierać ściany. Wydawało mi się, że wyczułam od niego papierosy. Nie przepadałam za tym zapachem, ale teraz nieoczekiwanie wydał mi się, o dziwo, cudowny.

– A może to? – Chris pokazał mi kasetę Metalliki i zaśmiał się, kiedy zmarszczyłam nos z dezaprobatą.

– W porządku, niech będzie Bon Jovi.

Gdy odwróciliśmy się z powrotem, okazało się, że Stacy i Bryan gdzieś zniknęli.

– Posłuchali mojej rady – powiedział Chris. Trudno mi było uwierzyć, że Stacy poszła z Bryanem sama do pokoju, ale z miejsca, gdzie stałam, widać było kuchnię i jadalnię, więc jeśli nie wyszli na zewnątrz, to musieli być na górze.

Chris usiadł na kanapie i poklepał leżącą obok poduszkę.

– Pozwól, Molly Arnette. Opowiedz mi wszystko, co warto o tobie wiedzieć. – To było wspaniałe, że znał moje nazwisko. – Jesteś znacznie ładniejsza niż na zdjęciu ze szkolnego albumu.

– Dziękuję. – Usiadłam na odległość całej poduszki z kanapy. Mój umysł chyba szwankował. Miałam mu powiedzieć wszystko, co warto o mnie wiedzieć? Do głowy nie przychodziła mi nawet jedna inteligentna rzecz. Nie uważałam się za osobę nieśmiałą, ale może rzeczywiście taka byłam. Z piętra dobiegał śmiech. Naprawdę tam poszli. Stacy poczynała sobie znacznie śmieiej niż ja.

Chris sięgnął do kieszonki na piersi koszulki i wyciągnął skręta. Nigdy nie widziałam skręta na własne oczy, ale wiedziałam, co to jest.

– Przypalimy? – zapytał Chris i uniósł go w palcach.

Potrząsnęłam głową.

– Nigdy nie paliłam.

– Zawsze musi być ten pierwszy raz.

Rzęsy też miał jasne, długie i gęste. „Boże”, jęknęłam w myślach. „Co za facet”.

Kiedy wyciągnął niezapalony jointa w moją stronę, potrząsnęłam głową jeszcze raz. Czego się tak

bardzo bałam? Cóż, wiedziałam tylko, że nie mogę tego zrobić.

– Nie, dziękuję – powiedziałam.

– Nie, dziękuję – powtórzył z uśmiechem. Nie wyczułam kpiny, raczej droczył się ze mną. Odpowiedziałam uśmiechem. Chris zapalił skręta i zaciągnął się głęboko. Uznałam, że podoba mi się ten nieznan zapach.

– Stacy mówiła, że mieszkasz w rodzinnej posiadłości – zagaił. – Wy tam macie jakąś sektę?

– Co? Nie! – roześmiałam się. – Nic z tych rzeczy.

Wyjaśniłam, że ziemia należy do mojej rodziny od zawsze, a w miarę jak mówiłam, powracał spokój i opanowanie. Łatwo było mówić o Morrison Ridge, a jego to ciekawiło albo dobrze udawał.

– Jak na dziewczynę z rodziny, która ma własną posiadłość, wydajesz się całkiem normalna – powiedział.

– Własną ziemię – poprawiłam z naciskiem. Nie słuchał mnie czy co? – U nas nie mówi się „posiadłość”.

– Chodziłem do klasy z jedną gotycką laską. Jej rodzina też miała posiadłość – powiedział. – Walnięta była ta panna. Myślałem, że może tak to już bywa w takich rodzinach.

„O nie”, jęknęłam w duchu.

– To moja kuzynka Danielle – przyznałam się. – Jest w twoim wieku, więc pewnie...

– Tak! Właśnie tak miała na imię.

– Tylko ona jedna w całej rodzinie jest taka.

– W pewnym momencie zniknęła – przypomniał sobie. – Sądziłyśmy, że skończyła w wariatkowie.

– Chodzi do szkoły z internatem – poinformowałam go i nagle poczułam, że powinnam stanąć w obronie Dani. Szkolne życie musiało być dla niej trudniejsze, niż mi się wydawało. – Nie jest wcale taka zła.

Skręt wypalił się już prawie do połowy. W pewnym momencie, niemalże bezwiednie, przysunęłam się i sięgnęłam po niego. Chris uśmiechnął się i wsunął mi jointa pomiędzy kciuk a palec wskazujący.

– Zaciągnij się i na kilka sekund wstrzymaj oddech – poradził. – Postaraj się jak najdłużej nie wypuszczać dymu.

Przyłożyłam skręta do warg i wciągnęłam powietrze do płuc. Spodziewałam się, że zacznę kaszleć, ale nic takiego się nie stało. Nie wypuszczałam powietrza tak długo, że Chris zaczął się śmiać. Potem ja też parsknęłam śmiechem, a z ust buchnęła mi chmura dymu.

– Uroczą jesteś – powiedział, po czym wziął mnie za rękę i oparł dłoń na udzie. To było wspaniałe: poczuć na skórze ciepło jego skóry. Znów się zaśmiał. – Chyba jeszcze nigdy tak nikogo nie nazwałem – dodał. – Uroczą! Niesamowite słowo.

„Już jest na haju”, pomyślałam i zaciągnęłam się jeszcze raz. Chciałam poczuć to samo, co on. Chris wyjął mi skręta z palców i zgasił w popielniczce stojącej obok na stoliku.

– Na pierwszy raz wystarczy – powiedział. – To mocny stuff.

– Nic nie czuję.

– Za parę minut cię kopnie – usłyszałam, a potem: – Chodź tutaj.

Przyciągnął mnie, usadził przy sobie i zanim zdążyłam zrozumieć, co się dzieje, jego wargi dotknęły moich. Ten pocałunek przeszył mnie dreszczem od stóp do głów. Było znacznie lepiej niż w moich fantazjach na ten temat. Chris ułożył mnie na plecach, a ja obiecałam sobie: „Jeśli spróbuje czegoś więcej, zatrzymam go”. Ale on niczego nie próbował, lekko dotykał tylko językiem mojego języka. Bardzo mi się to podobało.

Miałam zawroty głowy – to było dobre, przyjemne uczucie – i nie wiedziałam, czy od marihuany, czy od całowania. „Mogę to robić bez przerwy”, myślałam, lecz nagle na schodach za naszymi plecami usłyszeliśmy kroki.

– Robimy popcorn! – zawołała Stacy. Miałam wrażenie, że jej głos dobiega z bardzo daleka. – Jesteście głodni?

Chris usiadł prosto i przyglądał mi się badawczo. Nie umiałam określić, jakiego koloru są jego oczy: niebieskie czy szare. Tak czy inaczej, ich spojrzenie było hipnotyzujące i najchętniej nie odrywałabym od nich wzroku.

– Burczy ci w brzuchu? – zapytał.

Rzeczywiście, byłam głodna. Chris podniósł się i pomógł mi wstać, a mnie nagle bardzo mocno zakręciło się w głowie.

– Zaraz, nie tak prędko – roześmiał się. – Z ciebie to zawodniczka wagi lekkiej. Następnym razem dostaniesz tylko jednego macha.

* * *

Usiedliśmy przy stole w kuchni. Był popcorn z mikrofalówki i dużo śmiechu. Z czego się śmialiśmy – nie pamiętam. Stacy miała czerwone wargi i obtarty podbródek; pomyślałam, że lepiej sprawdzę, jak sama wyglądam, zanim po mnie przyjadą. Zegar na piekarniku pokazywał trzecią pięćdziesiąt. Tata i Russell mieli tutaj być lada chwila. Zaczęłam się denerwować.

– Chłopaki, musicie stąd iść, zanim tata po mnie przyjedzie – powiedziałam.

– O której ma być? – zapytał Chris.

– O wpół do piątej.

– Piętnaście po już nas nie będzie – obiecał mi.

– Mów za siebie – mruknął Bryan.

Chris spojrzał na mnie przepaszającym wzrokiem.

– To jego wóz – wyjaśnił.

– Czeka przed domem – poradziła mi Stacy. – Wyjdź dwadzieścia po czwartej i wyglądam ich.

Wkurzyłam się, że nie chce mi pomóc, ale mimo wszystko przytaknęłam, nie spuszczać oczu z zegara. Mniej więcej o tej porze tata kończy ostatnią wizytę. Dojazd zajmie im co najmniej dwadzieścia minut. Jeszcze przez chwilę byłam bezpieczna... ale przecież przed domem stała furgonetka Bryana. Będę musiała wyjść na sam chodnik i zagadać ich przy wsiadaniu, to może nie zauważą.

* * *

Kiedy miska z popcornem była już pusta, Bryan i Chris poszli do salonu, żeby zmienić kasetę, a Stacy i ja zostałyśmy przy kuchennym stole, rozmawiając ściszymi głosami.

– Podoba ci się? – zaczęła ona.

– Fajny koleś. – Skinęłam głową.

– Co z nim robiłaś? – dopytywała.

– Tylko się całowaliśmy.

Nagle do kuchni wmaszerował Chris. Po mnie tylko prześlizgnął się wzrokiem, bo patrzył na Stacy.

– Jakiś czarny facet przyszedł po Molly – poinformował ją, a ja poczułam, że blednę.

– Boże! – Ukryłam twarz w dłoniach, myśląc gorączkowo. Powiem, że Chris to brat Stacy. Albo jej kuzyn. Albo coś tam. Kiedy opuściłam ręce, Chris i Stacy wpatrywali się we mnie wyczekująco. Poszłam do salonu, starając się zachować spokój. Bryan grzebał przy magnetofonie i chyba nawet nie zdawał sobie sprawy z sytuacji. W otwartych drzwiach wejściowych stał Russell. Minę miał poważną.

– Cześć, Russell! – powiedziałam nienaturalnie piskliwym głosem, idąc po swój plecak leżący na krześle w rogu pokoju. Ciekawe, czy wyczuł zapach trawki. Ja czułam tylko popcorn i miałam nadzieję, że jego woń maskuje wszystkie inne. – Wcześniej przyjechaliście – zauważyłam.

– Ostatni pacjent odwołał wizytę. Jesteś gotowa?

– Jasne! – Wciąż mówiłam za głośno, ale nie mogłam się opanować. Założyłam plecak na ramię, dygocząc na całym ciele.

– Gdzie są twoje okulary? – zapytał Russell.

– A, już. – Oparłam plecak o udo i zaczęłam go rozpinać, a moje dłonie nagle zrobiły się za duże i niezdarne. Wyciągnęłam okulary z wewnętrznej kieszeni i wsunęłam je na nos. – Na razie, Stacy! – zawołałam przez ramię i pobiegłam do furgonetki, wyprzedziwszy Russella, ale dogonił mnie i położył rękę na drzwiach, żebym nie mogła ich otworzyć.

– Oni są znacznie starsi od ciebie – powiedział z naciskiem.

– Nie rozumiem. – Kłamstwo pod tytułem „Chris to brat Stacy” stanęło mi kością w gardle. Nie mogłam tego wykrztusić.

– A ja myślę, że rozumiesz – odparł Russell. W jego łagodnych oczach cocker-spaniela malował się niepokój.

– Proszę cię – jęknęłam błagalnie. – Nie mów nikomu.

Bez słowa otworzył mi drzwi, a ja wsiadłam. Wszystko mi się trzęsło, nawet kolana.

– Cześć. – Odwróciłam się do siedzącego z tyłu taty. – Wcześniej dzisiaj skończyłeś.

– Dobrze się bawiłaś? – zapytał.

– Aha – przytaknęłam, odwracając się z powrotem. Bałam się, że jakimś sposobem wszystko po mnie widać. Może moje ubranie pachniało trawką? Usta piekły mnie po pocałunkach; powinnam była przejrzeć się w lustrze i sprawdzić, czy wargi mam tak samo czerwone i poobcierane jak Stacy. Furgonetka Bryana stała pod wiatą obok domu niczym olbrzymia czerwona flaga powiewająca na wietrze tuż pod samym naszym nosem. Przez okno z tyłu widać było pusty stojak na broń, a na zderzaku widniały dwie naklejki: LEPIEJ ODEJŚĆ Z HUKIEM, NIŻ PRZEMINAĆ BEZ ECHA oraz UBEZPIECZONY U SMITHA I WESSONA. Tylko czekałam, aż tata zapyta, czyj to samochód. Ja starałam się udawać, że w ogóle go tam nie ma.

Russell przekręcił kluczyk w stacyjce, ale silnik nawet nie zastukał, jak kilka dni wcześniej, kiedy jechaliśmy na tyrolkę.

– O nie. – Russell zmarszczył brwi, wpatrując się w deskę rozdzielczą. – Nie powinienem go w ogóle wyłączać. – Przekręcił kluczyk trzy razy, a ja poczułam, że wpadam w panikę.

– Spróbuj jeszcze raz – poprosiłam, sięgając do stacyjki, jakbym sama chciała go obrócić. – Może źle go trzymasz?

Russell posłał mi spojrzenie, które mówiło: „Kogo ty chcesz oszukać?”. Cofnęłam rękę, zapadając się w fotelu.

– Muszę poprosić twoją koleżankę, żeby pozwoliła mi skorzystać z telefonu – powiedział.

Było za gorąco, żeby tata mógł zostać w aucie, więc Russell opuścił platformę i przeprowadził jego wózek w cień za wiatą, pod którą zaparkował Bryan. Ustawił go pomiędzy szczątkami zapadniętego sufitu, leżącymi na betonowej podłodze. Ja tymczasem rzuciłam się biegiem do domu Stacy. I co zobaczyłam? Cała trójka siedziała sobie w salonie, paląc kolejnego skręta. „Boże”, jęknęłam w myślach.

– Zgaście to! – warknęłam. – Zaraz tu przyjdzie pomocnik mojego ojca, żeby skorzystać z telefonu. Nasza furgonetka nie chce zapalić.

– Jak to „pomocnik twojego ojca”? – powtórzył Bryan. – Twój ojciec jest jakimś generałem czy co?
– Jej ojciec jest niepełnosprawny! – zawołała Stacy, wrywając skręta z palców Chrisa i gasząc go w popielniczce na stoliku. – Lepiej znikajcie. Wyjdźcie od tyłu...

– Nie! – ostrzegłam. – Mój ojciec siedzi pod wiatą. Zobaczycie ich.

– No dobra, na górę! – zakomenderowała Stacy i wyniosła popielniczkę do kuchni. Bryan i Chris rzucili się do schodów, bo Russell już pukał we framugę połamanych drzwi z siatką.

Otworzyłam mu.

– Telefon jest w kuchni – poinformowałam zdyszczonym głosem.

Russell poszedł tam za mną. Wiedziałam, że wyczuł marihuanę. Musiał wyczuć. Może tylko nie znał tego zapachu.

– Dzień dobry, panie... – zająknęła się Stacy. Na blacie kuchennym stała pusta popielniczka.

– Ellis – podpowiedziałam.

– Panie Ellis – dokończyła. – Podobno ma pan problem z samochodem, przykro mi. Podać panu książkę telefoniczną?

Była niesamowita. Głos jej nawet nie zadrżał. Uśmiech był absolutnie szczery. Istna królowa lodu. Zdradzić ją mogły tylko czerwone usta i otarty podbródek.

– Tak, poproszę – powiedział Russell.

Stacy błyskawicznie sięgnęła po książkę telefoniczną leżącą na lodówce i położyła ją na blacie kuchennym.

Russell zaczął przewracać kartki, a my wymieniliśmy spojrzenia: ja – oszalałe ze strachu, ona – uspokajające. Nagle Russell przestał kartkować gruby tom i skierował wzrok na Stacy.

– Wiesz co? – odezwał się z namysłem. – Mam długie kable rozruchowe. Gdyby właściciel czerwonej furgonetki, która stoi na podjeździe, zechciał mi pomóc, sprawa byłaby załatwiona.

Patrzyłam w milczeniu, jak jego brązowe oczy łowią spojrzenie czarnych oczu Stacy. Zerknęła na mnie.

– To jest samochód mojego brata – wyjaśniła jak gdyby nigdy nic. – Zaraz go zawołam.

Wyszła do salonu i po chwili usłyszeliśmy jej kroki na schodach. Russell popatrzył na mnie przeciągle.

– Brata? – powtórzył. Wiedziałam, że nie uwierzył. Chciałam skinąć potakująco głową, ale na chceniu się skończyło. Russell chyba nawet nie zauważył, że próbowałam.

– Pójdę do taty. – Ruszyłam w stronę salonu, pragnąc jak najszybciej zejść mu z oczu.

– Molly – zatrzymał mnie, a gdy się odwróciłam, skinął głową w kierunku schodów. – Ta dziewczyna to nic dobrego – powiedział cicho.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Przecięłam salon i wyszłam pod wiatę. Tata uśmiechnął się do mnie.

– Russell wezwał pomoc? – zapytał.

Obok wiaty stała pusta lodówka turystyczna. Przyciągnęłam ją bliżej, przesunęłam nogą kawałek rozwalonego dachu, żeby się zmieściła obok wózka, po czym usiadłam na niej.

– Muszę ci coś wyznać – zaczęłam szybko. – Przyszło do nas dwóch chłopaków. To furgonetka jednego z nich, Bryana. Stacy powiedziała Russellowi, że Bryan to jej brat, ale to nieprawda. Nie wiedziałam, że tutaj będą. Przysięgam, nic nie...

– Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś – przerwał mi tata, a w tle trzasnęły drzwi na tyłach domu. – Mam nadzieję, że przewody Russella dosięgną aż tutaj – dodał.

Poczułam szczypanie pod powiekami. Tylko tyle? Nic więcej? Zamiast ulgi ogarnęły mnie jeszcze większe wyrzuty sumienia.

Nagle pod wiatą pojawili się Chris i Bryan. Wstałam, nie wiedząc, na kogo mam patrzeć: na nich czy na tatę. Bryan od razu skierował się do swojej furgonetki i uniósł maskę, ale Chris podszedł i wyciągnął rękę do taty.

– Dzień dobry – przywitał się, a ja na przekór wszystkiemu, co się wydarzyło w ciągu ostatniego kwadransu, rozpląnęłam się z miłości do niego.

Tata przyjrzał mu się z zagadkową miną.

– Nie mogę podać ci ręki – powiedział. – Ale miło mi. Jestem ojcem Molly, mam na imię Graham. A ty jesteś...?

– Chris Turner. – Chris opuścił wyciągniętą rękę.

W drzwiach wejściowych stanął Russell. Wszedł pod wiatę, pobrzękując kluczykami do furgonetki.

– Ten chłopak, Bryan, pomoże nam odpalić, doktorze – zwrócił się do taty. Nazywał go doktorem tylko wtedy, gdy chciał, aby ktoś traktował go z szacunkiem. Zawsze działało bezbłędnie.

– Doskonale – odparł tata.

Russell cofnął się do naszej furgonetki.

– Chodzisz do Owen High? – zapytał Chrisa mój ojciec.

– Tak, proszę pana.

– Po wakacjach zaczynasz ostatnią klasę?

– Tak.

– Znam psychologów z tej szkoły – poinformował go tata. – Dyrektora i wicedyrektora również. Znam ich wszystkich bardzo dobrze. To świetny zespół.

Raptem kilka słów, a wystarczyły, żeby Chris pobladł.

– Naprawdę? – wyjąkał, ale to w zasadzie nie było pytanie.

– Mhm – przytaknął tata, a ja zrozumiałam, że porozumiewają się teraz na poziomie znacznie głębszym niż słowa. „Ciekawe”, pomyślałam, „co szkolni psychologowie i dyrekcja Owen High wiedzą o Chrisie, że on tak się wije”.

– Chris, chodź, pomożesz! – zawołał Bryan, a na twarzy Chrisa odmalowała się ulga. Przeprosił nas i poszedł pomóc Bryanowi i Russellowi przy kablach rozruchowych.

* * *

Po uruchomieniu silnika Russell włączył klimatyzację, aby w środku zrobiło się chłodniej, po czym zabrał tatę spod wiaty. Ja poszłam z nimi. Chris stał obok speszony, z rękami wbitymi w kieszenie. Unikałam jego wzroku.

– Dzięki za pomoc – zwrócił się Russell do Bryana, a on skinął mu ręką.

– Zaczekaj chwilę, Russ – poprosił tata, kiedy byli już prawie na platformie. Obejrzał się na Chrisa. – Ona ma czternaście lat, Chris – powiedział. – Pamiętasz, jak to było?

– Pamiętam, proszę pana.

– Pamiętasz, czego chciałeś, kiedy miałeś czternaście lat?

– Tato... – jęknęłam błagalnie, paląc się ze wstydu. Marzyłam, żebyśmy już wsiedli do furgonetki i odjechali. To przypadkowe spotkanie było istną męką, nie zamierzałam go przedłużać ani o sekundę.

– Wiem, że człowiek w tym wieku potrafi już sam dobierać sobie towarzystwo – odpowiedział Chris, a tata spojrzął na niego przenikliwie.

– Uważaj, synu – powiedział, a Chris jakby skulił się w sobie.

Tata skinął głową w kierunku platformy, a Russell wprowadził wózek do środka. Spojrzałam na Chrisa. Próbowałam mu przekazać, jak bardzo mi przykro, ale kiedy uśmiechnął się do mnie, zrozumiałam, że tata nie zdołał go zastraszyć, a to, co się właśnie zaczęło między nami, bynajmniej się nie kończy.

* * *

Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek czuła się zdenerwowana w obecności mojego taty. To był pierwszy raz. Tamtego dnia, w drodze powrotnej do Morrison Ridge, miałam żołądek ściśnięty w twardą kulę, a w furgonetce wisiała cisza tak gęsta, że trudno było oddychać. Bardzo chciałam, żeby tata odezwał się chociaż słowem. Żeby na mnie nakrzyczał i koniec – mama na pewno by tak zrobiła – ale to nie było w jego stylu. Wyglądałam przez boczną szybę, odwracając głowę jak najdalej od Russella, a policzki mi płonęły. Zastanawiałam się, kto pierwszy się odezwie, bo na pewno nie ja.

Doczekałam się po dziesięciu minutach.

– No, Molly – tata w końcu przerwał milczenie – powiedz mi: gdybyś mogła przeżyć ten dzień jeszcze raz, jak on by wyglądał?

Boże. Naprawdę nie mógł wałnąć mi kazania jak zwyczajny ojciec?

– Nie wiem – odparłam.

– Owszem, wiesz.

Zawahałam się.

– Powiedziałabym Stacy, żeby nie zapraszała tamtych chłopaków.

– Nie wciskaj mi kitu! – prychnął tata.

Wyjrzałam przez okno. W oddali rozciągały się góry.

– Nie mam pojęcia, co byś wolał usłyszeć – przyznałam wreszcie.

– Mało istotne, co bym wolał – wyjaśnił. – Naprawdę chciałbym wiedzieć, co byś zmieniła w dzisiejszym dniu.

Zastanowiłam się. Pomyślałam, jak cudownie było mi z Chrisem. Tylko kilka pocałunków, niczego więcej nie próbował. A jak bosko smakowały...

– Szczerze? – zapytałam.

– Oczywiście.

– Chciałabym, żebyście przyjechali później i żeby furgonetka się nie rozkraczyła.

Tata wybuchnął śmiechem, głośnym śmiechem płynącym prosto z trzewi. Uśmiechnęłam się powściągliwie, spoglądając na Russella, który patrzył wprost przed siebie, na drogę, ale twarz mu nawet nie drgnęła.

– Uwielbiam w tobie tę szczerłość, Moll – powiedział tata. – Ale kiedy następnym razem odwiedzisz Stacy, mama albo ja porozmawiamy z jej mamą, aby mieć pewność, że będzie z wami ktoś dorosły.

– Dobrze. – Wiedziałam, że i tak mi się upiekło, a wraz z uczuciem ulgi przypomniałam sobie, jak Chris

leżał obok mnie na kanapie, jak jego wargi muskały moje wargi, a język wsuwał się do moich ust.
Nie mogłam się doczekać, kiedy znowu go zobaczę.

San Diego

Od rozmowy telefonicznej z Sienną upłynęły już dwa tygodnie, a ja wciąż myślę o niej kilkanaście razy dziennie. Czy się cieszy, że postanowiła zatrzymać dziecko? Mam nadzieję, że tak będzie dla niej najlepiej. Słabo znam tę dziewczynę – właściwie wcale – a mimo to martwię się o nią.

– Szkoda, że nie mogę porozmawiać z Sienną – mówię Aidanowi któregoś dnia przy śniadaniu, a on robi zaskoczoną minę.

– Za to można wylecieć z listy oczekujących na adopcję – przypomina mi. – Wiesz, że nie wolno ci w żaden sposób jej przekonywać.

– Nie to bym chciała zrobić. – Mieszam łyżką borówki w jogurcie. Odkąd Zoe przekazała nam, że Sienna zmieniła zdanie, w zasadzie nie mam apetytu. – Powiedziałabym jej tylko, że się nie gniewamy, nie mamy pretensji, nic z tych rzeczy – wyjaśniam. – Martwię się, że ona może mieć do siebie żal za takie załatwienie sprawy.

Aidan bierze banana i wkraja go do swoich płatków.

– Za bardzo się tym przejmujesz – mówi po chwili, po czym odkłada nóż i uśmiecha się do mnie pobłaźliwie. – Raz rozmawiałas z nią przez telefon, a ona przez połowę tej rozmowy sądziła, że jesteś inna, niż naprawdę jesteś.

Też muszę się uśmiechnąć. Aidan ma rację. Popadałam w przesadę.

– Ona już o tobie zapomniała – mówi dalej mój mąż. – Więc czemu ty wciąż o niej myślisz? – Unosi do ust łyżkę pełną płatków. – Będzie inne dziecko – dodaje, zanim łyżka dotyka jego ust. – Temu nie było pisane trafić do nas.

Przypominam sobie, że Sienna ma matkę, młodszego brata i koleżanki ze szkoły, które jadą na tym samym wózku, co ona.

– Mam nadzieję, że może liczyć na wsparcie od wielu różnych osób – mówię.

– To nie jest nasz problem. – Aidan bierze łyk kawy. – Daj już sobie z tym spokój.

– W porządku. – Unoszę ręce w geście kapitulacji. Słusznie. Moja niezręczna rozmowa z Sienną trwała raptem dziesięć minut. Dlaczego tak się o nią martwię?

* * *

Do wyjścia do biura zostało mi jeszcze pół godziny, więc nalewam sobie kolejną filiżankę kawy i idę do swojego biurka, żeby sprawdzić pocztę. Przebiegam wzrokiem listę e-maili, aż zatrzymuję się na adresie DanielleK422. Wpatruję się w niego przez kilka chwil, potem klikam.

Amalia znów jest w szpitalu. Moja mama dowiedziała się o tym pocztą pantoflową. Wygląda na to, że jest poważnie chora. Po którejś operacji na złamaną nogę złapała zakażenie i nie dali rady jej wyleczyć. Piszę ci o tym, bo może chciałabyś wiedzieć.

Czytam wiadomość dwa razy. Szczerze współczuję Amalii, że musi przez to przechodzić. Próbuję wyobrazić ją sobie, jak leży w szpitalnym łóżku i walczy o zdrowie, ale rysy jej twarzy rozmazują mi się w pamięci. Odpalam Google'a, wpisuję jej nazwisko i wybieram wyszukiwanie graficzne. Już kiedyś próbowałam znaleźć Amalię na zdjęciach, ale nic z tego nie wyszło. Nie mam pojęcia, skąd miałyby się wziąć w Internecie jej fotografia, ale mimo wszystko szukam, nie mogę się powstrzymać. Na monitorze wyświetla się szereg obrazów, a ja przebiegam je wzrokiem w poszukiwaniu Amalii. Tym razem znajduję. Powiększam zdjęcie, aby upewnić się, że to naprawdę ona. Ledwie ją poznaję. Ma dopiero sześćdziesiąt lat, ale jej włosy, długie i gęste jak kiedyś, są białe niczym kwiaty bawełny. Jest szczupła i ma na sobie luźną fioletową bluzkę. Jej styl nie zmienił się ani trochę. Stoi uśmiechnięta obok obrazu na sztalugach; otwieram stronę kliknięciem i dowiaduję się, że zdjęcie pochodzi z artykułu na temat warsztatów malarskich, które Amalia prowadziła w Asheville.

Nic mnie nie obchodzi, że spóźnię się na pierwsze przedpołudniowe spotkanie. Nie mogę oderwać wzroku od twarzy Amalii.

Całe miesiące, a nawet lata, nie poświęciłam jej choćby jednej myśli. Nie była w żaden sposób odpowiedzialna za to, co się stało, ale nigdy nie zdołałam jej wybaczyć tego, co zrobiła potem. Wiem, że przez te wszystkie lata nie raz usiłowała się ze mną skontaktować za pośrednictwem Dani; Nora też próbowała, ale moja kuzynka zachowała dyskrecję. Mam wobec niej dług wdzięczności. Bo Morrison Ridge to już dawno zamknięty dla mnie rozdział.

Mimo to siedzę i wpatruję się w zdjęcie Amalii. Dotykam palcami własnej twarzy. Policzków. Warg. Szukam podobieństwa, choć wiem, że go nie znajdę. Zawsze byłam córeczką tatusia. Nie ma jednak najmniejszych wątpliwości, że kobieta na ekranie komputera jest moją biologiczną matką.

Postanawiam do niej zadzwonić.

„Ale nie teraz”, myślę, wyłączając komputer. „Zadzwonię do niej, na pewno. Tylko jeszcze nie dziś”.

Morrison Ridge

Dzień po tym, jak poznałam Chrisa u Stacy, pojechałam na rowerze do Amalii. Kiedy dotarłam na polankę przed jej domem, ona właśnie chowała do samochodu koszyk z przyborami i środkami do czyszczenia. Przełożyłyśmy w tym tygodniu lekcję tańca na wtorek – czyli na dziś – bo w środę Amalia miała coś do załatwienia, mimo to nie była teraz w stroju do tańca, tylko w szortach i koszulce, a na mój widok zrobiła zdziwioną minę.

– Och, Molly! – zawołała. – Boże, kochanie, na śmierć zapomniałam, że przełożyłyśmy lekcję! A dzisiaj sprzątam u Claudii i Jima.

Zatrzymałam rower obok fotela wyrzeźbionego w pniu wyciętego drzewa. Na obręczy wiszącego na kierownicy koszyka usiadła ważka i trzepotała skrzydełkami.

– Aha... – westchnęłam rozczarowana. Chciałam spędzić trochę czasu z Amalią. I wyrwać się z domu. Po tym, co stało się poprzedniego dnia u Stacy, ciągle miałam wrażenie, że kiedy tylko się pojawię, wszyscy się na mnie gapią: tata, Russell, mama. Czuję na sobie ich wzrok, lecz coś mi mówiło, że ani tata, ani Russell nie powiedzieli nic mamie. Inaczej na pewno wzięłyby mnie na rozmowę.

Wpadłam w obsesję. Poznałam Chrisa niespełna dwadzieścia cztery godziny temu, a już nie mogłam myśleć o niczym innym. New Kids on the Block oraz Johnny Depp w milczeniu wodzili za mną obrażonymi spojrzeniami, źli, że ich zdradziłam. Poprzedniego wieczoru siedziałam w swoim pokoju i zrywałam się za każdym razem, kiedy w domu dzwonił telefon. Miałam nadzieję, że to Chris albo przynajmniej Stacy, ale nie, żadne z nich się do mnie nie odezwało, a gdy około dziesiątej próbowałam dodzwonić się do Stacy, nikt u niej nie podniósł słuchawki. Musiałam z nią porozmawiać, dowiedzieć się, co się działo, kiedy pojechałam. Bałam się, że tacie jednak udało się zastraszyć Chrisa.

– A może pojedziesz ze mną? – zaproponowała Amalia. – Wprawdzie nie będzie tak fajnie, ale przynajmniej pogadamy sobie, kiedy ja będę sprzątać.

– Mogę ci pomóc – powiedziałam, po czym zeskoczyłam z roweru i postawiłam go pod obciążonym pniem.

– Wskakuj. – Skinęła głową, a ja otworzyłam drzwi od strony pasażera i gdy wsiadłam, szybko obróciłam dyszę klimatyzacji do siebie.

Amalia wyjechała na główną drogę, biegnącą wokół całego Morrison Ridge.

– Zdaje się, że należą ci się podziękowania za zaproszenie na letnią zabawę – zagadnęła.

– O, świetnie! – zawołałam. – Babcia zostawiła ci kartkę?

– Zadzwoń! – wyjaśniła Amalia. – Była oziębła jak zwykle, ale przyznała, że tobie nie potrafi odmówić niczego. – Odwróciła się do mnie z uśmiechem na twarzy. – Dziękuję. – Pogładziła mnie po policzku grzbietem ciepłej dłoni. – Naprawdę bardzo chcę tam być. Od wielu lat Morrison Ridge jest także moim domem.

Zadygotałam ze złości.

– To nie w porządku, że tak cię tutaj traktują – powiedziałam.

– Nieważne. – Amalia wzruszyła ramionami. – Liczy się to, że mogę być blisko ciebie.

– Ale przecież jeśli ty zrobiłaś coś złego, tak samo winny jest tata – upierałam się. Nie odpowiedziała, a ja pospiesznie mówiłam dalej w obawie, że zmieni temat, jak na ostatniej lekcji w zeszłym tygodniu: – Nie miałam pojęcia, że pewnego dnia po prostu pojawiłaś się tutaj ze mną. Nie wiedziałam nawet, czy byliście z tatą małżeństwem, kiedy się urodziłam.

Amalia się uśmiechnęła.

– Nigdy o to nie pytałaś, a my postanowiliśmy poczekać, aż sama się zainteresujesz. Woleliśmy nie obciążać cię taką wiedzą, dopóki nie poczujesz się gotowa.

Minęłyśmy dom babci, a między drzewami mignęła platforma naszej tyrolki. Miałam wrażenie, że zjeżdżaliśmy na niej już wieki temu, choć przecież minęło zaledwie kilka dni. Wiedziałam, że muszę wymyślić nową atrakcję dla taty. Tym razem nieco mniej męczącą. Bałam się, że wczorajsze katastrofy – problemy z furgonetką i ze mną – przesłoniły mu radość z żeglowania na wietrze.

Kiedy tyrolka została za nami, odwróciłam się z powrotem do Amalii.

– Myślałaś kiedyś o tym, żeby mnie zatrzymać?

Chwilę wahała się z odpowiedzią.

– Nie nadaję się na matkę, Molly – wyznała wreszcie.

Zakłuło mnie w piersi. Tyle kobiet nie nadaje się na matki, a mimo to ma dzieci. Czy Amalia cieszyła się, że może się mnie pozbyć? W jakiś sposób fakt, że zapomniała o przełożonej lekcji, zdawał się pasować do tego, że była gotowa oddać mnie tacie. Musiała odczuwać wielką ulgę.

Nagle poczułam na sobie jej wzrok.

– Bardzo cię kochałam, bardzo – zapewniła. – Ale uznałam, że lepiej będzie ci u taty i Nory niż z samotną mamą... do tego postrzeloną. – Wzruszyła ramionami. Uśmiechnęła się. – Nora wspaniale spełnia się w swojej roli, prawda? Twoje potrzeby są dla niej na pierwszym miejscu. Urzeczywistniły się moje nadzieje. A jej na pewno nie było łatwo znieść w pobliżu dawną kochankę swojego męża.

Na dźwięk słowa „kochanka” aż się wzdrygnęłam. To nic przyjemnego wyobrazić sobie swojego ojca jako kochanka jakiejś kobiety – żadnej kobiety – ale ostatnio takie myśli same mi się pchały do głowy, czy mi się to podobało, czy nie.

Amalia skręciła w drogę prowadzącą do domu cioci Claudii i wujka Jima.

– Nora nie ma serca na dłoni – powiedziała. – Ale jest osobą nad podziw praktyczną, a kiedy się pojawiłaś, przyjęła cię jak własną córkę. Trafili ci się świetni rodzice, nie uważasz?

Przytaknęłam.

– To prawdziwe szczęście, że mam was troje – przyznałam, choć wiedziałam, że ta nowa, dokuczliwa zadra długo jeszcze będzie dawać mi się we znaki.

* * *

Spośród pięciu domów Morrison Ridge ten, w którym mieszkała ciocia Claudia z wujkiem Jimem, prezentował się najgorzej ze wszystkich – piętrowy, pomalowany na beżowoszary kolor, z czarnymi listwami wykończeniowymi, w gruncie rzeczy mało widoczny, bo na polanie przed nim stały trzy stare samochody i jedna stara furgonetka. Pod jedną ze ścian rosły paskudnie zapuszczone krzewy, a schody prowadzące do drzwi frontowych niemalże ginęły pod długimi, zielonymi, liściastymi pędami bluszczu.

Dawno nie byłam w środku. Sięgnęłam pamięcią wstecz. Ostatni raz na imprezie z okazji trzynastych urodzin Dani. Wtedy jeszcze wyglądała zwyczajnie, miała takie same pospolicie brązowe włosy jak ja i w ogóle się nie malowała. W takim razie ja miałam dziesięć lat. Z tamtego dnia zapamiętałam tylko tyle,

że ciocia Claudia kazała Dani podzielić się ze mną koralikami do robienia wisiorów, a ona, zamiast dać mi się pobawić, cisnęła cały zestaw do sedesu. Szczerze jej nie znosiłam. Mama zapewniała mnie, że kiedy trochę podrośniemy, to się polubimy, ale nie umiałam sobie tego wyobrazić.

Już w progu przypomniałam sobie ten charakterystyczny zapach. Nic innego tak nie pachniało. Przywodził na myśl aromat pieczonego chleba, ciepły, drożdżowy.

– Piwo Jima – wyjaśniła Amalia. – Cały dom przesiąknął tym zapachem.

– Chyba mi się podoba. – Nie potrafiłam się zdecydować. Zapach wydawał się przyjemny, ale miał dziwną, kwaśną nutę.

– Mnie też, tylko w małych dawkach – odparła Amalia, stawiając koszyk z przyborami do sprzątanania na kuchennym stole. – Przynajmniej nie czuć smrodu papierosów, które tu kopca. Kiedy kończę tu sprzątać, marzę o jednym: wejść pod prysznic i zmyć z włosów ten zapach.

– Cicho... – syknęłam, obawiając się, że ktoś może być w domu.

– Spokojnie, nikogo nie ma. – Amalia otworzyła szafkę pod zlewem i wyjęła butelkę płynu do naczyń. – Jim pojechał do pracy, wywozić śmieci, Claudia ma dzisiaj kółko krawieckie czy coś w tym stylu, a Dani też coś robi, tylko nie pamiętam, co konkretnie.

– Pewnie kupuje w galerii handlowej kolejne czarne ciuchy.

Amalia uśmiechnęła się szeroko.

– Nie bądź dla niej zbyt surowa. – Odkręciła wodę w zlewie i wycisnęła trochę płynu. – Kiedy pojawiłam się z tobą w Morrison Ridge, ona miała najgorzej ze wszystkich. Oprócz, rzecz jasna, Nory.

– Dani? Dlaczego? Przecież była małym dzieckiem.

– Dlatego że twój ojciec ją hołubił – wyjaśniła Amalia, wsuwając palce pod bieżącą wodę, żeby ustawić temperaturę. – Była małą księżniczką, a nagle pojawiłaś się ty i go jej zabrałaś. Miej dla niej trochę współczucia.

To mnie zaskoczyło, chociaż kiedy się nad tym zastanowiłam... Rzeczywiście, tata zawsze był bardzo miły dla Dani. Gdy ktoś z rodziny wyśmiewał się z jej makijażu albo dziwactw, on stawał w jej obronie i mówił, że ona jest ptakiem, który dopiero uczy się latać, albo coś takiego.

Niemniej jednak w tym domu było brudno jak w chlewie, przynajmniej w kuchni i części salonu, który zdążyłam zobaczyć. U nas zawsze było „ogarnięte”, jak mówiła Nora.

– U Bess, to znaczy twojej babci, sprzątam cały dom w dwie godziny, u Trevora i Toni tak samo. – Amalia zakręciła kran i wytarła dłonie w ścierkę do naczyń. – Tutaj pracuję minimum cztery. Toni zawsze robi porządek, zanim przyjdę, ale Claudia... Spójrz tylko na ten bałagan. To specjalnie dla mnie, zapewniam cię.

– Specjalnie dla ciebie?

– Claudia zawsze uwielbiała Norę, więc kiedy ja się pojawiłam... No cóż, nie podobał jej się pomysł, żebym zamieszkała w Morrison Ridge. Myślała, że rozbiję rodzinę. – Amalia uśmiechnęła się. – Nigdy bym nie zrobiła tego Norze. – Odsunęła od kuchennego stołu jedno krzesło. – Może usiądziesz tutaj i dotrzymasz mi towarzystwa, a ja wezmę się do pracy?

– Mam posprzątać któryś pokój? – zaproponowałam.

– Och, nie musisz mi pomagać, Molly. Gdyby mi płacili, to co innego, mogłabym ci trochę odpalić, ale mi nie płacą, więc nie powinnaś mi pomagać. Możesz włączyć sobie radio i potańczyć albo po prostu pogadać ze mną.

Usiadłam na krześle i oparłam łokcie o stół.

– Nie płacą ci? – Zawsze mi się wydawało, że sprzątanie domów to dla Amalii praca zarobkowa.

– Cóż, nawet jeśli mi płacą, to w każdym razie nie pieniędzmi – odparła, po czym naciągnęła żółte gumowe rękawice i zabrała się do zmywania naczyń wypełniających zlew. – Za to mam gdzie mieszkać,

a to naprawdę bardzo dużo, więc nie narzekam.

– Ale... Za co kupujesz jedzenie, ubrania i inne potrzebne rzeczy? – Przypomniało mi się, że jej włosy zawsze pachniały kwiatami wiciokrzewu. – Szampon i tak dalej?

Nie odpowiedziała od razu, a ja nie wiedziałam dlaczego: czy tak ją pochłonęło skrobanie patelni, czy może nie chciała mi tego mówić?

– Dostaję pieniądze od twojego taty – odezwała się wreszcie. – Co miesiąc. Niewiele, ale wystarczy.

– Czy mama o tym wie? – zapytałam niemalże szeptem.

– Ach, oczywiście! – Amalia opłukała patelnię pod kranem. – On nigdy by nie zrobił czegoś takiego za jej plecami.

Potrząsnęłam z niedowierzaniem głową.

– Normalnie dom wariatów! – zaśmiałam się głośno.

– Proszę cię, nie mów tak – powiedziała Amalia, odstawiając patelnię na suszarkę. – Nie cierpię tego słowa.

– Wariat? – Nie byłam pewna, czy chodzi jej o to słowo, czy może o „dom”.

– Tak. Nie znoszę go. – Zgarbiła się, a potem odwróciła do mnie. – Cieszysz się na trasę promocyjną książki taty? – zagadnęła, po swoim zmieniając temat.

– Tak – odparłam, podejmując ten nowy wątek. Przypomniało mi się, że Amalia kiedyś uczyła tańca w szpitalu psychiatrycznym, gdzie pracował tata. Na pewno właśnie tam dostała alergii na określenie „wariat”. – Oprócz spotkań autorskich ma kilka wywiadów w rozgłosniach radiowych. Fajnie, co?

Rano zadzwoniła agentka taty i podała nam adresy rozgłosni radiowych w Charlotte i Raleigh. Niestety, chyba zapomniała, że tata jest niepełnosprawny, więc na parę godzin musiała zawiesić cały plan, żeby najpierw się upewnić, czy wszystkie studia są przystosowane do potrzeb osób na wózkach.

– Super – zgodziła się Amalia.

– Ale też się denerwuję – wyznałam szczerze. – Chcę, żeby ta trasa była dla taty naprawdę fajnym przeżyciem.

I kolejną szansą, aby mu pokazać, że jest cenionym człowiekiem; chciałam też, żeby miło spędził czas.

Amalia zdjęła rękawice i powiesiła je na suszarce. Potem uśmiechnęła się do mnie.

– Boże, jak ja cię kocham – powiedziała. – Jesteś wspaniałą córką, Molly.

Opuściłam wzrok i przyglądałam się moim leżącym na blacie stołu dłoniom. Nie czułam się jak dobra córka. Cała ta trasa miała jeden ogromny mankament i w zasadzie bez przerwy myślałam tylko o tym: jeśli po wczorajszym Chris jednak zdobędzie się na odwagę i zadzwoni, to mnie przecież nie będzie w domu i nie porozmawiamy.

Amalia wzięła gąbkę i zaczęła wycierać kuchenny blat.

– Podobno w twoim życiu pojawił się chłopak – rzuciła, nie patrząc na mnie.

Dosłownie opadła mi szczęka. Skąd wiedziała, że właśnie on zaprzętał moje myśli? Jak to możliwe, że tata już jej o tym powiedział? Od awarii samochodu u Stacy nie upłynęła nawet doba. Kiedy zdążył to zrobić?

– Czy tata jest na mnie naprawdę taki zły, jak mi się wydaje? – zapytałam.

Amalia uniosła brwi, zaskoczona.

– Widziałaś kiedyś, żeby się złościł?

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Martwi się, owszem – przyznała Amalia. To brzmiało znacznie lepiej. – No więc jaki on jest? Ten nowy chłopak?

Poczułam, że się rumienię, a moje usta rozciągają się w uśmiechu.

– Przystojny – odpowiedziałam. – I bardzo miły.

– Seksowny? – Spojrzała na mnie bacznie.

– Amalia! – Policzki mi płonęły. – Nie wiem! Pewnie tak. Jest podobny do Jona Bon Joviego. Wiesz, o kogo chodzi?

– Oczywiście. – Przetawiła toster i wytarła blat pod spodem.

– Ale chyba tata wszystko popsuł, bo wziął go na przesłuchanie. Nie spodobało mu się, że Chris jest ode mnie o trzy lata starszy.

Amalia parsknęła śmiechem.

– I kto to mówi! – powiedziała, a ja przypomniałam sobie, że tata jest o dziewięć lat starszy od niej, a przecież byli razem.

– No właśnie! – podchwyciłam. – Czysta hipokryzja! – Poczułam nagle, że obie gramy w jednej drużynie. – A powiedz – zagadnęłam – miałaś chłopaka, kiedy byłaś w moim wieku?

– O nie. – Zaśmiała się tylko. – O tym rozmawiać nie będziemy! – Odwróciła się do mnie, a ja zobaczyłam, że jej twarz nagle poczerwieniała. – Wiesz, w czym mogłabyś mi pomóc? Zbierz porozrzucone rzeczy. Przynieś mi wszystkie brudne naczynia, jakie wpadną ci w oko, i poodsuwaj meble, na ile dasz radę, a ja odkurzę. Dobrze?

– Jasne – mruknęłam, wstając z ociąganiem. I to już był koniec poważnych rozmów na dziś.

Następnego dnia wyszłam wieczorem na werandę i usiadłam na huśtawce, żeby poczytać *Forever*, książkę pożyczoną od Stacy. I wtedy przejrzałam na oczy! Całą sobą wyrывałam się do Chrisa. Pragnęłam znów go pocałować. Chciałam stworzyć z nim związek, głęboki i pełen miłości, jak Katherine i Michael z książki. Nie podobało mi się tylko jedno: że Michael nazywał swojego członka Ralph. Miałam nadzieję, że Chris nie ma takiego zwyczaju albo chociaż wymyślił coś mniej idiotycznego.

Następnego dnia wyruszyliśmy – tata, Russell i ja – w trasę promocyjną książki taty. To oznaczało pożegnanie z nadzieją na spotkanie albo rozmowę z Chrisem. Prawdę mówiąc, on jakoś specjalnie nie starał się ze mną skontaktować, ale dopóki byłam w domu, było to przynajmniej możliwe.

Przeczytałam już spory fragment, kiedy nagle na drodze prowadzącej do naszego domu usłyszałam warkot silnika samochodu. Rosło tutaj tyle drzew, że zawsze najpierw było słychać, że ktoś jedzie. Uniosłam wzrok, zaciekawiona, a chwilę później na naszym podjeździe stanęło małe, zielone auto Dani.

Poczułam napięcie. Amalia mówiła, że zanim się pojawiłam, Dani była małą księżniczką mojego taty, lecz straciłam do niej serce jeszcze bardziej, gdy zobaczyłam, jaki chlew ona i jej rodzice zostawiają Amalii do sprzątania. Pokój Dani był pod tym względem wyjątkowo ohydny: na komodzie zalegały brudne talerze ze skamieniałymi resztkami jedzenia, a na podłodze stos ubrań sięgający kolan.

Dani podjechała prawie pod same schody na werandę, wysiadła, otworzyła tylne drzwi i wyjęła z samochodu kilka blach do pieczenia. Wiedziałam, że mama poprosiła o nie ciocię Claudię, żeby zrobić przystawki na zabawę.

Wstałam z huśtawki i położyłam książkę z boku, pod samym podłokietnikiem, okładką do dołu. Nie chciałam, by Dani zobaczyła, co czytam.

– Cześć – przywitałam się, kiedy była już na schodach. – Pomóc ci?

Nie odpowiedziała. Po wejściu na werandę stanęła bez ruchu, patrząc na mnie i trzymając blachy w obu rękach, niczym stos olbrzymich albumów. Miała na nosie okulary przeciwsłoneczne, a gdy uniosła je na czoło, ukazały się jej obrysowane czarną kredką oczy.

– Czyli co? – zapytała prosto z mostu. – Kręcisz z Chrisem Turnerem?

No proszę. Niby skąd o tym wiedziała? Pomimo zaskoczenia zrobiło mi się niesamowicie przyjemnie, że jedno przelotne spotkanie z Chrisem wystarczyło, aby pojawiły się plotki.

– Nie wiem, o co ci chodzi – odparłam.

– Nie zgrywaj niewiniątka. Wiem, że się widzieliście.

– Skąd?

– Od niego. Spotkałam go w galerii handlowej.

Rozmawiał z nią? To było wstrętne. Wstrętne!

– I co powiedział? – zapytałam, starając się panować nad głosem.

Dani poprawiła blachy wysuwające się jej z rąk.

– Ciekawa jesteś, co?

Czułam, jak płoną mi policzki. Wróciłam na huśtawkę.

– Wszystko mi jedno. – Wydełam wargi w udawanym grymasie, że w ogóle mnie to nie obchodzi. Ale,

szczerze mówiąc, bałam się usłyszeć, co powiedział Chris.

Dani usiadła na jednym z foteli na biegunach, stojących obok huśtawki. Blachy do pieczenia położyła sobie na kolanach.

– Słuchaj, Molly – zaczęła. – Chris kręci z każdą, więc się nie przywiązuj. Nie jesteś dla niego nikim wyjątkowym, rozumiesz? Nie chcę, żebyś cierpiała.

Próbowałam się zaśmiać, ale zabrzmiało raczej tak, jakby ktoś mnie dusił.

– Och, och – prychnęłam. – Pierwszy raz w życiu wzięłaś moją stronę.

– Daj spokój. – Ani na chwilę nie zdejmowała ze mnie spojrzenia swoich błękitnych oczu. – Jesteśmy rodziną. Jak przychodzi co do czego, musimy trzymać się razem, więc to chyba jasne, że stanęłam po twojej stronie.

Powiedziała to tak szczerze, że prawie jej uwierzyłam.

– Chris to kiepski wybór – ciągnęła. – Wykorzysta cię, bo wie, że jesteś jeszcze dzieckiem i nie masz o niczym pojęcia.

– Dziękuję ci bardzo, ale sama potrafię o siebie zadbać – oznajmiłam, myśląc przy tym, że teraz, po lekturze *Forever*, mam już zdecydowanie większe pojęcie niż jeszcze kilka godzin wcześniej.

Dani westchnęła i wstała z fotela.

– Na tylnym siedzeniu w moim aucie jest lodówka turystyczna – powiedziała. – Możesz ją zabrać? Ciocia Nora chciała ją pożyczyć.

Zeszłam po schodach, tupiąc gniewnie, a policzki wciąż mi płonęły na myśl o tym, że Chris rozmawiał o mnie z Dani. Może wyśmiewał się z tego, jak całuję albo że jestem płaska jak deska, albo że tak szybko się upaliłam, albo... jeszcze z czegoś innego? Wytaszczyłam lodówkę z tylnego siedzenia i zaniósłam ją po schodach do domu. W drzwiach, na samym progu, w moje nozdrza uderzył smród odchodów; od razu wiedziałam, że tacie przydarzyła się awaria. Danielle, która położyła już blachy do pieczenia na blacie kuchennym, ścisnęła dłońią usta, jakby zaraz miała zwymiotować.

– Boże! – jęknęła. – Muszę stąd wyjść.

Cofnęła się do salonu, gdzie były drzwi na zewnątrz. Zrobiło mi się wstyd za tatę. Ostatnio zdarzało mu się to coraz częściej, przynajmniej raz w miesiącu, a do tego bez konkretnego powodu. Z sypialni dobiegały głosy: to mama i Russell rozmawiali z nim.

Wróciłam na werandę. Stała tam Dani, stała i głęboko oddychała świeżym powietrzem. Spojrzała na mnie.

– Ohyda – mruknęła.

– To nie jego wina – odparłam.

Dani obejrzała się w stronę drzwi.

– Do bani takie życie – skrzywiła się.

– Nieprawda – sprzeciwiłam się ostro. – Nie masz prawa tak mówić.

– Uwięziony we własnym ciele – dodała Dani. – Pewnie myśli, że jego życie jest pozbawione sensu.

Na te słowa po prostu się wściekłam.

– Pozbawione sensu?! – krzyknęłam, zaciskając pięści. – Jego życie ma sto razy więcej sensu niż życie twojego ojca. Mój ojciec codziennie pomaga ludziom. A twój co? Albo wywozi śmieci, albo siedzi na tyłku i zabija się papierosami, albo robi piwo, które jest beznadziejnie głupie, a w ogóle to... śmierdzi!

Dani spojrzała na mnie przenikliwie.

– No proszę, wyrosła z ciebie suka pełną gębą. – Zaśmiała się paskudnie, wskazując kciukiem mój dom. – I ty mówisz, że to mój ojciec śmierdzi?

Zalała mnie nagle fala tak bezbrzeżnej nienawiści, jakiej jeszcze nigdy w życiu nie doświadczyłam. Rzuciłam się na Dani i przewróciłam ją na podłogę werandy. Usiadłam na niej okrakiem i walnęłam

pięścią prosto w twarz. Gdy kostki moich palców wbiły się w jej policzek, poczułam się jak opętana. Dani zawyla z bólu, a jej krzyk przywrócił mi przytomność. „Co ja wyrabiam?”, pomyślałam.

Szybko zerwałam się na równe nogi i splotłam dłonie za plecami. Przeraził mnie własny gniew. Dani uniosła się powoli i usiadła, ściskając dłonią czerwony policzek. W jej oczach płonęły szkliste łzy.

– Ty rozpuszczona mała zdiro! – wrzasnęła. – Jesteście wstrętne przybłędy, ty i ta twoja kopnięta matka! Ciocia Nora powinna ją przepędzić, kiedy zjawiła się, żeby cię im podrzucić. Wszystkim nam byłoby lepiej bez niej i bez ciebie.

– Wcale mnie nie podrzuciła – powiedziałam. – To była propozycja. Mama nie mogła mieć dzieci i...

– Propozycja? – prychnęła Dani, na przemian otwierając i zamykając usta, jakby chciała sprawdzić, jak mocno oberwała. Skóra na kości policzkowej zaczynała jej już sinieć. – A kto cię karmi takimi bajeczkami?

Wiedziałam, że coś pokręciłam. Tata opowiedział mi to trochę inaczej, ale uznałam, że nie odbiegam aż tak daleko od prawdy.

– To nie jest żadna bajeczka. – Potarłam dłoń, którą ją uderzyłam. Kostki palców mrowiły. – Amalia nie mogła się zaopiekować małym dzieckiem, jak należy, więc przywiozła mnie do taty i wtedy...

– Nie byłaś małym dzieckiem. – Dani wstała powoli, przytrzymując się poręczy fotela na biegunach, a ja cofnęłam się o krok. – Miałas już dwa lata.

– Nie – poprawiłam ją. – Byłam jeszcze mała.

– Miałas dwa lata – powtórzyła z naciskiem, otrzepując tył swoich czarnych dżinsów. – Wiem chyba, co mówię? Miałam pięć lat. Pamiętam, jak wszyscy mówili, że będę miała się z kim bawić, a ja tylko przewracałam oczami, bo jaki pożytek z dwulatki? To babka z opieki społecznej przywlekła Amalię tutaj i wspólnie podrzuciły cię wujkowi Grahamowi i biednej cioci Norze. Ciocia musiała cię przyjąć, żeby nie stracić męża. Pewnie nawet nie jesteś jego.

Do tej pory miałam w głowie taki obraz: Amalia staje w progu naszego domu z niemowlęciem w miękkim kocyku, a następnie przekazuje mnie w ręce taty. Teraz ten obraz zaczął się rozmywać.

Dani oparła się o balustradę werandy.

– Miałas ślady na ciele – powiedziała. – Jakiś sąsiad doniósł na Amalię, że zaniedbuje dziecko. To wariatka. Wiesz, że kiedyś leczyła się w szpitalu, w którym pracował twój ojciec, prawda? Potem dali jej tam pracę i niby uczyła tańca. Nikt jej tutaj nie chciał, ale wujek Graham się uparł, a on zawsze umiał postawić na swoim. – Znów obejrzała się w stronę domu. Mama i Russell przebierali pewnie tatę w czyste ubranie. Na twarzy mojej kuzynki dostrzegłam przebłysk szczerego współczucia. – I teraz za to płaci – zakończyła Dani.

– Nie wierzę ci – oznajmiłam, otwierając drzwi. Weszłam ciężkim krokiem do domu i zatrzasnęłam je za sobą. W środku unosił się teraz cytrusowy zapach odświeżacza do powietrza. Oparłam się plecami o drzwi i wdychałam go mocno, ze wszystkich sił starając się wyrzucić z głowy ostatnie pół godziny.

Godzinę później wróciłam z książką na huśtawkę. Właściwie tylko próbowałam czytać, bo wciąż dźwięczały mi w głowie słowa Dani i nie byłam w stanie o niczym innym myśleć. Nie mogłam pozbyć się wrażenia, że powietrze na werandzie wciąż jest skażone jej wstrętnymi słowami. W pewnym momencie Russell wyprowadził na werandę tatę na wózku.

– Aha, tutaj jesteś – powiedział tata takim tonem, jakby szukał mnie po całym domu. – Oderwiesz się na chwilę od książki i popisziesz ze mną trochę? Chcę zrobić notatki do jutrzejszego wywiadu w radiu.

– Dobrze. – Zamknęłam książkę i powoli wstałam.

– Cóż za entuzjazm! – zaśmiał się. – Może wolisz później, wieczorem?

– Nie, chodźmy teraz. – Zerknęłam na Russella. – Sama zabiorę go do domu – powiedziałam i spojrzałam mu prosto w oczy, chyba po raz pierwszy od katastrofy u Stacy. Ulżyło mi, kiedy odpowiedział uśmiechem.

– Gdybyś mnie potrzebował, Graham, zawołaj – rzucił przez ramię i zniknął za drzwiami.

Trochę się namęczyłam, aby przeprowadzić wózek przez próg. Niosłam książkę, więc nie mogłam dobrze chwycić za ręczki, ale w domu poszło już gładko. Przypomniało mi się, że kiedy miałam dziewięć lat, złapałam jakiegoś wirusa i rozchorowałam się w szkole na żołądek. Nigdy nie zapomnę, jakiego wstydu się najadłam, gdy nie zdążyłam do łazienki. Czy może być coś bardziej upokarzającego? A przecież byłam jeszcze dzieckiem, natomiast mój ojciec, dorosły człowiek, musiał nosić pieluchy. Nie był w stanie sam się podetrzeć. Patrzyłam na jego skronie, gdzie siwe włosy powoli wypierały czarne, na jego dłonie leżące na poręczach fotela, podobne do białych, skręconych muszli. Nagle poczułam, że go kocham, było to tak obezwładniające uczucie, że zatrzymałam wózek na środku korytarza, objęłam go mocno i przycisnęłam policzek do jego skroni.

– Hej... – odezwał się cicho. – A to za co?

– Kocham cię – powiedziałam, nie wypuszczając go z objęć na tyle długo, że na pewno poczuł się dziwnie.

– Co się dzieje, Moll? – zapytał.

– Nic. – Wzięłam się w garść, wyprostowałam i chwyciłam za ręczki wózka.

* * *

W gabinecie usiadłam do komputera, tak jak zawsze. Zostawiwszy książkę na biurku, położyłam palce na klawiszach.

– Co teraz czytasz? – zainteresował się tata. Próbował sam odcyfrować tytuł, ale chociaż Russell wymienił mu zagłówek i zainstalował z powrotem stary, i tak nie mógł wyciągnąć szyi na tyle, żeby przyjrzeć się okładce.

– Powieść – odparłam. – Nazywa się *Forever*.

– Judy Blume? – zapytał.

Poczułam, że się rumienię. Czy naprawdę nie było książki, której on nie znał i którą mogłabym

bezpiecznie przeczytać?

– Aha – przytaknęłam lekkim tonem, jakby chodziło na przykład o Nancy Drew albo o *Małe kobiety*.

– Podoba ci się? – drążył.

– Ujdzie. – Zabrzmiało to tak, jakbym nigdy w życiu nie miała w rękach nudniejszej książki.

Postanowiłam zaryzykować i spojrzeć na niego. – Czytałeś?

Tata poruszył lekko głową, co, jak wiedziałam, u niego oznaczało wzruszenie ramionami.

– Ukazała się już dość dawno, a ja pracuję z nastolatkami. – Wyjaśnił enigmatycznie, a ja w końcu się nie dowiedziałam, czy ją czytał. Miałam nadzieję, że jednak nie. – Wiesz, że w pewnych miejscach jest zakazana?

– Głupota – odparłam. Przestraszyłam się, że tata ogłosi podobny zakaz w naszym domu.

– W pełni się z tobą zgadzam – powiedział. – Jestem przeciwnikiem indeksów ksiąg zakazanych. No dobrze – uśmiechnął się – czego się dowiedziałas z lektury?

– Dopiero zaczęłam – skłamałam, dodając z udawaną irytacją: – Ale przecież mieliśmy pracować, tak czy nie?

– Masz rację – przyznał tata i wreszcie dał mi spokój. Dyktował zagadnienia, które chciał poruszyć w wywiadach, a ja zapisywałam je w kolejnych punktach. Potem poukładałam punkty tak, jak sobie życzył, i wydrukowałam dla niego całą listę.

– To już wszystko? – zapytałam, kiedy zadrukowana kartka wysunęła się z drukarki. Położyłam ją w rogu biurka, żeby mógł przeczytać z wózka.

– Prawie wszystko – odpowiedział. – Chciałem z tobą o czymś porozmawiać.

„O nie”, pomyślałam. „O Chrisie? O Stacy? A może o Judy Blume?”. Odetchnęłam, szykując się na reprimendę.

– O czym? – spytałam.

– Mama słyszała dzisiaj, jak ty i Dani... posprzeczałyście się.

– Aha – mruknęłam. – Dani mnie nienawidzi.

– Szczerze wątpię.

– To prawda.

– No cóż, pamiętaj tylko, że granica pomiędzy miłością a nienawiścią jest bardzo cienka. – Tata przechylił głowę, przypatrując mi się uważnie. – Czy już wszystko między wami w porządku?

Wzruszyłam ramionami.

– W porządku, chociaż... tak jakby... ją pobiłam.

Zrobił wielkie oczy.

– Nic się jej nie stało?

– Nie, ale chyba będzie miała siniaka na policzku.

– Molly! Ty mówisz poważnie?

– Ale ona naprawdę mnie wkurzyła!

– Czym?

Postanowiłam przemilczeć reakcję Dani na jego „awarię”, ale pomyślałam, że chętnie wysłucham, co ma do powiedzenia na temat wielu innych kwestii, które pojawiły się w mojej rozmowie z kuzynką. Zrelacjonowałam więc wszystko: że jej zdaniem Amalia nie zjawiała się u nas sama, ale z pracownicą opieki społecznej, że ja nie byłam wtedy małym, lecz dwuletnim dzieckiem ze śladami na ciele, że Amalia leczyła się w tym samym szpitalu, gdzie później uczyła tańca, i wreszcie że wcale nie byłam drogocennym darem, ale raczej zostałam podrzucona jemu i mamie. Wyliczyłam wszystkie krzywdzące rzeczy, które usłyszałam od Dani, mając nadzieję, że tata zaprzeczy. Ale on tylko kiwał głową w milczeniu, twarz miał poważną, a brwi ściągnięte.

– Amalia nie musiała się leczyć – sprostował, kiedy skończyłam. Jak gdyby to była najbardziej wstrząsająca rzecz, którą usłyszałam od Dani. – Ona po prostu była NW. – Uśmiechnął się. – I wciąż jest, nie uważasz?

Też próbowałam się uśmiechnąć. Wiedziałam, co znaczy ten skrót, bo często pojawiał się w jego notatkach, które przepisywałam. „NW: nieodwracalnie wyjątkowy”. Sam wymyślił tę kategorię diagnostyczną i lubił ją znacznie bardziej niż zwyczajne określenia stosowane w psychiatrii, których zresztą i tak musiał używać, żeby firmy ubezpieczeniowe zechciały mu płacić za terapię. Kategoria NW służyła mu do określenia pacjentów, którzy nieco odstawali od normy.

– Jak ci już mówiłem – podjął – Highland Hospital był niekonwencjonalną placówką. – Opuścił wzrok na kartkę, którą dla niego napisałam. – Miała zaledwie czternaście lat, kiedy tam trafiła.

Zachłysnęłam się powietrzem.

– Tyle, co ja teraz?

Tata przytaknął.

– Wolałbym, żeby sama ci opowiedziała, ale ona nie lubi do tego wracać, więc skoro musisz to wiedzieć natychmiast, a Amalii tu nie ma, padło na mnie. – Westchnął. – Jej matka była call girl. Wiesz, co robi call girl?

Potrząsnęłam głową. Słyszałam to określenie, ale jego znaczenia mogłam się tylko domyślać.

– A wiesz, kto to jest prostytutka?

– Kobieta, która uprawia seks za pieniądze.

Potwierdził skinieniem głowy.

– No więc call girl bierze pieniądze za... towarzystwo, to ktoś w rodzaju tymczasowej partnerki dla mężczyzny. Zdarza się, że uprawia z klientami seks, ale nie zawsze. Tak czy inaczej, tym właśnie zajmowała się matka Amalii, a kiedy córka skończyła trzynaście lat, próbowała wprowadzić ją do zawodu.

– Faj. – Wykrzywiłam usta. – Musiała umawiać się ze starymi facetami?

– W każdym razie z mężczyznami, tak. Nie wiem, ile mieli lat. Znacznie więcej od niej, to pewne. Ma się rozumieć, Amalia tego nie znosiła. Obmacywali ją. Nie mogła po prostu być dzieckiem. – Znów spojrzał na kartkę. – Pojawił się jednak bogaty mężczyzna, który zabierał ją do teatru i na koncerty. To on zaszczerpił jej pasję do tańca i sztuki. – Uniósł wzrok i spojrzał mi w oczy. – Był również otyły i dość stary, ale chyba traktował ją dobrze i zabierał w różne ciekawe miejsca, więc godziła się z tym.

Korciło mnie, żeby zapytać, czy musiała uprawiać seks z takim grubym staruchem, ale nie przeszło mi to przez gardło. Zresztą, tata i tak by mi nie odpowiedział.

– Kiedy miała czternaście lat, jej matkę aresztowano pod zarzutem handlu narkotykami i prostytutkami. Dla Amalii znaleziono rodzinę zastępczą, ale jej zachowanie w nowym domu było tak, nazwijmy to... nieodwracalnie wyjątkowe, że w końcu trafiła do Highland Hospital. – W uśmiechu taty dostrzegłam podziw i też się uśmiechnęłam. Wyszło to tak, jakbyśmy oboje znali jakąś tajemnicę Amalii, chociaż nie byłam pewna, o co właściwie chodzi.

– I już została – ciągnął tata. – Szpital stał się jej domem, lepszym od wszystkich innych, jakie miała w życiu. Dobrze się tam czuła. Tańczyła. Malowała. Nauczyła się grać na oboju, chociaż dziś twierdzi, że zapomniała, jak się to robi. – Zachichotał. – A kiedy była gotowa opuścić szpital, pozwolili jej zostać: w zamian za pokój i utrzymanie prowadziła zajęcia z tańca. Właśnie wtedy ją poznałem.

– Czyli to było tak... – zaczęłam powoli. – Zaszła w ciążę i zniknęła, ty wzięłeś ślub z mamą, a potem nagle Amalia zjawiała się u nas z dzieckiem – ze mną – i oznajmiła, że chce wam je oddać. Mama pragnęła mieć dzieci, ale nie mogła, więc...

– Chyba nie opowiadałem ci tego z takimi szczegółami, kochanie. – Tata spojrzał na mnie z pewnym

zdziwieniem. – Uważasz, że wprowadziłem cię w błąd?

Przytaknęłam.

– No cóż, może rzeczywiście – przyznał po chwili. – Po opuszczeniu Highland Hospital Amalia dowiedziała się, że jej matka wyprowadziła się do Charlotte, więc i ona tam pojechała, ale matki nie odnalazła. Zatrudniła się jako pokojówka w hotelu i wynajmowała mieszkanie razem z inną dziewczyną. A potem urodziłaś się ty. Jestem przekonany, że Amalia bardzo się starała, ale... – Potrząsnął głową. – Dostała tak fatalny przykład od własnej matki, że po prostu nie wiedziała, jak się to robi.

– Miałam dwa lata, kiedy mnie tutaj przywiozła?

– Prawie dwa lata.

– I naprawdę miałam ślady na ciele?

– Zwyczajne potówki – wyjaśnił tata. – Dani lubi dramatyzować. Byłaś natomiast niedożywiona. To nie ulegało wątpliwości. Do tego Amalia czasami zostawiała cię całkiem samą, jeśli musiała iść do pracy, a nie mogła znaleźć nikogo do opieki. Koniec końców odebrano jej prawo do opieki nad tobą. Wtedy powiedziała pracownicy opieki społecznej o mnie i przyjechały razem tutaj. Z tobą.

Przyszła mi do głowy pewna niepokojąca myśl.

– A w ogóle skąd masz pewność, że jestem twoim dzieckiem?

– Przeglądałaś się może w lustrze ostatnio? – odpowiedział pytaniem. – Byłem tego pewny od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem. Ale Nora... Aby twoja mama mogła być spokojna, zrobiliśmy test na ojcostwo. On rozwiał jej wątpliwości.

– Podobno mama wcale mnie nie chciała.

– Rzeczywiście, na początku była w lekkim szoku – przyznał tata. – Ale szybko straciła dla ciebie głowę. Może sama ją o to zapytaj? Opowie ci, jak to wyglądało z jej punktu widzenia.

– Zawsze mnie namawiasz, żebym rozmawiała z nią o trudnych sprawach – westchnęłam.

– Owszem – przytaknął. – To ważne, żebyście nauczyły się lepiej porozumiewać ze sobą.

– Wystarczy, że mamy ciebie za pośrednika w komunikacji.

Przekrzywił głowę.

– Ja nie jestem wieczny, Molly. – Jego słowa przeraziły mnie i zamąciły w głowie; nie mogłam jasno myśleć. Gwałtownym ruchem porwałam z biurka wydrukowaną listę i podsunęłam mu ją pod nos.

– Zobacz, tato, jak będzie fajnie! – zawołałam, a kartka drżała mi w dłoni. Nie chciałam, żeby myślał o śmierci. O niczym smutnym. – Posłucham twojego wywiadu przez radio, dobrze? Na przykład w naszym aucie?

Przyglądał mi się ze speszoną miną; wiedziałam, że zastanawia się, czy pozwolić mi tak łatwo zmienić temat.

– Na pewno coś da się zrobić, Moll – powiedział wreszcie. – Tak czy inaczej, coś da się zrobić.

San Diego

– Molly? – Laurie, siostra Aidana, unosi wzrok i patrzy na mnie ponad stolikiem, przy którym obie siedzimy.

Umówiliśmy się na lunch w restauracji Mission Valley, gdzie Laurie jest szefem kuchni; ona zdążyła spałaszować wegetariański naleśnik, a ja ledwie skubnęłam sałatkę.

– Wszystko w porządku? – pyta.

– A czemu pytasz? – Spoglądam na nią ze zdziwioną miną.

– Bo jesteś dziwnie cicho, zupełnie jak nie ty.

Co racja, to racja. Dzisiaj mówi głównie ona, właściwie cały czas o Kaiu i Oliverze. Nie przypominam sobie, żeby kiedyś opowiadała mi o nich aż tyle – mam wrażenie, że teraz, kiedy spodziewa się, że sama niedługo zostanę matką, swobodniej jej rozmawiać ze mną na ten temat. Dawniej bała się mówić o swoich bliźniakach, żeby nie przypominać mi o bólu po stracie mojej Sary. Zresztą, całkiem słusznie.

– A poza tym – dodaje Laurie, nie doczekawszy się odpowiedzi. – Straciłaś na wadze, i to sporo, a teraz nie tknęłaś jedzenia. – Wskazuje moją sałatkę. – Przeszkadza ci, że mówię o bliźniakach? Myślałam, że...

– Nie. – Uśmiecham się. – W ogóle mi nie przeszkadza. Kocham ich do szaleństwa i uwielbiam o nich słuchać, więc mów, nie krępuj się. – Przesuwam palcami po ściance szklanki z wodą. – Ale masz rację, nie jestem dzisiaj sobą – dodaję. – Coś... nie daje mi spokoju.

– Praca?

Potrząsam głową, odkładając widelec, którym przerzucałam sałatę z jednej strony talerza na drugą.

– Tamta młoda matka, która zmieniła zdanie... – wyjaśniam. – Dotarło do mnie, jakie niepewne jest to całe przedsięwzięcie.

– Ale mimo wszystko w większości przypadków się udaje, prawda? – mówi Laurie, a w jej oczach płonie nadzieja. – Pamiętasz, opowiadałam ci o moich znajomych, którzy adoptowali dzieci, i wszystko poszło jak z płatka.

– Wiem i jestem pewna, że nam też w końcu się uda – przytakuję. – Po prostu nie mogę o niej zapomnieć. O Siennie, tamtej biologicznej matce.

To przecież nie jest kłamstwo. Owszem, wciąż myślę o biologicznej matce, ale ona ma na imię Amalia. Do tej pory nie poprosiłam Dani o jej telefon ani adres.

– Widzę, że naprawdę utkwilo ci to w głowie.

– Mam nadzieję, że wszystko u niej w porządku. Wciąż wyobrażam sobie, co ona robi na co dzień... a nie wiem nawet, jak wygląda, co utrudnia zadanie wyobraźni. – Śmieję się. – Ma głos podobny do Julii Stiles.

– Ta aktorka?

– Tak. Więc gdy o niej myślę, widzę Julię Stiles. Wyobrażam sobie jej zajęcia w szkole, klasę pełną

dziewczyn w ciąży. Myślę o tym, że boi się przyszłości i...

– Aidan mówił, że masz obsesję – wtrąca Laurie.

– Może nie obsesję – sprzeciwiam się, wkurzona na to, że Aidan tak powiedział. – Po prostu nie mogę przestać o niej myśleć.

Obie parskamy śmiechem, gdy słyszymy, jak to brzmi. Rzeczywiście, mam obsesję.

Laurie uśmiecha się do mnie ciepło, tak jak to ona potrafi.

– Mam nadzieję, że już niedługo zgłosi się do was ktoś inny i zapomnisz o tej sprawie.

Prostuję się na krześle. Teraz już zupełnie straciłam apetyt.

– Żałuję, że nie udało się zrobić tego w zwyczajny sposób, Laurie. – Kładę dłoń na swoim płaskim brzuchu. – Cudownie czułam się w ciąży. Chciałam ją przeżyć do końca. Doświadczyć każdej chwili, która daje życie dziecku.

– No cóż – mówi ona. – Chcesz być w ciąży czy chcesz być matką?

Tymi słowami zbija mnie z tropu. Po chwili uśmiecham się.

– Mądra jesteś.

Dla Laurie wszystko jest proste. Nie wie, jak bardzo się boję, że będę kiepską przybraną matką. A jeśli nie zbliżę się do tego dziecka? Będę oziębła? Nie mogę powiedzieć siostrze Aidana, że obawiam się dzielić moim dzieckiem z kobietą, która je urodziła i która może ukraść mi jego uczucie. Nie mogę jej opowiedzieć o Amalii, przez którą nie mogę spać po nocach, odkąd Dani napisała do mnie tamten e-mail.

Tak więc po lunchu, którego nie tknęłam, żegnam się z Laurie, która przytula mnie, zapewnia, że mnie kocha i że będę najlepszą mamą na świecie. Pozwalam jej w to wierzyć. Nie ma nikogo, kto mógłby zrozumieć, skąd się biorą moje wątpliwości.

* * *

Wracam do domu wieczorem. Na stole w jadalni palą się świece, a w piekarniku coś się pichci. Wyczuwam imbir i czosnek. Aidan bierze ode mnie neseser i wręcza mi lampkę wina.

– Bycie przyszłą przybraną matką ma tę zaletę – zaczyna i całuje mnie w usta – że można się napić.

– Z jakiej okazji? – pytam.

– Z okazji rozmowy z moją siostrą. – Aidan odstawia własny kieliszek na blat kuchenny i kładzie mi dłonie na ramionach. – Przepraszam cię, Molly – mówi. – Nie zdawałem sobie sprawy, jak wielki stres przeżywasz.

Ciekawe, co Laurie powiedziała mu o naszym lunchu. Nie wiem, czy mam być jej wdzięczna, czy może złościć się na nią.

– Och, nic się nie dzieje – bagatelizuję, ale muszę przyznać, że kolacja i trochę rozpieszczania mają swój urok. – Co tam pieczesz w piekarniku?

– Łosoś w polewie imbirowej, słodzonej brązowym cukrem. Przepis dostałem od Laurie. Kuszący zapach, co?

– Bardzo.

– A po kolacji zrobię ci długi masaż.

– Żartujesz! – dziwię się. Przed ślubem zdarzało się to często, ale od tamtego czasu jakoś nie przypominam sobie, żeby Aidan choćby raz mnie masował albo ja jego.

– Pamiętasz, jak staraliśmy się o dziecko, a wszyscy nam mówili, żebyśmy przestali się tak spinać? Że jak się wyluzujemy, to się uda? I właśnie zaszłaś w ciążę.

Kiwam głową.

– Z adopcją chyba jest podobnie – ciągnie Aidan. – Nie możemy niczego przyspieszyć. W zgłoszeniu

pokazaliśmy się z najlepszej strony, przygotowaliśmy dobre portfolio i napisaliśmy dobry list. Teraz możemy dać na luz i czekać, ciesząc się życiem.

– Masz rację – mówię i postanawiam tego wieczoru cieszyć się życiem. Winem. Łososiem. Masażem i seksem, który niemalże na pewno po nim nastąpi.

A gdy przed oczami staje mi Amalia leżąca w szpitalu, po prostu wyrzucam ten obraz z głowy.

30

Morrison Ridge

Chris do mnie zadzwonił.

Położyłam się o dziewiątej, aby koniecznie skończyć *Forever* – i właśnie w tym momencie, kiedy zamknęłam książkę, zadzwonił telefon. Nie sądziłam, że Chris w ogóle do mnie się odezwie po tym, jak tata go wystraszył, a Dani mu nagadała, a tymczasem on zadzwonił. Dobrze, że to ja odebrałam i że byłam wtedy na piętrze. Rodzice i Russell mieli pokoje na dole, więc mogłam czuć się swobodnie.

– Kiedy się zobaczymy? – To były pierwsze słowa, które padły z jego ust, zaraz po: „Hej, mówi Chris”.

– Wkrótce, mam nadzieję. – Leżałam na łóżku i zastanawiałam się, czy słychać, że się uśmiecham. Może nie powinnam być aż taka chętna, ale nie mogłam się powstrzymać. I nie chciałam bawić się z nim w podchody.

– Bywasz w galerii handlowej? – zapytał Chris. – Tam możemy się umówić.

Jeszcze nigdy nie byłam tam bez któregoś z rodziców. Zresztą z Morrison Ridge był spory kawałek. Jak się dostać tak daleko? Jak wrócić? Na prawo jazdy musiałam czekać jeszcze dwa lata.

– Nie bardzo – odpowiedziałam Chrisowi.

– To może spotkajmy się znowu u Stacy – zaproponował, a potem się zaśmiał. – Tylko tym razem lepiej niech cię odbierze ktoś inny, nie ojciec.

– Zobaczymy – mruknęłam, zastanawiając się, kto mógłby mnie tam podrzucić. Może Amalia. Albo mama? Tylko że rodzice nigdy w życiu nie puściliby mnie do Stacy, nie upewniwszy się najpierw, że jej mama będzie w domu.

– Przyślesz mi swoje zdjęcie? – poprosił Chris. – Nie to głupie ze szkolnego albumu, tylko aktualne, żebyś wyglądała tak jak teraz?

Przypomniałam sobie o zdjęciach z urodzin mojej koleżanki Genevieve. Impreza odbyła się dzień przed końcem roku szkolnego, więc niedawno. Mama gdzieś je trzymała. Na jednym wyszłam niezłe, ale obok mnie stała Genevieve, naprawdę ładna dziewczyna. Postanowiłam ją wyciąć.

– Coś znajdę – obiecałam. – A ty przyślesz mi swoje?

– Mam zeszloroczne, słabe, ale mogę ci przesłać. Podasz mi adres?

Kiedy wymienialiśmy się adresami, przypomniałam sobie, że przecież wyjeżdżam na kilka dni.

– Odbiorę twoje zdjęcie dopiero w przyszłym tygodniu – powiedziałam. – Jadę z tatą na trasę promocyjną jego książki. Wyjeżdżamy jutro i wrócę dopiero we wtorek.

W słuchawce na chwilę zapadła cisza.

– Twój tata potrafi napędzić stracha – odezwał się w końcu Chris.

– To najłagodniejszy człowiek na świecie – zaśmiałam się. – Przepraszam, że tak się do ciebie przyczepiłam.

– Wiem od Stacy, na co jest chory – przyznał Chris. – Słabo ma.

– Radzi sobie.

– Zadzwoń do mnie z trasy? – zapytał.

– Może – odparłam, zastanawiając się, czy zdołam się wymknąć i skorzystać z budki. – Nie wiem tylko, czy w pobliżu znajdę jakiś telefon.

– Spotkałem w galerii handlowej twoją stukniętą kuzynkę – pochwalił się.

– Dani? – spytałam niewinnie, jakbym miała jakąś inną kuzynkę, która szwenda się po galeriach handlowych.

– To twój pitbull czy co?

– Nie rozumiem...

– Kiedy jej powiedziałem, że się widzieliśmy, doskoczyła do mnie i powiedziała, że jak coś ci zrobię, obetnie mi fiuta.

– Tak się wyraziła?

– Ona jest porąbana – oznajmił Chris. – À propos: nic ci z mojej strony nie grozi.

Wbiłam wzrok w sufit. Na pewno źle go zrozumiałam.

– Dani stanęła po mojej stronie? – upewniłam się.

– Zachowywała się jak twój osobisty ochroniarz.

Boże. Szkoda, że nie mogłam wymazać tej chwili, gdy moja pięść trafiła w policzek Dani. Przypomniałam sobie słowa taty: granica pomiędzy miłością a nienawiścią jest bardzo cienka.

– To nie jest mój osobisty ochroniarz – odparłam. – W ogóle nie jesteśmy sobie bliskie.

– Ona chyba o tym nie wie – zauważył Chris.

Pogadaliśmy jeszcze chwilę, głównie o wspólnych znajomych; starałam się wymieniać samych starszych, żeby nie przypominać mu o moim wieku. Dochodziła jedenasta, kiedy w końcu się pożegnaliśmy, a chociaż przysięgam sobie, że kiedy tylko się przykryję i zamknę oczy, będę myśleć o nim, pod powiekami miałam obraz Dani siedzącej na deskach naszej werandy. Na jej policzku rozlewał się czerwony, ciemniejący siniak.

Następnego dnia rano mama pomogła nam zapakować walizki do furgonetki. Widać było, że się denerwuje. Twarz miała bledszą niż zwykle, a pod oczami fioletowe cienie.

– Szkoda, że nie jadę z wami – powtórzyła chyba po raz piąty.

– Ktoś musi zarabiać na chleb – powiedział tata. A przecież to on miał najwięcej powodów do niepokoju. To on miał spędzić cztery dni poza domem, z dala od miejsca, gdzie wszystko było przystosowane do jego potrzeb. To on miał występować przed obcymi ludźmi i udzielać wywiadów w rozgłoszeniach radiowych. A mimo to potrafił zachować spokój, tak jak zawsze. W sumie wyglądał na zadowolonego i pomyślałam sobie, że niepotrzebnie się tak przejmowałam, czy ma depresję, ale i tak postanowiłam, że przez tych kilka dni będę robić wszystko, co tylko zdołam wymyślić, żeby umilić mu czas.

Russell wstawił wózek na miejsce za siedzeniem kierowcy i zabezpieczył go, a potem sam wsiadł. Mama wzięła mnie za rękę i pociągnęła za sobą do domu, aż do kuchni.

– Proszę cię, pilnuj, żeby zawsze miał wodę w butelce – powiedziała. – On nie może się odwodnić. Masz jego rozpiskę z lekami, prawda?

– Mam. – Bardzo na to nalegała, więc wydrukowałam dwie kopie, jedną dla Russella, drugą dla siebie. Schowałam ją do plecaka.

– Zadbaj o niego, Molly – poprosiła. W świetle padającym z kuchennego okna sinawe cienie pod jej oczami nabrały półprzejrzystego poblasku. Miało się wrażenie, że przewróci ją najłżejszy podmuch wiatru. – Jeszcze nie jestem gotowa, żeby go stracić.

Przesada. Po co te dramaty?

– To tylko promocja książki – odparłam, ale dała mi do myślenia: a jeśli był jednak powód do niepokoju? Niemalże w ostatniej chwili wrzuciłam do plecaka mój kamień trosk. Może nie do końca rozumiałam, jak wygląda trasa promocyjna. W jaki sposób miałoby się to skończyć utratą ojca?

– Przecież jedzie z nim Russell – dodałam. – A ja się postaram, żeby było mu wesoło.

Mama uśmiechnęła się do mnie, ale było w jej uśmiechu coś, czego nie umiałam rozgryźć, jak gdyby nie wierzyła, że może być mu „wesoło” na tym wyjeździe.

– Kocham cię – powiedziała i objęła mnie. Rzadko mi to mówiła. Nagle przed oczami stanęła mi taka scena: mama otwiera drzwi do domu, a na progu stoi pracownica opieki społecznej w towarzystwie pięknej młodej kobiety o włosach pachnących kwiatem wiciokrzewu, trzymającej na rękach małą dziewczynkę z wysypką. Córkę jej męża. I dawnej kochanki jej męża. Niewiadomym sposobem moja mama znalazła w sobie siłę, aby nie zatrzaskać im drzwi przed nosem.

Uścisnęłam ją mocno.

– Ja też cię kocham – odpowiedziałam.

* * *

Gdy wyjeżdżaliśmy ze Swannanoa i minęliśmy zakręt prowadzący do domu Stacy, poczułam ukłucie

w sercu, bo tamto miejsce kojarzyło mi się z Chrisem; myślałam, że gdybym teraz się tam pojawiła, to siedziałby na kanapie ze skrzyżowanymi rękami i czekał na mnie. Znalazłam zdjęcie z urodzin Genevieve i przecięłam je na pół, żeby widział tylko mnie, po czym włożyłam do koperty z jego adresem. Kopertę wrzuciłam do naszej skrzynki na listy. Ciekawe, kiedy je dostanie i czy jego zdjęcie będzie czekało, gdy wrócę.

– Włączymy muzykę, Moll? – zapytał tata z tyłu.

– Dobrze. – Wzięłam na kolana skrzynkę z jego kasetami, która stała pomiędzy mną a Russellem.

– Czego chciałbyś posłuchać? – zapytałam, oglądając się przez ramię.

– Ty wybierz.

– Żebyśmy mogli sobie pośpiewać – zdecydowałam, bo uwielbiał wspólne śpiewy. – Ty z nami – poinformowałam Russella, otwierając zamek błyskawiczny.

Uśmiechnął się blado.

– Strasznie się rządzi – mruknął.

Przebiegłam wzrokiem okładki. Tata miał więcej kaset niż ja i słuchał zupełnie innej muzyki. W jego kolekcji było sporo jazzu, który nie nadawał się do śpiewania. Wiedziałam, że New Kidsów tutaj nie znajdę, ale miałam nadzieję na Bon Jovi, żebym mogła myśleć o następnym spotkaniu z Chrisem. Niestety. Wybrałam jedną ze składanek i zaczęliśmy śpiewać: The Temptations, Beach Boys, Beatlesi – których odkryłam niedawno i uznałam, że są super – Eric Clapton i, ma się rozumieć, The Eagles. Okazało się, że Russell zna sporo tekstów. Wczuł się mocno i kołysał za kierownicą w taki sposób, że nawet piosenki Beach Boysów nabierały soulowego klimatu. A zazwyczaj był uosobieniem powagi. Widząc jego wesołą twarz, nie mogłam powstrzymać się od śmiechu, a obejrawszy się na tatę, zobaczyłam jego pogodnie przymrużone oczy. Wyjazd zapowiadał się świetnie. Coś mi mówiło, że lepiej mu zrobi niż wszystkie leki z listy, którą miałam w plecaku.

– A może teraz trochę klasyki? – zaproponował tata po godzinie. – Trochę się zmęczyłem.

Dojeżdżaliśmy już do Hickory, a Russell wypatrywał zakrętu w kierunku Charlotte – pierwszego z miast na naszej trasie.

– W porządku – powiedziałam. Wśród jego kaset był drugi koncert Rachmaninowa, ale przypomniałam sobie, jak mówił, że przy tym „można się pociąć”, i wybrałam trzecią symfonię Beethovena. Oparłam głowę o szybę i zamknęłam oczy. Nie wiedzieć czemu, przypomniała mi się rozmowa z Chrisem przez telefon, ten moment, kiedy powiedział, że nie zrobi mi nic złego. Ujął to jakoś inaczej, szkoda, że nie mogłam sobie dokładnie przypomnieć jego słów, ale chodziło mu o to, że nigdy nie wyrządzi mi krzywdy. Łagodne echo tych słów rozbrzmiewało w mojej głowie.

– Graham? – odezwał się Russell po jakimś czasie. Otworzyłam oczy: nasz kierowca patrzył w lusterko.

– Hm? – mruknął tata, który chyba przysypiał.

– Za kilka mil dojedziemy do hotelu, a ty chciałeś zajrzeć do jakiegoś centrum handlowego, prawda? Będzie za następnym zakrętem.

– Dobrze. – Ziewnął tata. – Zatrzymajmy się tam. Zjemy coś.

– Po co jedziemy do centrum handlowego? – Zerknęłam na niego.

Puścił do mnie oko, chociaż spojrzenie miał zmęczone.

– Przekonasz się – odparł. – Cierpliwości.

* * *

Znaleźliśmy miejsce dla niepełnosprawnych i Russell wyprowadził wózek z furgonetki, po czym

weszliśmy do centrum handlowego: oni dwaj i ja obok. Było znacznie większe niż znane mi centrum handlowe w Asheville i chociaż wszystko wyglądało tam zupełnie inaczej, myślałam tylko o tym, gdzie spotkałabym się z Chrisem, gdybyśmy umówili się właśnie tutaj. Na tamtej ławce? A może przed sklepem muzycznym? Wiedziałam, że to idiotyczne wyobrazić sobie niemożliwe, ale nie umiałam się powstrzymać. Wpadłam w obsesję.

Zatrzymaliśmy się przy planie budynku.

– Szukamy restauracji? – zapytałam.

– Jest – powiedział Russell do taty. Najwidoczniej wiedzieli, dokąd zmierzają, ale nie czuli potrzeby mnie wtajemniczać, więc gdy Russell skierował wózek do jednego z długich skrzydeł budynku, ruszyłam za nimi, a w duchu wyobrażałam sobie spotkanie z Chrisem przy tamtej cukierni. Może kupiłby mi małą bombonierkę.

Nagle Russell zatrzymał się przy sklepie z obuwiami.

– Co my tutaj robimy? – zdziwiłam się.

– Znam pewną osobę, która marzy o fioletowych martensach – wyjaśnił tata. – Chodźmy je kupić.

– Żartujesz! – pisnęłam z radości. – Ale przecież jeszcze nie uzbierałam całej sumy.

– To prezent za pomoc w trasie promocyjnej – odparł tata.

Pochyliłam się, żeby go uściskać.

– Dziękuję! – zawołałam, po czym pobiegłam przodem, przed nimi.

* * *

Wyszłam ze sklepu w moich fioletowych martensach. Sandały schowałam do pudełka po nowych butach. Miałam wrażenie, że wszyscy na mnie patrzą i myślą: „Ale fajna dziewczyna w różowej koszulce, białych szortach i fioletowych martensach”.

Znaleźliśmy restaurację i wybraliśmy stół, a Russell przestawił krzesła, żeby zmieścić się wózek. On i tata zamówili burgery, a ja kanapkę z sałatką z kurczaka. Była przepyszna, na croissancie, ale miałam z nią kłopot, bo sałatka wypadła na talerz.

– Zakład o pięć dolców, że zanim skończysz kanapkę, obliziesz usta co najmniej raz – powiedział tata. Czasami miewał naprawdę idiotyczne zagrywki, ale spełniłabym każde jego życzenie.

– Możesz od razu wyskakiwać z kasy. – Wyszczrzyłam zęby w uśmiechu.

– Nie, musisz ją zarobić – odparł.

– Wy to jesteście, naprawdę... – Russell przewrócił oczami, karmiąc tatę, który nie spuszczał ze mnie wzroku, bacznie obserwując, jak wcinam moją kłopotliwą kanapkę.

– Denerwujesz się przed wieczornym spotkaniem? – zapytał po chwili tata, przełknąwszy kęs swojego burgera.

– Nie. – Potrząsnęłam głową, mając usta pełne sałatki z kurczakiem. Bardzo się pilnowałam, żeby ich nie oblizywać, więc po każdym ociekającym kęsie wycierałam je serwetką. – A ty?

– No cóż – odparł. – Nie mam tremy, ale trochę – troszeczkę – się obawiam, że nikt nie przyjdzie.

– Przyjdzie – zapewnił go Russell z taką pewnością, jakby dostał poufne informacje z pierwszej ręki.

– O mały włos – powiedział nagle tata.

– Co?

– Język. Już chciałaś się oblizać.

– Nieprawda. – Zjeżyłam się, chociaż miał rację. Wyrosłam już z tych durnych zakładów, ale dla niego zgodziłabym się na wszystko. Żeby tylko był zadowolony. Kiedy dokończyłam kanapkę, Russell wyjął z portfela taty banknot pięciodolarowy i wręczył mi go.

* * *

Zmierzałam już do wyjścia z centrum handlowego, kiedy tata poprosił Russella, żeby się zatrzymał.

– Kup to dla Molly – powiedział, spoglądając na wystawę drogerii.

– Co? – zapytaliśmy jednocześnie, ja i Russell. Tata kiedyś wyznał mi, że najbardziej przeszkadza mu to, że niczego nie może pokazać palcem.

– Niebieski lakier do paznokci. Z brokatem.

Dostrzegłam wreszcie buteleczkę, o którą mu chodziło. Lakier w kolorze nocnego nieba usianego gwiazdami.

– Tak! – zawołałam.

Russell podał mi kolejne pięć dolarów z portfela taty. Pobiełam do sklepu, kupiłam lakier i wróciłam do nich.

– Dzisiaj wieczorem zabłyśniesz – oznajmił tata, kiedy ruszyliśmy do wyjścia.

* * *

Do rozgłośni, w której miał się odbyć wywiad z tatą, przyjechaliśmy wcześniej, ale tylko piętnaście minut. Zaparkowaliśmy na miejscu dla niepełnosprawnych. Po wejściu do budynku usiadłam w niewielkiej poczekalni, a Russell zawiózł tatę na wywiad. Zaczęłam się martwić, jak pójdzie, więc wyciągnęłam z plecaka mój ametyst i zacisnęłam go w dłoni. Ten stary kamień mnie uspokajał. Musnęłam kciukiem gładkie wgłębienie.

W poczekalni stało sześć drewnianych foteli obitych zieloną tapicerką oraz mały stolik, a na nim ekspres do kawy i dzbanek z wodą. W rogu, pod sufitem, wisiał duży głośnik. Słysząc było muzykę klasyczną, ale po chwili odezwał się kobiecy głos, który zapowiedział: „Po wiadomościach gościem naszego programu będzie doktor Graham Arnette, psycholog terapeuta stosujący metodę »Jak gdyby«”. Jeszcze mocniej zacisnęłam palce na kamieniu, ale z moich ust nie zniknął uśmiech. Czy po takiej zapowiedzi można wyłączyć radio? Chyba każdy chciałby się dowiedzieć czegoś więcej o tej metodzie.

Russell wrócił do poczekalni i nalał sobie kawy.

– Za ciasno tam dla mnie – mruknął, siadając obok stolika.

– Czy on poradzi sobie sam? – zaniepokoiłam się.

– Założyłem mu słuchawki, a mikrofon stoi na stole, więc wszystko gra.

– Denerwuje się? – zapytałam. – Ja bym się denerwowała.

– Udaje, że nic go nie rusza. – Uśmiechnął się Russell, a ja nagle zapragnęłam go uściskać i podziękować za wszystko, co dla nas robi, a zwłaszcza za to, że nie wracał już do wydarzeń w domu Stacy. Nie wykonałam jednak żadnego gestu. Siedziałam na fotelu, a moje serce wzbierało milczącą wdzięcznością.

Podczas wywiadu milczeliśmy oboje. Tata opowiadał o swojej książce dla dzieci i o tym, w jaki sposób rodzice mogą stosować terapię „Jak gdyby”, aby pomóc potomstwu radzić sobie z lękami oraz niepokojącym zachowaniem. Mówił mocnym głosem i chociaż nie mogłam go zobaczyć, słyszałam, że się uśmiecha. Nikt by się nie domyślił, że jest sparaliżowany i siedzi na wózku.

– Nie zgadłbyś, że to głos bezradnego człowieka – odezwałam się.

Russell uniósł brwi w zdumieniu.

– Twój ojciec nie jest w najmniejszym stopniu bezradny, Molly – powiedział, unosząc do ust kubek

z kawą. – Możesz mi wierzyć.

* * *

Pokój w hotelu, w którym spali tata i Russell, był przystosowany dla osób niepełnosprawnych. Ja zajęłam drugi, połączony z tamtym wewnętrznymi drzwiami. Oni mieli duże, dwuosobowe tapczany, a ja olbrzymie łóżce, całe dla siebie, na które od razu po wejściu się rzuciłam, rozłożywszy szeroko ręce i nogi, uradowana, że mam tyle miejsca, swojego, własnego. Błądząc wzrokiem po suficie, przypomniałam sobie, kiedy ostatni raz nocowałam w hotelu. To było, zanim Russell zamieszkał u nas, czyli przed ponad trzema laty: pojechaliśmy samochodem do Pensylwanii odwiedzić babcię, mamę mojej mamy. Wtedy też dostałam osobny pokój. Tata jeździł po hotelu na skuterze inwalidzkim, więc miał jeszcze trochę władzy w rękach. Pamiętałam wyraźnie, jak wsiałam z nim do windy. Byliśmy sami. Próbował wcisnąć guzik na parter, ale dłoń nie chciała go słuchać. Wyręczyłam go, ale czułam jego frustrację.

– Tato, czy ty kiedyś wyzdrowiejesz? – zapytałam, gdy winda ruszyła.

Nie odpowiedział od razu. Spoglądał na rzędy guzików, jakby żałował, że nie może naciskać ich wzrokiem zamiast palców, które nie chciały go słuchać.

– Obawiam się, że nie, najdroższa – powiedział wreszcie, odwracając głowę, żeby na mnie spojrzeć. – Będzie coraz gorzej, więc muszę jak najlepiej wykorzystać dany mi czas.

Pamiętam, że tamtej nocy długo płakałam, zanim w końcu zasnęłam. Nie byłam w stanie sobie nawet wyobrazić, że może być z nim jeszcze gorzej. Ale tak się stało, oczywiście, że się stało.

* * *

Odpoczęliśmy całą trójką przed spotkaniem w księgarni zaplanowanym na siódmą. Siedziałam ze wzrokiem wbitym w telefon na stoliku obok mojego wielkiego łóżka. Miałam przy sobie numer Chrisa, zapisany w małym notesie, który schowałam do plecaka. Bardzo chciałam do niego zadzwonić, ale hotel doliczyłby to do rachunku. Przeczytałam informacje zapisane na obudowie aparatu. Rozmowy miejscowe były za darmo, ale połączenia międzymiastowe już nie. Palce mnie świerzbiły, żeby wykręcić numer Chrisa, ale zabrakło mi odwagi.

Pomalowałam paznokcie lakierem w kolorze nocnego nieba, a następnie położyłam się na łóżku i czekałam, aż wyschnie. Błądziłam spojrzeniem po suficie, gdy nagle uświadomiłam sobie, że coś mnie boli, nisko, w podbrzuszu. Przez dobrych kilka minut usiłowałam rozpoznać to uczucie. Czyżbym dostała okres? Jak dotąd pojawił się tylko cztery razy; pierwszy raz przed rokiem, kiedy skończyłam trzynaście lat. Wszystkie moje koleżanki miesiączkowały już regularnie i obawiałam się, że będę jedyną dziewczyną na całym świecie, która nigdy nie zacznie. Był nieregularny – w kratkę, mówiła mama i zapewniała, że w końcu się wyreguluje. Szkoda, że nie przyszło jej do głowy poradzić mi, żebym przed wyjazdem z tatą przygotowała się na taką ewentualność. Od ostatniego razu upłynęło jednak sporo czasu – co najmniej trzy miesiące – i obie zupełnie o tym zapomniałyśmy.

Wyskoczyłam z łóżka i pobiegłam do łazienki. No jasne: czerwona kropka na majtkach. Włożyłam do nich kilka kawałków złożonego papieru toaletowego i gorączkowo myślałam, co zrobić. Hotel stał na odludziu. Po drodze nie zauważyłam żadnego sklepu, gdzie można by kupić potrzebne mi rzeczy.

Zapukałam do drzwi dzielących pokoje, z nadzieją, że obaj panowie nie śpią.

– Proszę – powiedział tata.

Weszłam. Siedział na łóżku, oparty o wezglowie, a na kolanach miał książkę razem z automatem do odwracania stron. Russell prasował błękitną koszulę na desce rozstawionej obok okna.

– Muszę porozmawiać z tatą w cztery oczy – oznajmiłam.

Russell zdziwił się, ale tylko trochę.

– Oczywiście. – Wyłączył żelazko. – I tak wybierałem się na dół zadzwonić.

Usiadłam na łóżku obok taty, czekając, aż za Russellem zamkną się drzwi. Tata patrzył na mnie, z zainteresowaniem marszcząc brwi.

– Co się dzieje? – zapytał wreszcie.

– Wstydzę się o tym powiedzieć – mruknęłam.

– Jeśli nie chcesz, nie musisz nic mówić.

– Co? – Nie rozumiałam, o czym mowa. – Och, nie. Nie o to chodzi. – Policzki spłonęły mi rumieńcem. – Dostałam okres i nie mam nic... nie zabrałam niczego, bo w ogóle się tego nie spodziewałam.

– Aha – powiedział tata. – Nie przejmuj się, Russell zawiezie cię do sklepu.

– Będzie mi głupio. – Skrzywiłam się.

– No nieee... – Potrząsnął głową, jakby dawał mi do zrozumienia, że robię z igły widły. – Powiemy, że musisz kupić trochę osobistych rzeczy.

– To takie oczywiste...

– W porządku – zachichotał. – Po prostu kilka rzeczy. Musisz kupić kilka rzeczy. – Jego wzrok przyciągnęły moje paznokcie. – O! Jak pięknie!

Uniosłam prawą dłoń, podziwiając roziskrzony, granatowy lakier.

– Dzięki. – Uśmiechnęłam się. – Mnie też się bardzo podobają.

Najlepiej by było, żeby Russell szybko wrócił, ale on chyba postanowił dać nam czas na długą rozmowę. Tata opowiedział mi o książce, którą czytał, a ja czułam, jak ten nieszczęsny ból wierci mnie w brzuchu coraz mocniej. Bałam się, że krew przesiąknie przez papier toaletowy.

Wreszcie w zamku zgrzytnął klucz i Russell wsunął głowę do pokoju.

– Mogę już wrócić do prasowania? – zapytał.

– Molly musi coś kupić – poinformował go tata. – Może być zwykły sklep na rogu. Potrzebuje kilku rzeczy.

Nie umiałam się zebrać, żeby spojrzeć Russellowi w oczy. Patrzyłam gdzieś na lewo od niego.

– Jasne – odpowiedział. – W tej chwili?

Skinęłam głową bez słowa, a on wszedł do pokoju, aby zabrać kluczyki z komody.

– Graham, wszystko w porządku? – zapytał tatę. – Przywieźć ci coś ze sklepu?

– Nie, dziękuję – odparł tata. Miałam wyrzuty sumienia, że zostawiam go samego, z tym kapryśnym automatem do odwracania kartek. Gdyby się zaciął, jak zwykle, tata nie miałby nic do roboty, mógłby tylko siedzieć i myśleć, czekając, aż wrócimy.

Russell i ja zjechaliśmy windą na parter, nie zamieniwszy ze sobą słowa. Wyszliśmy z hotelu i wsiedliśmy do furgonetki.

– Na pewno coś znajdziemy – zapewnił Russell i przekręcił kluczyk w stacyjce. Po krótkiej jeździe zauważyłam stację benzynową z małym sklepikiem. Russell zaparkował obok, po czym wyjął z kieszeni portfel.

– Wystarczy? – Wręczył mi dziesięć dolarów.

Skinęłam głową, znów oblewając się rumieńcem. Russell spojrzął na mnie ze współczuciem.

– Wychowałam się w domu pełnym kobiet, Molly – oznajmił. – Taty nie było, tylko mama. I ciocia. I pięć siostr. Babiniec jak ta lala.

Jeszcze nigdy nie słyszałam u niego takiej gwary. Używał potocznych zwrotów, ale zwykle mówił tym samym językiem, co ja. Jednakże ton jego głosu, swobodny i życzliwy, sprawił, że uśmiechnęłam się do niego z wdzięcznością, a twarz odzyskała zwykły kolor.

– Zaraz wracam – powiedziałam.

Kupiłam paczkę podpasek, smętnym wzrokiem omiatając pudełka z tamponami. Kiedy pierwszy raz dostałam okres, próbowałam użyć tamponu, bo tak robiła mama, ale w żaden sposób nie umiałam go włożyć.

Po powrocie do furgonetki starałam się tak trzymać cieniutką plastikową torebkę, żeby Russell nie dojrzał, co jest w środku. Nie miałam pojęcia, czemu wciąż się tak wstydę.

– Załatwione? – upewnił się.

– Aha.

Byliśmy w połowie drogi do hotelu, gdy Russell odezwał się ponownie.

– Tak sobie pomyślałem... – zaczął. – Wyruszamy do domu we wtorek, a tego samego dnia moja rodzina urządza grilla, u nas, pod Hendersonville. Będą piekli prosiaka. Fajnie by było wpaść do nich na parę godzin. Jak sądzisz?

Wolałabym wrócić do domu i zadzwonić do Chrisa, ale doszłam do wniosku, że tata chętnie weźmie udział w rodzinnym grillu, gdzie piecze się całego prosiaka. Uwielbiał grillowane mięso.

– A czy tacie będzie tam wygodnie? – zapytałam. – Wszędzie da się wjechać wózkiem?

– Imprezę zaplanowano pod gołym niebem, o ile nie będzie lało, więc nie przewiduję problemów.

– W takim razie to świetny pomysł – odparłam. – Spodoba mu się.

Byłam z siebie dumna, że pomyślałam o tacie, a nie o sobie, chociaż mówiąc to, poczułam lekkie ukłucie w sercu.

– Zobaczmy, jak będzie się czuł – zdecydował Russell. – Może być już wtedy mocno wymęczony. – Potrząsnął głową i wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Wszyscy możemy już wtedy mieć dość.

* * *

Kiedy kilka godzin później przyjechaliśmy do księgarni, okazało się, że na tatę czeka tłum ludzi. Odetchnęliśmy z ulgą, wszyscy troje. Na środku olbrzymiej sali ustawiono rzędy krzeseł, na których zasiadły matki – a czasem ojcowie – i mnóstwo rozdokazywanych dzieciaków, a pracownicy księgarni dostawiali kolejne krzesła dla tych, którzy musieli stać.

– Rzadko zdarza się aż taka frekwencja – przyznał kierownik sklepu, brunet w okularach z grubymi oprawkami, i wyciągnął rękę, a kiedy uświadomił sobie, że tata nie może się z nim przywitać, cofnął ją z zakłopotaniem i schował za plecami. – To zasługa audycji z pana udziałem – dodał. – Kiedy tylko się skończyła, zaczęli dzwonić klienci z prośbą o odłożenie książki.

Czułam się i ładnie, i czadowo w krótkiej różowej spódniczce i fioletowych martensach. Stopy trochę mnie bolały, ale wzięłam dwie tabletki przeciwbólowe od taty i ból minął. Szkoda, że Chris nie mógł mnie zobaczyć.

Tata zajął miejsce przed zgromadzoną publicznością. Miał na sobie jasnobrązowe spodnie i niebieską koszulę, wyprasowaną przez Russella. Prezentował też wszystkim uśmiech, którego nic chyba nie było w stanie zetrzeć z jego twarzy. „Tego właśnie było mu potrzeba”, pomyślałam.

Kierownik księgarni przedstawił go jako „doktora psychologii Grahama Arnette’a, specjalistę od terapii »Jak gdyby«”, i wszyscy zaczęli klaskać. Russell i ja siedzieliśmy w pierwszym rzędzie, słuchaliśmy tego, co mówił tata, i uśmiechaliśmy się praktycznie bez przerwy, od ucha do ucha. A on w skrócie wyjaśnił, dlaczego jest na wózku – było oczywiste, że ludzie, którzy słyszeli go w radiu, nie

mieli o tym pojęcia. Potem opisał, na czym polega terapia „Jak gdyby”, i wyjaśnił, że chociaż każdy może z niej skorzystać, metody przedstawione w książce najlepiej sprawdzają się u dzieci.

– Terapia „Jak gdyby” daje możliwość kierowania własnym życiem – powiedział. – Każdy człowiek wyposażony jest w narzędzia potrzebne do swoistej samonaprawy. Ta terapia po prostu pomaga je odnaleźć i wykorzystać.

Sto razy słyszałam, jak powtarzał te słowa, ale tamtego wieczoru zabrzmiały inaczej, bo każde z nich łowili rodzice, przywiedzeni tutaj ciekawością i nadzieją.

– Jest z nami dzisiaj osoba, która była moim królikiem doświadczalnym przez te wszystkie lata, kiedy pracowałem nad metodą „Jak gdyby” – oznajmił tata, kiedy przyszła pora na pytania od publiczności. Uśmiechnął się do mnie, a ja, ku swojemu zaskoczeniu, poczułam, że serce bije mi jak oszalałe. Żałowałam, że zostawiłam mój kamień w plecaku, w hotelu. – Chciałbym ją tutaj zaprosić. Oto moja córka Molly.

Wstałam z krzesła, a publiczność zaczęła klaskać. Podeszłam i usiadłam obok taty. Mieliśmy przed sobą naprawdę wielki tłum! Uśmiechnęłam się, udając, że to dla mnie chleb powszedni – i powoli mój galopujący puls wrócił do normy.

Ludzie zadawali tacie konkretne pytania dotyczące własnych dzieci, a on podsuwał im rozwiązania problemów. Coraz więcej rąk unosiło się w powietrze, tata odpowiadał na kolejne pytania, często błyskotliwie sugerując, że więcej propozycji można znaleźć w książce. Miał do tego talent.

W końcu trafił się ktoś, kto miał pytanie do mnie.

– Jak to jest mieć ojca zafascynowanego metodą, która polega na zachowywaniu się tak, jakby było inaczej, niż jest? – zapytał mężczyzna z tylnego rzędu. Trzymał na kolanach dziewczynkę, która złożyła główkę na jego ramieniu i przysypiała.

– Chyba normalnie. – Wzruszyłam ramionami. – To znaczy dla mnie to całkiem normalne. Nie znam innego życia. Ale który ojciec nie radzi swoim dzieciom, żeby zachowywały się tak, jakby lubiły odrabiać lekcje, zmywać albo jeść brokuły?

Publiczność wybuchnęła śmiechem, a ja zerknęłam na tatę. Jego oczy lśniły dumą. Razem odpowiedzieliśmy na kilka pytań, jakbyśmy byli zgraną drużyną. Nagle uświadomiłam sobie, z radością, ale też ze zdumieniem, że przecież zawsze byliśmy zgraną drużyną.

* * *

Kiedy wróciliśmy do hotelu, tata był zadowolony, ale i wyczerpany. Russell położył go do łóżka, a ja wzięłam kąpiel. Potem przez jakiś czas siedziałam, gapiłam się na telefon i żałowałam, że nie mogę zadzwonić do Chrisa. Nagle przypomniałam sobie, że przecież Russell mówił, że wybiera się na dół zadzwonić. Co oznaczało, że na parterze w holu jest publiczny aparat.

Wyjęłam z plecaka portfel i przeliczyłam drobne. Dolar i pięćdziesiąt pięć centów w ćwiartkach, dziesiątkach i pięciocentówkach. Czy to wystarczy?

Przebrałam się w szorty i schowałam do kieszeni numer Chrisa, klucz do mojego pokoju oraz monety. Wyszłam na korytarz, starając się zamknąć drzwi jak najciszej, żeby tata i Russell nie usłyszeli. Zjechałam windą na parter, coraz bardziej rozemocjonowana, że usłyszę Chrisa. Chciałam mu opowiedzieć o nowych martensach i o tym, jak świetnie udało się spotkanie autorskie. Krążąc po holu hotelowym, myślałam intensywnie, o co sama go zapytam.

W końcu musiałam poprosić recepcjonistę, żeby mi wskazał telefon. W pobliżu windy znajdowała się nieduża wnęka, a w niej trzy kabiny. Jedna była wolna. Próbowałam zamówić połączenie międzymiastowe, ale telefonistka z centrali kazała mi zapłacić więcej, niż wzięłam ze sobą. Nie miałam

innego wyjścia, jak wrócić następnego dnia z dodatkową sumą. Przez chwilę siedziałam smętnie, gapiąc się na aparat, gdy nagle rozpoznałam głos dobiegający z sąsiedniej kabiny. Był stłumiony i trudno było rozróżnić słowa, ale to z całą pewnością mówił Russell. Ucieszyłam się, że nie wystarczyło mi na telefon do Chrisa. Skoro mnie udało się rozpoznać Russella, to on również mógłby rozpoznać mój głos. W dodatku nie mogłam wyjść, bo musiałabym przedefilować pod samym jego nosem. Zaszyłam się w kącie kabiny, postanowiwszy tam przeczekać, i jak wścibska gęś przysłuchiwałam się rozmowie Russella. Ciekawe, do kogo dzwonił.

Gdy się roześmiał, przyszło mi do głowy, że uprzedza kogoś z rodziny o naszym przyjeździe. Tak, na pewno o to właśnie chodziło. Nie byłam w stanie zrozumieć więcej niż kilka słów, ale nie zależało mi na tym. Chciałam tylko, aby Russell skończył gadać i wrócił na górę, żebym mogła stąd wyjść. Wreszcie powiedział: „Ja też cię kocham”, głośno i wyraźnie, po czym skrzypnęły otwierane drzwi jego kabiny. Skuliłam się w moim kącie i schowałam głowę za telefonem, żeby mnie nie zauważył. Odetchnęłam z ulgą, gdy usłyszałam oddalające się kroki, ale potem w uszach zabrzmiało mi jego pożegnalne „też cię kocham”. Serce zamarło mi w piersi. Do kogo tak powiedział? Do kogoś z rodziny? A może miał partnerkę, o której my nie mieliśmy pojęcia? Jeśli tak, czy zamierzał pewnego dnia nas zostawić, żeby być z nią? To było nie do pomyślenia, bez niego bylibyśmy zgubieni. Nagle poczułam na barkach dodatkowy ciężar: teraz musiałam dbać nie tylko o dobre samopoczucie taty, ale też Russella.

Trzy dni później, kiedy wsiadaliśmy do naszej furgonetki, żeby ruszyć w powrotną drogę do domu, Russell i ja byliśmy już solidnie znużeni, natomiast tata wręcz tryskał entuzjazmem. Rano do hotelu zadzwoniła jego agentka, aby przekazać, że wydawca książki był zachwycony odzewem czytelników po trasie promocyjnej. Tak właśnie się wyraziła: zachwycony. Dzwoniła też do wszystkich sześciu księgarń, które odwiedziliśmy, i w każdej z nich książka sprzedawała się nieźle, chociaż w dwóch na spotkaniu pojawiło się zaledwie kilka osób. Wtedy robiłam, co w mojej mocy, żeby jakoś zapełnić widownię: spacerowałam pomiędzy regałami w moich fioletowych martensach, namawiając ludzi, żeby podeszli i posłuchali taty, który opowiada o tym, „jak ważne w życiu jest odgrywanie rozmaitych ról”. Uznałam, że to brzmi lepiej niż sucha nazwa „Terapia »Jak gdyby«”. Chociaż udało mi się zainteresować kilka osób, odkryłam, że nie jestem w stanie sprawić, żeby ktoś zrobił coś, czego nie chce. To znaczy kupił książkę taty. Ale wydawca mimo wszystko był zadowolony, więc tata też się cieszył. A o to przecież chodziło.

Publiczność dopisała w Charlotte i Raleigh, czyli w tych miastach, gdzie tata wystąpił w radiu.

– Następnym razem musimy o tym pamiętać – powiedziałam w Raleigh, kiedy wracaliśmy do hotelu ze spotkania. – Więcej wywiadów w radiu!

Ani tata, ani Russell nie odpowiedzieli. Zrozumiałam, że są znużeni i marzą już tylko o łóżku w ostatnim z serii naszych hoteli.

Ogólnie jednak rzecz biorąc, ta czterodniowa trasa nie odebrała tacie sił, raczej dodała mu skrzydeł. Za każdym razem, kiedy dzwoniłam do mamy, słyszałam w jej głosie niepokój, i musiałam bez przerwy zapewniać ją, że tata czuje się dobrze. Ostatniego dnia, rano, powiedziałam jej, że on ma więcej energii ode mnie. To, rzecz jasna, była prawda trochę naciągana, ale zdecydowanie coś się zmieniło. Nabrał jakiejś lekkości, której wcześniej nie widziałam. A do tego zgodził się, żebyśmy po drodze do domu wstąpili do rodziny Russella na pieczonego prosiaka.

– Gdzieś musimy zjeść – oznajmił wieczorem przed wyjazdem, kiedy układaliśmy plan podróży, i skinął głową Russellowi. – A na pewno lepiej u was niż znów w McDonalddie.

Spieszyło mi się już do domu, bo chciałam pogadać z Chrisem i Stacy, ale skoro ta wizyta miała sprawić im przyjemność, oczywiście przyklasnęłam pomysłowi.

– Puścimy muzykę? – zaproponował tata następnego dnia, gdy ruszaliśmy z parkingu pod hotelem w Raleigh.

Westchnęłam. Zdecydowanie znudziły mi się już jego kasety, a perspektywa kolejnych czterech godzin przy tej muzyce wydawała mi się męczarnią.

– Posłuchamy radia? – odparłam.

– Nieee... – zajęczał Russell. – Ja osobiście nie mam jeszcze dość Williego Nelsona.

Parsknęłam śmiechem, wiedząc, że nie podziela wszystkich preferencji muzycznych taty i dawno już mu się przejadł kawałek Nelsona *On the Road Again*.

– Trudno – mruknął tata zza siedzenia kierowcy. – Skoro nie chce posłuchać nowych kaset, które dla niej kupiliśmy, jej strata.

Odwróciłam się szybko do niego.

– Kupiliście coś nowego? Kiedy? – zapytałam zaciekawiona i ustawiłam sobie skrzynkę z kasetami na kolanach. Marudziłam, że nie mamy w aucie New Kidsów – może Russell na prośbę taty kupić dla mnie ich album na długą drogę do domu?

Otworzyłam skrzynkę, a tam, na kasetach, leżały dwa bilety na koncert New Kids on the Block: trasa Magic Summer Tour, ósmy sierpnia, Atlanta. Chwyciłam je i przyjrzałam się im, własnym oczom nie wierząc.

– Ojejku! – krzyknęłam. – Te bilety są prawdziwe?

Tata się roześmiał.

– Mam nadzieję, bo kosztowały tyle, co prawdziwe. Już jakiś czas temu je kupiłem, nie wiedziałem tylko, jak cię tam zabierzemy. Ale teraz, w trasie, radziłem sobie nieźle, więc dwudniowy wyjazd z Russellem do Atlanty nie sprawi nam większego problemu.

– O Boże, nie mogę w to uwierzyć! – Wpatrywałam się w bilety, czytając każde wydrukowane na nich słowo. – Ale zaraz, przecież są tylko dwa.

– Russell i ja raczej się nie skusimy.

– Dzięki Ci, Panie... – westchnął Russell. Trzepnęłam go w ramię. Nie miał dobrego zdania o tym zespole.

Rozpięłam pas bezpieczeństwa, żeby wskoczyć pomiędzy siedzenia i uściskać tatę, który zaśmiał się serdecznie.

– Wracaj na miejsce – powiedział. – Zaczynam się bać.

– Mogę zabrać kogoś ze sobą? – zapytałam, zapinając pas z powrotem.

– Kogo zechcesz.

Pomyślałam o Chrisie, ale z wielu różnych powodów było to raczej wykluczone. Poza tym Chris miał o New Kidsach tylko odrobinę lepsze zdanie niż Russell.

– Mogę zaprosić Stacy? – Zerknęłam na Russella, bo wiedziałam, co o niej sądzi, ale jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Nawet jeśli nadal uważał, że Stacy to „nic dobrego”, swoją opinię zachował dla siebie.

– Oczywiście – zgodził się tata.

Nie mogłam się doczekać, kiedy wrócimy do domu i będę mogła do niej zadzwonić.

* * *

Byliśmy już coraz bliżej zjazdu do Hendersonville, kiedy nagle przysłała mi do głowy pewna straszliwa myśl. A jeśli ta kobieta, której Russell wyznawał miłość przez telefon, będzie na tej rodzinnej imprezie? W mojej wyobraźni błyskawicznie wyrosła na uwodzicielkę, przez którą moja rodzina straci Russella. Nie polubiłam jej za to.

Kiedy zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej i Russell wysiadł, żeby zatankować, odwróciłam się do taty.

– Moim zdaniem powinniśmy spiknąć Russella z Janet – oznajmiłam.

Tata spojrzał na mnie zaskoczony. A potem wybuchnął śmiechem.

– To jedyni dorośli czarni, których znasz, więc od razu muszą być dla siebie stworzeni?

– A ty myślisz, że nic z tego nie będzie?

– Sądzę, że życie osobiste Russella jest w pełni poukładane.

Chciałam mu powiedzieć, że podsłuchałam go w kabinie telefonicznej, ale nie mogłam, bo zdradziłabym się, że sama poszłam do telefonu.

– Martwię się tylko, że znajdzie sobie dziewczynę gdzieś daleko i od nas odejdzie.

– A od kiedy tak się wszystkim przejmujesz? – zapytał tata. – Zaufaj mi, kochanie – dodał. – O Russella nie musisz się martwić.

* * *

W końcu Russell wyłączył kasetę Beatlesów, której słuchaliśmy już od pół godziny, a następnie skręcił w krętą wiejską drogę, która po kilku milach pokryła się żwirem i zaczęła piąć po pagórkach. Przypominało mi to trochę Morrison Ridge: tam też po obu stronach drogi wyrastały ściany bujnej zieleni, porastającej całe hektary. Po tylu godzinach wypełnionych muzyką miło było jechać w ciszy, która sprawiała, że dostrzegało się w tej drodze coś niemalże świętego. Przypomniałam sobie, jak Russell opowiadał, że jego prapraprapradziadek otrzymał tę ziemię od swojego pana. Obejrzałam się na niego, myśląc sobie, że chyba jeszcze nigdy nie widziałam na jego twarzy aż tak głębokiego spokoju. Tutaj był jego dom. Jego Morrison Ridge.

– Tam po lewej mieszka twoja siostra, prawda? – zapytał go tata w pewnej chwili.

– Tak – odparł Russell. – Wanda.

W głębi lasu po lewej stronie drogi zamajaczył narożnik domu mieszkalnego.

– Byłeś tutaj kiedyś, tato? – zapytałam zaskoczona. Droga wiła się wśród drzew, a żwir chrzęścił pod kołami naszej furgonetki.

– Dwa razy – przyznał. – Zgadza się, Russell? W zeszłym roku, na chrzcie twojej siostry i...

– ...rok wcześniej, na moich urodzinach – dokończył Russell.

Droga zakręciła ostro. Wydawało mi się, że już czuję zapach mięsa pieczonego na grillu, chociaż okna były szczelnie zamknięte.

– Posłuchaj, Graham, dzisiaj są tylko dwadzieścia cztery stopnie – powiedział Russell, spoglądając w lusterko. – Ale jeśli będzie za gorąco dla ciebie, to mama na pewno pozwoli ci odpocząć w swoim pokoju. Tam jest klimatyzator.

– Dam radę, bez obaw – zapewnił tata.

Las się skończył, wyjechaliśmy na rozległą polanę, a sceneria w jednej chwili zmieniła się diametralnie. Na środku stał olbrzymi dom z bali. Brunatne drewno i biała zaprawa tworzyły szerokie, nieregularne pasy, a sam budynek wyglądał na stary, lecz solidny. Pod jedną ze ścian ustawiono kilka piknikowych stołów nakrytych białymi, papierowymi obrusami. Samochody i furgonetki stały zaparkowane na trawniku. Jedno z tych aut przyciągnęło grilla na kółkach; stał tak, jak przyjechał, zaczepiony o hak holowniczy; kłębił się nad nim dym i lśniło rozedrgane powietrze.

– Dom kilka razy rozbudowywano – poinformował mnie Russell, parkując obok małego czerwonego samochodu. Nacisnął guzik opuszczający platformę dla wózka, po czym wskazał ręką w stronę domu. – Na górze, na rogu, był mój pokój. – W jego głosie zabrzmiała nostalgia. Usłyszałam czułość i dumę, taką samą jak u babci, kiedy opowiadała o Morrison Ridge. – To najstarsza część domu.

Wokół grilla stało kilku mężczyzn z butelkami piwa w dłoniach. Kiedy Russell i ja wysiadaliśmy z furgonetki, jeden z nich wskazał butelką w naszym kierunku. Dookoła biegała chmara dzieciaków, podobna do roju pszczół, a z olbrzymiego magnetofonu ustawionego na dachu samochodu wylewała się muzyka – to Marvin Gaye śpiewał *Sexual Healing*. Russell wszedł po platformie do naszej furgonetki, odblokował wózek i wyprowadził go na zewnątrz.

– A to jest moja ulubiona siostra, Wanda. – Pokazał mi kobietę, która postawiła na stole dużą niebieską miskę i ruszyła nam na spotkanie.

– Rusty! – zawołała. – Udało ci się przyjechać!

Russell zostawił wózek, zrobił kilka kroków i chwycił ją w objęcia.

– Czujesz ten zapach? – Tata zerknął na mnie. – Smacznie sobie dzisiaj podjemy, Molly.

Wanda pochyliła się i cmoknęła go w policzek.

– Miło cię znów widzieć, Graham – powiedziała. Miała jasną karnację, znacznie jaśniejszą niż Russell, a jej oczy lśniły hipnotyzującą zielonkawożółtą barwą, jakiej nigdy jeszcze nie widziałam. Potem spojrzała na mnie.

– A ty jesteś Molly?

– Tak, proszę pani – odpowiedziałam.

Wanda podała mi rękę, a potem obejrzała się na Russella.

– Córka Amalii? – zapytała, a on przytaknął.

Byłam w szoku. Mało kto wiedział, że Amalia jest moją matką.

– Zna ją pani? – zdziwiłam się.

– Wanda odwiedziła kiedyś Russella w Morrison Ridge i wtedy poznała Amalię – wyjaśnił mi tata. – Prawda, Wando?

Przez chwilę chyba nie wiedziała, co powiedzieć, a potem najwyraźniej przypomniała sobie tamto spotkanie.

– Zgadza się! – zawołała, a potem nagle chwyciła mnie za rękę. – No dobrze, chodź. – Pociągnęła mnie w stronę grilla. – Musicie wszystkich poznać.

Stopniowo Russell przedstawił nam całą swoją rodzinę. Poznałam tylu ludzi, że ich imiona i twarze bardzo szybko mi się poplątały: wujek jak-mu-tam i kilka ciotek, do których Russell zawsze zwracał się „cioteczko”. Gromada kuzynów, przeważnie facetów w jego wieku: ci wystawiali obok grilla, aby podkraść chrupiące skrawki wieprzowiny. Oprócz mnie i taty nie dostrzegłam żadnych białych i pomyślałam, że mam teraz małą próbkę tego, jak czują się na co dzień dwa jedyne czarne dzieciaki w mojej szkole.

Wanda zaprowadziła mnie do domu. Drzwi do kuchni były tak niskie, że musiałam się schylić, żeby nie uderzyć głową we framugę.

– Kiedy budowano ten dom, ludzie byli niżsi – wyjaśniła mi.

W gorącej kuchni siedziały same kobiety, a w mlecznym od pary powietrzu wisiał mocny, charakterystyczny zapach gotowanego jarmużu. Wanda przedstawiła mi swoje siostry.

– To jest Carla, pielęgniarka. To Ree-Ree, nauczycielka. A to Tula, pielęgniarka. I Janice, też pielęgniarka. – Imiona i twarze trochę mi się mieszały, ale w sumie naliczyłam trzy pielęgniarki i dwie nauczycielki.

– A to mama, która właśnie przyrządza swoje popisowe faszerowane jajka. – Wanda przystanęła razem ze mną u szczytu długiego stołu, gdzie siedziała mama Russella i z wielką wprawą wyciskała pastę z żółtek do połówek ugotowanych na twardo białek. Służył jej do tego płócienny rękaw cukierniczy.

– Siadaj tutaj, skarbie. – Wskazała miejsce na ławie, przy stole. – Możesz pokroić pikle do sałatki ziemniaczanej.

Ucieszyłam się, że dostałam jakieś zajęcie. Potrzebowałam tego, żeby nie myśleć, jak bardzo chcę zadzwonić do Chrisa i do Stacy. Nie zdecydowałam jeszcze, do którego z nich najpierw. Zabrałam się do krojenia pikli na małej desce, którą podała mi Wanda, i momentalnie zaczęłam się pocić, jak podczas ciężkiej, fizycznej pracy. Zatłoczoną, zaparowaną kuchnię wypełniał gwar rozmów i odgłosy siekania i mieszania, a w tle słychać było stłumione dudnienie wielkiego magnetofonu na zewnątrz.

Od kilku siostr powiało chłodem. Miałam wrażenie, że zadają sobie pytanie: „Co biała dziewczyna robi w naszej kuchni?”, ale przecież mogłam się mylić. Może po prostu z natury były chłodniejsze, a osoba z zewnątrz często opacznie interpretuje czyjeś zachowanie. Pozostałe panie traktowały mnie naprawdę miło: kiedy skończyłam kroić pikle i zabrałam się do pomidorów, jedna podała mi ostrzejszy

nóż, a inna powiedziała, że mam prześliczne niebieskie oczy.

– Zupełnie jak twój tata – dodała.

– Rusty uwielbia u was pracować – oznajmiła mama Russella, posypując faszerowane jajka mieloną papryką. Siwiejące włosy nosiła upięte w kok, a twarz, w przeciwieństwie do mnie, miała suchą; chyba jej organizm już dawno temu przystosował się do kuchennych temperatur. – Mówi, że sympatyczni z was ludzie.

Przyszło mi do głowy kilka różnych odpowiedzi. Że bez Russella nie dalibyśmy sobie rady. Że zawsze potrafi odgadnąć, czego potrzeba tacie, nawet zanim tata sam się zorientuje, że właśnie o to mu chodzi. Że najobrzydliwsze obowiązki wypełnia bez słowa skargi.

– On jest dla nas bardziej członkiem rodziny niż pracownikiem – powiedziałam ku własnemu zaskoczeniu. Zabrzmiało to bardzo dorośle; nigdy jeszcze nie ujęłam tego w ten sposób, ale to była prawda. Kilka sióstr Russella odwróciło głowy w moją stronę. Jedna z nich, Ree-Ree, zaśmiała się i mruknęła coś pod nosem, nie dosłyszałam słów.

– Zamknij się, Ree-Ree – syknęła Wanda, a ja się zaczerwieniłam, bo nie wiedziałam, czy Ree-Ree przypadkiem nie wyśmiewała się ze mnie.

– Wszyscy pracodawcy zawsze tak mówili o Rustym – oznajmiła z dumą mama Russella, nie zwracając uwagi na scysję swoich córek.

Po raz pierwszy uświadomiłam sobie wtedy, że Russell miał jeszcze innych pracodawców przed nami. Wiedziałam, że zanim pojawił się w Morrison Ridge, pracował jako opiekun w różnych miejscach, ale teraz poczułam się zazdrosna o wszystkich „tamtych”. Zapragnęłam, żeby był tylko nasz, na zawsze.

– Ale jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby gdzieś tak bardzo mu się podobało – powiedziała Wanda. Zorientowałam się, że jest osobą, która potrafi załagodzić każdy konflikt. „Rodzinny mediator”, pomyślałam, „zupełnie jak ciocia Claudia”. Spojrzałam na nią z wdzięcznością.

* * *

Kiedy wszystkie przekąski znalazły się na stołach, tata i ja usiedliśmy przy tym najbliższym domu. Z magnetofonu leciała piosenka The Temptations *Treat Her Like a Lady*. Karmienie taty wzięłam na siebie, żeby Russell mógł spędzić czas z rodziną. Widząc, jak wygłupia się ze swoimi siostrami i kuzynami, rozumiałam, że on właściwie żyje w dwóch światach. U nas czuł się swobodnie i był zadowolony, ale tutaj poruszał się z zupełnie inną swobodą, był odprężony, a z jego twarzy nie znikał uśmiech. Obserwowałam, w jaki sposób odnosi się do kobiet, i wypatrywałam tej, której przez telefon wyznał: „Ja też cię kocham”, ale on wydawał się mieć zażyłą relację z każdą osobą, do której się tylko odezwał. „Może rozmawiał wtedy z Wandą albo z mamą”, pomyślałam i ta myśl przyniosła mi ulgę. Był ze swoją rodziną tak blisko, że takie słowa na pożegnanie wydawały się całkiem naturalne.

– No, tak smakuje grillowane mięso – powiedział tata, przełknąwszy kęs wieprzowiny. Potem wdał się w ożywioną dyskusję z mężem Wandy, który siedział naprzeciwko. Mężczyzna pochodził ze wschodniej części stanu, gdzie podstawą sosu barbecue jest ocet, a nie pomidory; gdyby tata mógł używać pięści, to skończyłoby się chyba na ubitej ziemi. Był jednak zadowolony i przestał w końcu liczyć kalorie. Podałam mu dwanaście smażonych kulek z mąki kukurydzianej, z mięsem i wszystkimi dodatkami, jakie znalazłam na stole, a potem wielką michę zabójczego bananowego puddingu. Kiedy już pogodziłam się z faktem, że wrócimy do domu znacznie później, niż się spodziewałam, poczułam satysfakcję. Tata był szczęśliwy. Russell promieniał radością, że widzi swoją rodzinę. Ja miałam bilety na koncert New Kidsów, brokatowe paznokcie i fioletowe martensy, a już za kilka godzin, przy sprzyjających wiatrach, zadzwonię do chłopaka, który skradł mi serce.

Po powrocie odniosłam wrażenie, że podczas naszej nieobecności coś się zmieniło. Niczego nie zauważyłam ani nie usłyszałam, ale nabrałam takiego poczucia, kiedy zajechaliśmy przed dom i na werandę wybiegła mama w swoim białym aptecznym fartuchu. Wsiadłam pierwsza, a ona minęła mnie i wskoczyła po platformie do furgonetki, żeby dostać się do taty. Widziałam, jak kuca obok jego wózka, jedną dłonią otula jego nadgarstek, a drugą gładzi go po twarzy. Odwróciłam się, wstrząśnięta czystą siłą jej emocji. Russell czekał obok, żeby odblokować wózek, ale gdy spojrzałam mu w oczy, szybko odwrócił wzrok. Poczułam się samotna. Wykluczona i opuszczona. I wtedy przypomniałam sobie słowa Dani: „Ciocia musiała cię przyjąć, żeby nie stracić męża”. Po raz pierwszy zadałam sobie pytanie: czy to może być prawda?

* * *

Na stoliku w korytarzu leżała koperta z moim nazwiskiem. Nie było adresu zwrotnego, ale ja znałam nadawcę; uważnie przyjrzałam się, jak napisał moje nazwisko i adres. Jego charakter pisma bardzo mi się spodobał. Przypominał raczej druk, litery były kanciaste i odchylone do tyłu. Uznałam, że to bardzo męskie. Zabrałam kopertę i zaniiosłam walizkę na górę, do swojego pokoju. Usiadłam na łóżku i rozerwałam papier. Ze środka wypadła fotografia, a wraz z nią liścik. Mówił mi przez telefon, że to zdjęcie jest słabe, ale mnie wydało się piękne. Włosy miał krótsze niż teraz, a szaroniebieskie oczy, przysłonięte ciężkimi powiekami, zdecydowanie seksowne. Uśmiechał się krzywo, a ja nie potrafiłam sobie przypomnieć, czy naprawdę ma taki uśmiech, czy tylko tak wyszło na zdjęciu. W lewym policzku zauważyłam mały dołeczek. Tego z kolei w ogóle nie zapamiętałam, ale nic dziwnego, że przeoczyłam tyle szczegółów, skoro widziałam go raz w życiu. I potwornie chciałam go znów zobaczyć.

Kiedy się rozpakowałam, zadzwoniłam do Stacy, żeby powiedzieć jej o biletach na koncert. Martwiłam się trochę, że się nie ucieszy – ostatnimi czasy bardziej niż New Kids on the Block interesował ją Bryan – ale tak wrzasnęła mi do słuchawki, że musiałam odsunąć ją od ucha. Uśmiechnęłam się z ulgą.

– Ale czad! – zawołała. – I będziemy nocować w Atlancie? Zapytam mamę, ale na pewno się zgodzi. Dzwoniłaś już do Chrisa?

– Zaraz to zrobię.

– Naprawdę wpadłaś mu w oko, Molly – zapewniła Stacy. – Wiem, że nie może się już doczekać waszego następnego spotkania.

– Ja też – westchnęłam i szybko skończyłam rozmowę, żeby wreszcie do niego zadzwonić.

* * *

– Powiedz, kogo wycięłaś ze zdjęcia, które mi przysłałaś? – zapytał Chris od razu po tym, jak się przywitaliśmy. Słyszałam, że się uśmiecha. Wyobrażałam sobie jego oczy i długie rzęsy. I ten dołeczek

w policzku, po lewej stronie ust.

– To nikt taki, po prostu ktoś, kogo znam – odpowiedziałam.

– W każdym razie cieszę się, że go wycięłaś – albo ją – bo dzięki temu mogłem się skupić wyłącznie na tobie.

Jakie to było cudowne!

– Ona – wyjaśniłam. – Ja też dziękuję za zdjęcie. Jest świetne.

Opowiedziałam mu o biletach na New Kidsów; bardzo mi ulżyło, kiedy zapewnił, że taki koncert to fajna sprawa, i ucieszył się, że zaprosiłam Stacy.

– To będzie twój pierwszy koncert? – zapytał.

– Tak.

– Bomba. Ja kilka miesięcy temu byłem z Bryanem na Aerosmith w Charlotte. To kompletnie inne przeżycie usłyszeć kapelę na żywo.

– Twój pierwszy koncert?

– Gdzie tam! – roześmiał się. – Pierwszy był Van Halen w osiemdziesiątym czwartym roku. Totalny czad. Pierwszego koncertu się nie zapomina.

– Już nie mogę się doczekać.

Chris milczał przez chwilę.

– Pierwszego razu też się nie zapomina – powiedział wreszcie, powoli i z naciskiem, jak gdyby chciał, żebym go dobrze zrozumiała. Dopiero po chwili załapałam. Żołądek zwinął mi się w twardą kulę i nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Chciałbym być dla ciebie tym pierwszym, Molly – mówił dalej.

O Boże. Nie mogłam w to uwierzyć. Byłam szczęśliwa, a jednocześnie zdenerwowana.

– Ja... – zająknęłam się. – Ja też bym tego chciała... ale jeszcze nie teraz. Dobrze? Ja raczej... Po prostu wolę, żeby...

– Spokojnie. – Roześmiał się. – Mamy tyle czasu, ile dusza zapragnie.

– Właśnie. – Odetchnęłam z ulgą.

– Ale powiedz, Molly, tak na poważnie. – Jego głos niespodziewanie zabrzmiał bardzo dorośle. Po męsku. – Kiedy się znów zobaczymy?

* * *

Wieczorem, przy kolacji – tata i ja zjedliśmy tylko sałatkę, bo wciąż jeszcze byliśmy pełni po uczcie u Russella – mama powiedziała nam, że w czasie naszej nieobecności wujek Trevor sprowadził do Morrison Ridge ekipę geodetów. W jej głosie słychać było napięcie.

„Może to dlatego wydaje mi się, że coś się zmieniło”, pomyślałam. Mama zdenerwowała się knuciem wujka Trevora.

– Zabroniłam mu wstępu na naszą ziemię – ciągnęła, podsuwając tacie do ust liść sałaty nabity na widelec. – Ale puścił to mimo uszu. Kiedy z nim rozmawiałam, był podпиты, a po południu już po prostu pijany.

Tata zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

– Przesadza z alkoholem, traci nad sobą kontrolę – stwierdził.

– Jestem niemalże pewna, że Claudia i Jim wpuścili go na swój teren – dodała mama. – Nie widzą w tym nic złego, a Claudia zawsze pozwala Trevorowi wchodzić sobie na głowę.

Tata nie zwracał już uwagi na sałatę.

– Czy mama wie, że zamówił geodetów? – zapytał.

Mama pokręciła głową i odłożyła widelec do miski stojącej przed tatą.

– Trevor ukrywa to przed nią – przyznała.

– A to łajdak – warknął tata zupełnie nie swoim głosem. – Zachowuje się jak samolubny gnojek...

– O co tutaj chodzi? – zapytałam, poruszona jego gniewem, który okazywał tak rzadko. Wyjazd bardzo nam się udał i tata tryskał optymizmem, a teraz jego dobry nastrój ulatniał się na moich oczach. Byłam zła na wujka Trevora, bo to przez niego.

– Trevor zbiera argumenty, żeby przekonać nas do sprzedaży ziemi – wyjaśnił mi tata. – Ale nie masz się czego obawiać. Traci tylko czas i przy okazji wkurza wszystkich dookoła.

Coś mi mówiło, że jednak jest gorzej, ale on nagle zmienił temat i zapytał mamę o przygotowania do wielkiej letniej zabawy. Wyraźnie nie chciał rozmawiać o wujku Trevorze i naszej ziemi.

– Podczas waszej nieobecności spotkaliśmy się, żeby rozdzielić zadania – powiedziała mama. – Ty i Molly przygotujecie muzykę. Bess mówi, że potrzebny będzie szeroki wybór, dla osób w każdym wieku, więc musicie o tym pamiętać.

– Babcia lubi big-band i Franka Sinatrę – wtrąciłam, zadowolona, że możemy odwrócić uwagę taty od wujka Trevora. Nie przepadałam za ulubioną muzyką babci, ale faktycznie należało zadbać o wszystkich.

– Jim zamierza urządzać degustację piwa – mówiła dalej mama. – Claudia i ja pieczemy na potęgę i wszystko mrozimy. Zatrudniłyśmy też studentów do roznoszenia przystawek i kieliszków z winem.

– Elegancko – powiedział tata, pijąc wodę przez słomkę, którą mama podsunęła mu do ust.

– Kilka dni przed imprezą sprawdzimy prognozy pogody. Musimy się upewnić, że obędzie się bez rozstawiania namiotu nad pawilonem – dodała mama.

– Oby! – jęknął tata. – Tyle z tym zachodu, a ja mogę przydać się tylko do wykrzykiwania wskazówek, których i tak nikt nie słucha.

Uśmiechnął się do mnie, ale był to raczej wymuszony uśmiech. Przypomniałam sobie czyjąś imprezę urodzinową sprzed kilku lat, kiedy trzeba było właśnie rozstawić namiot. Skończyło się tak, że wujek Trevor zwyzywał tatę i krzyknął do niego: „Jak ci się nie podoba nasza robota, chodź tutaj i sam to zrób!”.

– Co z krzesłami? – zapytał tata.

– Już są na miejscu, w pawilonie. Trevor i Jim je dowieźli i przykryli plandekami. Przygotowali też oświetlenie. I śmietniki. I siatkę do siatkówki, gdyby komuś zachciało się skrócić kostkę po ciemku na tym rozjeżdżonym polu.

Tata westchnął.

– Na samą myśl o tym, jak się napracowali, już czuję się wyczerpany. – Głos miał smutny, szkoda, że nie znałam żadnych czarów mogących podnieść go na duchu. Kiedy mama podsunęła mu do ust pomidora winogronowego nabitego na widelec, potrząsnął głową.

– No dobrze – powiedziałam pogodnie. – My zajmiemy się muzyką. To znacznie większe wyzwanie niż wożenie krzesel.

Rodzice obejrżeli się na mnie, ale twarze mieli pozbawione wyrazu. Wreszcie tata posłał mi zmęczony uśmiech.

– Miła jesteś, Moll – mruknął.

– Ale to naprawdę jest wyzwanie – upierałam się. – Nagrać takie składanki to nie w kij dmuchał. Musimy ruszyć głową. A krzesła każdy potrafi wozić.

– Skoro tak mówisz... – odparł. Widać było, że jest już bardzo zmęczony.

Mama spojrzała na mnie.

– Stacy przyjdzie, prawda? Zaprosiłaś ją?

– Tak. – Korciło mnie, żeby spytać, czy mogę zaprosić też Chrisa i Bryana, ale się nie odważyłam. Tata

nie wspomniał już ani słowem tamtego feralnego dnia u Stacy, a ja nie chciałam mu o nim przypominać.

* * *

Po kolacji posprzątałam z mamą w kuchni, a Russell przygotował do snu tatę, którego podróż w końcu zmogła i postanowił się położyć wcześniej. Martwiłam się, że przygnębiła go rozmowa o wujku Trevorze i sprzedaży ziemi. Byłam wkurzona na wujka. Po co tak mąci? Czy nie widzi, jak to tatę boli? I tatę, i w ogóle wszystkich?

Kiedy układałam naczynia w zmywarce, podrygując lekko w takt muzyki, która rozbrzmiewała w mojej głowie, zauważyłam nagle, jak mama sięga do kieszeni swojego białego fartucha, wiszącego na oparciu krzesła przy kuchennym stole. Potem otworzyła szafkę obok piekarnika, a mnie rzucił się w oczy biało-niebieski witrażowy piórnik taty. Wystawał zza miski na środkowej półce. A więc tam zawędrował. Dziwne. Już otwierałam usta, żeby zapytać mamę, dlaczego leży w tym miejscu, ale coś mnie powstrzymało. Patrzyłam tylko, jak mama unosi wieczko i chowa coś do środka.

Zamknawszy szafkę, wzięła z blatu brudną szklankę i podała mi ją.

– Wspaniale spędziliście ten czas, prawda? – zapytała cichym, zamyślonym głosem.

– Bardzo – przytaknęłam, wycierając dłonie ścierką do naczyń. – Od początku do samego końca.

Mama pogładziła mnie po włosach.

– A tobie się podobało, Molly? – zagadnęła. Tak czule, jak chyba jeszcze nigdy dotąd. – Bałam się, że nadzór nad tymi dwoma gagatkami to dla ciebie zbyt wielka odpowiedzialność. – Uśmiechnęła się.

– O, tak – odparłam. – To dwóch dzikich wariatów, zgadza się. Zobacz, co tata mi kupił. – Wystawiłam nogę przed siebie.

– Martensy! – zawołała mama. – Nie zauważyłam.

Oczywiście, że nie zauważyła, przecież odkąd przyjechaliśmy, właściwie ani razu na mnie nie spojrzała. Ale teraz, kiedy tata już nie zaprzętał jej głowy, zwróciła uwagę na mnie.

– Są cudowne – powiedziałam. – I dostałam czadowy lakier. – Wyciągnęłam dłoń przed siebie, a mama ujęła ją i obejrzała moje paznokcie. Czułam ciepło jej palców i ku własnemu zdziwieniu wcale nie chciałam, żeby mnie puściła. Tata przecież zawsze mnie namawiał, żebym zaczęła z nią poważnie rozmawiać; na jedną krótką chwilę przyszło mi do głowy, że naprawdę byłoby to możliwe.

– Pasuje ci idealnie – powiedziała mama, cofając ręce. Opuściłam dłoń powoli, a ona wzięła gąbkę leżącą na skraju zlewu i zaczęła wycierać blat kuchenny. – À propos, kochanie – odezwała się po chwili – we wtorek wieczorem mamy kolejne spotkanie rodzinne. Tym razem babcia przyjdzie, więc może zapytasz Stacy, czy zaprosi cię na noc, o ile jej mama będzie w domu?

„Genialnie”, pomyślałam.

– Jasne – obiecałam. – Zapytam.

Może Chris i Bryan do nas zajrzą, a może mama Stacy pójdzie na górę i będziemy mieć salon tylko dla siebie.

Każdemu wolno marzyć, prawda?

San Diego

– Molly?

Prostuję się za biurkiem jak struna, przyciskając słuchawkę do ucha. Głos Zoe rozpoznaję natychmiast. Jestem w pracy, skończyłam właśnie spotkanie z klientem i zaraz mam następne. Co jakiś czas nachodzą mnie myśli, że Prędką Patti za pośrednictwem Zoe wyznaczyła mi dodatkowe spotkanie: „Zrozumieliśmy, że jesteś osobą niezrównoważoną, więc Patti zaprasza cię na krótką pogawędkę”.

– Zoe? – pytam.

– Tak, to ja. I mam dla ciebie dobrą wiadomość!

Podrywam się z za biurka i zamykam drzwi do gabinetu.

– Mów – proszę. A raczej błagam. Na dobre wiadomości czekam z utęsknieniem.

– Sienna zmieniła zdanie – zaczyna Zoe. – W trakcie spotkań z Kate, jedną z naszych doradczyń, uznała, że chce znaleźć dla swojego dziecka rodzinę zastępczą. Chciałaby z wami porozmawiać, ale wstydzi się swojego wcześniejszego zachowania. Jesteście skłonni się z nią spotkać?

– Tak! – wołam. Być może właśnie dlatego nie mogłam przestać myśleć o Siennie, chociaż rozmawialiśmy tylko raz, i to krótko. Czyżby ona też o mnie myślała? Przez ostatni tydzień, za radą Aidana, starałam się rozluźnić. Bardzo mi w tym pomagał. Co wieczór, po kolacji, chodziliśmy na spacer po Kensington, dwa razy do kina, raz spotkaliśmy się ze znajomymi w restauracji, no i był też seks. Dużo seksu. Aby nie śniła mi się Amalia, przez cały tydzień brałam tabletki nasenne, i podziałało. Aidan miał rację. Powinnam się wyluzować. I oto nareszcie moje starania przyniosły efekt.

– Bardzo, bardzo chcemy się z nią spotkać – zapewniam Zoe.

– Sienna zaproponowała, jeśli wam pasuje, wspólny lunch w najbliższą sobotę, ale nie w Leucadii, bo nie chce wpaść przypadkiem na jakieś koleżanki ze szkoły. Wciąż ma z nimi problemy.

„Biedna dziewczyna”, myślę.

– Dobrze, spotkamy się w San Diego – mówię i podaję Zoe nazwę restauracji na starówce. Ustalamy godzinę, a po odłożeniu słuchawki siadam nieruchomo w fotelu, zaciskam powieki i staram się równo oddychać. Boję się rozbudzać w sobie nadzieję i ani przez chwilę nie chcę być sama z tym niepokojem. Sięgam po słuchawkę i wykręcam numer Aidana.

Morrison Ridge

W dniu poprzedzającym zabawę mama, ciocia Claudia i ciocia Toni przez całe popołudnie uwijały się w naszej kuchni: rozmrażały potrawy i szykowały przystawki oraz desery. Ich krzątanie przypominała mi rodzinny dom Russella, z tą różnicą, że wchodząc do naszej kuchni, większej i bardziej jasnej, nie trzeba się schylać. Ale panowała identyczna atmosfera wyczekiwania. Wszyscy włożyli mnóstwo pracy w przygotowania i nie mogli się już doczekać wieczoru.

Kiedy mama i ciocie szykowały jedzenie, ja usiadłam na podłodze w kącie kuchni i zajęłam się dekoracją wózka. Tata akurat drzemał, więc przez mniej więcej godzinę miałam jego wózek do dyspozycji. Rozwinęłam długie rolki czerwonej, białej i niebieskiej krepiny, którą dała mi Amalia, i przepłotłam koła trójkolorowymi wstęgami. Kiedyś bardzo lubiłam stroić wózek taty na specjalne okazje, ale teraz miałam wrażenie, że to trochę obciach. Coś mi mówiło, że robię to po raz ostatni. A tacie było raczej wszystko jedno, jak wygląda jego wózek.

Mama otworzyła szafkę obok piekarnika, żeby wyjąć miskę. Szklany piórnik taty wciąż stał na środkowej półce. Poprzedniego wieczoru, gdy byłam sama w kuchni, zajrzałam do niego, ciekawa, co mama przyniosła w kieszeni swojego fartucha i schowała do środka. Znalazłam jakieś białe proszki. W szklanym pojemniku leżały ich całe garście. Czemu te pigułki trzymano osobno, z dala od innych leków, które przyjmował tata? Może były potrzebne do jakiegoś badania? Może mama potajemnie wciągnęła tatę do testów? Nie miałabym do niej pretensji. Nieważne, o co chodziło, oby tylko się udało.

Podczas pracy mama i ciocie rozmawiały o rozmaitych rzeczach: o przepisach, o degustacji piwa wujka Jima, o tym, że na wieczór zapowiadają idealną pogodę, o tym, kto przyjdzie na zabawę – a ja nie zwracałam na to uwagi, dopóki nie uświadomiłam sobie nagle, że zaczęły szeptać. Przerwałam oplatanie szprych krepiną i nasłuchiwałam. Mama i ciocie zbiły się w grupkę obok zlewu; stały tyłem do mnie, a ręce wciąż miały zajęte, więc zdołałam pochwycić zaledwie kilka słów.

– Czy lekarz przyjdzie? – chciała wiedzieć ciocia Claudia.

Mama odpowiedziała coś, czego nie zrozumiałam.

– ...to znajomy Amalii – dodała.

– O Boże – westchnęła ciocia. – Czyli na pewno jakiś konował.

– To i tak nieważne, prawda? – W głosie mamy niespodziewanie zabrzmiało olbrzymie znużenie.

Obejrzała się na mnie, więc szybko zajęłam się krepiną. Po chwili mama i ciocie wróciły do rozmowy, ale już szeptem, więc nie rozumiałam ani słowa. Pewnie w ogóle by mnie to wszystko nie obeszło, gdyby nie robiły z tego wielkiej tajemnicy. I co z tego, że na naszej zabawie będzie jakiś lekarz? Znajomy Amalii? Może w końcu znalazła sobie faceta. No i co z tego, że kogoś zaprosiła? Po co o tym konspiracyjnie szeptać? Domyśliłam się, że zawsze w ten sposób o niej plotkują i że nie jest to przeznaczone dla moich uszu.

Puściłam wstęgę czerwonej krepiny z tyłu wózka i zaplotłam ją na pałąku podtrzymującym zagłówek,

a potem zerknęłam na zegar w mikrofalówce. Minęła czwarta, więc lada chwila spodziewałam się Stacy. Nie mogłam się już doczekać, bo nie widziałyśmy się od wieków. A miałyśmy do omówienia plany na wtorkową noc. Moja mama potwierdziła obecność mamy Stacy w domu, ale Bryan i Chris i tak mieli przyjść. Stacy była wkurzona, że będziemy mieć jej mamę na głowie, ale może tak było lepiej, żeby tylko nam nie przeszkadzała. Gdyby Chris znowu zaczął mnie całować, nie wiem, czy dałabym radę go powstrzymać. Jego pocałunki były zbyt cudowne. W powieści *Forever* Katherine i Michael poszli na całość, ale oni byli trzy lata starsi ode mnie, a poza tym Katherine brała pigułki antykoncepcyjne. Gdybym zaszła w ciążę... Boże, nie mogłam nawet o tym myśleć!

Nagle do kuchni wparował wujek Trevor. Wszedł tylnymi drzwiami i momentalnie jakby zrobiło się duszno. Mnie w ogóle nie zauważył; podszedł do mamy i ciotki Toni, które lukrowały ciasteczka, po czym układały je na wielkiej tacy. Stał pomiędzy nimi i objął każdą swoją grubą, umięśnioną ręką. W prawej dłoni ścisnął butelkę piwa.

– No proszę, dwie piękności – powiedział. Jego lewa dłoń zsunęła się z talii mojej mamy na tylną kieszeń jej dżinsów. Mama spokojnie sięgnęła za siebie i odsunęła rękę wujka.

– Trevor – zapytała, nie oglądając się na niego – sprawdź, czy wystarczy węgla do grilla?

– Mamy całą górę węgla, Noro. – Cofnął się o krok i oparł o blat kuchenny. – W pawilonie wszystko gotowe. Teraz szykujemy z Jimem fajerwerki. Takiego pokazu jeszcze nie było. – Widziałam wyraźnie kontury mięśni na jego masywnych udach i łydkach. Bicepsy wielkie jak bochny. Pomyślałam wtedy, że ciało mojego taty obumiera, i ogarnął mnie gniew, że życie jest strasznie niesprawiedliwe.

– Ile piw wypijeś? – Ciotka Toni odwróciła się do wujka, ściskając w dłoni łopatkę umazaną czekoladowym lukrem. Nie odpowiedział, ale naprawdę był już wstawiony. Nie sądziłam, żeby na trzeźwo poważnie się obmacywać moją mamę.

– Molly – mama obejrzała się na mnie – niedługo przyjedzie Stacy. Zabierz wózek na werandę, dobrze? Tutaj robi się za ciasno.

Miała rację. Zebrałam nożyczki, taśmę klejącą i resztki krepiny, rzuciłam na siedzenie wózka, żeby wyprowadzić go z kuchni. Kiedy dotarłam na werandę, Stacy akurat wysiadła z samochodu swojej mamy. Zarzuciła plecak na ramię i pomachała do mnie.

– Hej, Molly! – zawołała i puściła się biegiem w moją stronę. Jej mama zatrąbiła na pożegnanie, a samochód zniknął za drzewami, zanim Stacy wbiegła po schodkach i mocno mnie objęła.

– Strasznie się za tobą stęskniłam! – oznajmiła. – A gdzie twój tata? Jego też chciałabym uściskać. Nie do wiary, że kupił dla nas te bilety!

– Tata odpoczywa – wyjaśniłam. – Zbiera siły przed wieczorną zabawą.

– Będzie czadowo! – wykrzyknęła Stacy, po czym zniżyła głos do szeptu. – Wzięłam małą porcję... wiesz czego.

A ja, ciemniaczka, dopiero po chwili zrozumiałam, o czym mowa.

– Fajnie – mruknęłam, chociaż nie miałam pojęcia, gdzie wypalimy towar. Trzeba było coś wymyślić. Chciałam znów się nakręcić, tak jak wtedy. – Nie wiem tylko, gdzie z tym pójdziemy.

– Może do lasu? – zaproponowała Stacy i dopiero teraz zauważyła wózek, chociaż stał centralnie pomiędzy nami. – Co robisz? – zapytała.

– Dekoruję go. A co myślałaś?

– Ślicznie! – zachwyciła się. – Jak na Święto Niepodległości.

To akurat mnie zmartwiło.

– Rzeczywiście – jęknęłam, bo zdałam sobie sprawę, że Stacy ma rację. – Powinłam wpleść trochę zielonego.

– Jest super. – Pochyliła się, żeby poprawić pasek krepiny zwisający ze szprychy.

– Witaj, Stacy. – W drzwiach stanęła moja mama, wycierając ręce w ścierkę do naczyń. – Miło cię znowu widzieć.

– Dzień dobry, pani... Noro. – Stacy uśmiechnęła się do niej, a jej twarz przybrała wyraz czystej niewinności. Ta dziewczyna nadawała się na aktorkę. Wciąż nie wiedziałam, co tata albo Russell opowiedzieli mamie o spotkaniu w domu Stacy. Mama nie poruszała tego tematu, ale stanowczo nalegała na obecność mamy Stacy w domu we wtorek, kiedy będę tam nocować, więc uznałam, że tata musiał jej coś wspomnieć. Nie miałam jednak pojęcia, na ile szczegółowo, skoro to nie on, tylko Russell wszedł do środka i wywęszył zioło.

– Idźcie się szykować na zabawę, dziewczyny, a potem pomożecie nam przenieść jedzenie do furgonetki, dobrze? – poprosiła mama. – Trevor, wujek Molly, przewiezie wszystko do pawilonu.

– Dobrze. – Zerknęłam na Stacy. – Odstawię wózek do sypialni taty, a ty poczekaj w moim pokoju.

* * *

Kiedy przyszedłam do pokoju, razem zrobiłyśmy sobie makijaż, co było trochę bez sensu, bo na tej zabawie i tak nie miałyśmy na kim robić wrażenia, a poza tym zachodziło już słońce i robiło się ciemno – ale mimo to fajnie było się umalować. Pokazałam Stacy zdjęcie Chrisa, które nosiłam przy sobie, a ona wyznała mi, że poważnie się zastanawia, czy pójść na całość z Bryanem. Słuchałam jej, rozdarta pomiędzy podnieceniem a przerażeniem.

– A wiesz... Cięża, te sprawy? – zapytałam.

– Bryan weźmie prezerwatywy. – Stacy wzruszyła ramionami. – Nic się nie stanie.

– Katherine brała pigułki antykoncepcyjne. – Rozmawiałyśmy o niej jak o prawdziwej osobie.

– Jasne, już mówię matce, że chcę pigułkę! – parsknęła.

Włożyłyśmy krótkie spódniczki i bluzki na ramiączkach. Stacy aż pisnęła z zazdrości na widok moich martensów.

– Ty to masz szczęście – powiedziała, a ja nagle uświadomiłam sobie, że nie po raz pierwszy słyszę od niej coś takiego. Była ładna, owszem, ale to ja miałam kochających rodziców, piękny dom i czterdzieści hektarów rodzinnego majątku, ziemi, naszej na zawsze. Opuściłam głowę, by podziwiać moje piękne fioletowe buty z jasnożółtym obszyciem.

– Chcesz je na dzisiaj? – zaproponowałam.

Stacy zrobiła wielkie oczy.

– Żartujesz? Bardzo! Ale jaki ty masz rozmiar? Ja noszę trzydzieści siedem.

– Trzydzieści dziewięć – powiedziałam. – Przymierzysz?

– Utopię się w nich. – Potrząsnęła głową ze smutkiem, przyglądając się swoim sandałom. – Nie mam pojęcia, po co mi takie drobne stopy. Nie do wiary, że ciągle się nie przewracam. Ale dziękuję. – Uściskała mnie jeszcze raz. Jej włosy pachniały brzoskwiniami. – Fajnie w nich wyglądasz.

Wyjęła z torebki skręta i pudełko zapalek z plastikowego woreczka, po czym schowała to wszystko pod stanikiem, z boku, przy ramieniu.

– Widać coś? – zapytała. Bluzkę miała obcisłą, tak samo jak ja, ale dopóki nie podniosła ręki, dwie nieduże wypukłości były praktycznie niezauważalne.

– Ani śladu – zapewniłam, sięgając po spray na owady, stojący na komodzie. – Ale przed wyjściem musimy zrobić jeszcze jedną rzecz.

– Eeuee, nie gadaj...

– Niestety. – Popsikałam sobie nogi i podałam jej pojemnik, a ona wzięła ze mnie przykład.

– Ale od nas jedzie! – zachichotała.

To była prawda, ale tego wieczoru wszyscy, albo prawie wszyscy, goście w pawilonie mieli pachnieć podobnie.

Na dole mama i ciocie ładowały do furgonetki wujka Trevora lodówki turystyczne i tace pełne jedzenia. Pomogłyśmy im, a potem mama zabrała nas do pawilonu swoim autem, w ślad za furgonetką wujka. Po drodze opowiadała nam o studentach z college'u, których zatrudniła na wieczór do roznoszenia przekąsek, a ja pochwaliłam się Stacy składankami nagranyymi razem z tatą. Stacy wciąż macała się w okolicach piersi, gdzie schowała skręta. „Trochę dyskretniej”, zganiłam ją w duchu i postanowiłam upomnieć ją, kiedy wysiądziemy. Nadal nie zdecydowałam, czy to dobry pomysł – wypalenie tego skręta gdzieś w okolicy.

Na miejscu pomogłyśmy poroznosić tace na ustawione dookoła stoły. Wujek Jim zainstalował przenośny bar do serwowania swoich piw. W pawilonie i na trawniku dookoła stały już krzesła, a ktoś włączył ogromne reflektory. Uwielbiałam to oświetlenie. Nocą, kiedy ich blask padał na wszystkich, tworzył się czarodziejski klimat. Najbardziej lubiłam podczas zabawy oddalić się trochę od pawilonu i spojrzeć na niego z dystansu. Gwar był już nieco stłumiony, a cała impreza zamieniała się w mały, rozświetlony prostokąt pełen radości. Nie mogłam się już doczekać wieczoru.

* * *

Niesamowite, jak szybko pawilon i zarośnięty trawnik, który go otaczał, zapełniły się tego wieczoru ludźmi. Byliśmy tam, rzecz jasna, my, czyli mieszkańcy Morrison Ridge, a każda rodzina zaprosiła swoich znajomych, więc gdy zapadł już zmierzch i rozbłyły reflektory, pomiędzy stołami kręciło się już chyba ponad sto osób. Wszyscy jedli i pili piwo z butelek albo wino z plastikowych kubków. Wujek Trevor, za każdym razem, kiedy go widziałam, trzymał w dłoni piwo i najczęściej można go było spotkać przy barze wujka Jima. Usłyszałam, jak ciocia Claudia upomina go, żeby trochę przystopował, i zrozumiałam, że jest coraz bardziej wstawiony.

Dani zaprosiła znajomego, chłopaka z białym irokezem na głowie. Siedzieli w pawilonie, na skraju podestu, i palili papierosy. Pokazałam ją Stacy, kiedy zatrzymałyśmy się przy jednym ze stołów z przystawkami.

– Tam jest moja kuzynka Dani – powiedziałam.

Stacy skinęła głową.

– A ten koleś? – zapytała, sięgając po kolejny kawałek tortilli. Zajadała się nimi od dziesięciu minut.

– Nie mam pojęcia.

– Bryan ją pamięta. Znali się, kiedy chodziła do szkoły publicznej. – Stacy zanurzyła tortillę w misce z salsą. – Mówi, że jest ostro pokręcona.

– To prawda – zgodziłam się, ale w tym momencie przypomniało mi się, że Dani wzięła moją stronę w rozmowie z Chrisem, i sumienie nie pozwoliło mi dalej jej obrażać.

Nagle ktoś pogłośnił muzykę, a zabawa zaczęła się rozkręcać. Ludzie tańczyli w rytm przebojów ze składanek, które przygotowaliśmy razem z tatą. Był to istny groch z kapustą: Sinatra, Michael Jackson, a dalej *electric slide* i Clapton, potem Patsy Cline, trochę big-bandów dla babci i tym podobne. Ja wymyśliłam, żeby wymieszać różne gatunki, i nikt nie wiedział, co zaraz usłyszy. Tata ostrzegał, że od takiej mieszanki może człowieka zemdlić, ale i tak zrobiliśmy po mojemu.

Stacy i ja szalałyśmy na parkiecie, a przy okazji uczyłyśmy grupkę dorosłych kroków do *electric slide* i innych tańców, które znałyśmy. Rozglądałam się za Amalią – miałam nadzieję, że razem zatańczymy, ale nigdzie jej nie dostrzegłam. Gościom chyba się podobało, że każdy utwór z taśmy to niespodzianka. Wyczekiwali kolejnego – choć czasem odzywały się zawiedzione jęki, prawie wszystkie krzesła były

puste.

Stacy i ja napełniłyśmy sobie talerzyki serem i krakersami, a potem wcisnęłyśmy się w kąt pawilonu, gdzie stał jeden z wielkich głośników. Usiadłszy na nim, rozglądałyśmy się po okolicy, podjadając sobie przy tym w najlepsze. Goście tańczyli głównie na drewnianej podłodze, ale trochę osób wysypało się na trawnik, bo wystarczyło przecież zejść z podestu. Wiele kobiet zdjęło buty. Patrząc, jak ich stopy depczą szorstką trawę, pochyliłam się do ucha Stacy.

– Rano odkryją, że roztocza gryzą! – zawołałam.

– A po alkoholu mężczy kac! – zaśmiała się.

Przyszło mnóstwo ludzi, wielu z nich widziałam po raz pierwszy w życiu; początkowa decyzja babci, żeby nie zapraszać Amalii, wydawała się teraz wyjątkowo bezduszna i niedorzeczna. Amalia i moja mama mogły bawić się tutaj razem i ani razu na siebie nie wpaść, zresztą moim zdaniem było im wszystko jedno, czy się zobaczą, czy nie.

Janet, Peter i Helen, żona Petera, przyjechali razem, a Janet przywiozła ze sobą faceta, więc mój pomysł, żeby zapoznać ją z Russellem, spalił na panewce. Jej wysoki i jasnowłosy przypominał wikinga, a Janet włożyła perukę à la Whitney Houston. Razem prezentowali się niesamowicie, zwłaszcza w tańcu. W porównaniu z nimi Peter i Helen wyglądali na przygaszonych; zaszyli się we dwójkę w pawilonie i nie odzywali do nikogo. Podskubując jedzenie ze wspólnego talerza, rozmawiali tylko ze sobą, jak osoby społecznie nieprzystosowane, a przecież wiedziałam, że tacy nie są. W pewnym momencie Russell przywiózł do nich tatę i zostawił na jakiś czas; pogadali sobie we trójkę, ale bez uśmiechów ani też przeciwnie – udawanej powagi – chociaż pewności nie miałam, bo tata siedział tyłem do mnie, więc nie widziałam jego twarzy. Zaczęłam się zastanawiać, czy może wchodzi tutaj w grę tak zwana zawodowa zazdrość Petera i stąd jego poważna mina. Kiedy Russell wrócił po tatę, Helen nachyliła się, zarzuciła mu ręce na szyję, i stała tak długą chwilę, praktycznie wciskając sobie jego twarz w dekolt. Dziwne to było.

– Nikt by teraz nie zauważył, gdybyśmy wskoczyły do lasu – szepnęła mi do ucha Stacy i skinęła głową w stronę rosnących obok pawilonu drzew. Ja tymczasem wciąż jeszcze nie podjęłam decyzji w tej kwestii. Zobaczyłam, że babcia zmierza w naszym kierunku, i uznałam, że jeszcze za wcześnie.

– Cześć, babciu! – starałam się przekrzyczeć muzykę.

– Cześć, kochana! – odpowiedziała, również podnosząc głos. Miała na sobie luźną czerwoną bluzkę i mnóstwo złotej biżuterii, a włosy upięła na ten wieczór. Rzadko widywałam ją tak wystrojoną. – Nie uważasz, że wybrałyśmy idealną noc na zabawę?

– Owszem – zgodziłam się, jakbyśmy naprawdę miały jakiś wpływ na pogodę.

Babcia pochyliła się i przyjrzała bliżej Stacy.

– To panna była u mnie z Molly na rowerze, prawda?

– Zgadza się. – Stacy posłała jej swój popisowy uśmiech miss piękności. – Jestem Stacy.

– Witaj, moja droga – powiedziała babcia i zmarszczyła brwi, gdy z głośników buchnął nowy kawałek.

– Cóż to znowu za muzyka, do licha?

– Michael Jackson, babciu – zaśmiałam się. – Ten kawałek nazywa się *Thriller*.

W tym momencie minęła nas w tańcu Janet ze swoim wikingiem, który, trzeba przyznać, nieźle opanował jacksonowski *moonwalk*. Stacy i ja parsknęłyśmy śmiechem, ale babcia potrząsnęła głową.

– Taki krok nazywa się *moonwalk*, babciu – wyjaśniłam, chociaż nie miałam pewności, czy jej dezaprobata dotyczy stylu tańca, czy może faktu, że czarna kobieta wyszła na parkiet z białym mężczyzną. Pomyślałam sobie wtedy, że pierwszym czarnoskórym człowiekiem, którego babcia miała okazję bliżej poznać, jest Russell.

Dostrzegłam go w tłumie: szedł w naszą stronę, wioząc tatę na wózku.

– Cześć, dziewczęta. Dobry wieczór, mamó – powiedział tata, kiedy Russell ustawił wózek pomiędzy nami a babcią, przodem do parkietu. – Udana impreza, nie sądzicie? – Nie miałam pojęcia, czy mówi do babci, czy też do nas.

– Wspaniała – przyznała babcia, lecz nagle głos uwiązł jej w gardle. Ujęła rękę taty w obie dłonie i czule pomasowała jego niewładne palce. Poczułam pieczenie pod powiekami. Jakie to uczucie, kiedy matka musi patrzeć, jak okrutna choroba niszczy jej własne dziecko? Szkoda, że oprócz mnie, taty i babci była tam Stacy, bo chciałam podzielić z nimi tę chwilę.

Russell usiadł obok mnie, na białym plastikowym krześle.

– Miło na chwilę klapnąć – powiedział. Jego głos bez problemu przebił się przez muzykę. – Porąbana ta wasza składanka – dodał, a ja musiałam się uśmiechnąć.

Stacy, siedząca po mojej drugiej stronie, nagle wyciągnęła szyję i wstrzymała oddech.

– Czy to nie jest ta kobieta, którą twój... – szepnęła mi do ucha.

Urwała w pół słowa i skinęła głową w kierunku parkietu, gdzie od razu zauważyłam „tę” kobietę, czyli Amalię. Muzyka znów się zmieniła i zabrzmiały pierwsze takty *Layli* Claptona. Amalia stała na parkiecie – a gdzież by indziej? – ubrana w zwiewną turkusową spódnicę i bluzkę bez rękawów, a jej gęste włosy rozsypywały się na ramionach.

– Tak – szepnęłam w odpowiedzi. – To Amalia.

Amalia tańczyła ze starszym mężczyzną, którego nie znałam. Czyżby to był ten lekarz, o którym mama po południu mówiła ciociom w kuchni? Ich wspólny taniec trwał zaledwie chwilę, bo Amalia szybko zmieniła partnera i porwała do tańca kolejnego faceta, a potem wikinga Janet. Morze tańczących rozstało się i ustąpiło im parkietu. Czy to właśnie dlatego babcia wołała, żeby Amalia nie pojawiła się na zabawie? Ona była jak magnes, zawsze przyciągała powszechną uwagę. Nie umiałaby po prostu wmieszać się w tłum. Moja mama na pewno już ją zauważyła. Amalia przez chwilę kręciła się po parkiecie z wikingiem, a potem puściła go i ruszyła w stronę Petera, który tylko uniósł ręce na znak odmowy. Chociaż się uśmiechał, pozostał niewzruszony; rozległy się śmiechy, kiedy Amalia wreszcie dała za wygraną i zawirowała w piruecie, rozglądając się za nowym partnerem do tańca. Patrzyłam, jak namierzyła Russella, z przekonaniem, że jej wysiłki znów pójdą na marne, ale nie: złapała go za rękę, poderwała z krzesła i zanim zdążył powiedzieć słowo, już był na parkiecie. Tata, siedzący obok Stacy, roześmiał się głośno.

– Dawaj, stary! – zawołał do Russella. – Pokaż jej!

Ku mojemu zdumieniu Russell w jednej chwili zmienił się w demona tańca: kołysał biodrami, wymachiwał rękami w powietrzu, zarzucał głową. Nie wiem, czy kiedykolwiek wcześniej mój ojciec śmiał się tak głośno, ja w każdym razie nową twarz Russella oglądałam z opadniętą szczęką.

– Łaaa! – wołała Stacy, wywijając pięścią.

– Wielkie nieba... – jęknęła babcia, odwracając wzrok, jak gdyby sam widok Amalii tańczącej z Russellem w jakiś sposób jej ubliżał. I prawdopodobnie tak właśnie było.

– Mamó – powiedział tata z naciskiem, nie przestając się śmiać. – Opanuj się.

Gdy piosenka się skończyła, Amalia dygnęła przed Russellem, a on zszedł z parkietu, uśmiechnięty od ucha do ucha, i wrócił do nas, ona natomiast oddaliła się, zapewne w poszukiwaniu nowego partnera.

– Przybij! – zawołał tata do Russella, a Russell uniósł jego rękę, żeby przybić z nim piątkę. Potem usiadł z powrotem obok mnie, roześmiany, z czołem perlistym od potu.

– To było niesamowite! – zawołała do niego Stacy nad moją głową, a on uśmiechnął się do niej. Odniosłam wrażenie, że te trzy słowa mogły zmienić jego złe zdanie na jej temat. Taką przynajmniej miałam nadzieję.

Po jakimś czasie babcia zniknęła wśród gości, a Russell i tata poszli spróbować piwa wujka Jima.

– Nareszcie! – Zerknęłam na Stacy. – Idziemy.

Pospiesznie wymknęłyśmy się z pawilonu, oddzielone od ludzi potężnymi reflektorami i głośnikiem. Zeskoczywszy z podestu, szybko zagłębiłyśmy się w las. Muzyka cichła za naszymi plecami, stłumiona przez drzewa. Szłam przodem, zadowolona, że księżyc jest niemalże w pełni.

– Tutaj chyba będzie dobrze, co? – zapytała Stacy po przejściu zaledwie kilkudziesięciu kroków. Przypomniałam sobie, jak się bała tamtej nocy, gdy spałyśmy w leśnym domku i musiałyśmy przejść przez las do wychodka.

– Jeszcze trochę. – Pomyślałam, że raczej nie będzie zachwycona, kiedy dotrzemy na miejsce.

Wkrótce otworzyła się przed nami niewielka prostokątna polana.

– To tutaj – oznajmiłam. – Idealne miejsce.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała Stacy, lecz po chwili sama się zorientowała, gdy dostrzegła kanciaste cienie na zalanej blaskiem księżyca ziemi. – O nie! – Cofnęła się o krok. – Cmentarz?

Roześmiałam się głośno.

– Mamy gdzie usiąść – rzuciłam, przechodząc okrakiem przez niskie żelazne ogrodzenie, w ciemności prawie niewidzialne. Klapnęłam na ziemię i oparłam się o jeden z trzech największych, podwójnych nagrobków. Nie byłam pewna, do kogo należy, w zasadzie wcale nie chciałam wiedzieć. W jednym z tych dużych grobów leżał mój dziadek. Po jednej stronie płyty widniało jego imię i nazwisko, a druga była pusta – czekała na babcię. Wyglądało to trochę przerażająco i miałam tylko nadzieję, że nie siedzę właśnie tam. Bo wcale nie byłam taka odważna, jaką zgrywałam.

Stacy z ociąganiem obeszała nagrobek i usiadła obok mnie.

– Wiesz co? – powiedziała. – Naprawdę podoba mi się twój dom i nawet ten leśny domek, lubię twoją rodzinę, Russella i w ogóle, ale muszę ci powiedzieć, że to całe Morrison Ridge jest trochę straszne.

– No cóż, jak wypalimy tego skręta, będzie nam wszystko jedno – odparłam.

Stacy sięgnęła pod bluzkę, wyciągnęła jointa i zapałki. Przypaliła go i obie się zaciągnęłyśmy. Oparłam głowę o chłodny kamień i zamknęłam oczy, czekając, aż coś poczuję. W oddali słychać było muzykę na zabawie. Cudownie brzmiały dźwięki przesączone przez leśną wilgoć, a równie wspaniałe był kontrast zmiennej dynamiki nagrań z jednostajnym gwarem ludzkich głosów, akcentowanym od czasu do czasu salwą śmiechu, która odbijała się echem od otaczających nas drzew.

Nagle Stacy pisnęła i zerwała się na równe nogi. Zza jednego z podwójnych nagrobków wychyły się dwie ciemne sylwetki i ruszyły w naszą stronę. Też chciałam się podnieść, ale byłam w takim szoku, że nie mogłam się ruszyć. Kiedy jednak w świetle księżyca błysnął biały irokez, odetchnęłam. Dani i jej kumpel.

– To tylko moja kuzynka – uspokoiłam Stacy, pociągnęłam ją za bluzkę. Po chwili w mroku zamajaczyła blada twarz Dani.

– Uuu! – zahuczał jej dziwny znajomy i oboje zbliżyli się do nas. Miało się wrażenie, że płyną nad ziemią, tak było ciemno.

– Podzielicie się z nami towarem? – zapytała Dani.

– Wystraszyliście mnie! – krzyknęła Stacy, po czym usiadła z powrotem obok mnie. Czułam, że cała się trzęsie. Sama też dygotałam. Nie miałam pojęcia, czy Dani gotowa jest na nas donieść, ale skoro chciała z nami zapalić, uznałam to za dobry znak.

Wyjęłam skręta z dłoni Stacy i podałam go kuzynce. Dani wzięła go ode mnie, a potem oboje – ona i gość z irokezem – usiedli na trawie i oparli się plecami o inny nagrobek.

Dani zaciągnęła się głęboko.

– Moja kuzynka Molly i jej kumpela – przedstawiła nas, a głos rwał się jej z wysiłku, bo na siłę trzymała dym w płucach. – Nie pamiętam, jak się nazywasz. – Łypnęła okiem na Stacy.

– Stacy.

– A to jest Ralph. – Dani skinęła głową w stronę chłopaka, który właśnie wziął od niej skręta.

Ralph? Jak członek Michaela z *Forever*? Nie miałam odwagi obejrzeć się na Stacy. Byłam pewna, że w środku też gotuje się ze śmiechu.

– Cześć. – Udało mi się wykrztusić. Ralph nic nie odpowiedział, ale pochylił się i podał mi skręta, więc wzięłam macha i przekazałam Stacy; miałam wrażenie, że moja ręka należy do kogoś innego, więc zaczynałam już czuć jego działanie.

– Nie powiniście – mruknęła Dani, wskazując skręta. – Ile wy macie lat? Dwanaście?

– Czternaście – poprawiłam ją. Doskonale wiedziała, ile mam lat. Po prostu chciała narobić mi obciachu przy swoim chłopaku, czy kim on tam dla niej był. „Zachowywała się jak twój osobisty ochroniarz”, powiedział o niej Chris. Skoro tak, to dlaczego wobec mnie zachowywała się jak ostatnia świnia? Pewnie z zemsty, że ją uderzyłam. Wydawało mi się, że na policzku ma jeszcze ciemny ślad, ale możliwe, że to tylko cień księżyca.

– Chodzisz do Owen High? – Stacy zagadnęła Ralpa.

Ledwo zauważalnie skinął głową, a oczy miał jak szparki. Coś mi mówiło, że wypalił tego wieczoru więcej niż jednego skręta.

– A znasz Bryana Watkina? – ciągnęła Stacy.

Przytaknęła.

– To palant – rzucił pogardliwie.

– Co ty możesz o nim wiedzieć – prychnęła.

– Ty akurat nigdy nie dowiesz się o nim tyle, co Ralph – wtrąciła Dani.

Chciałam przerwać tę głupią rozmowę i zapobiec kłótni, ale nim zdążyłam się odezwać, jednostajny gwar dobiegający od strony pawilonu nagle ucichł, jak gdyby ktoś wyłączył zasilanie. Odwróciliśmy głowy w tamtym kierunku. Zapadła cisza.

– Co się stało? – zapytała Stacy.

– Nie wiem – odparłam. – Może jakieś przemówienie?

Nagle rozległ się krzyk. Nie wiadomo, czy męski, czy kobiecy, ale w głosie tej osoby na pewno brzmiał niepokój.

– Coś dziwnego się dzieje. – Wstałam, przeszłam przez ogrodzenie i ruszyłam przez las w kierunku pawilonu. Teraz wyraźnie słyszałam dwa wściekłe męskie głosy. Przyspieszyłam, a Stacy trzymała się tuż za mną, żeby nie stracić mnie z oczu w ciemnym lesie. Dani chyba też szła za nami, chociaż nie odwróciłam się, żeby to sprawdzić.

Po wyjściu pomiędzy drzew zobaczyłam pawilon oświetlony czterema reflektorami i kolorowy tłum zamarłych w bezruchu gości. Ktoś wyłączył muzykę. Nikt nie tańczył. Słyszać było tylko te rozgniewane głosy. Najwięcej ludzi stało po jednej stronie pawilonu i w chwili, kiedy się zbliżyłam, zrozumiałam, że patrzą na mojego ojca i wujka Trevora.

– ...tego dość, nie chcę o tym więcej rozmawiać! – krzyczał tata. – Daruj sobie, dobrze? Nikt nie sprzeda ci ziemi, a jak będziesz...

– Od kiedy mówisz za wszystkich? – Wujek Trevor stanął nad tatą. Twarz miał czerwoną, a w padającym z góry świetle widać było ślinę strzykającą z jego ust, kiedy wrzeszczał: – Nikt już nie ma nic do gadania? Bo ty zawsze musisz postawić na swoim, do jasnej cholery?!

Zamarłam. Pomiędzy mną a tatą stał wysoki głośnik i reflektor, ale mimo to widziałam go jak na dłoni.

Tkwił nieruchomy na swoim wózku, a tymczasem wujek Trevor miotał się jak bokser i co chwilę znikał mi z oczu. Tata był przy nim taki wychudzony i słabowity, że aż serce bolało patrzeć.

– Myślisz, że mnie obchodzi pieprzona „rodzinna ziemia”? – Wujek Trevor uniósł ręce i zrobił palcami znak cudzysłowu. – Ta nasza tak zwana rodzina i tak schodzi na psy. Nikt nie zadba o Morrison Ridge.

Miałam nadzieję, że babcia tego nie słyszy. Rozglądałam się po twarzach stojących wokół ludzi, ale nigdzie jej nie zauważyłam.

Nagle z tłumu wypadła ciocia Toni. Podeszła do męża i złapała go za ramię. Powiedziała coś, czego nie dosłyszałam, a już w następnej chwili aż mnie zatkało, bo wujek tak brutalnie ją odepchnął, że omal się nie przewróciła. Krzyknęła cienko, a ktoś odciągnął ją z powrotem pomiędzy ludzi.

– Trevor, niech to szlag! – wrzasnął mój ojciec. Tak wściekły głos słyszałam u niego bardzo rzadko, ale to i tak było nic w porównaniu ze złowrogą miną wujka Trevora. Przerazona chwyciłam się narożnika pawilonu. – Idź do domu i wytrzeźwiej!

Nagle obok mnie wyrosła Stacy. Objęła mnie ramieniem tak mocno, że aż zabołało.

– Zalany w trupa. – Wzdrygnęła się. – Boże, zupełnie jak mój oj...

– Sprzedam moją ziemię deweloperom i mam was w dupie, palanty! – warknął wujek Trevor do taty.

– Jeśli to zrobisz, to jesteś samolubnym gnojkiem – odgryzł się tata. – Złamiesz matce...

– Ja jestem samolubny? – Wujek ruszył do niego i przysięgłabym, że poczułam pod zaciśniętymi na węgle palcami, jak cały pawilon się trzęsie. – Nigdy w życiu nie znałem większego egoisty niż...

– Zamknij się! – krzyknął tata. – Ochłoń trochę, dobrze? Po alkoholu nie myślisz racjonalnie. I zaraz popsujesz całą...

– A ty niby zawsze masz jasno w głowie, tak? – Wujek Trevor znów strzyknął śliną. – Pieprzone cudowne dziecko. Zmyłeś się na studia i po kolei trzaskałeś te swoje dyplomiki, a ja musiałem zapieprzać, żeby pomóc ojcu. Uczony z ciebie gość, co?

Tata umilkł, ale tylko na kilka sekund. Kiedy się odezwał, jego głos był bardzo spokojny.

– Widzę, że nadal tkwi w tobie skrzywdzone dziecko, Trev – powiedział.

– Zamknij się, kurwa! – Wujek Trevor zrobił kolejny krok w jego stronę, a ja zamarłam. Starszy mężczyzna, z którym tańczyła Amalia – lekarz? – złapał go za ramię. – Nie potrzebuję twojej psychoanalizy! – wrzasnął wujek na tatę.

– Masz czterdzieści sześć lat – odparł mój ojciec. – Najwyższy czas pozbyć się żalów z okresu dojrzewania i wreszcie dorosnąć.

Wujek Trevor oniemiał. Wyszarpnął się mężczyźnie, który go trzymał. Jego szeroko otwarte oczy płonęły furia i widać było, że zaraz eksploduje.

– Wujku! – krzyknęłam, aby odwrócić jego uwagę od taty, ale chyba mnie nie usłyszał. Chwycił poręczę wózka i pchnął z całej siły, włożywszy w ten ruch całą masę swojego zwalistego ciała. Było ciemno, więc może nie zauważył, że wózek stoi przy krawędzi podestu, ale ja ze swojego miejsca widziałam, że za chwilę nastąpi katastrofa.

– Stop! – wrzasnęłam, bezradnie wymachując rękami. – Nie!

– Wujek! – To był głos Dani, która śmignęła obok mnie, wyciągając ręce, jak gdyby mogła jakimś sposobem zatrzymać spadający z podestu wózek. Niestety, pchnięcie było tak mocne, że wystrzelił przed siebie jak pocisk i przez ułamek sekundy zawisł w powietrzu, a potem przechylił się w tył i runął na ziemię z okropnym, głuchym hukiem.

Krzyknęłam z przerażeniem. Nie byłam w stanie zrobić kroku, dopiero Stacy złapała mnie za rękę i pociągnęła za sobą.

Dani pierwsza dobiegła do mojego ojca.

– Wujku! – zawołała płacząco, padając na kolana obok niego. – O Boże!

Kiedy dobiegłam do przewróconego wózka, zobaczyłam, że tata leży na ziemi, pół metra dalej. Przerazona, też uklękłam, po przeciwnej stronie Dani.

Było zbyt ciemno, żeby dokładnie zobaczyć jego twarz, ale wydawało mi się, że patrzy w górę, prosto na mnie.

– Chyba nic mi się nie stało – wyszeptał.

Uspokoiliłam się trochę, gdy usłyszałam jego głos. Ktoś w pawilonie zawołał, żeby dzwonić po pogotowie; uniosłam głowę i zobaczyłam wujka Trevora, który wycofywał się z nad krawędzi podestu, zasłaniając dłońmi oczy, jak gdyby bał się patrzeć na nieszczęście, do którego doprowadził.

– Przepraszam! – zawołał. – Kurwa! Przepraszam!

Nagle tuż przed nim wyrosła ciocia Toni. Trzasnęła go w twarz, tak jak się robi z człowiekiem, który stracił przytomność.

– Do domu, ty draniu! – krzyknęła, ale on stał w miejscu i płakał jak przerośnięty chłopczyk, nie odrywając rąk od twarzy. Odwróciłam wzrok i skupiłam się na tacie, a także na Dani, która delikatnym ruchem uniosła jego głowę i ułożyła ją sobie na kolanach. Ktoś skierował na nas jeden z reflektorów. Zobaczyłam Stacy siedzącą pod ścianą pawilonu; ścisnęła się rękami za głowę, jakby nie mogła uwierzyć własnym oczom. A potem zauważyłam, że Dani ma rozmazany makijaż: gruba czarna kredka do oczu i tusz do rzęs spływały po mokrych policzkach. Ralph gdzieś zniknął, ale jej to chyba nie obchodziło. „To jest prawdziwe oblicze mojej kuzynki”, pomyślałam. „Pod demonstracyjną obcesowością i zjadliwością kryje się dobry człowiek”.

Otoczał nas tłum milczących ludzi. Dostrzegłam kobiety, które w przerażeniu zakrywały usta, i mężczyzn, którzy nie wiedzieli, jak nam pomóc. Wreszcie przez tę zakrzepłą ludzką masę przebiła się moja mama. Podbiegła do taty i padła na kolana. Dani wciąż podtrzymywała mu głowę.

– Och, Graham... – jęknęła cicho. Pogładziła go po głowie, zgięła się wpół i przycisnęła usta do jego czoła. – Gdzie cię boli?

Wiedziałam, że widzi to samo, co ja: łzy wzbierające w oczach taty. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby płakał.

– Nie wzywajcie pogotowia – poprosił cicho. – Podnieście mnie tylko.

– Dobrze. – Mama obejrzała się na tłum gości. – Gdzie jest Russell?! – zawołała, nie patrząc na nikogo konkretnego.

– Ja go poszukam! – Stacy zerwała się z ziemi i wskoczywszy na podest pawilonu, zniknęła w tłumie.

– Ja pomogę go podnieść – zaoferowała Dani.

– Ja też – zawtórowałam jej, chociaż zdawałam sobie sprawę, jak trudno poruszyć tatę choćby o centymetr, nie mówiąc już o posadzeniu go na wózku.

Nagle, jakby spod ziemi, pojawiła się Amalia. Położyła dłoń na ramieniu taty, a gdy się pochyliła, jej włosy musnęły mój policzek. Mama się zachnęła.

– Dam sobie z nim radę, Amalio! – powiedziała z naciskiem.

W szeroko otwartych oczach Amalii błysnęło zaskoczenie, ale po chwili skinęła głową.

– Pomogę znaleźć Russella. – Wycofała się i zniknęła w ciemnościach równie nagle, jak się pojawiła.

Zza rogu pawilonu wyszedł Peter.

– Mogę jakoś pomóc? – zapytał, a mama spojrzała mi przez ramię, szukając Russella.

– Nie poradzimy sobie bez...

– Jestem! – Russell wbiegł na podest pawilonu.

– Dzięki Bogu – mruknęła mama pod nosem.

Chwilę później Russell klęczał na ziemi razem z nami i starał się obejrzeć plecy taty w świetle małej ręcznej latarki.

– Dobrze, że zmieniliśmy zagłówek – powiedział do niego, zniżając głos. – Tamten mógł uszkodzić ci kręgosłup szyjny.

Nikt się nie odezwał. Zapewne wszyscy myśleli o tym samym: skoro mój ojciec i tak jest już sparaliżowany od szyi w dół, to gorzej już chyba być nie mogło.

– Boli cię coś, Graham? – zapytał Russell.

– Wszystko w porządku – uciał tata. – Podnieś mnie tylko, Russ, dobrze?

Russell obejrzał się na mamę.

– Przesunę go z powrotem na siedzenie – postanowił. – A później pomożecie mi podnieść cały wózek.

– Nie wzywajcie karetki – powtórzył tata. – Tego tylko mi brakowało, żeby zabrali mnie do cholernego szpitala.

Russell uniósł głowę, szukając wzrokiem kogoś w pawilonie, za naszymi plecami. Nie dostrzegłam, o kogo chodzi.

– Odwołać karetkę! – krzyknął.

– Jesteś pewien? – zapytała tatę mama, a głos miała zaniepokojony.

– Tak, jestem pewien – potwierdził zniecierpliwiony. Widziałam, że chce mieć już tę mękę za sobą.

Wszyscy cofnęliśmy się nieco, żeby Russell i Peter mogli ułożyć tatę w przewróconym wózku: nogi, ręce i tułów. Dani przez cały czas ostrożnie podtrzymywała jego głowę – robiła to z taką wprawą, jakby na co dzień pracowała z niepełnosprawnymi.

– Molly, Nora – zakomenderował Russell – stańcie na wprost, żeby nie wypadł, kiedy ja i Peter będziemy podnosić wózek.

Wstałam z ziemi i natychmiast poczułam, że jestem skołowana po marihuanie. Teraz żałowałam, że ją wypaliłam. Zebrałam się w sobie, rozstawiłam szeroko stopy i wyciągnęłam ręce przed siebie, gotowa pomóc w razie potrzeby. Russell i Peter unieśli wózek razem z tatą i ustawili prosto. Poruszali się jakby w zwolnionym tempie. Mama pochyliła się i złapała tatę za ramiona, a ja położyłam dłonie na jego piersi, aby go przytrzymać, gdyby zaczął zsuwać się z siedzenia. Czułam pod palcami jego żebra, cieniutkie jak gałązki. Głowę miał blisko mojej; dopiero wtedy zauważyłam, że wstrząsa mną szloch.

– Nic mi nie jest, Moll – zapewnił cicho. – Najgorsze było totalne upokorzenie, poza tym wszystko gra.

Nie zdołałam dobyć głosu z gardła. Żałowałam, że nie mogę objąć taty i przytulić. Co czuł, gdy spadał tyłem z podestu? Na samą myśl ścisnął mi się żołądek. Wyobraziłam sobie jego strach. Przypomniało mi się, jak przez ostatnich kilka tygodni starałam się robić wszystko, żeby go rozweselić. Zabawiać go, aby miał chęć do życia. Obawiałam się teraz, że cały mój wysiłek w jednej chwili poszedł na marne.

Russell pochylił się nad tatą.

– Odwieźć cię do domu? – zapytał szeptem.

– Żebym przegapił fajerwerki? – odpowiedział pytaniem tata. – Nie ma mowy.

Ostatecznie jednak pojechał do domu. Mama nalegała, a on nie opierał się z nadto. Część gości też już poszła, w tym wujek Trevor i ciocia Toni. Nie znalazłam babci. Nie wiedziałam nawet, czy w ogóle widziała, co się stało. Miałam nadzieję, że nie.

Pokaz fajerwerków obserwowaliśmy ze Stacy, siedząc na głośniku, ramię w ramię. Stacy wciąż powtarzała, że martwi się o mnie, i pytała, czy dobrze się czuję. Ujęła mnie swoją troską i opiekuńczością. Niestety, fajerwerkami nie potrafiłam się cieszyć. Jak zresztą chyba większość gości. Słysząc było wyraźnie, że nasze zachwyty są wymuszone. Zrozumiałam, że po tym, co się stało, ta noc straciła coś bardzo cennego.

Wracałyśmy wschodnim, zygzakowatym fragmentem głównej drogi, uważając na samochody odjeżdżających gości. Zdawałam sobie sprawę, że powinnyśmy zostać i pomóc sprzątać, ale postanowiłam przyjść rano i zająć się tym. Teraz chciałam zobaczyć tatę. Sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku.

Stacy przez całą drogę bez przerwy powtarzała, że to była straszna noc.

– Wychodzi na to, że twoja rodzina jest tak samo porąbana jak moja – powiedziała. – Od alkoholu ludzie dostają świra. Mój ojciec pił jak szewc. Kiedyś tak mocno walnął mojego brata, że skończyło się szpitalem. Przyjechali do nas z opieki społecznej i tak dalej. Ja zamierzam tylko palić zioło.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Szłam przed siebie, oświetlając nam drogę latarką. Nie byłam w stanie myśleć o trudnych przejściach rodziny Stacy, bo za bardzo mnie przytłaczały problemy mojej własnej.

* * *

Po dotarciu do domu Stacy od razu poszła na górę, a ja zajrzałam do taty. Drzwi były otwarte. Zdawało się, że tata śpi, chociaż Russell układał mu jeszcze poduszki pod głowę. W pokoju panował półmrok; najjaśniejszym punktem były otwarte drzwi łazienki.

Weszłam do środka i stanęłam w nogach łóżka.

– Hej – odezwałam się do Russella.

Wyprostował się.

– Oglądałaś fajerwerki?

Skinęłam głowę.

– Fajne, ale za bardzo martwiłam się o niego. – Spojrzałam na tatę, który wydawał się spokojnie spać. Na jego skroni ciemniał wyraźny siniak. I drugi na podbródku. – Russell, jesteś pewien, że on nie doznał wstrząśnienia mózgu? – zapytałam, bo wiedziałam, że po takim urazie nie wolno spać.

– Jestem pewien – odpowiedział Russell. – Miał szczęście. Rano nie będzie się czuł najlepiej, ale obejrzałem go od stóp do głów i nie znalazłem żadnych złamań. Nic mu się nie stało, przynajmniej pod względem fizycznym.

– Fizycznym? Co to znaczy?

Wzruszył ramionami.

– Wydaje mi się, że to nim wstrząsnęło – odparł. – Zresztą, każdym by wstrząsnęło.

Skinęłam głowę.

– Tak, to było straszne.

Russell nagle podszedł do mnie, palcem uniósł mi brodę i odwrócił moją głowę w stronę otwartej łazienki.

– Twoje błękitne oczy mają mocno rozszerzone źrenice – oznajmił.

– To znaczy?

Russell opuścił rękę.

– Jesteś świetną dziewczyną, Molly, ale skończyłaś dopiero czternaście lat. Nie mieszaj sobie w głowie, dobrze? Musisz być silna i zdrowa, dbać o siebie.

Odwrociłam głowę z powrotem, aby uciec przed światłem.

– Nie wiem, o co ci chodzi – odparłam. – Idę spać.

Wyszłam z pokoju i ruszyłam w stronę schodów. Trzęsłam się lekko ze strachu, że się wydało. No nie, on nie miał prawa mnie osądzać! W zasadzie powinnam się na niego obrazić za ten ojcowski ton, ale nie zdołałam wykrzesać z siebie oburzenia. Czułam się tak, jakbym nie miała rodziców, i zrobiło mi się ciepło na sercu, że kogoś w ogóle obchodzę.

* * *

Kiedy przyszedłam na górę, zmyłyśmy ze Stacy makijaż i położyłyśmy się na moim podwójnym łóżku. Wbiłam wzrok w sufit.

– Czy po marihuanie ma się rozszerzone źrenice? – zapytałam wreszcie.

– Jasne – potwierdziła Stacy. – I ssie w żołądku. Ja umieram z głodu, a ty? Tyle że chyba jestem za bardzo zmęczona na jedzenie.

– Nie czuję głodu – odparłam. Wydarzenia ostatniej nocy odebrały mi apetyt.

Stacy umilkła, a po kilku minutach oddychała już spokojnie i miarowo. Wiedziałam, że sama długo nie będę mogła zasnąć. Wciąż stała mi przed oczami tamta scena w jaskrawym blasku reflektorów. Najwyraźniej widziałam nie tatę, co dziwne, ale twarz Dani. Poruszył mnie jej rozmazany makijaż, spływający po policzkach jak u smutnego klauna. Zrozumiałam wtedy, jak wygląda jej życie. Jak to jest, kiedy człowiek nigdzie nie pasuje, a w szkole wszyscy się z Ciebie śmieją tylko dlatego, że jesteś sobą. Wrogość Dani wobec mnie – i zresztą wobec całego świata – była jej skorupą ochronną. Postanowiłam być dla niej miłsza i nie dać się sprowokować jej złośliwościami.

Nagle usłyszałam jakieś głosy przez otwarte okno mojego pokoju. Znieruchomiałam. Czy to była mama? Wstałam cicho z łóżka, uklękłam w ciemności przy oknie i zbliżyłam twarz do moskitiery. Za ledwie kilka metrów niżej znajdowała się weranda. Na najwyższym schodku siedziała moja mama, a obok niej Amalia. Obie trzymały na kolanach pełne kubki, a mama ścisnęła w palcach papierosa. Nigdy nie widziałam jej palącej. To był szok. Miałam wrażenie, że na moich oczach cała rodzina zmienia się nie do poznania.

Mama uniosła papierosa do ust, koniuszek rozjarzył się pomarańczowym blaskiem, kiedy zaciągnęła się dymem. Po chwili wydmuchnęła go i zwiesiła głowę.

– Chyba tracę rozum, Amalio – westchnęła. Jeszcze nigdy nie słyszałam w jej głosie tak wielkiego znużenia.

Amalia nie odpowiedziała od razu. Obserwując z góry jej włosy opadające falami na ramiona, pomyślałam, że wygląda znacznie młodziej od mamy.

– Dzisiejsze zajście chyba dopełniło miary – powiedziała.

Mama przytaknęła.

– Trevor może wszystko popsuć. – Znowu uniosła papierosa do ust.

– Wiem. – Amalia pokiwała głową. Szkoda, że nie wiedziałam, o czym rozmawiają. Mówiły jakimś szyfrem, niezrozumiałym dla postronnych.

– Jak sądzisz, to oznaka słabości? – zapytała mama po chwili tak cicho, że musiałam wstrzymać oddech, żeby ją usłyszeć.

– Nie – odpowiedziała Amalia. – Ale jest już zmęczony. Bardzo zmęczony, Noro.

Mama wydała z siebie taki dźwięk, jak gdyby zachłysnęła się powietrzem. Odstawiła swój kubek i położyła głowę na kolanach, a jej ramionami wstrząsnęło drżenie. Amalia objęła ją jedną ręką i tak siedziały razem, moje dwie matki. Były tak blisko, że gdybym uniosła siatkę w oknie, chyba mogłabym ich dotknąć.

Szkoda, że nie mogłam.

Następnego dnia po letniej zabawie zaczęłam nosić przy sobie mój kamień trosk. Nie była to przemyślana decyzja. Po prostu wyjęłam go z szuflady w komodzie i wsunęłam do kieszeni. Co jakiś czas zamykałam go w dłoni i od razu czułam się lepiej. Nie mogłam wyjaśnić, dlaczego tak potrzebuję tej pociechy.

Tamtego dnia długo rozmawiałam z Chrisem przez telefon i opowiedziałam mu o ostatnich wydarzeniach. Kiedy tylko zamknęłam oczy, widziałam tatę lecącego razem z wózkiem na trawę. Nie potrafiłam myśleć o niczym innym, a podczas rozmowy z Chrisem wszystko się ze mnie wylało. Okazało się jednak, że umie słuchać, a po jakimś czasie oznajmił, że ma dla mnie nowinę. Głupio mi się zrobiło, bo przez cały czas gadałam wyłącznie o sobie.

- Przepraszam. – Zawstydyłam się. – Nie chciałam cię zarzucać swoimi problemami.
- Nie przejmuj się – powiedział. – Ale na pewno ucieszy cię to, co powiem. Chodzi o wtorek.
- O Boże! – zawołałam. – Będziesz u Stacy?
- Tak – potwierdził. – Przyjdziemy około północy, kiedy jej mama już zaśnie. Nawet nie zauważy.
- Super! – ucieszyłam się. Wreszcie go zobaczę. Oby mama Stacy miała twarde sen. Tylko tego brakowało, by rodzice dowiedzieli się, że znów w tajemnicy spotkałam się z Chrisem.

* * *

W poniedziałek rano pracowałam z tatą nad dwunastym rozdziałem jego książki. Poprzedniego dnia się nie widzieliśmy. Domyśliłam się, że zajście na zabawie go wyczerpało i potrzebował dużo snu. Mama przeważnie siedziała przy nim w pokoju; nawet rano przy śniadaniu wciąż kręciła się w pobliżu i odpychała Russella, żeby karmić tatę sama. On chyba odzyskał już formę, bo wyglądał tak jak zawsze, jeśli nie liczyć siniaków na skroni i brodzie oraz paskudnej szramy na prawym ramieniu.

Podczas pisania w pewnym momencie spojrzałam na klawiaturę i zauważyłam, że mój gwiazdzisty lakier powycierał się już i popękał. Postanowiłam później go zmyć, a jutro znów pomaluję paznokcie, na spotkanie z Chrisem.

- Zaczynij nowy akapit – powiedział tata.
- Wcisnęłam ENTER i odwróciłam się do niego.
- Właśnie się zorientowałam, że nie dawałeś mi ostatnio do przepisywania żadnych notatek z terapii – powiedziałam. – Wszyscy pacjenci wyjechali na wakacje?
- No cóż, jak zauważyłaś – odparł – w ciągu ostatnich kilku miesięcy notatek z sesji terapeutycznych było coraz mniej.
- Myślałam, że wiosną pomagała ci mama, bo chodziłam do szkoły, musiałam odrabiać lekcje i tak dalej.
- Nie – zaprzeczył tata. – Rzeczywiście było ich mniej. – Patrzył mi przez ramię na monitor komputera. Widziałam jasny prostokąt ekranu odbijający się w jego niebieskich oczach tak wyraźnie, że niemalże mogłam przeczytać poszczególne słowa. – Od kwietnia nie przyjmuję nowych pacjentów i stopniowo

odsylałam tych, których obecnie lecze, do innych terapeutów. – Nagle spojrział mi prosto w oczy. – Jestem już gotowy, aby zamknąć praktykę.

– Zamknąć? – Patrzyłam na niego zszokowana. – To znaczy... zakończyć?

– Dokładnie tak. – Skinął głową.

– Ale dlaczego? – zapytałam. – Mówiłeś, że uwielbiasz pomagać ludziom i w ogóle. Że dzięki temu masz kontakt ze światem. Że to ci daje cel w życiu. – W panice wyrzucałam z siebie słowa. – Zawsze tak mówiłeś.

Tata uśmiechnął się.

– Widzę, że uważnie mnie słuchasz. – Przekrzywił głowę. – Jestem już trochę zmęczony, Molly – przyznał. – Coraz trudniej znoszę wyprawy do gabinetu, a poza tym...

– Przecież pacjenci mogą przyjeżdżać do ciebie! – zawołałam. – Na pewno by przyjeżdżali! Mówiłeś, że niektórzy terapeuci przyjmują pacjentów u siebie w domu. No i przecież potrzebne nam pieniądze, prawda?

– Nie – zaśmiał się. – Pieniądzy mamy dosyć.

– Ale i tak mógłbyś przyjmować pacjentów tutaj, a między wizytami miałbyś czas na odpoczynek – upierałam się. – Chętnie pomogę ci przygotować dla nich gabinet. Byłaby niezła zabawa i...

– Molly – przerwał mi niewzruszony. – Ja tego chcę. Chcę zamknąć praktykę. Nie zmienisz mojego zdania. Przyszedł już czas i nie ma się czego bać.

– Ja się nie boję – podniosłam głos. – Ja tylko staram się zrozumieć.

W rzeczywistości jednak byłam przerażona. Tata uwielbiał swoją pracę. Powiedział mi kiedyś, że ona daje mu radość. Myśl, że mógłby z tym skończyć, przytłoczyła mnie swoim ciężarem. Jak teraz znajdę dla niego jakieś zajęcie, które uchroni go przed depresją?

– A nad książką nadal będziesz pracował? – zapytałam, pokazując palcem monitor.

– Oczywiście – potwierdził. – Ale pierwszy szkic całości jest prawie gotowy. To już ostatni rozdział. Oddam go mamie, a ona zrobi z nim porządek. Jest świetna w...

– Ale napiszesz kolejną, tak? – przerwałam mu.

– Zastanówmy się... – Tata oparł głowę o zagłówek i wbił wzrok w sufit. – Napisałem jedną dla dzieci, jedną dla dorosłych i jedną dla terapeutów. – Spojrział na mnie z uśmiechem w oczach. – Nie wiem, czy ktoś jeszcze został.

– Nastolatki – podsunęłam.

– Dla nich jest też moja książka dla dzieci, nie uważasz?

– Będziesz się nudził jak mops! – zawołałam.

– Mogę przecież czytać. Wiesz, że to uwielbiam.

– To ci nie wystarczy – upierałam się. – Wiem, jak działa twój mózg. Będziesz potrzebował więcej...

– Powiedzmy, że idę na wcześniejszą emeryturę, Moll. – Jego głos był spokojny. – Jak wiele innych ludzi. Należę do szczęściarzy, którzy mogą sobie pozwolić na taką decyzję.

Ktoś zapukał do drzwi. Odwróciłam się. W progu stał wujek Trevor. Ostatni człowiek, którego miałam ochotę zobaczyć.

– Cześć – powiedział cicho z niepewnym uśmiechem, jakby w obawie, że nie jest tutaj mile widziany. Choć wózek stał tyłem do drzwi, tata dobrze wiedział, kto przyszedł.

– Cześć, Trev – przywitał się z nim normalnie. A przecież to był człowiek, który dwa dni wcześniej omal go nie zabił. – Co słychać?

– Mogę wejść? – zapytał wujek.

– Oczywiście – odparł tata. Wolalabym, żeby go odesłał, powiedział, że jesteśmy zajęci, ale najwidoczniej postanowił rozegrać to inaczej. Ja nie miałam ochoty oglądać wujka na oczy, nigdy więcej.

Wujek Trevor wszedł do gabinetu i usiadł na jedynym wolnym krześle, które stało pod ścianą, tuż za mną. Tata dobrze go stamtąd widział, a ja obróciłam się razem z fotelem i w ten sposób powstał trójkąt. Od razu zauważyłam, że mamy do czynienia z innym człowiekiem niż tamten obrzydliwy pijak, który zepchnął tatę z podestu. Tym razem wujek wyglądał, jakby wyszedł prosto spod prysznica: jego szpakowate włosy były wilgotne, a ubranie schludne – jasne spodnie i zielona koszula w hawajskie wzory. Minę miał nietęgą.

– Przyszedłem cię przeprosić – odezwał się i na chwilę zacisnął powieki. Otworzywszy je z powrotem, złożył swoje wielkie dłonie razem, opierając potężne przedramiona na udach. – Prawdę mówiąc – podjął – nie wiem, gdzie oczy podziać. – Miałam wrażenie, że za chwilę wybuchnie płaczem. Wolałabym, żeby się opanował, bo nie chciałam mu współczuć, a po czymś takim na pewno bym zaczęła. – Ledwo pamiętam, co się tam działo – przyznał. – Co mówiłem. Co ty mówiłeś. I co zrobiłem. – Gdy zatrzęsł mu się podbródek, zażenowana opuściłam wzrok. – Graham, cholera jasna... – jęknął. – Nie wierzę, że zrobiłem coś takiego.

– Przyjmuję twoje przeprosiny – powiedział tata po prostu i widziałam, że mówi szczerze. Naprawdę przebaczył wujkowi. Ja jeszcze nie byłam na to gotowa.

– Rzucam picie – zadeklarował wujek. – Po pijaku robię głupie rzeczy... Ale to mnie wcale nie usprawiedliwia. Nie chciałem cię zepchnąć z cholernego podestu. Ja tylko... – Głos uwiązł mu w gardle. Opuścił wzrok, pocierając dłonią o dłoń. – Nie sądzę, żebym był alkoholikiem, ale...

– Nie sądzisz? – zapytał tata.

Wujek spojrział na niego zaskoczony.

– Uważasz, że jestem?

– Masz problem z alkoholem, Trevor – przyznał tata. – Zawsze miałeś. Kiedy pijesz, zmienia ci się charakter... a szczerze mówiąc, charakter masz nie najlepszy nawet na trzeźwo.

Cała się spięłam ze strachu, jak wujek przyjmie takie słowa, ale on tylko się zaśmiał.

– Wiem – przytaknął. – Wdałem się w tatę.

Dopiero po chwili zrozumiałam, że mówi o dziadku. O mężu babci. Zmarł przed moimi narodzinami, więc nigdy go nie poznałam, ale teraz już wiedziałam, jaki był.

– Owszem – zgodził się mój ojciec. – Tyle że on nigdy nie nauczył się nad sobą panować. A ty możesz to zrobić.

Odniosłam wrażenie, że jestem tam niepotrzebna. To była rozmowa dwóch braci, którzy mieli wspólne przeżycia.

– Toni mówi, że osoby, które kocham, cierpią przeze mnie – powiedział wujek.

– Tylko kiedy jesteś zalany, Trev – odparł tata.

Wujek Trevor wyprostował się na krześle, przeczesał palcami włosy.

– Zeszłego wieczoru odbyłem z Toni długą rozmowę. – Zerknął na mnie, a potem znów na tatę.

– My dwaj pogadamy innym razem – powiedział tata. – Bo teraz ja i Molly musimy wracać do pracy.

– Ja... – Wujek zaczął jeszcze raz. – Chciałem, byś wiedział, że postanowiłem przyjść we wtorek na spotkanie. – Wstał i w dwóch krokach podszedł do fotela taty. Położył mu swoją olbrzymią dłoń na karku, po czym nachylił się i pocałował go w głowę. – Kocham cię, stary – powiedział. – Przyjdę i będę trzeźwy jak niemowlę. W porządku? – Wyprostował się z powrotem.

Tata uśmiechnął się do niego.

– Doceniam to, Trev – odparł. – Nie umiem nawet wyrazić, jak bardzo.

Wujek Trevor wyszedł, bez pożegnania. Spojrzałam na tatę, który wyglądał przez okno, pogrążony w jakimś transie. W milczeniu odprowadzaliśmy wzrokiem wujka, który przeciął nasze podwórko i wsiadł do swojej furgonetki.

– Mocne przeżycie – powiedziałam, kiedy trzasnęły drzwi auta.

– Cały Trevor. – Tata otrząsnął się z transu, skinął głową w stronę klawiatury. – Wracamy do pracy?

Gotowa?

Nie uniosłam dłoni, nie położyłam palców na klawiszach.

– Nigdy mu nie wybaczę. – Pokręciłam głową. – On mógł cię zabić, tato.

– Poczujesz się lepiej, jeśli mu wybaczysz – zapewnił.

– Może kiedyś – odparłam. – W tej chwili jeszcze za bardzo się na niego gniewam.

– Bez wybaczenia trudno iść do przodu – zauważył. – To tak, jakbyś próbowała tańczyć z ołowianym balastem na ramionach. Gniew może przytłoczyć cię na zawsze.

Mówił do mnie swoim zawodowym tonem psychologa, a ja musiałam się bardzo pilnować, żeby nie przewrócić oczami. Obróciłam się razem z fotelem do komputera i położyłam na klawiszach palce ozdobione popękany brokatowym lakierem do paznokci.

– No dobrze – rzuciłam. – Na czym skończyliśmy?

San Diego

Już piąty raz spoglądam na wyświetlacz telefonu. Dochodzi wpół do pierwszej. Sienna umówiła się z nami na dwunastą. Od samego początku kiepsko nam się układa z tą dziewczyną.

Zanurzam kawałek tortilli w sosie guacamole. Obok stoi moja herbata z lodem. Aidan, siedzący naprzeciwko, posyła mi słaby uśmiech.

– Miałaś, zdaje się, poczekać, aż Sienna przyjdzie? – mówi.

– Muszę coś zrobić z rękami – odpowiadam i dodaję po chwili to, o czym oboje myślimy: – Czyżby znów stchórzyła?

Denerwuję się potwornie.

Aidan wygląda przez okno restauracji. Widok ulicy przesłaniają potężne kwitnące krzewy i strelacje.

– Boże, oby nie – wzdycha.

Z każdą minutą coraz bardziej upadamy na duchu. Boję się zadzwonić do Zoe. Boję się kolejnego rozczarowania.

– Patrz – mówi nagle Aidan. Podążam za jego wzrokiem: w drzwiach stoi nastolatka. Wygląda na nieco zagubioną, wodzi wzrokiem po twarzach gości. Ma na sobie niebieską koszulkę z dzianiny, rozciągniętą na wystającym brzuchu.

– Boże, to ona. – Wstaję zza stolika i ruszam w jej stronę, wyciągając rękę. – Sienna? – pytam.

Dziewczyna posyła mi uśmiech, wyraźnie drżący, bo jej dolna warga się trzęsie. Momentalnie robi mi się jej strasznie żal i najchętniej bym ją objęła, ale zamiast to zrobić, ściskam tylko jej rękę. Czuję wilgoć i nie wiem, czy jej dłoni, czy mojej.

– Przepraszam za spóźnienie – mówi Sienna. – Kompletnie się pogubiłam. Jeszcze nigdy nie jeździłam sama autem po San Diego.

– Nie ma sprawy – mówię i ująwszy ją pod rękę, prowadzę do naszego stolika. Gdy podchodzimy, Aidan wstaje. Jego uśmiech w najmniejszym stopniu nie zdradza zdenerwowania.

– Dzień dobry, Sienna – wita się ciepło i ujmuje jej dłoń w swoje. – Miło cię poznać. – Odsuwa dla niej krzesło od stolika.

– Bardzo przepraszam za tamto – mówi Sienna, opuszczając się niezgrabnie na krzesło, ociera przy tym brzuchem o blat. Z wysiłkiem odrywam wzrok od tej cudownej krągłości.

– Nie ma sprawy – mówi Aidan.

– To naprawdę trudna decyzja – dodaję.

Dziewczyna kiwa głową i przewraca oczami.

– Koszmarnie trudna – przyznaje. – Ani jedna koleżanka nie uważa, że dokonałam dobrego wyboru.

– W takim razie masz bardzo silny charakter, bo umiałaś postawić na swoim – mówię.

– Sama nie wiem. – Sienna uśmiecha się smutno. – Już raz dałam sobie wybić z głowy adopcję. Gdyby nie Kate z agencji, dalej bym trwała w postanowieniu, żeby zatrzymać dziecko.

„Dzięki ci, Kate”, wołam w myślach.

Ułożyliśmy sobie scenariusz rozmowy z Sienną. Początek miał być lekki i swobodny. Zanim przejdziemy do konkretów związanych z adopcją, należy się wzajemnie poznać.

– Opowiedz nam o swoich znajomych – proszę. – Widujesz się z dawnymi przyjaciółkami, z czasów, zanim zaczęłaś chodzić na zajęcia w ramach programu wsparcia?

– Nie – odpowiada Sienna. – I bardzo mi ich brakuje. Między innymi dlatego decyduję się na adopcję.

Szybko wyrzuca z siebie słowa i trochę brak jej tchu, widać, że się denerwuje. Obserwuję jej twarz, kiedy mówi. W niczym nie przypomina Julii Stiles. Jest całkiem ładna, ma pełne policzki i włosy w żywym odcieniu brązu, sięgające ramion. Padające z góry światło ukazuje rude pasemka w tej brązowej gęstwinie, a oprawki jej okularów mają ten sam rdzawy kolor. Oczy za tymi szklami są czekoladowe jak oczy Aidana, a ja myślę: „Czy tak właśnie będzie wyglądać nasza córka?”. Z każdą sekundą ta dziewczyna wydaje mi się piękniejsza.

– Tęsknię za moimi przyjaciółmi i za dawnym życiem – przyznaje Sienna. – Czy to jest straszny egoizm z mojej strony?

Jak na komendę kręcimy głowami.

– To ma sens – mówi Aidan.

Pojawia się kelner i przyjmuje od nas zamówienie. Przyda się nam chwila oddechu.

Pytamy Siennę o najbliższych, a ona opowiada, że jej ojciec „ma teraz nowe życie” i nową rodzinę.

– Ale mama jest świetna – dodaje. – Popiera mnie w stu procentach, jeśli chodzi o adopcję.

Wiem trochę o matce Sienny. Słyszałam od Zoe, że też chciała tutaj być, ale córka przekonała ją, że powinna na pierwszym spotkaniu pojawić się sama.

– Mama chce, żebym skończyła szkołę i tak dalej – wyjaśnia Sienna. – Ale mój młodszy brat bardzo się cieszy, że zostanie wujkiem. Nie może się doczekać, żeby zobaczyć dzidziusia.

Czuję na sobie wzrok Aidana; obserwuje mnie, jak zareaguję na wiadomość, że brat Sienny zamierza odgrywać jakąś rolę w naszym życiu. Nie daję nic po sobie poznać.

– Dzieciństwo miałam raczej słabe – kontynuuje Sienna. – W domu nie było taty, więc do adopcji szukałam udanego małżeństwa, a wy robicie dobre wrażenie.

– I tacy jesteście w rzeczywistości – zapewnia ją Aidan.

– To trwały związek – dodaję i uśmiecham się do męża.

– My nigdy nie robiliśmy razem niczego fajnego – mówi dziewczyna. – Mama pracuje w salonie samochodowym, nie miała czasu zabierać nas w żadne fajne miejsca, więc kiedy zobaczyłam wasze zdjęcia, od razu sobie wyobraziłam, jak moje dziecko robi różne fajne rzeczy, żyje aktywnie i tak dalej. Zdecydowałam się bez namysłu.

Korci mnie, żeby ją zapytać, w czym okazaliśmy się lepsi od ludzi z córeczką i psem, ale nie chcę jej o nich przypominać. Kelner przynosi nasze talerze. Sienna zamówiła wegetariańską quesadillę. Zastanawiam się przelotnie, czy spożywa wystarczającą ilość białka. Postanawiam jednak nie pytać. Na chwilę obecną dziecko jest jej i tylko jej. Muszę o tym pamiętać.

– Lubicie muzykę? – pyta dziewczyna, nabijając niewielki kęs na widelec. – Bo ja bardzo i mam nadzieję, że moje dziecko też będzie.

– Uwielbiamy – odpowiadam szczerze, chociaż wydaje mi się, że nie ma człowieka, który by jej nie lubił.

– Grasz na czymś? – pyta Aidan Siennę.

– Na gitarze, ale tylko trochę. Chociaż z czymś takim raczej trudno grać. – Klepie się po brzuchu.

Aidan wypytuje ją o ulubionych wykonawców, a potem opowiada o zespołach, które sam lubił w jej wieku. Czuję lekkie zażenowanie. Młoda dziewczyna nie znajdzie wspólnego języka z takim starym

piernikiem. Nigdy nie słyszała o Depeche Mode, The Smiths ani o Morrisseyu, ale gdy Aidan nuci jej parę kawałków, chcąc przekonać, że są świetne, zaczyna się śmiać i śpiewa mu piosenkę Lady Gagi, dopóki nie zauważa, że ludzie w restauracji się na nas gapią. Natychmiast milknie i wszyscy zaczynamy chichotać. Zrobiło się tak swobodnie, że to wprost nie do wiary. Bardzo podoba mi się ta dziewczyna.

Lekka rozmowa trwa, dopóki nie skończymy jeść. Gdy Sienna bierze do ust ostatni kęs, ja i Aidan wymieniamy spojrzenia: czas na konkrety.

Biorę głęboki oddech.

– To już siódmy miesiąc, prawda? – upewniam się.

– Trzydziesty tydzień – odpowiada, odkładając widelec. – Zaczynam się denerwować – przyznaje.

– Opowiesz nam coś o ojcu dziecka? – prosi Aidan. – Ma na imię Dillon, tak? – Jeszcze nigdy nie słyszałam u niego tak łagodnego tonu.

Sienna wbija wzrok w blat stołu.

– Ja... – zaczyna. – On... – urywa, wzdycha. Unosi głowę, spogląda w oczy najpierw mnie, potem Aidanowi. – Nie był taki, jak myślałam.

– Długo z nim chodziłaś? – pytam.

– Tylko miesiąc, ale kochałam się w nim od pierwszej klasy. I było nam razem naprawdę fajnie, tylko że potem ze mną zerwał, ale wpadł, żeby pogadać, a ja pomyślałam, że seks... – Sienna uświadamia sobie, że mówi coraz głośniej, więc zniża głos. – Sądziłam, że dzięki temu go odzyskam. Wiem, że to głupie. Już wtedy wiedziałam. I nie była to jedyna głupota z mojej strony, bo dodatkowo myślałam, że za pierwszym razem nie można zajść w ciążę. Okazało się, że można.

To był jej pierwszy raz. Biedny dzieciak.

– Jak rozumiemy, Dillon jest gotów zrzec się praw rodzicielskich? – dopytuje Aidan.

– Jest gotów, i to jeszcze jak – potwierdza Sienna. – Nie chce mieć z małą nic wspólnego. Kiedy mu powiedziałam o ciąży, zaproponował mi pieniądze na aborcję. I prawie to zrobiłam: umówiłam się na zabieg i tak dalej, ale potem dotarło do mnie, że robię to tylko dla niego. Jak zawsze. I przestraszyłam się, że jeśli usunę, będzie mnie to męczyć do końca życia. Odwołałam więc zabieg i powiedziałam o wszystkim mamie, a Dillon się wściekł, bo ona powiedziała jego rodzicom i... zrobił się totalny bajzel.

– Współczuję ci – mówię. I naprawdę jej współczuję, myśląc jednocześnie: „Niezbadane są wyroki Pana”. Wiem, że przyjdzie taki moment, kiedy będziemy musieli poznać tego Dillona. Jeśli to ma być otwarta adopcja, w takiej czy innej postaci, to zarówno ojciec dziecka, jak i jego matka będą mieli prawo widywać się z nim. Teraz nie poruszam jednak tej kwestii, żeby nie spłoszyć Sienny.

– W sumie – podejmuje dziewczyna – Dillon nie jest lepszy od mojego ojca. Nie cierpię ich obu. Chcę, żeby moje dziecko mogło kochać swojego tatę. – Spogląda na Aidana. Jestem pewna, że widzi w nim to samo, co ja: człowieka, który potrafi kochać.

Aidan kiwa głową i przełyka ślinę. Wiem, że trochę go zatkało. Na jego policzkach zakwita rumieniec.

– Porozmawiajmy o naszych wzajemnych oczekiwaniach: jak sobie wyobrażamy nasz udział w życiu dziecka po adopcji – proponuje. – Moim zdaniem trzeba dojść do porozumienia, które zadowoli nas wszystkich. Z czasem warunki mogą ulec zmianie, ale...

Trącam go stopą w łydkę. Aidan urywa w pół zdania i ogląda się na mnie, a ja skinieniem głowy pokazuję mu Siennę; dopiero wtedy dostrzega łyzy w jej oczach.

– Sienna... – Pochylam się ku niej. – Skąd te łyzy?

Dziewczyna zdejmuje okulary i kładzie je na stole, a następnie uciska oczy palcami. Aidan i ja spoglądamy po sobie. Czekamy; ja przygryzam wargę. Wreszcie Sienna opuszcza dłonie. Oczy ma zaczerwienione.

– Tego właśnie się boję – mówi cicho, prawie szepcze.

– Czego? – pytam, także zniżając głos.

– Jest taka kobieta, najlepsza przyjaciółka mojej mamy. Nazywa się Joan. Bez przerwy do mnie dzwoni i pisze e-maile, opowiada mi, jak to sama, osiemnaście lat temu, oddała swojego małego synka do adopcji. Próbowwała go później odszukać, ale się nie udało i przez całe życie zamartwia się o niego i żałuje, że go oddała. – Sienna przerywa na chwilę, żeby odetchnąć. – Więc usiłuje wyperswadować mi adopcję. Kiedy usłyszała od mojej mamy o otwartej adopcji, powiedziała, że teraz obiecacie mi złote góry, a potem, jak już dostaniecie dziecko, zapomnicie o wszystkim. A ja bym chyba oszalała, gdybym nie wiedziała, co się dzieje z moją córeczką, nie mogła jej widywać i w ogóle.

Aidan i ja wymieniamy spojrzenia. Kiwam do niego głową, żeby zaczął.

– Dlatego właśnie musimy omówić szczegóły, Sienna – wyjaśnia szybko. – Dzięki temu każde z nas będzie dokładnie wiedziało, jak ma wyglądać nasza otwarta adopcja.

– Mam nadzieję, że kiedy nas lepiej poznasz, sama zrozumiesz, że nie złamiemy danego ci słowa – dodaję.

Sienna opuszcza głowę, spogląda na swój pusty talerz. Z jej rzęs spada na stół duża, pełna łza.

– Gdyby mogło być idealnie – ciągnę – to jak wyobrażasz sobie kontakty ze swoją córką?

Niewiarygodne, że pytanie na tak ważny temat sformułowałam tak luźno. Przecież ten problem nurtuje nas obie tak samo mocno.

Sienna oblizuje wargi z namysłem, a potem podnosi na mnie oczy.

– Czy możecie co miesiąc przysyłać mi jej zdjęcia? I czy mogłabym się z nią widywać kilka razy w roku?

Tylko tyle? Nie chce nic więcej?

– Naturalnie – mówię.

– A czy będzie wiedziała, że jestem jej mamą? To znaczy biologiczną?

– Oczywiście – mówi Aidan. – I wiesz, co byłoby fajne? Gdybyś zrobiła dla niej album z wycinkami, kronikę twojej rodziny. Miałaby na zawsze pamiątkę, taki własny skarb.

– Poznałaby swoje korzenie – dodaję. – Bardzo byśmy chcieli, żeby wiedziała, skąd pochodzi.

– Fajne. – Sienna uśmiecha się do nas.

– Zastanów się nad tym – mówię, czując ogromną ulgę, że nie poprosiła o więcej, niż byłabym skłonna jej dać. – Omów to z Kate i z twoją mamą, a zanim urodzisz, przygotujemy umowę, w której napiszemy, co wszyscy troje rozumiemy pod pojęciem „otwartej adopcji”.

Dziewczyna kiwa głową.

– Dobrze.

– Świetnie. – Aidan dopija swoją wodę. – Chcemy coś jeszcze omówić? – pyta, wodząc wzrokiem ode mnie do Sienny i z powrotem.

– Kate wspominała, że musimy porozmawiać o szpitalu. – Sienna wstydliwie spuszcza głowę. – No, wiecie... Poród, te sprawy.

Zoe radziła nam poczekać, aż dziewczyna sama poruszy ten temat. Jestem dumna z Sienny, że tak szybko przystąpiła do rzeczy. Wstrzymuję oddech. Mam w tej kwestii potwornie mieszane uczucia. Zobaczyć, jak nasza córeczka przychodzi na świat, to moje największe marzenie, a jednak mimo wszystko jakoś mi to nie pasuje. W tamtej chwili ona będzie dzieckiem Sienny, która ma prawo spędzić tę intymną, uświęconą chwilę tylko z nią, bez dwójki stęsknionych ludzi, którzy nie mogą się doczekać, aby wziąć maleństwo na ręce.

– A jak ty to widzisz? – pytam.

– Ja po prostu nie sędzę... – Dziewczyna marszczy nos. – Chciałabym mieć przy sobie tylko mamę.

Kiwam głową. Mimo wszystko czuję rozczarowanie.

– To twoja decyzja i oczywiście uszanujemy ją – mówię. W tej kwestii nigdy bym się jej nie sprzeciwiła. Kiedy dziecko będzie już nasze, Sienna rzadko będzie mogła o czymś decydować.

Spoglądam na nią. Uderza mnie siła tej dziewczyny, która tak dokładnie przemyślała decyzję o oddaniu swojego dziecka do adopcji, postawiła się znajomym i zniosła krzywdę, którą wyrządził jej ojciec dziecka. Kładę dłoń na jej dłoni.

– Możesz na nas liczyć, Sienna – mówię. – Nawet jeśli znów zmienisz zdanie i postanowisz zatrzymać małą. Nawet wtedy możesz na nas liczyć.

Czuję na sobie wzrok Aidana. Później pewnie usłyszę od niego, że posunęłam się za daleko, ale nie obchodzi mnie to. Ta dziewczyna potrzebuje od nas wsparcia.

– Pomożemy ci, jak tylko będziemy mogli – ciągnę, wyraźnie artykułując słowa, jakbym rozmawiała z kimś młodszym albo znacznie mniej rozgarniętym niż Sienna. – Emocjonalnie i finansowo również. Wiem, że ty i twoja mama musicie liczyć się z pieniędzmi. – Zoe mówiła, że nie mają najlepszej polisy. – Zapłacimy za wszystko, czego nie pokrywa wasze ubezpieczenie. Ale... Teraz najważniejsze. Otóż bez względu na to, ile od nas dostaniesz pod względem emocjonalnym i finansowym czy też jakimkolwiek innym, wiedz jedno: nie jesteś nam niczego winna i nie musisz nam oddać swojego dziecka. – Spoglądam jej twardo w oczy. – Chcę mieć pewność, że to rozumiesz.

Dziewczyna kiwa głową, a jej brązowe oczy znów zachodzą lśniąca mgiełką za szklami okularów.

– Wiem to wszystko – mówi Sienna. – Ale już nie zmienię zdania. Nie musicie się martwić.

* * *

Wychodzimy z restauracji. Sienna ściska się z nami na pożegnanie. Jej wystający brzuch wpiera się w moje ciało.

– Jesteście pierwszymi ludźmi, którzy się cieszą, że zaszłam w ciążę – śmieje się.

Radzimy jej, jak najwygodniej wyjechać ze starówki, i odprowadzamy wzrokiem, kiedy idzie do samochodu. Potem w milczeniu ruszamy w przeciwną stronę, tam, gdzie sami zaparkowaliśmy. Pierwsze słowa padają, dopiero gdy już siedzimy w środku, zapięci pasami bezpieczeństwa. Aidan spogląda na mnie.

– No, nieźle. – Uśmiecha się.

– Tak, wiem. – Odpowiadam uśmiechem.

– Jedno mnie martwi – podejmuje delikatnym tonem. – Że będziesz się upewniać, że ona wie, co robi, i ją wystraszysz.

– Nie rozumiem...

– Po prostu... Masz w sobie tyle zapału... – Uśmiecha się jeszcze raz, na znak, że tak ogólnie to podoba mu się mój zapał i tylko w tej konkretnej sytuacji jest on dla niego powodem do zmartwienia.

– Chcę mieć pewność, że ona zna swoje prawa – wyjaśniam. – Jeśli ma nam oddać dziecko, musi w to włożyć całe serce i...

– To nigdy nie będzie całe serce – przerywa mi Aidan. – Sama poczułaś, jak ona cierpi. Zawsze będzie cierpieć.

– Więc jeśli nie całe, to chociaż dziewięć dziesiątych.

Aidan wyciąga dłoń ponad drążkiem zmiany biegów i bierze mnie za rękę.

– Coś mi się zdaje, że minęłaś się z powołaniem, kochanie – oznajmia.

– Jak to?

– Kiedy słuchałem, jak z nią rozmawiasz... – Aidan przesuwa kciukiem po grzbiecie mojej dłoni. – Jak wciągasz ją do rozmowy, jak ją wspierasz... Nigdy jeszcze nie widziałem cię takiej... Powinnaś zostać

psychologiem. Terapeutą, jak twój ojciec.

Uśmiech, który mu posyłam, jest blady, ale on tego nie widzi. Wypuszcza moją dłoń i przekręca kluczyk w stacyjce, a ja czuję kłujące pieczenie pod powiekami.

Nie mogę mu pokazać, jak bardzo zaniepokoiły mnie jego słowa.

Swannanoa

W moim świecie dorośli byli zawsze uczciwi i dobrzy, choć czasem po pijaku któremuś zdarzyło się zepchnąć mojego ojca z podestu. Nie powinno zatem dziwić, że u Stacy przeżyłam szok: otóż jej matka wybierała się na noc do mężczyzny, z którym się spotykała. Stacy i ja miałyśmy cały dom dla siebie.

– Nie mów swojej mamie. – Mama Stacy puściła do mnie oko. Właśnie szykowała się do wyjścia: przed lustrem w przedpokoju czesała swoje czarne włosy, tylko odrobinę mniej lśniące niż włosy córki, i malowała usta rubinową szminką. Ja i Stacy stałyśmy tuż za drzwiami. Miałam jeszcze plecak na ramieniu i wciąż nie mogłam się pozbierać po tym, co od niej usłyszałam: że na całą noc zostawia nas same.

– Jeśli się nie dowie, nie będzie jej przykro – dodała mama Stacy. – Jest trochę nadopiekuńcza, co?

– Tak – przyznałam, lecz natychmiast opadły mnie wątpliwości. Moja mama nadopiekuńcza? Tego bym o niej nie powiedziała.

– Ja wyznaję zasadę, że dzieciom należy ufać – ciągnęła mama Stacy, sięgając po torebkę, która leżała na stoliku obok drzwi. – To im pomaga w rozwoju, bo muszą dokonywać własnych wyborów i nie mogą oglądać się na mnie. Zawsze tak robiłam i proszę, jeszcze żadne od tego nie umarło, prawda? – Uśmiechnęła się do mnie, a ja zrozumiałam, po kim Stacy ma ten urok. – Żadnego nie aresztowali ani nie wylali ze szkoły, więc uważam, że dobrze mi idzie.

Stacy zerknęła na mnie z ukosa, przewracając oczami.

– Pa, dziewczyny! – Mama Stacy pomachała nam na pożegnanie i cmoknęła córkę w policzek. – Bądźcie grzeczne!

Patrzyłyśmy za nią, kiedy wychodziła z domu, żadna z nas nie powiedziała ani słowa, dopóki nie dobiegł nas trzask zamykanych drzwi samochodu. Stacy wydała wtedy radosny okrzyk, rozłożyła szeroko ręce i odrzuciła głowę w tył.

– Wolność! – zawołała. – Hura!

– Będzie ekstra! – zawtórowałam jej z uśmiechem, ale moja dłoń bezwiednie zacisnęła się na kamieniu trosk, który miałam przy sobie, w kieszeni.

* * *

Poszłyśmy do pokoju Stacy i włączyłyśmy kasetę *Step by Step*, po czym zaczęłyśmy się malować.

– Jak tylko się dowiedziałam, że będziemy mieć cały dom dla siebie, zadzwoniłam do Bryana – poinformowała mnie Stacy. – Chłopaki przywiozą pizzę. Bryan powiedział, że jeśli chcemy, mogą zostać do rana. – Posłała mi w lustrze znaczące spojrzenie. – Czy chcemy? – zaśmiała się. – Pytanie!

„Boże”, jęknęłam w myślach, drżącą ręką pociągając rzęsy tuszem. „Co się ze mną dzieje?”. Zazdrościłam Stacy spokoju i opanowania. Ja byłam kłębkim nerwów.

Chris i Bryan przyjechali o wpół do dziesiątej, a w salonie muzyka grała już na cały regulator. Zdjęłam okulary, ale nawet przez mgłę Chris robił na mnie tak samo piorunujące wrażenie, jeśli nie większe. Jasne włosy trochę mu urosły i zaczynały się kręcić nad uszami i na karku, a dołki w policzkach – bo miał dwa – były takie głębokie i seksowne, że wręcz nie mogłam pojąć, jakim cudem nie zauważyłam ich za pierwszym razem. Bryan przywitał się ze Stacy długim, głębokim pocałunkiem, ale Chris pocałował mnie inaczej: czulej i delikatniej. Podobało mi się to, zupełnie jakby w tak krótkim czasie zdążył już dobrze mnie poznać.

Przywieźli dwie pizze i sześciopak piwa, zdobyty im tylko znanym sposobem. Pamiętałam dobrze, jak Stacy zarzekała się, że nigdy nie będzie piła, bo jej ojciec jest alkoholikiem, a tymczasem to ona pierwsza wyciągnęła butelkę z opakowania. Ja pociągałam piwo małymi łydkami. Nie smakowało mi, ale zawzięłam się, że wypiję do końca.

– Kiedy jedziecie na koncert New Kidsów? – zapytał Chris.

– Ósmego sierpnia – odpowiedziałam. – Do Atlanty.

– Na zlot małolatów – oznajmił Bryan.

– To prawda – zgodziła się Stacy. – Ale i tak będzie fajnie.

Miałam do niej żal za zdradę New Kidsów, ale zdawałam sobie sprawę, że jest pod urokiem Bryana i nic na to nie poradzi.

Chris i Bryan pochłonęli całą pizzę we dwóch, Stacy zjadła dwa kawałki, ja nie mogłam poradzić sobie nawet z jednym. Obserwowałam ręce Chrisa, kiedy jadł. Miał najcudowniejsze dłonie na świecie i chciałam, żeby trzymał mnie za rękę, tak jak wtedy, pierwszego dnia, kiedy siedzieliśmy razem na kanapie. Kiedy robiłam coś w kuchni, za każdym razem czułam na sobie jego wzrok. Patrzył za mną, kiedy wstawałam od stołu, żeby przynieść mu kolejne piwo z lodówki albo odstawić swój talerz do zlewu. Wiedziałam, że mój widok sprawia mu przyjemność, i po raz pierwszy w życiu czułam się naprawdę ładna. Uśmiechałam się bez przerwy, starając się wyobrazić sobie, co on we mnie widzi.

– Idziemy na górę – oznajmiła nagle Stacy i wstała od stołu, trzymając Bryana za rękę. – Będziemy w pokoju mamy – poinformowała mnie. – Dla was, jak chcecie, zostaje gościnnie.

Wyszli z kuchni, a ja poczułam, jak moje serce tłucze się o żebra. Chciałam zaproponować Chrisowi, żebyśmy posłuchali sobie muzyki w salonie. Nie czułam się gotowa iść do sypialni.

– Zobacz. – Chris sięgnął do tylnej kieszeni po portfel i wyjął z niego połówkę zdjęcia, którą mu wysłałam. Zalaminowana! Uśmiechnęłam się. Dani nie miała racji. On ze mną w nic nie pogrywał.

– Zrobię to samo z twoim zdjęciem – mruknęłam, dotykając palcem rogu fotografii.

Chris schował ją z powrotem do portfela, po czym wstał i wyciągnął do mnie rękę.

– Chodź, poszukamy tego pokoju gościnnego – powiedział.

Nie mogłam mu odmówić. Bardzo się bałam, że wyjdę na sikse, nudną czternastoletnią smarkulę. Po wejściu na piętro usłyszeliśmy chichoty dobiegające zza zamkniętych drzwi pokoju mamy Stacy. Chris otworzył inne drzwi i zapalił światło; zobaczyłam duże, porządnie posłane łóżko.

Wyłączył światło, a gdy weszłam do środka, usiadł na skraju łóżka i pociągnął mnie, abym usiadła obok. Pachniał piwem i papierosami; pragnęłam zanurzyć się w tym zapachu. Pocałował mnie delikatnie, obejmując ramionami.

– Nie będę cię namawiał do niczego, czego sama nie chcesz – obiecał.

Skinęłam głową, chociaż i tak nie widział w tych ciemnościach. Ułożył się na pościeli, pociągając mnie za sobą. Jego obietnica ośmieliła mnie do tego stopnia, że otworzyłam lekko usta, żeby mógł wsunąć język do środka.

– Ty też możesz włożyć mi język do ust – powiedział po jakimś czasie.

– Nie wiedziałam, że dziewczyna może to zrobić.

Roześmiał się.

– Tutaj nie ma żadnych zasad – wyjaśnił. – Dziewczyna może robić, co jej się podoba.

Wsunęłam mu język do ust, przesuwając nim po jego zębach, a on wysunął na spotkanie swój język, ciepły i gładki. Potem położył dłoń na mojej piersi i dotykał jej przez koszulkę. Leżałam na plecach, mając pełną świadomość, że w tej pozycji moje piersi są prawie całkiem płaskie. Kiedy wyobrażałam sobie, że jestem z Johnnym Deppem, zawsze leżałam na boku, właśnie z tego powodu, ale Chrisowi, zdaje się, wcale to nie przeszkadzało. Wsunął mi dłoń pod koszulkę i sięgnął za plecy.

– Unieś się trochę, żebyś mogła... – poprosił, więc odwróciłam się, a on rozpiął mi stanik, a gdy objął moją pierś ciepłą, nagą dłonią, z gardła wyrwał mi się niespodziewany jęk.

– Możemy zdjąć tę koszulkę? – zapytał.

– Tak. – Usiadłam prosto i ściągnęłam ją razem ze stanikiem. Cieszyłam się tylko, że jest tak ciemno. Chris też zdjął koszulkę, a kiedy znów się położyliśmy, poczułam na sobie dotyk nagiej skóry jego piersi. To było niesamowite.

– Jesteś piękna – szepnął, obracając się na plecy i wciągając mnie na siebie, tak że w końcu usiadłam na nim okrakiem. Byłam w szoku, że unosi mnie z taką łatwością, jakbym była laleczką z bawełny, a nie człowiekiem z krwi i kości. Jego siła podniecała mnie, a jednocześnie przerażała.

– Wszystko w porządku? – zapytał, błędząc dłońmi po moich żebrach. Przez tkaninę jego dżinsów i moich szortów czułam jego twardego członka.

– Tak – szepnęłam. Jeszcze jeden pocałunek i zaczęliśmy się kołysać, a pod naciskiem jego członka moje ciało przeszywał prąd. Zbudziło się we mnie jakieś nieznanne mi uczucie, które narastało i wydawało się być całkowicie niezależne od mojej woli. Wystraszona przestałam się kołysać.

– Co się stało? – zapytał Chris.

– Nie wiem – odparłam. – Po prostu poczułam się... dziwnie.

– Co to znaczy dziwnie?

– Jakbym miała zaraz eksplodować.

Roześmiał się.

– Zaczęłaś dochodzić – powiedział. – Trzeba było robić tak dalej, wariatko.

„Boże”, pomyślałam. „To tak się dochodzi?”.

– Ty nie wiesz, co to, prawda? – zapytał Chris. – Wciąż zapominam, że jesteś taka młoda.

– Właśnie, że wiem – zaprzeczyłam, żeby przestał myśleć o moim wieku. – Wiem, co to jest, tylko po prostu nigdy jeszcze tego nie czułam.

Nagle w korytarzu zadzwonił telefon. Dzwonił i dzwonił, a my nie zwracaliśmy na niego uwagi.

– To jest bardzo miłe – zapewniał mnie Chris. – Spodoba ci się. – Wsunął palce za pasek moich szortów. – Zdejmij je, a ja ci pokażę, jak to jest z tym dochodzeniem.

Zatrzymałam jego rękę.

– Nie chcę jeszcze uprawiać seksu.

– W porządku – odparł. – Będę tylko cię dotykał. Obiecuję. Pamiętasz? Nigdy cię nie skrzywdzę i nie zrobię niczego wbrew twojej woli. Ufasz mi?

– Tak. – I naprawdę mu ufałam. Puściłam jego rękę, a on delikatnie zsunął mnie z siebie i ułożył na posłaniu. Zdjął mi szorty, a potem majtki. Przełknęłam z wysiłkiem ślinę; nagość sprawiła, że poczułam się bezbronna. Chris pocałował mnie, a następnie przesunął dłonią po moim brzuchu i niżej, po włosach łonowych.

– Co robisz? – zapytałam.

– Chcę, żebyś doszła. Obiecuję, że ci się to spodoba. Ale musisz mnie wpuścić.

Rozchyliłam uda mniej więcej na centymetr, a kiedy mnie dotknął, prawie umarłam z wrażenia.

Chris jęknął.

– Jesteś świetna. Strasznie się na ciebie napaliłem.

Jego palce były w ciągłym ruchu. Wsunął jeden we mnie, a ja zachłysnęłam się powietrzem. Moje nogi rozłożyły się same, a oddech przyspieszył i zaczął się rwać. Czułam jego palce wszędzie naraz i powróciło tamto uczucie, że zaraz eksploduję. Pocałował mnie znów, ale nie mogłam się skupić na dotyku jego warg, bo zapierało mi dech w piersi.

– Dobrze ci? – zapytał.

Nie zdołałam odpowiedzieć. Ogień ogarnął moje ciało, a gdy Chris nagle zabrał dłoń, byłam bliska krzyku.

Gdy otworzyłam oczy, zobaczyłam, że stoi obok łóżka i rozpina dżinsy, a potem zaczyna je zdejmować.

– Nie! – zawołałam, siadając na łóżku i łapiąc go za rękę. – Proszę cię, nie.

– Mam prezerwatywę – powiedział. – Będzie dobrze. Nie zrobię ci krzywdy.

– Nie, Chris. Nie chcę. Proszę.

Podciągnął dżinsy i bez słowa wyszedł z pokoju. Zbierało mi się na płacz. Był na mnie zły. Wszystko popsułam. Po omacku odnalazłam majtki i stanik, połykając łzy. Dygotałam jak osika. Głęboko w gardle czułam smak piwa.

Chris przyszedł po kilku minutach, kiedy zapinałam stanik.

– Ubierasz się? – zapytał. W ciemnościach nie widziałam jego twarzy.

– Myślałam, że już nie wrócisz.

– Musiałem... coś ze sobą zrobić. – Zaśmiał się. – Tak mnie nakręciłaś, że gdybym nie zwalił teraz konia, toby mi spuchły jaja.

Wiedziałam, co to znaczy „zwalić konia”. Nie byłam natomiast pewna tych „spuchniętych jaj”.

Chris usiadł obok i delikatnie mnie pocałował.

– Obiecałem, że nie zrobię niczego wbrew twojej woli – przypomniał mi, a ja poczułam się paskudnie, że zwątpiłam w jego słowo.

Kiedy pomagał mi zapiąć stanik, telefon znów się rozdzwonił. Położyliśmy się z powrotem, a ja z wielką ulgą wtuliłam się w jego ramiona.

– Robiłeś to z wieloma dziewczynami? – zapytałam, przypomniawszy sobie, jak Dani ostrzegła: „Chris kręci z każdą”. Przyszło mi do głowy, że ona też mogła być jedną z nich.

Nie odpowiedział od razu.

– Z kilkoma – przyznał wreszcie. – Pamiętaj, że jestem od ciebie parę lat starszy.

– A z moją kuzynką Danielle?

– Z tym pasztetem? W życiu!

Przed oczami stanęła mi scena z zabawy: Dani siedzi na ziemi obok mojego ojca i usiłuje dodać mu otuchy. Nie życzyłam sobie, żeby ktokolwiek ją tak nazywał.

– Ona nie jest wcale taka zła – zapewniłam.

– Wszystko jedno. – Chris obrócił się na bok i sięgnął do kieszeni dżinsów. Wyjął wymiętego skręta i zapalniczkę. Przypalił, zaciągnął się i podał go mnie. Wzięłam macha, wstrzymałam oddech. Chris objął mnie ramieniem. Chciałam mu powiedzieć, że go kocham, ale z nerwów nie dałam rady się przemóc. Nie zniósłabym, gdyby nie odpowiedział mi podobnym wyznaniem.

Wypaliliśmy skręta do końca, nie podnosząc się z łóżka. Gdzieś w domu grała muzyka. Aerosmith. Zaczęłam odlatywać i czułam cudowny spokój. Cudownie było też leżeć w ramionach Chrisa. I ciemność była cudowna. Chyba się zdrzemnęłam, bo dalej pamiętam już tylko, że ktoś zaczął dzwonić i dobijać się do drzwi. Do pokoju wpadła Stacy.

– To twoja matka! – wrzasnęła. – Przed domem stoi jej samochód!

40

– Boże! – Poderwałam się na równe nogi i gorączkowo szukałam szortów oraz bluzki w świetle wpadającym przez otwarte drzwi. Pokój zawirował mi przed oczami i przez chwilę myślałam, że zwymiotuję, ale strach przepędził mdłości.

– Ja otworzę – powiedziała Stacy. – Bryan został w moim pokoju. Chris, nie ruszaj się stąd. – Teraz, kiedy już wymyśliła, jak wyciągnąć nas z tarapatów, zrobiła się spokojniejsza. Coś mi mówiło, że ma spore doświadczenie w unikaniu podobnych problemów.

Byłam już ubrana, nie mogłam tylko znaleźć martensów. Nie miałam pojęcia, gdzie się podziały. Zeszłam boso po schodach, drząc na całym ciele. Słyszałam, jak Stacy otwiera drzwi wejściowe.

– Nora! – zawołała zdumionym głosem. – No, hej!

– Gdzie jest twoja matka? – zapytała mama. Poznałam po głosie, że jest wściekła.

– Mama? – Kiedy weszłam do salonu, dostrzegłam ją w progu. Taksowała pomieszczenie swoim wszytkowidzącym wzrokiem. Blond włosy, zwykle związane w kucyk, teraz miała rozpuszczone. – Co ty tutaj robisz? – Siliłam się na normalny ton, jakby to był całkiem zwyczajny wieczór, podobny do wszystkich innych, ale bałam się, że dzisiejsze wyczyny mam wypisane na twarzy i na całym ciele. Mamie wystarczyło jedno spojrzenie, żeby nabrać pewności: Molly dała się obmacać chłopakowi.

– Gdzie twoja matka? – powtórzyła, oglądając się na Stacy. – I do kogo należy auto na podjeździe?

– Do mojego wujka – skłamała Stacy. – Wpadł do nas i wyszli z mamą na parę minut. Za chwilę wrócą. Chcesz na nią poczekać?

– Parę minut? – powtórzyła mama. – Czyżby? Długo próbowałam się tutaj dodzwonić i nikt nie odebrał. Co się dzieje?

Dopiero wtedy zauważyłam, że ma czerwone oczy, i nagle zmroził mnie strach. Dlaczego wydzwaniała?

– Coś się stało? – zapytałam.

– Owszem, stało się! – krzyknęła mama. – Dwie czternastoletnie dziewczyny zostały same w domu na... ile? Całą noc? A w dodatku twoja matka okłamała mnie, że z wami będzie. Niewiarygodne! – Cisnęła swoją torebkę na stolik obok drzwi.

– Mama wyszła na chwilę – powtórzyła Stacy, całkowicie opanowana.

– Dlaczego dzwoniłaś? – Wciąż martwiły mnie jej czerwone oczy.

– Tak tylko, powiedziec ci dobranoc – wyjaśniła mama. – Ale nikt nie odbierał, więc zaczęłam się niepokoić. I okazuje się, że słusznie.

Nagle na piętrze coś głucho huknęło. Brzmiało to absolutnie jednoznacznie. Spojrzałyśmy po sobie, wszystkie trzy, ale my ze Stacy udawałyśmy głuche.

– Kto tutaj jest? – wycedziła mama.

– Tylko mój wujek – odparła Stacy.

– Powiedziałaś, że wyszedł z twoją mamą. – Zmierzyła ją twardym wzrokiem.

Żadna z nas nie odpowiedziała, więc po chwili ciężkiej ciszy mama wstała i ruszyła w stronę schodów.

Wpadłyśmy w panikę; Stacy rzuciła się za nią.

– Noro! – zawołała. – Pani Arnette! Co pani robi?! To niegrzeczne! Tak nie wolno, pchać się komuś do domu i myszkować po pokojach!

– Nie wolno? – prychnęła mama, nawet się nie oglądając. – No to patrz!

Takiej furii nie widziałam u niej jeszcze nigdy. Była przerażająca. Stacy zatrzymała się w połowie schodów i nie goniła jej dalej, a ja stałam jak wrośnięta obok drzwi wejściowych. Wpadł mi do głowy szalony pomysł, żeby wybiec tymi drzwiami i uciec przed tym, co nieuniknione, ale moje ciało tkwiło w miejscu jak słup soli. Słyszałam tylko, jak mama po kolei otwiera pokoje na piętrze, a drzwi wałę z rozmachem o ścianę.

– Który z was to Chris?! – dobiegł mnie jej krzyk. Domyśliłam się, że znalazła ich w jednym pokoju.

Z góry dobiegła stłumiona odpowiedź.

– Ona ma czternaście lat! – wrzasnęła mama. – Gdybyś miał siostrę w tym wieku, czy chciałbyś, żeby prowadziła się z kimś takim jak ty? Wynocha!

– To nie jest pani dom! – odwarknął jej Bryan, a ja aż się skuliłam. To mogło jedynie pogorszyć sprawę. – Nie może nam pani tutaj rozkazywać – dodał.

– Dobra, chodźmy – powiedział Chris, ciszej i znacznie rozsądniejszym tonem. Chwilę później zobaczyłam ich na schodach, a krok za nimi – mamę. Obaj wyglądali jak skazańcy idący na rozstrzelanie; Bryan nawet nie zaszczycił Stacy spojrzeniem, kiedy mijał ją na dole. Zauważyłam łzy w jej oczach. Byłam w szoku, bo po raz pierwszy, odkąd ją poznałam, wyglądała jak mała dziewczynka.

Skierowali się prosto do drzwi. Odwrócenie tak, żeby mama nie mogła ich zobaczyć, szczyrzyli się szeroko i coś mi mówiło, że za drzwiami, daleko od domu, będą się z niej śmiać w najlepsze. Cofnęłam się, żeby ich przepuścić. Chris, przechodząc obok, spojrzał na mnie i bezgłośnie poruszając ustami, powiedział: „Kocham cię”. Nie mogłam się pomylić. „Kocham cię”. Miałam przed oczami jego twarz i usta wypowiadające te słowa jeszcze długo po tym, kiedy obaj już wyszli na werandę, ja zamknęłam za nimi drzwi, a mama zbiegła do mnie po schodach.

– Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś?! – krzyknęła. – Powinnaś dać znać, kiedy się dowiedziałaś, że matki Stacy nie ma w domu. Zabieraj swoje rzeczy. – Obejrzała się na Stacy, która siedziała na pierwszym stopniu schodów, blada, z wybałuszonymi oczami.

– Stacy, gdzie jest twoja matka? – zapytała po raz kolejny. – Muszę z nią porozmawiać. Nie mogę zostawić cię tutaj samej.

– Jest u swojego faceta – odpowiedziała Stacy.

– Podaj mi jego numer.

– Wkurzy się.

– Nic mnie to nie obchodzi. – Mama przemaszerowała przez salon i zniknęła w kuchni. Ruszyłam za nią, mając nadzieję, choć raczej nikłą, że nie zauważy butelek po piwie stojących na szafce. Nie byłam w stanie spojrzeć jej w oczy, ale ona też chyba nie miała ochoty patrzeć na mnie.

Sięgnęła po słuchawkę wiszącego na ścianie telefonu.

– Podaj numer – powtórzyła, spoglądając na Stacy, która weszła do kuchni, ciągnąc nogi za sobą, jakby chciała odwlec nieuniknione.

– Mama strasznie się wnerwi – mruknęła, pokazując palcem listę telefonów przyklejoną taśmą tuż obok aparatu. Odczytała jeden z nich na głos, a mama go wystukała.

– Czy mogę prosić panią Bateman? – powiedziała do słuchawki. – Mówi Nora Arnette.

Stacy posłała mi błagalne spojrzenie, jak gdybym mogła coś poradzić.

– Jestem w pani domu, gdzie zastałam Stacy oraz moją córkę bez opieki, w towarzystwie dwóch znacznie starszych chłopaków – oznajmiła mama. – Wprowadzono mnie w błąd zapewnieniem, że będzie

pani na miejscu, i nie jestem tym zachwycona. – Przez chwilę słuchała w milczeniu. – Nie wierzę w to – ucieła. – Nie wierzę w ani jedno słowo! Zabieram Molly do domu, a pani przyjedzie i zaopiekuje się swoją córką. Ona nie może zostać tutaj sama.

– O Boże – wymamrotała Stacy, opadając na jedno z kuchennych krzeseł. – Ona mnie zabije.

– Mamo – wtrąciłam błagalnie. – Narobisz jej kłopotów.

Mama zasłoniła słuchawkę dłonią.

– Martw się o siebie – poradziła, patrząc mi prosto w oczy po raz pierwszy, odkąd zeszła na dół.

Musiałam odwrócić wzrok.

Rozmawiała przez telefon jeszcze kilka minut, aż wreszcie odłożyła słuchawkę i odwróciła się do Stacy.

– Twoja mama powiedziała, że już wraca do domu – przekazała. – Chociaż ja jej nie wierzę. Przykro mi, że nie możesz zaufać własnej matce.

– Mogę i ufam – odcięła się Stacy. – Ona oszukała panią, a nie mnie.

Mama zmierzyła ją ciężkim wzrokiem, a na jej blade policzki wystąpiły czerwone plamy.

– Molly, zabieraj swoje rzeczy – powtórzyła.

Pobiegłam na górę. Kosmetyki schowałam do plecaka. Znalazłam wreszcie martensy i usiadłam na łóżku Stacy, żeby je włożyć. Zabrałam okulary z komody i szybko wróciłam na dół, żeby Stacy nie musiała przebywać sam na sam z moją mamą ani chwili dłużej.

– Zamknij za nami drzwi na klucz, dobrze? – poprosiła ją mama, kiedy zeszłam. – I sprawdź, czy tylne też są zamknięte.

– Dobrze, proszę pani – powiedziała Stacy.

– Idziemy – zakomenderowała mama.

Obejrzałam się jeszcze na Stacy i bezgłośnie wyszeptałam: „Przykro mi”. Nie byłam jednak pewna, czego tak naprawdę żałuję. Tego, że moja matka zepsuła nam wspólną noc z Chrisem i Bryanem, czy może tego, że matka Stacy po prostu miała gdzieś, co robi jej córka.

W drodze długo milczałyśmy. W świetle mijanych latarni widziałam, jak mocno mama ścisła kierownicę, aż zbieleły jej kostki.

– Nie wolno ci spotykać się z tym Chrisem – odezwała się wreszcie, kiedy wjechałyśmy na główną ulicę. – Należało to uciąć, zanim w ogóle do czegoś doszło, ale twój ojciec uznał, że na pewno nic z tego nie będzie. I zakończysz znajomość ze Stacy.

– Mamo!

– Nie powinnaś się zadawać z taką dziewczyną.

– Po pierwsze – wdałam się w dyskusję – wszystkie moje koleżanki wyjechały na wakacje, a po drugie, ja lubię Stacy. To nie jej wina, że ma nieodpowiedzialną mamę. – Mówiłam o Stacy, ale myślami byłam z Chrisem. Wiedziałam, że jeszcze kiedyś uda nam się zobaczyć.

Mama przez chwilę się nie odzywała i już mi się wydawało, że ją przekonałam. Przecież to naprawdę nie była wina Stacy, że matka zostawiła ją samą w domu.

– A co niby miała zrobić? – dodałam. – Błagać mamę, żeby z nami została?

– Wiem, że to nie był twój pomysł, żeby zaprosić tych starszych chłopaków – powiedziała mama. – A Stacy igra z ogniem. Obawiam się jednak, że to ty się doigrasz.

– Dramatyzujesz, i to na maksa!

Mama jęknęła zniecierpliwiona.

– Już nawet mówisz tak jak ona.

– Dlaczego mi nie ufasz? – zapytałam, ale od razu poczułam, że uderzyłam w zły ton. Ostatnich kilka godzin dowiodło, że w najmniejszym stopniu nie zasługuję na zaufanie.

– Nie zhańbię się odpowiedzią na to pytanie – oznajmiła, a ja umilkłam.

A potem mama się rozplakała. Szlochała cicho, chyba chciała to ukryć. Nie widziałam jej zbyt dokładnie, zresztą było ciemno, ale pociągała nosem i miała wilgotne oczy, lśniące w świetle mijanych latarni. Odkąd tata spadł z podestu na zabawie, mama zachowywała się dziwnie; wiedziałam, że mój dzisiejszy wybryk tylko pogorszył sprawę.

– Przepraszam – szepnęłam i dotknęłam jej palców zaciśniętych na kierownicy.

Odwróciła głowę do okna, ocierając oczy wierzchem dłoni.

– Ja nie chcę się z tobą kłócić, Molly – powiedziała. – Chcę tylko, żebyś była bezpieczna i zdrowa. Rozumiesz, prawda?

– Tak.

– Być może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale jesteś jeszcze za młoda, aby podejmować mądre decyzje. Dlatego tata i ja musimy decydować za ciebie.

„Nieprawda”, pomyślałam, ale nie odezwałam się ani słowem.

– To był długi, ciężki wieczór – westchnęła mama, a ja nagle przypomniałam sobie, że przecież dzisiaj było kolejne rodzinne spotkanie.

– Wujek Trevor mówił coś o ziemi, geodetach i tak dalej? – zapytałam. Kiedy przyszedł ostatnio zobaczyć się z tatą, był łagodny i skruszony, jakby naprawdę postanowił odpuścić; przynajmniej

odniosłam takie wrażenie.

Mama tylko machnęła ręką.

– Och, kto wie, co się wydarzy.

Była tak przybita, że postanowiłam nie wypytywać. Martwiłam się tym, co rano usłyszę od taty, któremu mama na pewno zda relację, ale potem moje myśli pobiegły w stronę Chrisa, przy nim czułam się wyjątkowa. Nie zamierzałam pozwolić, żeby moi rodzice zakończyli naszą znajomość, ale obawiałam się, że nie wypuszczą mnie z domu. Postanowiłam znaleźć sposób, żebyśmy spotkali się w Morrison Ridge.

San Diego

– Przepiękna okolica! – woła mama Sienny, kiedy otwieram drzwi wejściowe naszego domu. Obie stoją na werandzie, a Sienna trzyma w dłoniach wiązanek kwiatów w wazonie. Promienie słońca, które wciąż stoi wysoko nad dachami domów naprzeciwko, rozświetlają jej twarz brzoskwiniowym poblaskiem. Jest piękna.

– Dziękuję – mówię, odstępując od drzwi, aby mogły wejść do środka. – Zapraszam. – Wyciągam rękę do matki Sienny, która, co zaskakujące, jest w moim wieku. Spodziewałam się znacznie starszej osoby. – Molly – przedstawiam się.

– To jest Ginger – mówi Sienna. – A to dla ciebie. – Wręcza mi kwiaty.

– Dziękuję. – Stawiam wazon na stoliku. – Bardzo miło z waszej strony.

Dziwnie jest dostać coś od osoby, która da nam, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, najwspanialszy dar, jaki można sobie wyobrazić.

Upłynął niecały tydzień od spotkania z Sienną w restauracji, a ja od tamtej pory rozmawiałam z nią kilka razy przez telefon. Najpierw zadzwoniłam, żeby zaprosić ją i jej mamę na kolację; właśnie na dziś. Potem ona zadzwoniła do mnie, żeby po prostu pogadać. „Dziewczyny w szkole znów nie dają mi spokoju”, wyznała. „Pomyślałam sobie, że gdybym tylko mogła cię usłyszeć, toby mi pomogło”. Wzruszyło mnie to, ale też zaniepokoiło. Uświadomiłam sobie, że ona liczy na nas w takim samym stopniu jak my na nią. Czy to dobrze, czy źle? – po prostu tak było i już.

– Uwielbiam stare domy. – Ginger rozgląda się z zachwytem po naszym salonie, gdzie gruntownie odkurzyliśmy i starliśmy wszystkie kurze. W powietrzu unosi się mocny zapach cytrynowej pasty do mebli; zastanawiam się, czy bardzo widać, że Aidan i ja spędziliśmy cały dzień na czyszczeniu i polerowaniu. To pierwsze tak gruntowne porządki od czasu wizyty Prędkiej Patti. Zajęłam się też gotowaniem i z aromatem cytryny miesza się woń bakłażanów zapiekanych z parmezanem. W restauracji na starówce Sienna zamówiła wegetariańskie quesadillas, więc postanowiłam nie ryzykować.

– Zbudowano go w tysiąc dziewięćset trzydziestym roku – wyjaśniam, idąc za nimi na środek salonu.

– Wspaniale! – cieszy się Ginger. – Ale czy w farbach nie ma ołowiu? – Spogląda na mnie pytającym wzrokiem. Zbija mnie tym z tropu i przez chwilę nie mogę wydusić z siebie głosu. Sienna robi zawstydzoną minę.

– Mamo... – wtrąca. – Przecież nie będą karmić tutaj dziecka ołowiem.

– Po przeprowadzce zamówiliśmy fachowców, którzy sprawdzili, że farby nie zawierają ołowiu – uspokajam je obie. Tak było naprawdę. Mieliśmy wtedy wielkie nadzieje, widzieliśmy ten dom pełen dzieci. Nie przyszłoby nam do głowy, że będziemy czekać aż tak długo.

– Przepraszam – mówi Ginger. – Ja zawsze martwię się na zapas. – Zerka ponad moim ramieniem. – A to pewnie Aidan, czy tak?

Odwracam się; Aidan rzeczywiście zbliża się do nas.

– Zgadza się – mówi, podając rękę Ginger i uśmiechając się do jej córki. – Miło cię znów widzieć, Sienna.

– Bardzo się cieszymy z waszych odwiedzin – dodają. Widzę, że Sienna rozgląda się uważnie, a jej oczom nie umyka żaden szczegół: kominek wykończony płytkami ceramicznymi. Łukowate drzwi. Dom nie jest duży, ale przytulny, emanuje ciepłem i aż się prosi, by go zapełnić. Mam nadzieję, że Sienna to dostrzeże.

Oprowadzamy gości po pokojach. Widzę, że Siennie najbardziej podoba się ten przeznaczony dla dziecka, chociaż trzeba jeszcze sporo zrobić, zanim będzie mogło ono tam zamieszkać. Rozmawialiśmy z Aidanem, dlaczego tak niechętnie się do tego zabieramy. Chodzi o strach. Boimy się kupować nowe meble. Tak samo jak ubranka dla dziecka, butelki i pieluchy. Rzeczy dla Sary zaczęliśmy gromadzić o wiele za wcześnie i wciąż żywa jest w nas pamięć o tym, jak bardzo bolało, kiedy musieliśmy wszystko oddać. Oczekiwanie na dziecko – nieważne, skąd ma się pojawić – jest dla nas jak spacer po polu minowym, a na los dziecka Sienny nie mamy najmniejszego wpływu, więc na razie nie odważyliśmy się kupić dla niego choćby jednej rzeczy. Możemy mieć nadzieję, ale nie wolno nam niczego planować.

A jednak czuję potrzebę, aby opowiedzieć Siennie i Ginger, jak zamierzam urządzić ten pokój, kiedy pojawi się dziecko. Chcę, aby wiedziały, że przynajmniej mamy to obmyślane.

– Ściany chyba przemalujemy na żółto – zaczynam. – Widziałam też przepiękną pościel. Mogę wysłać ci zdjęcie, Sienna. – Te słowa przychodzą mi z taką łatwością, że nawet się nie zastanowiłam, że oglądanie jakichkolwiek rzeczy, które kupimy dla dziecka, może być dla niej trudnym przeżyciem. – Chyba że wolałabyś nie? – dodają.

Sienna uśmiecha się.

– Wolałabym tak – odpowiada. Odkryła właśnie białą biblioteczkę i pochyla się, aby przeczytać kilka tytułów. – Bardzo się cieszę, że macie te wszystkie książki.

– Sienna miała cztery lata, kiedy sama przeczytała całą książeczkę – wtrąca Ginger.

Dziewczyna odwraca się od biblioteczki, spogląda na mnie.

– Będziesz jej czytać co wieczór? – pyta.

– Tak – potwierdzam. O tak, będę.

– Mama co wieczór nam coś czytała, prawda, mamó? – dodaje Sienna. – To bardzo ważne.

Wracamy do salonu, gdzie Aidan majstruje przy wieży CD. Aromat kwiatów zwyciężył cytrynowy zapach pasty i w powietrzu unosi się teraz świeża, upojna woń.

– Hej, Sienna – zagaduje Aidan znad klawiszy odtwarzacza, trzymając w dłoni płytę kompaktową. – Nagrałem ci składankę.

Bardzo mu się podoba, że dziewczyna uwielbia muzykę.

– Fajnie. – Sienna uśmiecha się raczej kurtuazyjnie i podchodzi, żeby wziąć od niego płytę.

– Pomoże mi pani z sałatką? – zwracam się do Ginger i obie wychodzimy do kuchni. Słyszę jeszcze, jak Sienna mówi:

– Jeśli ja mam słuchać twoich ulubionych kawałków, to ty też musisz kiedyś posłuchać moich.

– Umowa stoi – mówi Aidan, a ja uśmiecham się do siebie. Kiedy mi powiedział, że szykuje płytę dla Sienny, kręciłam nosem. Korciło mnie, żeby go zapytać: „Aidan, kochany, jak ty byś się czuł, gdyby znacznie starszy facet, na przykład twój ojciec, wciskał ci swoją muzykę, kiedy miałeś siedemnaście lat?”. I pamiętajmy, że mowa o człowieku, który radził mi, żebym nie przyznawała się, że lubię *Mad Mena*. Ale w końcu nie powiedziałam nic, nie próbowałam wybić mu tego z głowy. On już taki jest. A Sienna nas wybrała. Jeśli zmieni zdanie, bo Aidan jako nastolatek miał taki, a nie inny gust muzyczny, nic na to nie poradzę.

Z salonu dobiega głos Morrissey'ego. Ginger i ja kroimy warzywa na sałatkę.

– Sienna miała rację: naprawdę jesteście bardzo mili. – Ginger wrzuca do miski garść plasterków selera.

– My też ją polubiliśmy – zapewniam i wlewam do karafki odmierzoną ilość oliwy z oliwek.

Ginger milczy przez chwilę, krojąc ogórka.

– Ale i tak się martwię – przyznaje wreszcie.

Kiwam głową.

– Chyba wszyscy poruszamy się po omacku.

– Moja pierwsza wnuczka. – Ginger przerywa krojenie, unosi zamyślony wzrok w górę. – I nie będę mogła jej zobaczyć, wziąć na ręce, opowiadać bajek... – Spogląda na mnie tak, jakby oczekiwała, że ulżę jej w cierpieniu. – Czasami marzenia nie spełniają się tak, jak byśmy tego chcieli, prawda?

Nie rozmawialiśmy jeszcze z Aidanem o tym, w jaki sposób otwarta adopcja uwzględnia dziadków dziecka. Powinniśmy także nad tym się zastanowić.

– Będziemy wysyłać Siennie zdjęcia i informować ją o tym, co się dzieje – mówię. – Nie poczuje się pani pominięta.

Ginger posyła mi uśmiech.

– Dziękuję – mówi i wraca do krojenia.

* * *

Przy kolacji rozmawiamy o pomysłach na otwartą adopcję oraz o prośbie Sienny, która chciałaby dostawać zdjęcia i od czasu do czasu widywać córkę. Aidan proponuje, że założy na Facebooku prywatną stronę, na którą będziemy wrzucali fotki; paniom bardzo podoba się ten pomysł. Sienna mówi, że już zaczęła zbierać materiały do albumu o swojej rodzinie. Wzruszam się tym.

– Kto wybierze imię? – pyta Ginger, nabijając kawałek sałaty na widelec. Zdaje się, że nie ma w zwyczaju owijać w bawełnę.

– Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam – odpowiadam, choć nie do końca szczerze. Poruszaliśmy już tę kwestię z Aidanem. Czy możemy wybrać imię, nie pytając Sienny o zdanie? Czy ona w ogóle powinna mieć głos w tej sprawie?

– To będzie wasza córka – ucina Sienna. – Wy powinniście wybrać dla niej imię.

Ale jej głos jest przepełniony smutkiem.

– Znajdźmy więc imię, które spodoba się nam wszystkim – proponuje Aidan.

– Albo – dodaje – my nadamy jej pierwsze imię, a Sienna drugie.

Całą czwórką przerzucamy się pomysłami i wypełniamy kartki imionami. Dużo przy tym śmiechu, głównie z propozycji Sienny: Ocean, Star, Echo czy Tulip; w sumie jestem zadowolona, że jednak nie daliśmy jej wolnej ręki.

– A może Natalie? – podsuwa Aidan. Posyłam mu spojrzenie ponad stołem. To było drugie imię na naszej liście, kiedy miała urodzić się Sara. Wolalabym nie wybierać imienia, które kojarzy się z naszą zmarłą córeczką, ale on unosi brwi i pyta bezgłośnie: „Co ty na to?”.

– Natalie Echo! – woła Sienna.

Natalie Echo James. To nazwisko ma w sobie coś tak fantastycznego, że aż śmieję się radośnie. Czy też może ten wieczór uderzył mi do głowy i stąd taki zachwyty? Nie osmielę się podjąć tej decyzji dziś, kiedy oboje z Aidanem jesteśmy zamroczeni graniczącą z pewnością nadzieją, że zostaniemy rodzicami.

– Dopiszmy je do listy – mówię.

– Na samym początku – dodaje Aidan. Coś mi mówi, że już wiemy, jak będzie się nazywała nasza córka.

Po kolacji jest jeszcze całkiem jasno. Aidan i Sienna idą obejrzyć podwórko na tyłach domu, a Ginger i ja zabieramy się do sprzątanía. Kiedy Aidan niedługo potem wraca do kuchni, na stole jest już czysto, zmywarka pracuje, a w ekspresie parzy się kawa.

– Gdzie Sienna? – pytam.

– Zostawiłem ją w pokoju dziecięcym – wyjaśnia. – Chciała obejrzyć książki, które kupiłaś.

Wyjmuję z lodówki karton śmietanki z mlekiem i stawiam na blacie kuchennym.

– Pokrójcie ciasto brzoskwińowe, a ja zaproszę ją na deser – mówię i wychodzę z kuchni.

Szloch Sienny słyszę już z daleka. Sienna siedzi po turecku na podłodze, na kolanach ma rozłożoną książkę, a policzki mokre od łez. Przeraza mnie jej płacz.

– Sienna. – Siadam obok niej na podłodze, delikatnie kładę dłoń na jej plecach.

Dziewczyna jest dzielna, zbiera siły, żeby się do mnie uśmiechnąć, i podnosi książkę tak, żeby mogła zobaczyć okładkę. *Love You Forever*. Ach, tak. Przy czytaniu tej książki zawsze coś ściska w gardle.

– Miałam ją, kiedy byłam mała – mówi Sienna. – Ale szczerze? Dopiero teraz zrozumiałam, o co w niej chodzi.

Przypominam sobie. Ta książka opowiada o mamie, która co wieczór przytula swojego synka i obiecuje mu, że będzie go kochać na każdym etapie jego życia. Przytula go, kiedy jest niemowlęciem, dokazującym przedszkolakiem, zbuntowanym nastolatkiem i potem, gdy już jest dojrzały, a wtedy los się odwraca i to on, dorosły mężczyzna, bierze w ramiona swoją słabowitą matkę, obiecując jej, że zawsze będzie ją kochał.

Sienna spogląda na mnie, a jej oczy za szklami są wielkie i okrągłe.

– Którą z nas weźmie w ramiona nasza córeczka, kiedy dorośnie? – pyta szeptem przez łzy, a ja bez namysłu obejmuję ją i też zalewam się gorącymi łzami. Kiedy w końcu się odsuwam i wymieniamy zakłopotane uśmiechy, nagle spływa na mnie olśnienie: chociaż bardzo się boję, wiem już, że chcę, aby Sienna miała trwałe miejsce w życiu mojego dziecka. Wszystkim nam wyjdzie to na dobre.

Morrison Ridge

Po tej aferze u Stacy obudziłam się o szóstej rano, kiedy wszyscy w domu jeszcze spali. Nie umywszy nawet zębów, poszłam prosto przez Piekielne Wzgórze do leśnego domku, ściskając w kieszeni szortów zdjęcie Chrisa. Gdyby mama je znalazła, to byłby koniec. Wpatrywałam się w jego fotografię przez pół nocy, rozpamiętując, jak mnie dotykał, jak doprowadzał do szaleństwa i jak wychodząc z domu, bezgłośnie szepnął: „Kocham cię”. Długo, bardzo długo nie mogłam zasnąć.

W leśnym domku wskoczyłam na mój tapczan i wyciągnęłam ze ściany sztuczny kamień. Wszystkie skarby tam ukryte nagle wydały mi się śmieszne i głupie. Muszelki i zęby rekina. Szklany ptaszek i stary bukiet. Zawilgła paczka papierosów. Idiotyzm. Włożyłam do środka zdjęcie Chrisa i umieściwszy atrapę kamienia z powrotem na miejscu, zeskoczyłam na podłogę, nie obejrawszy się nawet na plakaty z ciemnowłosymi chłopcami, którzy przestali już mnie obchodzić.

Po powrocie do domu umyłam zęby i twarz, a następnie wyszłam z pokoju. Strasznie się bałam spotkania z rodzicami przy śniadaniu. Już na szczycie schodów usłyszałam dobiegający z salonu głos mamy. Usiadłam na pierwszym stopniu, aby chwilę posłuchać i ocenić, czy bardzo jest na mnie zła. Miałam nadzieję, że po przespanej nocy trochę się uspokoiła. Niestety, sądząc po głosie, sytuacja wyglądała kiepsko.

– Chcesz je nagradzać za skandaliczne zachowanie? – pytała tatę.

– Bilety już kupione – odparł.

Koncert. Prawie o nim zapomniałam.

– I czego ją to nauczy? – upierała się mama. – Że może nas nie słuchać, a ty i tak zabierzesz ją na koncert? Poza tym zabroniłam jej widywać się ze Stacy. Ta dziewczyna jest puszczona kompletnie samopas.

– To przecież nie jej wina – zaproponował tata swoim zwykłym spokojnym tonem.

– Jakbym słyszała Molly! – zdenerwowała się mama. – Stacy ma na nią fatalny wpływ.

– Kochanie, Molly jej potrzebuje. W tej chwili potrzebna jej dobra koleżanka.

– Co innego dobra koleżanka – odparła mama, z naciskiem na słowo „dobra” – a co innego Stacy Bateman.

W jej głosie słychać było zmęczenie; wiedziałam, że już daje za wygraną.

– Stacy potrzebuje porady, pomocy – ciągnął tata. – Mogłaby otrzymać ją od nas.

– Nie uważasz, że i bez tego mamy już dość na głowie? – zapytała mama. – Ona się nie poprawi. Od samego początku źle ją wychowywano i kropka. A ja muszę iść do pracy – dodała. – I tak się spóźnię.

– Dobrze, odłóżmy tę rozmowę – zgodził się tata. – A zanim wyjdiesz, zaśpiewamy sobie operę, dobrze?

– Och, Graham. – Nawet z piętra słyszałam jej westchnienie. – Czasem trudno mi uwierzyć, że naprawdę jesteś psychologiem. Potrafisz być tak do bólu prosty. Nie chcę śpiewać choleralnej opery. Nie

znaleźliśmy żadnego rozwiązania. I nadal myślę, że ten koncert to fatalny pomysł.

Przez kilka sekund oboje milczeli; czekałam, wstrzymując oddech.

– Noro... – powiedział wreszcie mój ojciec. – Dla Molly to będzie najgorsze lato w całym życiu. Zostawmy jej jakieś miłe wspomnienie z tego czasu.

Nie ruszyłam się ze schodów, dopóki samochód mamy nie odjechał spod domu; siedziałam na najwyższym stopniu, zastanawiając się, ile właściwie rodzice mogą wiedzieć o wydarzeniach tej nocy. Z pewnością nie podejrzewali, że posunęłam się z Chrisem aż tak daleko, chociaż mama musiała się czegoś domyślać, bo przecież nakryła go w sypialni. Aż się zarumieniłam na to wspomnienie i postanowiłam udawać, że absolutnie nic się nie stało, a mama zwyczajnie przesadza.

Szkoda, że tamtego dnia nie miałam lekcji z Amalią. Ona o niczym nie wiedziała, więc mogłybyśmy po prostu włączyć muzykę i tańczyć, a ja czułabym się wolna i szczęśliwa. Niestety, na lekcję u Amalii musiałam poczekać jeszcze całą dobę. Dzisiaj czekał mnie tylko długi, pusty dzień, a do tego nie umiałam wymyślić absolutnie żadnego sposobu, aby uniknąć rozmowy z tatą. Dobrze, że przynajmniej mama poszła do pracy.

Usłyszawszy wreszcie, że jej samochód skręca z podjazdu na drogę, odczekałam jeszcze minutę, a potem zeszłam na dół, do kuchni. Przy stole siedział już Russell i karmił tatę plackiem z borówkami.

– Dzień dobry, Molly – przywitał się ze mną.

– Hej, młoda – zawtórował mu tata, przełknąwszy kęs placka.

– Cześć – odpowiedziałam. Chętnie zrezygnowałabym ze śniadania i poszła na rower, żeby nie musieć z nikim rozmawiać, ale byłam głodna. A na blacie kuchennym stał talerz jajecznicy i miska kaszy kukurydzianej. – To dla ciebie? – zapytałam tatę.

– Tak – odparł. – Ale wolę zjeść placek, więc się częstuj.

Wstawiłam talerz do mikrofalówki.

– Dlaczego jesz placek? – zapytałam, myśląc sobie, że może przy Russellu nie wspomni o minionej nocy. Taką miałam nadzieję.

– Bo jest. – Uśmiechnął się tata. – A życie jest krótkie.

– Niezdrowo jeść słodczyce na śniadanie – rzuciłam, żeby coś powiedzieć.

– Chcesz mnie pouczać, moja kochana córko? W taki dzień?

Zabolało. Powiedział to żartobliwie przekornym tonem, ale brzmiała w nim też poważniejsza nuta. Russell podał tacie do ust ostatnią porcję placka, a usta drgnęły mu nieznacznie. Odniosłam wrażenie, że powstrzymuje się od uśmiechu.

Kiedy postawiłam swój talerz na stole, tata akurat zdążył przełknąć.

– Potrzebujesz jeszcze czegoś? – zapytał Russell, wstając i zabierając pusty talerz.

– Nie, Russ, dzięki – odparł. – Zostaw nas samych na parę minut, dobrze?

„O nie”, jęknęłam w myślach, grzebiąc widelcem w misce z kaszą. Russell wyszedł z kuchni, a ja poczułam, że tracę apetyt. Tata świdrował mnie wzrokiem.

– No dobrze, opowiedz mi, co się działo dziś w nocy – poprosił, kiedy zostaliśmy we dwoje.

– Już chyba wszystko wiesz od mamy.

– Ale zakładam, że ona sama nie wie wszystkiego – odparł tata. – Jest natomiast prawie pewna, że byłaś sama z Chrisem w sypialni.

Zrobiło mi się gorąco i znów poczułam, że się rumienię.

– Nie chcę o tym rozmawiać – uciełam.

– Chłopak w wieku Chrisa nie panuje nad sobą w najmniejszym stopniu – poinformował mnie tata. –

W tym wieku...

– Nieprawda! – zawołałam, myśląc o tym, że przecież Chris do niczego mnie nie zmusił.

– Tak? – Tata zrobił wkurzającą minę udawanego zdziwienia. – No cóż, miło mi to słyszeć. Ale ja też byłam kiedyś młody i dobrze wiem, że facetowi trudno się powstrzymać, Molly. A jeśli coś się stanie, to nie Chris poniesie konsekwencje. Musisz troszeczkę przystopować, dobrze? Nie zamykaj się sama w pokoju z chłopakiem. Proszę cię.

Wspomnienia poprzedniej nocy kłębiły się w mojej głowie, a ja odpychałam je od siebie, bojąc się, że tata umie czytać w moich myślach.

– Stacy ma tyle swobody – wydułam wargi, postanawiając zmienić temat. – Mama nie zawraca jej głowy o byle głupstwo.

– Nie miała w życiu tyle szczęścia, co ty – skomentował tata.

Jakoś udało mi się nie przewrócić oczami.

– Zgadzasz się z mamą – podjął po chwili. – Nie możesz widywać się z Chrisem. Jest od ciebie znacznie starszy i oczekuje od dziewczyny takich rzeczy, których ty jeszcze nie umiesz właściwie ocenić ze względu na swój młody wiek. Nie wiesz, czy to będzie dla ciebie dobre, czy nie.

– Przecież on mnie nie zgwałcił, nic z tych rzeczy.

– Cieszę się.

Przeszedł mnie dreszcz, gdy przypomniałam sobie, jak w nocy leżałam w łóżku z Chrisem, całkiem naga, a on mnie dotykał. Wbiłam wzrok w talerz, bo nie mogłam spojrzeć tacie w oczy, dopóki po głowie chodziło mi coś takiego.

– O takich rzeczach powinnaś rozmawiać z mamą – oznajmił. – To bardzo ważne.

– Nigdy w życiu! – uniosłam się. – Jak mam z nią rozmawiać o czymś takim, skoro ona zaraz się wścieka?

– Dlaczego się wścieka?

Wzruszyłam ramionami.

– Bo jest choleryczką?

– To nie odpowiedź, tylko wykręt. Jak sądzisz, dlaczego zdenerwowała się na ciebie zeszłej nocy?

– No, przecież jej nie oszukałam – upierałam się. – Naprawdę nie wiedziałam, że mama Stacy wychodzi. Nie umawialiśmy się przecież...

– Jak sądzisz, dlaczego się zdenerwowała? – powtórzył tata. – Zamknij oczy i postaw się w jej sytuacji. Spojrzałam na niego wyzywająco.

– Proszę, Moll – powiedział. – Zamknij oczy.

Nie było wyjścia. Zamknęłam.

– Jesteś mamą i przyjeżdżasz późnym wieczorem do domu Stacy.

Opierałam się tej sugestii, ale i tak poczułam, że w jakiś sposób patrzę jej oczami. Weszłam do domu Stacy, gdzie znalazłam moją córkę w towarzystwie dwóch chłopaków. Nie było żadnej dorosłej osoby, a oni prawdopodobnie siedzieli w sypialni i mieli tam zamiar spędzić całą noc. Na samą myśl poczułam skurcz żołądka. Co się wydarzyło? Co oni zrobili? Czy moja córka już jest w ciąży?

– Co czujesz? – chciał wiedzieć tata.

– Niepokój? – odpowiedziałam, otwierając oczy. – Strach?

– No właśnie.

– Więc dlaczego tak się na mnie wściekła?

– Ponieważ strach często objawia się gniewem. Spójrz na Trevora. Pragnie zbić majątek na rodzinnej

ziemi i boi się, że okazja przejdzie mu koło nosa, więc wścieka się na mnie, bo odmawiam sprzedaży naszej części. A twoja mama... Molly, ona też się boi, panicznie się boi, że stanie ci się coś złego. I ja, jeśli mam być szczerzy, także się tego boję. Więc wiem, że to cię wkurza, kiedy słyszysz od nas, że tego nie wolno, tamtego nie wolno, bo myślisz, że to niesprawiedliwe, ale chodzi tylko o to, że my się o ciebie boimy. Znamy ten świat trochę lepiej niż ty, wiemy, jak on działa, i czasami naprawdę jest przerażający. Chcemy tylko zapewnić ci bezpieczeństwo.

– A czy mogę spotkać się z Chrisem tutaj? – zapytałam. – Tak żebyście przy tym byli?

Czy Chris by się zgodził? Czy zrobiłby dla mnie coś takiego, skoro mnie kocha? Trudno mi było to sobie wyobrazić.

Ale tata potrząsnął przecząco głową.

– Nie, kotku – powiedział. – Chris przekreślił swoje szanse.

– Przecież to nie jego wina, że nikogo nie było w domu o tej...

– Nie! – powtórzył, tym razem z taką mocą, że zamknęłam buzię na kłódkę. Tego tonu nigdy u niego nie słyszałam.

– Możesz widywać się ze Stacy – dodał – ale wyłącznie tutaj, nie u niej.

– W porządku. – Niby dałam za wygraną, ale tylko pozornie. Wiedziałam, że jeszcze zobaczę się z Chrisem. Coś wymyślę, znajdę sposób i spotkam się z nim.

Następnego dnia wybrałam się do Amalii na lekcję tańca i, ku mojemu zdziwieniu, zastałam u niej tatę.

– Cześć, Moll – odezwał się, kiedy stanęłam na progu salonu. Siedział na wózku pod szklaną ścianą, a blask słońca lśnił błękitem w jego oczach. Amalia, ubrana w długą fioletową spódnicę do tańca, siedziała na jednym z okrągłych foteli. Nogi założyła pod siebie, a jej loki spływały miękko na lewą pierś. W otwartych drzwiach kuchni zobaczyłam Russella; nalewał sobie filiżankę kawy.

– Cześć – przywitałam się z tatą, wchodząc do środka. – Co tutaj robisz?

– Gawędzimy sobie.

– Zostaniesz na lekcji? – zapytała go Amalia.

Usiadłam na brzeжку drugiego fotela, aby zdjąć buty. Miałam nadzieję, że odmówi. Przy nim i Russellu nie czułabym się swobodnie.

– Musimy wracać – odparł. – Trzeba uporządkować trochę papierów.

Russell stanął w drzwiach do kuchni, oparł się o framugę i uniósł filiżankę do ust. Był odprężony i swobodny, nie spieszyło mu się bynajmniej, żeby zabrać tatę do domu. Miał na sobie bladobłękitną koszulę, na której kładły się barwne plamy z okiennego witraża.

Amalia spojrzała na mnie.

– W środę jedziecie na koncert New Kidsów, prawda? – zapytała. – Pewnie bardzo się cieszysz.

– Nie mogę się doczekać – odparłam, gapiąc się na wieżę. Miałam nadzieję, że nikt nie zwróci uwagi na bezbarwny ton mojego głosu. Czułam na sobie wzrok całej trójki. Po prostu nie byłam w stanie myśleć teraz o New Kids on the Block i nie umiałam wyobrazić sobie długiej podróży samochodem z tatą i Russellem, podczas której nie będziemy mogły ze Stacy swobodnie pogadać. Myślałam tylko o Chrisie. Przypominałam sobie, jak mnie dotykał, i przechodziły mnie dreszcze. Byłam pewna, że zeszłego wieczoru kilka razy próbował do mnie zadzwonić, ale za każdym razem mama podnosiła słuchawkę pierwsza. I nikt się nie odzywał.

– Amalia i mama jadą z nami do Atlanty – oznajmił tata, a ja uniosłam głowę i spojrzałam na niego ze zdumieniem.

– Naprawdę? – zapytałam. – Fajnie.

Coś mi mówiło, że mama postanowiła jechać, żeby mieć oko na mnie i Stacy, ale po co jeszcze Amalia? Dziwne. Wszystkie miejsca w furgonetce będą zajęte, co oznaczało, że my utkniemy na samym tyle, i to na blisko cztery godziny. Ale przynajmniej pogadamy sobie swobodnie, bez ryzyka, że ktoś nas podsłucha.

– A co zrobicie, kiedy my pójdziemy na koncert? – zaciekawiałam się.

– Będziemy się relaksować – odparła Amalia. – Zjemy gdzieś kolację. Zameldujemy się w hotelu.

– Mama zarezerwowała dla nas cztery pokoje – dodał tata. – Hyatt jest nasz!

– Stacy i ja dostaniemy własny pokój?

– Oczywiście – przytaknął. – Z wami i tak nikt nie chciałby spać. Będziecie do rana trajkotać o Joeyu, Jordanie i... nawet nie wiem, jak się ta reszta nazywa.

– Donnie, Jonathan i Danny. – Uśmiechnęłam się i w tej właśnie chwili dotarło do mnie, że mój ojciec tęskni za tamtą dziewczyną, którą byłam jeszcze kilka tygodni wcześniej. Za małolatą, która żyła w bańce

posklejanej ze swoich fantazji. Nagle sama za nią zateęskniałam. Jej życie było znacznie prostsze.

– No tak – powiedział tata. Spojrzał na Amalię, a potem na mnie. – Posłuchaj, kochanie, kiedy wrócimy z koncertu, zaraz w sobotę planujemy jeszcze jedno rodzinne spotkanie i...

– Znowu? – powtórzyłam. Wydawało mi się, że wujek Trevor ustąpił i wszystko jest załatwione. Tata uśmiechnął się.

– To już ostatnie – odparł. – Obiecuję. W każdym razie babcia zaprasza cię na noc. Pasuje ci to?

– Może być. – Wzruszyłam ramionami.

Tata miał taką minę, jakby chciał jeszcze coś dodać, ale chyba się rozmyślił, bo obejrzał się na Russella.

– Gotowy?

Russell skinął głową, wypił jeszcze łyk kawy i cofnął się do kuchni, żeby umyć filiżankę i odstawić ją na drewnianą suszarkę. My tymczasem omawialiśmy z tatą muzykę, jaką wybierzemy sobie do tańca. Po chwili Russell wrócił i stanąwszy za wózkiem, popchnął go w kierunku drzwi.

– Do zobaczenia później – powiedział do mnie tata.

Amalia wstała i przeciągnęła się mocno, unosząc rękę wysoko ponad głowę.

– Znajdź płytę z muzyką Ennia Morricone, Molly. To będzie ciekawa odmiana. – Machnęła ręką w stronę półek z kompaktami, a sama wyszła za tatą i Russellem, zamknąwszy za sobą drzwi.

Wstałam, żeby przejrzeć płyty, ale przez otwarte okno zobaczyłam całą trójkę przed domem i usłyszałam ich rozmowę. Zamarłam, nastawiając ucha.

Amalia patrzyła na tatę.

– Powiedz szczerze, bardzo się pogorszyło? – zapytała, dotykając palcem swojego oka.

– Na prawe nic nie widzę – odpowiedział tak cicho, że ledwie usłyszałam. – W lewym też już zanika.

Wstrzymałam oddech. Tata tracił wzrok? Nic mi o tym nie wspominał.

Potem dodał coś jeszcze, Amalia musiała pochylić się, żeby go usłyszeć. Skinęła głową, a potem pocałowała go w skroń.

– Wiem, kochany – powiedziała. – Rozumiem. – I uniosła wzrok na Russella, wyciągając rękę, aby położyć mu dłoń na ramieniu. Wydawało mi się, że w jakiś sposób porozumieli się bez słów.

Kiedy Amalia ruszyła w stronę domu, szybko wróciłam do półek szukać płyty z muzyką Ennia Morricone.

* * *

Tamtego dnia Amalia była jakaś nieswoja. Najpierw zaproponowała mi to samo ćwiczenie, które przed chwilą skończyłam, a potem, zamiast patrzeć, co robię, wyglądała przez okno, jakby mogła jeszcze wypatrzeć tatę i Russella. Ja też wyjrzałam, ale nie było tam widać nic poza drogą, lasem i moim rowerem, opartym o wyrzeźbiony w pniu fotel.

Zdawałam sobie sprawę, że ja też zachowuję się inaczej niż zwykle. Miałam w głowie taki natłok myśli, że nie mogłam poczuć muzyki ciałem, więc w końcu dałam sobie spokój i stanęłam na środku parkietu, chociaż płyta w wieży wciąż grała. Amalia dopiero po kilku chwilach zauważyła, że przestałam się poruszać. Spojrzała na mnie zdziwionym wzrokiem.

– Słyszałam, jak pytałaś tatę o wzrok – zaczęłam bez ogródek. – Co się dzieje?

Zrobiła wielkie oczy, ze zdumienia otworzyła lekko usta; chyba się zastanawiała, czy ma odpowiedzieć na to pytanie. Wreszcie podeszła do wieży i przyciszyła muzykę.

– Napijesz się mrożonej herbaty? – zapytała. – Brzoskwiniowa. Pyszna.

Nie znosiłam, kiedy tak robiła, a zdarzało się to bardzo często. Czasami wręcz dostawałam zadyszki,

starając się za nią nadążyć, gdy wykręcała się od odpowiedzi na moje pytania. Zupełnie jakbym musiała grać z nią w jakąś grę, aby się czegoś dowiedzieć.

– Niech będzie – powiedziałam, idąc za nią do kuchni.

– Czasami tak się dzieje przy stwardnieniu rozsianym. – Amalia otworzyła lodówkę, gdzie stał dzbanek z herbatą, a ja wyjęłam z szafki obok zlewu szklanki i wrzuciłam do nich po dwie kostki lodu. Robiłam to wszystko automatycznie, czekając ze ściśniętym sercem, co powie. – Pojawia się, a potem cofa. Graham cierpi na to już od jakiegoś czasu – dodała, napełniając szklanki.

– Dlaczego nic mi nie powiedział? – zapytałam, zastanawiając się, w jaki sposób można umilić lato człowiekowi, który traci wzrok.

– Och, znasz swojego ojca. – Amalia oparła się o kuchenny blat i pociągnęła łyk ze szklanki. – Nie lubi, kiedy ktoś się o niego martwi.

– Czy mama wie? – Miałam wrażenie, że ostatnio ciągle o to pytam, siebie i innych.

– Tak. – Skinęła głową.

Często starałam się wyobrazić sobie, co czuje tata, nie mogąc się poruszać. Kiedy nie jest w stanie podrapać się w policzek, przewrócić na drugi bok, samodzielnie jeść albo choćby załatwić. Ale myśl o zamknięciu w totalnej ciemności była jeszcze gorsza. Uniosłam szklankę do ust, lecz w gardle miałam taką gulę, że nie było szans, abym przełknęła choćby odrobinę. Odstawiłam ją z powrotem.

– Nie mogą mu jakoś pomóc? – spytałam ze złością.

Amalia też odstawiła swoją szklankę i wyciągnęła ręce, aby wziąć mnie w ramiona.

– Okropne uczucie, prawda? – Przytuliła mnie i pogładziła po głowie. – Trudno żyć ze świadomością, że w żaden sposób nie możemy odmienić jego losu.

– Nienawidzę tej głupiej choroby! – zawołałam, obejmując ją z całej siły w tali i mocno zaciskając oczy. – Czy jeszcze coś mu dolega, o czym nie wiem?

Amalia nie odpowiedziała, poczułam tylko, jak jej pierś unosi się w westchnieniu.

– Amalia? – Odsunęłam się. – Czy jest coś jeszcze?

– A nie wystarczy? – Zabrała dzbanek z blatu i schowała go do lodówki, a potem odwróciła się do mnie. – Powiedz, Molly, cieszysz się, że jedziesz na ten koncert?

I znów to samo: zmiana tematu, żeby nie mówić o tym, o czym chciałam i potrzebowałam porozmawiać. Widziałam, że o tacie dziś już nie pogadamy; miała to wypisane w tych swoich zielonych oczach.

– Tak – odparłam obojętnym, rozczarowanym głosem. – Nie mogę się doczekać.

* * *

Tamtego wieczoru oddałam tacie kamień trosk.

Nie wyjaśniłam dlaczego. Wiedziałam, że ukrywa przede mną problemy ze wzrokiem, i nawet gdybym zapytała, zbagatelizuje sprawę, ale wciąż myślałam tylko o tym. Wieczorem oglądaliśmy we trójkę film w telewizji, a on udawał, że nadąża, chociaż kilka razy, kiedy działo się coś ważnego, mama pytała go cicho: „Widziałeś?”. Za każdym razem kiwał głową, więc albo naprawdę widział, albo kłamał. Nie wykluczyłabym tego drugiego. Byłam pewna, że nie chce dokładać mamie zmartwień.

Przez cały czas miałam kamień w kieszeni, a kiedy film się skończył i mama poszła po Russella, wstałam i podeszłam do rozkładanego fotela, na którym leżał tata. Wyciągnęłam rękę. Na mojej dłoni leżał fioletowy ametyst.

– To dla ciebie – powiedziałam.

Zrobił zdziwioną minę.

– Przecież ci go dałem.

– Wiem, ale tobie jest teraz bardziej potrzebny.

Uśmiechnął się do mnie z czułością, ale i z podejrzliwością. Może się zastanawiał, czy ktoś mi powiedział o jego oczach.

– To bardzo miło z twojej strony, Moll – zaczął powoli. – Ale amulet, który trzeba zacisnąć w dłoni, to dla mnie chyba za duże wyzwanie.

Usiadłam na kanapie, wciąż trzymając kamień przed sobą.

– Pomyślałam sobie, że będziesz nosił go w kieszeni i wiedział, że tam jest, a wtedy też zadziała – wyjaśniłam. – Bo przecież chodzi o działanie psychologiczne, prawda? Więc to nieważne, czy trzymasz go w dłoni, czy nosisz w kieszeni.

– Albo chowasz w skrytce w ścianie.

Zmarszczyłam nos.

– Nie o to mi chodzi – powiedziałam. – Chcę, żebyś go wziął.

Tata przyglądał mi się uważnie przez długą chwilę, a potem skinął głową.

– Martwisz się o mnie – stwierdził.

– Tak. – Czekałam, aż powie, że nie ma się czym przejmować, ale on milczał.

– Pożyczę go od ciebie – zgodził się wreszcie. – Może być?

– Dobrze. – Uśmiechnęłam się, wstając z kanapy. – Dam go Russellowi i poproszę, żeby rano włożył do twojej kieszeni. W porządku?

– Umowa stoi.

Wyszłam z pokoju z mieszanymi uczuciami. Miałam nadzieję, że kamień doda tacie otuchy i odwagi, ale wiedziałam też, że będzie mi brakowało mojego amuletu. Później, kiedy już szłam po schodach do swojego pokoju, zaczęło mnie uwierać puste miejsce w kieszeni.

San Diego

Życie jest niesamowite.

Oto moja nowa mantra. Powtarzałam sobie te słowa już tyle razy, że naprawdę w nie uwierzyłam. Wieczorem leżymy z Aidanem w łóżku, przytulamy się do siebie i chichoczymy nad najnowszym ciążowym zdjęciem, które Sienna wrzuciła na naszą wspólną facebookową stronę albo przeglądamy listę imion dla dziecka i jakoś zawsze kończy się śmiechem – zachwyconym śmiechem – nad tą zbitką: Natalie Echo. Laurie, siostra Aidana, i jej mąż Tristan pospieszyli się trochę i już teraz dali nam prezent dla dziecka, mianowicie pomalowali pokój dzieciny na żółto, w odcieniu, o którym marzyłam. Wiemy, że Sienna może jeszcze zmienić zdanie; wystarczy, że spojrzy na maleństwo po urodzeniu, i postanowi je zatrzymać. Nigdy nie będę do niej miała o to pretensji, ale modlę się, żeby do tego nie doszło.

Byłam z nią już na dwóch wizytach kontrolnych. Wszystko jest w porządku. Usłyszałyśmy, że ciąża rozwija się „idealnie”. Po każdej wizycie poszłyśmy wspólnie w jakieś fajne miejsce. Za pierwszym razem do parku safari. Za drugim wybrałyśmy się na obiad. Poczytałam trochę o problemach, które mogą się pojawić przy otwartej adopcji. Zdarza się, że przed porodem matka zastępcza nawiązuje silną więź z matką biologiczną, a kiedy dziecko przyjdzie na świat, zrywa z nią kontakt. Nie czyni tego w złej wierze, napisano w tekście, który czytałam, to raczej naturalna kolej rzeczy, tak właśnie rozwijają się podobne relacje. Niemniej jednak kiedy to następuje, matka biologiczna traci nie tylko swoje dziecko, ale też ważną przyjaciółkę. Boję się, że to właśnie mogę zrobić Siennie. Każdego dnia jest mi bliższa, bardziej droga. Co do jednego natomiast nie mam wątpliwości: nie jesteśmy jak Nora i Amalia. I nigdy nie będziemy.

Morrison Ridge

Wiedziałam, że moi rodzice – a zwłaszcza mama – nie mają najlepszego zdania o Stacy, i martwiłam się, jak będą się do niej odnosić podczas podróży samochodem do Atlanty, ale okazało się, że niepotrzebnie: byli naprawdę bardzo mili. Stacy przyjechała z mamą, która wykręciła i odjechała tak szybko, że jej wóz tylko mignął w chmurze pyłu i zniknął nam z oczu. Najwyraźniej nie miała najmniejszej ochoty zamienić choćby słowa z moimi „nadopiekuńczymi” rodzicami, czy to razem, czy też osobno.

Siedziałyśmy z tyłu, a Stacy miała przez to niezłą schizę.

– Dostaję klaustrofobii – wyszeptała z twarzą białą jak kreda. – Jesteśmy w pułapce bez wyjścia.

– Niezupełnie – pocieszyłam ją. – Zaraz za nami są tylne drzwi.

Nie precyzowałam, że musiałybyśmy się wcisnąć za fotele, żeby je otworzyć. Nie byłam nawet pewna, czy te drzwi da się otworzyć od środka. Tak czy inaczej, Stacy się uspokoiła, a kiedy wyjechaliśmy na główną drogę, odzyskała kolory na twarzy.

Przed sobą miałam tatę, który siedział na zablokowanym i zabezpieczonym wózku. Obok niego jechała mama, a z przodu – Amalia i Russell.

Po wyjechaniu na autostradę Russell wrzucił do samochodowego magnetofonu kasetę. To był jazz, za którym nie przepadałam, ale i tak ucieszyłam się, że coś gra, bo dzięki temu mogliśmy swobodnie rozmawiać, a nikt nie miał szansy nas podsłuchać. Od zeszłego tygodnia, to znaczy odkąd moja mama wparowała do domu Stacy, nie miałyśmy okazji normalnie pogadać. Kilka razy dzwoniłyśmy do siebie, ale ja miałam taką paranoję, że rodzice podsłuchują, że bałam się chlapnąć choćby jedno słowo z takich, które mogłyby się na mnie zemścić.

– Wczoraj wieczorem widziałam się z Bryanem – zaczęła teraz Stacy, zniżając głos.

– Gdzie? – Strasznie jej zazdrościłam.

– U niego w domu. Rodziców nie było. – Rzuciła okiem na moich rodziców, którzy rozmawiali cicho z przodu. – Zrobiliśmy to – dodała szeptem.

Byłam w szoku.

– Tak do końca? – odszepnęłam.

Stacy przytaknęła.

– W zasadzie pierwszy raz był wtedy, kiedy przyjechała twoja mama – przyznała się. – Nie mogłam ci powiedzieć, bo wiesz... – Skinęła głową w kierunku moich rodziców. No tak, sama ją przestrzegalam, że rozmowy przez telefon są niebezpieczne. – Od tamtej pory zrobiliśmy to już dwa razy.

– O Boże. – Poczułam się jak ostatnia sierota. – I jak to jest?

– Pierwszy raz był do kitu. – Stacy zaśmiała się cicho. – Bolało i w ogóle... No, było słabo i już. Ale potem zaczęło się robić lepiej.

– A on miał te... prezerwatywy?

– No jasne. – Uśmiechnęła się tajemniczo i znacząco, jakbym była małym dzieckiem, które o niczym nie ma pojęcia. – Chłopaki tego strasznie nie lubią, a mnie się to bardzo podoba, bo on robi to dla mnie, żebym była bezpieczna.

Myślałam, że pęknę z zazdrości! Ona widziała się z Bryanem, a ja nie mogłam nawet pogadać z Chrisem przez telefon.

– Muszę ci coś powiedzieć. – Stacy zrobiła zbolaną minę. – Coś, co cię zmartwi.

Wytrzeszczyłam na nią oczy.

– Co takiego?

– Wczoraj u Bryana był też Chris. Z dziewczyną.

Czułam się, jakby mnie walnęła w brzuch. Ale czego się spodziewałam? Rodzice zabronili mi się z nim spotykać. Od kilku dni nie było nawet głuchych telefonów. Domyśliłam się, że dał sobie spokój. Nie mogłam oczekiwać, że będzie co wieczór siedział w domu i rozpaczał, że mnie z nim nie ma.

– Z jaką dziewczyną? – zapytałam.

– Ona jest... – Stacy wzruszyła ramionami. – Pierwszy raz ją widziałam. Mieszka w Asheville. Julie jakaś tam.

– Jak wygląda? – Spięłam się w oczekiwaniu na odpowiedź, choć tak naprawdę wolałam nie wiedzieć.

– W porządku.

Wiedziałam, co to znaczy: jest ładna. Stacy starała się nie zrobić mi przykrości. Ale i tak bolało.

– A jemu się podoba? – pytałam dalej, choć chciałam wiedzieć coś zupełnie innego: czy on ją kocha?

– Nie wiem – odpowiedziała Stacy. – Siedzieliśmy w sumie osobno. Nie rozmawiałam z nią za bardzo.

Trochę ją olewałam, z szacunku dla ciebie.

– Muszę się z nim spotkać! – oznajmiłam twardo.

– Cśś! – syknęła, wskazując moich rodziców.

– Nie słyszą nas – zapewniłam, ale na wszelki wypadek mówiłam już ciszej. – Muszę go odzyskać, Stacy! – Położyłam dłonie na kolanach, splatając palce. – Jak to zrobić?

– Na przykład wymkniesz się z domu – doradziła. – Jeśli wykombinujesz, kiedy dasz radę, przekażę mu wiadomość przez Bryana. On na pewno chciałby cię zobaczyć. Naprawdę wpadłś mu w oko.

Zwróciłam uwagę na czas przeszły i postanowiłam jak najszybciej się z nim spotkać.

I wtedy przypomniałam sobie o rodzinnym spotkaniu w sobotę, kiedy miałam nocować u babci.

– Mam pomysł – szepnęłam i podzieliłam się nim ze Stacy. – Babcia zawsze kładzie się wcześniej. Około dziesiątej. Nie zauważy, że się wymknęłam. Może Chris przyjedzie i zabierze mnie do ciebie, gdyby twojej mamy nie...

Stacy potrząsnęła głową.

– W sobotę moja siostra ma urodziny. Przyjeżdża na weekend i urządzamy dla niej imprezę.

– Aha.

– A ten koszmarny leśny domek? – zapytała. – Tam możecie się spotkać. Idealne miejsce.

Boże, no jasne, że tak! Uśmiechnęłam się szeroko, po raz pierwszy, odkąd wsiadłyśmy do furgonetki. Rzeczywiście, idealne miejsce.

– Kiedy dojedziemy do hotelu, narysuję ci mapę Morrison Ridge – powiedziałam cicho. – Przekażesz mi ją, dobrze? Zobaczycie się przed sobotą?

– W piątek umówiłam się z Bryanem – odparła. – Powie Chrisowi o twoim planie i odda mu mapę. – Chwyciła mnie za rękę, błyskając zębami w uśmiechu. – Ekstra! Strasznie się cieszę, że się z nim zobaczysz! – Pochyliła się i szepnęła mi do ucha: – Jesteście dla siebie stworzeni, Molly. Na pewno wszystko się uda!

Koncert odbył się na stadionie piłkarskim. Krzesła stały na murawie boiska. Długo szukałyśmy naszych miejsc, ale byłyśmy zachwycone, bo okazało się, że siedzimy blisko sceny, mniej więcej w trzydziestym rzędzie.

– Nie do wiary, że twojemu tacie udało się zdobyć takie bilety! – zawołała Stacy.

Stadion był pełen ludzi w każdym wieku. Wszyscy mieli koszulki z New Kidsami, znaczki z New Kidsami i nawet kurtki z New Kidsami, chociaż wieczór był bardzo ciepły. Najpierw wystąpiły jakieś zespoły na rozgrzewkę, a potem był pokaz iluzji, ale ja nie mogłam się skupić. Moimi myślami zawładnęła nadchodząca sobotnia noc. A jeśli Bryan nie da rady przekazać Chrisowi mapy? A jeśli babcia akurat tego dnia, raz na cały rok, postanowi pójść spać później? Tyle niewiadomych! Siedziałam w rozemocjonowanym, hałaśliwym tłumie czekającym, aż na scenie pojawią się New Kids on the Block, i myślałam tylko o tym, co może się nie udać.

Kiedy wreszcie New Kids wyszli i z tysięcy gardeł dobył się wielki wrzask radości, poczułam się dziwnie. „To już nie jest moja bajka”, pomyślałam. Dziewczyny dookoła wskakiwały na krzesła i machały rękami, starając się zwrócić na siebie uwagę chłopaków z zespołu. Ja też weszłam na krzesło – inaczej nic bym nie zobaczyła – ale nie krzyczałam. Patrzyłam, jak zespół tańczy na scenie; tym pięciu facetom przez ostatnie dwa lata poświęcałam każdą wolną myśl, ale teraz, w porównaniu z Chrisem, wydawali mi się banalni i plastikowi. Marnowałam czas na totalne mrzonki.

Jednakże im dłużej trwał koncert, tym bardziej z powrotem się w to wciągałam. New Kids byli świetni. Oglądało się ich z zapartym tchem. W tym, co robili na scenie, widać było pasję. Zateśkniłam za nimi i ze zdziwieniem poczułam, że oczy pieką mnie od łez. Było tak, jakbym oglądała starych przyjaciół, których utraciłam, i nie wiem, co zrobić, by ich odzyskać. Brakowało mi tęsknoty za nimi. Poczucia bezpieczeństwa, które mi zapewniali. Z Chrisem czułam się tak, jakbym przekraczała jakąś niewidzialną granicę, za którą zaczynało się nowe życie, straszniejsze, trudniejsze i bardziej, wręcz za bardzo, prawdziwe. A ja chciałam żyć jak dawniej. Jak w czasach, kiedy godzinami gapiłam się na plakaty z New Kidsami i Johnnym Deppem, kiedy rodzice mi ufali, tata widział świat jasno i wyraźnie, a najtrudniejszym wyzwaniem na świecie było wprowadzenie roweru na Piekielne Wzgórze. Stałam na krześle i trzymałam pod rękę Stacy, która krzyczała wniebogłosy. Po jakimś czasie dołączyłam się do zbiorowego wrzasku.

Następnego dnia obudziłam się rano. Przez okno hotelowego pokoju wpadał blask słońca. Na łóżku obok drzwi spała Stacy z głową przykrytą kołdrą. Leżałam przez kilka minut, rozpamiętując wydarzenia zeszłego wieczoru, aż dotarło do mnie, że umieram z głodu. Wstałam i ubrałam się cicho, żeby nie obudzić Stacy. Postanowiłam sprawdzić, czy rodzice jeszcze śpią. Zamierzałam zejść na parter, do stoiska z kawą, i kupić dla wszystkich muffinki albo coś w tym rodzaju, ale najpierw musiałam wziąć od mamy pieniądze.

Zabrałam klucz i wyszłam na korytarz. Byłam już blisko pokoju rodziców, gdy nagle otworzyły się drzwi Amalii i w progu pojawił się Russell, zapinając mankiety koszuli. Widząc mnie, stanął jak wryty i przez chwilę gapiliśmy się tylko na siebie. Sama nie wiedziałam, które z nas jest w większym szoku.

– Dzień dobry, Molly – powiedział wreszcie i ruszył do swojego pokoju, który znajdował się tuż obok pokoju rodziców.

– Dzień dobry – odpowiedziałam. Policzki mi płonęły. „Boże”, myślałam, „co powiedzieliby rodzice, gdyby się dowiedzieli, że Russell był u Amalii, i to może nawet całą noc?”. Zapukałam do nich, a on tymczasem zniknął we własnym pokoju.

Drzwi otworzyła mama. W dłoni trzymała mały, czarny plastikowy kubek z logo hotelu.

– O, dobrze, że jesteś – powiedziała. – Pomożesz mi posadzić tatę. Russell chyba jeszcze śpi.

– Cześć, kochanie. – Uśmiechnął się tata, który leżał z głową na poduszce. – Spałyście w ogóle czy byłyście zbyt nakręcone?

– Nie za bardzo – przyznałam. Stacy przez pół nocy paplała tylko o tym, że Joey jest podobny do Bryana, a moje myśli bez przerwy obijały się niczym piłeczka pingpongowa pomiędzy fantastycznym koncertem a rzeczywistością, która miała twarz Chrisa.

Uklękłam obok taty na posłaniu, a mama dołączyła z drugiej strony. Razem wsunęliśmy dłonie pod jego łopatki.

– Raz, dwa, trzy – zakomenderowała mama i uniosłyśmy go, opierając na poduszkach. Miałyśmy to opanowane do perfekcji.

– O, tak znacznie lepiej – powiedział tata. – Mama naląła kawy do filizanki i podsunęła mu ją do ust. – A tak jeszcze bardziej – westchnął po pierwszym łyku.

– Russell już wstał – poinformowałam go. – Jest w swoim pokoju.

– Skąd wiesz? – zapytała mama.

– Widziałam go w korytarzu – wyjaśniłam. – Wychodził z pokoju Amalii. – Zawiesiłam głos, czekając na ich reakcję.

Rodzice spojrzeli po sobie, a miny mieli całkowicie nieprzeniknione. Potem tata parsknął śmiechem.

– I to by było na tyle, jeśli chodzi o dyskrecję – oznajmił.

– Jesteś już dość duża, żebyśmy mogli ci o tym powiedzieć, Molly – zawtórowała mu mama z uśmiechem.

– O czym? – zapytałam.

– Oni są razem – wyjaśnił tata. – Nie mówiliśmy ci, bo nie są, wiadomo, małżeństwem, więc

uznaliśmy, że trudno ci będzie to zrozumieć, ale... no, nie jesteś już dzieckiem, prawda?

– Prawda – przytaknęłam. Mimo wszystko byłam jednak w szoku. Nie dlatego, że Amalia i Russell nie byli małżeństwem, jak również nie dlatego, że on był czarny, a ona biała. Dlatego że nie miałam zielonego pojęcia, co łączy dwoje ludzi, których z pozoru dobrze znałam.

– Od dawna oni... są razem? – zapytałam.

– Półtora roku? – Tata obejrzał się na mamę.

– Więcej, będzie ze dwa lata – powiedziała.

– Dwa lata? – Nie do wiary. – Dlaczego się nie pobrali?

– W tej chwili to dla nich trochę kłopotliwe, bo Russell musi być na każde moje wezwanie – wyjaśnił tata.

Wyobraziłam sobie, jak wygląda życie Russella. Był praktycznie uwiązany do mojego ojca. Dopóki dla nas pracował, nie miał co marzyć o normalnym związku z Amalią.

Przed oczami stanęła mi ostatnia lekcja tańca. Russell wyprowadził wózek na drogę przed domem Amalii, a ona położyła mu dłoń na ramieniu i spojrzała w oczy. Wydawało mi się, że jej wzrok miał wyrażać troskę o tatę, ale może chciała mu w ten sposób przekazać jakąś głębszą treść? Ogarnął mnie strach, że wezmą ślub i wszystko się zmieni. Ale przecież Amalia kochała mojego ojca. Russell też. Tego jednego byłam całkowicie pewna. Oboje chcieli dla niego jak najlepiej.

Przypomniało mi się, że babcia starała się trzymać Amalię z daleka od taty. Nie mogłam się powstrzymać – uśmiechnęłam się do siebie.

– A babcia wie? – zapytałam.

– Nie, mój Boże, co to to nie – zaprotestował tata. – Tego by chyba nie zniosła.

Mama zastukała do drzwi łączących pokój rodziców z pokojem Russella, który chwilę później zjawił się u nas.

– Wstajemy, Graham? – zapytał tonem zawodowca, unikając mojego wzroku.

– Molly cię przywaczyła – oznajmił tata.

Russell zerknął w moją stronę.

– No tak, obawiałem się tego. – Miałam wrażenie, że powstrzymuje się od uśmiechu.

– Wszystko w porządku – zapewniłam go z zawstydzoną miną. Dziwnie było wyobrazić sobie ich razem z Amalią. Szybko zmieniłam temat. – Przynieść muffinki z baru na dole? – zwróciłam się do mamy.

– Dobry pomysł – powiedziała i sięgnęła po torebkę.

– Dla mnie z borówkami – dorzucił tata, gdy Russell podstawił jego wózek do łóżka. – I niech będą dwie. – Najwidoczniej zrezygnował z liczenia kalorii.

Wyszłam na korytarz i skierowałam się w stronę windy. Na myśl o Amalii i Russellu pokręciłam głową, uśmiechając się szeroko. Nigdy bym na to nie wpadła; ciekawe, ile jeszcze tajemnic skrywało przede mną Morrison Ridge.

50

San Diego

Pracujemy razem w domowym gabinecie, każde przy swoim biurku. Aidan czyta e-maile. Ja siedzę naprzeciwko; miałam przygotować ugodę majątkową dla klienta, ale przeglądam internetowy katalog sukienek ciążowych. Sienna w nic już się nie mieści i postanowiłam jej kupić kilka rzeczy. Najchętniej obejrzałabym ubranka dla dziecka, ale na to sobie nie pozwalam. Jeszcze nie teraz.

Dzwoni telefon stacjonarny. Aparat stoi na biurku Aidana. Mój mąż sprawdza numer przychodzący, ja nawet nie odrywam wzroku od monitora. Rozważaliśmy ostatnio, żeby w ogóle odłączyć linię stacjonarną, skoro dzwonią tylko z reklamami, żeby nam coś wcisnąć.

– Numer nieznanym – mówi Aidan i zanim zdążę mu powiedzieć, żeby nie odbierał, podnosi słuchawkę. – Halo? – wita się i od razu spogląda w moją stronę. – Tak, jest tutaj.

Wstaję, biorę słuchawkę od niego i siadam z powrotem.

– Molly przy telefonie – rzucam.

– Molly, tu Dani.

Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek wcześniej do mnie zadzwoniła. Nie wiedziałam nawet, że ma mój numer.

– Cześć, Dani. Co słychać? – pytam, choć odpowiedzi się domyślam; czuję nagły ucisk w piersi.

– Amalia zmarła – informuje mnie Dani. – Wolałam zawiadomić cię osobiście.

– Aha. – Mój głos jest beznamiętny, słyszę to doskonale, ale w środku wszystko się we mnie gotuje. – W wyniku infekcji, o której pisałaś?

– Tak. Nie zdołała jej zwalczyć. Moja mama dowiedziała się o tym w kościele.

– Aha – powtarzam. Mam wrażenie, że patrzę na tę sytuację z boku, nie wiem, jak się zachować. Zdaję sobie sprawę, że Aidan obserwuje mnie zza swojego biurka.

– Molly – ciągnie Dani – pożegnanie było w Asheville, w jakiejś pracowni artystycznej. Przepraszam, za późno się dowiedziałam, nie zdążyłam cię zawiadomić.

– To... w sumie nieważne – odpowiadam. Co ona sobie wyobraża? Że chciałabym przyjechać?

– Pomyślałam sobie, że może chcesz numer do Russella.

– Prześlij go e-mailem. – Chyba zaraz zwymiotuję. – Muszę już kończyć, Dan...

– Nie rozłączaj się jeszcze – przerywa mi pospiesznie.

Wstrzymuję się, wyglądam przez okno. Z miejsca, gdzie siedzę, widać trzy białe domy w stylu hiszpańskim, stojące naprzeciwko. Jeden z nich wymaga odmalowania. Skupiam się na tym, żeby nie myśleć o Amalii. Czekam, co powie Dani.

– Wczoraj dzwoniła do mnie ciocia Nora – słyszę. – Bardzo chciałaby z tobą porozmawiać. Prosiła, abym spróbowała cię przekonać, żebyś do niej zadzwoniła albo pozwoliła jej zadzwonić do siebie. Czy

mogę jej podać twój numer? – pyta. – Albo przynajmniej e-mail?

– Przykro mi, ale nie.

Dani nie mówi ani słowa. Zapada krępujące milczenie. Trwa tak długo, że już chcę odłożyć słuchawkę, ale ona znów się odzywa.

– To twoja matka, Molly – mówi wreszcie. Tak jakbym o tym zapomniała.

– Wiem – kwituję. Czy powiedziałałabym coś więcej, gdyby Aidan nie siedział obok? Nie sądzę.

– Ona cię kocha.

– Muszę już kończyć. Dzięki za wiadomość...

– Wiesz co, Molly? – syczy nagle Dani.

– Co?

– Jesteś bezduszną suką. Mam cię dosyć! Dość tego.

Połączenie się urywa.

Chcę powiedzieć „do widzenia”, udawać przed Aidanem, że rozmowa zakończyła się zwyczajnie, ale jestem zbyt otumaniona, żeby zdobyć się na podobny wysiłek. Odkładam słuchawkę na biurko i spoglądam na niego.

– Dzwoniła twoja kuzynka? – pyta Aidan.

Nie jestem w stanie odpowiedzieć. Przed oczami mam Amalię w barakach dla niewolników, stawiającą taneczne kroki na podłodze. „Tańcz to, co czujesz, kochanie”, mówiła. Opuszczam głowę, chowam twarz w dłoniach i zanim zdążę się zorientować, co robię, wybucham płaczem. Aidan podchodzi szybko, pochyla się, obejmuje mnie ramieniem. Chwytam się go niczym koła ratunkowego, a kiedy pyta: „Co się stało, Molly?”, wiem, że powiem mu prawdę.

Jeśli nie całą, to przynajmniej większą jej część.

Morrison Ridge

W sobotę rano przyszedłam na śniadanie, ale zamiast jeść, gapiłam się tylko na mój talerz, na naleśniki i grejpfruta. Nie byłam w stanie przełknąć ani kęsa. Na wieczór zaplanowano rodzinne spotkanie, a Stacy jeszcze nie potwierdziła, czy zobaczę się z Chrisem w leśnym domku. Obiecała, że porozmawia z Bryanem, a on z kolei miał zawiadomić Chrisa i przekazać mu moją mapkę Morrison Ridge, a ja nie miałam pojęcia, czy plan się powiodł. Dzwoniłam do niej kilka razy, ale nikt nie odebrał. Martwiłam się, że zapomniała. Albo, co gorsze, Chris spotyka się z tamtą dziewczyną i w ogóle już go nie obchodzi, a Stacy bała się powiedzieć mi o tym.

Zanim wmusiłam w siebie dwie części grejpfruta, tata pochłonął przy pomocy Russella cały talerz naleśników.

– Co się stało, Molly? – zapytała mama, która zjadła dwa naleśniki i popijała kawę, wolną dłonią trzymając tatę za rękę ułożoną na poręczu fotela. Przy stole zazwyczaj nie siadywała tak blisko niego, zwłaszcza kiedy to Russell go karmił.

– Nic – mruknęłam. – Po prostu nie jestem głodna.

– Chciałbym dzisiaj spędzić z tobą trochę czasu – powiedział tata. Russell wziął serwetkę i otarł mu z brody kropelkę syropu.

– Będziemy pisać? – zapytałam.

– Nie, po prostu chcę się spotkać. – Uśmiechnął się. – Może w leśnym domku?

Ta propozycja zabiła mnie z tropu. Miałabym siedzieć z ojcem w leśnym domku, a kilka godzin później spotkać się tam – oby – z Chrisem? Ten pomysł był dziwny, nawet trochę za bardzo.

– A może gdzie indziej? – poprosiłam. Tak się akurat złożyło, że nie miałam też wielkiej ochoty na poważne gadki z tatą. Uwielbiałam jego towarzystwo, ale teraz wolałam zostać sama. Myśli kłębiły mi się w głowie i nie było szans, bym zdołała się skupić.

– Co proponujesz? – spytał.

– Na werandzie?

Tata z namysłem skinął głową, a wpatrywał się we mnie z taką uwagą, że musiałam opuścić głowę i wbić wzrok w nietkniętą połówkę grejpfruta na moim talerzu.

– W porządku – powiedział wreszcie. – Po południu wybieram się do babci, więc może teraz, rano? Powiedzmy, za godzinę? Czy masz inne plany?

Pokręciłam głową.

– Chciałam tylko poczytać.

– Wieczorem, parę minut przed siódmą, zawiozę cię do babci – uprzedził mnie Russell.

– Dobrze. – Obejrzałam się na mamę. – Mogę już iść?

– Nie zjadłaś ani jednego naleśnika – zauważyła.

– Ja skończę jej porcję – oznajmił tata z uśmiechem. – Żeby się nie zmarnowało.

Przed południem, akurat kiedy szłam na werandę, żeby posiedzieć z tatą, zadzwoniła Stacy. Odebrałam telefon w kuchni, a gdy poznałam jej głos, wyszłam aż na korytarz, rozciągając długi kabel; bałam się, że tata usłyszy mnie przez okno.

– Ile to trwało, o rany! – wysapała Stacy jakby zdyszana. – No, ale Bryan wczoraj wieczorem w końcu dodzwonił się do Chrisa, a on się zgodził! Przyjedzie o dziesiątej.

– Boże... – wyszeptałam.

– Będiesz na miejscu, prawda?

– Oczywiście. Ma moją mapę?

– Bryan podrzuci mu ją dziś po południu do domu – wyjaśniła Stacy. – Jak się ubierzesz? – I zaśmiała się. – Zresztą wszystko jedno. I tak szybko wyskoczysz z ciuchów.

Nie odpowiedziałam. Skóra na całym ciele zaczęła mnie nagle swędzieć, jakbym dostała wysypki.

– Ktoś jest u ciebie na chacie? – zapytała Stacy. – Nie pogadamy teraz?

– Właśnie – bąknęłam. – Zadzwonię jutro.

– I wszystko mi opowiesz! Nie mogę się doczekać! – zawołała i się rozłączyła. A mnie po raz pierwszy, odkąd oddałam go tacie, zrobiło się smutno, że nie mam w kieszeni mojego kamienia trosk.

– Miło widzieć, że się uśmiechasz – powiedział tata, kiedy usiadłam na starym fotelu na biegunach tuż obok jego wózka. – Co się dzieje?

– A nic, przed chwilą dzwoniła Stacy.

– Wciąż jeszcze przeżywacie koncert?

– Był fantastyczny – przytaknęłam. Ale wydawało mi się już, że koncert był wieki temu, w innym życiu.

Tata spojrzał na majaczące w oddali góry.

– Ładnie tutaj – powiedział. – Cieszę się, że wybrałaś to miejsce. Już bardzo dawno tak po prostu tutaj nie siedziałem, podziwiając widoki. – Zamyślił się. – Szkoda, że nie robiłem tego częściej.

Ja też pobiegłam wzrokiem w stronę gór. Przez chwilę zastanawiałam się, czy tata dobrze je widzi, czy może słabo, ale tak naprawdę myślałam tylko o sobie i o nadchodzącym wieczorze: otwieram drzwi leśnego domku, a w środku czeka Chris. Nie miałam pojęcia, jak wytrzymam tyle godzin.

– O czym chciałeś porozmawiać? – zapytałam.

– O niczym szczególnym – odparł. – Po prostu zapragnąłem spędzić trochę czasu z moją córką.

– Oto jestem. – Czuję się niezręcznie, co zazwyczaj przy tacie nigdy mi się nie zdarzało, ale teraz bałam się, że jakimś sposobem mnie przejrzy, jakbym miała wszystko wypisane na twarzy.

Spojrzał na mnie.

– Odkąd opowiedziałem ci, jak Amalia przywiozła cię do nas, nie daje mi to spokoju. – Uśmiechnął się. – Wspominam tamten dzień. Ależ to był szok. Wyobrażasz to sobie? Niespodziewanie stanął przede mną w pełni rozwinięty mały człowiek, którego ja sam stworzyłem, ale nie miałem o tym zielonego pojęcia.

– To musiało być dziwne – zgodziłam się. Sama już dawno przetrawiłam ten temat i byłam zdziwiona, że on jeszcze o tym myśli.

– Powiedz, kim chciałabyś być, kiedy dorośniesz? – Miałam wrażenie, że się przesłyszałam – pytanie było zupełnie wyrwane z kontekstu.

– Co?

– Co chciałabyś zrobić ze swoim życiem?

Zirykowało mnie to wypytywanie. Chciałam iść na górę, do swojego pokoju, i poszukać w szafie ciuchów na wieczór. Przyszło mi też do głowy, że może warto zmienić pościel na jednym z tapczanów w leśnym domku. Plakaty z New Kidsami i Johnnym Deppem też chyba przydałoby się zdjąć.

– Molly, jesteś tam? – zapytał tata, a ja westchnęłam.

– Po co o tym gadamy? – odpowiedziałam pytaniem.

– Tak tylko głośno myślę – odparł. – No, nie daj się prosić.

Westchnęłam jeszcze raz. Lepiej było go posłuchać. Mieć to już za sobą. Tylko że akurat dawno się nad tym nie zastanawiałam. Co chciałabym zrobić ze swoim życiem? W zeszłym roku, w lecie, postanowiłam zostać entomologiem, ale przestało mnie to kręcić. Całkiem fajny wydawał mi się zawód mojej mamy – znajomość leków i ich wzajemnych interakcji – zawsze byłam dumna, widząc ją w białym fartuchu. Ale najlepszą pracę i tak miał tata, który uczył ludzi lepiej myśleć o samych sobie.

– Może zostanę terapeutką i będę stosować metodę „Jak gdyby” – oznajmiłam.

– Naprawdę? – W oczach taty błysnęła iskierka radości.

– Może i tak.

– Byłabyś w tym świetna. Masz wrodzoną wrażliwość, to by ci bardzo pomogło.

Oczami duszy spróbowałam zobaczyć siebie w takim gabinecie, który jeszcze niedawno był jego miejscem pracy; tak, zdecydowanie byłam w stanie sobie wyobrazić, jak pomagam takiej dziewczynie jak Dorianna z kasety. Inna sprawa, że kompletnie nie widziałam siebie jako dorosłej kobiety.

– Chyba pracowałabym tylko z dziećmi – dodałam.

– A chciałabyś mieć własne? – zapytał tata.

– To znaczy... jak wyjdę za mąż?

– Oczywiście. Najpierw ślub. Bardzo cię proszę.

– Jasne – przytaknęłam. – Z pewnością więcej niż jedno.

Roześmiał się głośno.

– Czyżbyś nie lubiła być jedynaczką?

– Otóż to – przyznałam oschłym tonem.

– Rozumiem, że czasem bywało ci trudno. – Tata zamyślił się, a potem posłał mi uśmiech. – Raduje mnie myśl, że będę mógł żyć dalej w tobie i twoich dzieciach.

„No tak, jasne”, pomyślałam. Dziwnie to zabrzmiało.

– Planujesz tutaj mieszkać, kiedy dorośniesz? To znaczy w Morrison Ridge?

Zerknęłam na jego zegarek, aby sprawdzić godzinę, ale pod tym kątem nie dało się zobaczyć tarczy.

– Zawsze będę tutaj mieszkać – odparłam. Nie umiałam sobie wyobrazić życia w innym miejscu.

– A gdzie zbudujesz swój dom?

– Może za domem babci. – Powędrowałam myślą po gęstym lesie porastającym północny kraniec naszej działki.

Tata uśmiechnął się.

– Czyli jak najdalej od domu, ale w praktyce wciąż w Morrison Ridge.

– Zgadza się. – Odpowiedziałam uśmiechem.

Korciło mnie, żeby go zapytać, czy skończyliśmy już rozmowę. Pomyślałam jeszcze raz o pościeli w leśnym domku. Gdybym ją nagle zmieniła, mama zaczęłaby coś podejrzewać. Lepiej dać sobie z tym spokój, postanowiłam. Chrisowi i tak było wszystko jedno.

– Jestem z ciebie bardzo dumny, Molly – oznajmił tata, ściągając mnie z powrotem na ziemię, a konkretnie na werandę. Wiele razy mi to mówił, ale teraz, gdy zamierzałam zrobić coś, czego powinnam

się wstydić, zaczęłam się zastanawiać, o co mu chodzi.

– Dlaczego? – zapytałam.

– Cóż, po pierwsze, zawsze jestem z ciebie dumny, bo jesteś świetną dziewczyną, doskonale radzisz sobie w szkole, bez słowa skargi pomagałaś mi w pisaniu... i w ogóle. Ale wiem też, że to było dla ciebie trudne lato. Wszyscy znajomi wyjechali na wakacje, a potem jeszcze my ograniczyliśmy twój kontakt ze Stacy. No i odcięliśmy cię od Chrisa, do którego coś przecież czułaś, sądziłaś, że to „właśnie ten”. Prawda jednak jest taka, że w przyszłości poznasz wielu innych chłopaków, którzy będą dla ciebie bardziej odpowiedni.

– Nawet go nie znasz – zaproponowałam. – Więc jak możesz mówić, że jest dla mnie nieodpowiedni?

– Wiem, ile ma lat, to mi wystarczy.

– Słabe – skwitowałam. – Sam jesteś trzy lata starszy od mamy.

– I kiedy ona miała czternaście lat, też nie wolno jej było się spotykać z siedemnastoletnimi chłopcami. Musiała z tym poczekać, i to długo.

– A od Amalii byłeś starszy o dziewięć lat. – Nie zamierzałam się poddać.

– Oboje byliśmy już dorośli.

– Nawet nie dałeś mu szansy! – wybuchnęłam. – To nie jego wina, że ma siedemnaście lat.

– Molly, już to sobie wyjaśniliśmy...

– Nie, to ty wyjaśniłaś – warknęłam. – Ja nie miałam nic do gadania. Musiałam was słuchać.

– W tej sytuacji – owszem. Musiałaś. I nadal musisz.

Wstałam z fotela.

– Uważam, że jesteś bardzo niesprawiedliwy.

Tata spojrzał na mnie swoimi wielkimi oczami. Odbijało się w nich niebo, jeszcze nigdy nie widziałam takiego błękitu.

– Wiem, że tak uważasz – odpowiedział. – Ale...

– Ciągłe powtarzasz: „Molly, powiedz mi, co teraz czujesz”, powtarzasz, że mnie podziwiasz i tak dalej. Skoro tak mnie podziwiasz, dlaczego mi nie ufasz? Nie jesteś w stanie uwierzyć, że sama wiem, co jest dla mnie dobre?

– Bo masz czternaście lat.

– Gadanie! – Ruszyłam do drzwi. – Mam dosyć tej rozmowy.

– Molly! – zawołał tata. – Stój!

Stałam. Zamarłam w pół kroku. Zamknęłam oczy.

– Wiem, że tego nie rozumiesz, kochanie – powiedział. – Ja w twoim wieku też bym nie zrozumiał. Zrozumienie przyjdzie z czasem. Kiedy będziesz starsza. – Zawiesił głós. – Więcej nie jestem w stanie dla ciebie zrobić.

Obejrzałam się na niego.

– Mogę już iść?

I gdy tak stałam, patrząc na tatę i czekając, aż pozwoli mi odejść, czas stanął w miejscu. Inne dziecko w moim wieku po prostu by sobie poszło, ale ja nie mogłam się poruszyć.

– Kiedy już będziesz miała te dzieci... – odezwał się w końcu tata.

– To co?

– Przytulaj je często – dokończył. – Na wypadek gdyby przyszedł taki dzień, że nie będziesz już mogła.

Wiedziałam, że bardzo chce, bym go teraz przytuliła. Wiedziałam, ale byłam na niego zła. Minęłam go bez słowa i poszłam po Russella. Powiedzieć mu, że moja rozmowa z tatą na werandzie dobiegła końca.

Wieczorem przy kolacji mama wciąż na mnie patrzyła i już się bałam, że uzna, że jestem na tyle duża, by uczestniczyć w rodzinnym spotkaniu. A ja naprawdę się cieszyłam, że nie muszę wysłuchiwać nudnego gadania, tym bardziej tamtego wieczoru. Już zdążyłam przygotować argument, że ktoś przecież musi dotrzymać towarzystwa babci, która nie wybierała się na to spotkanie. Doszłam do wniosku, że po prostu ma już dosyć wałkowania tematu sprzedaży ziemi. Oby tylko położyła się o dziesiątej, wtedy wszystko powinno się udać, chociaż musiałam przyznać, że strach mnie oblatywał na myśl o samotnym spacerze przez ciemny las, od babci aż do leśnego domku. Dla Chrisa byłam jednak gotowa na takie poświęcenie.

Mama podała na kolację ulubiony przysmak taty: klops z purée ziemniaczanym i sosem pieczeniowym. Wydawało się jednak, że przy stole tylko jemu dopisywał apetyt. Russell nawet nie postawił przed sobą talerza. Przy stole panowała dziwna cisza, a ja się zastanawiałam, o co chodzi: czy tata jest na mnie zły za moje poranne zachowanie podczas rozmowy na werandzie, czy może to ja jestem zła na niego. Dręczyło mnie potworne uczucie, że mama, tata i Russell wszystkiego się domyślają, chociaż to było niemożliwe. Wydawało mi się, że czuję na sobie ich wzrok, ale gdy spoglądałam im w oczy, napotykałam absolutny brak zainteresowania. Mama w ogóle nie patrzyła na mnie, tylko w swój talerz: nakłuwała mięso widelcem, choć nie wzięła do ust ani kęsa. Tata pochłonął prawie całą porcję klopsa i poprosił Russella o dokładkę ziemniaków. Potem zerknął na mamę.

– Nic nie zjadłaś – odezwał się.

Kiedy podniosła na niego wzrok, zobaczyłam, że zmusza się do uśmiechu, ale w oczach ma łzy. „Co tu się dzieje?”, pomyślałam.

– Nie mam apetytu. – Podsunęła mu swój talerz. – Dokończysz za mnie?

Potrząsnął głową.

– Nie, skarbie, dziękuję. Ale było pyszne. Russell, powinieneś spróbować.

– Później – odparł Russell.

– Zrób coś dla mnie: połóż w moim imieniu rękę na dłoni mojej markotnej żony – poprosił tata.

Russell wymienił zdziwione spojrzenie z mamą, ale pochylił się nad stołem i położył dłoń na jej dłoni.

Tata patrzył uważnie na mamę.

– Masz więcej siły, niż przypuszczasz – powiedział.

Odwróciła dłoń, by złączyć ją z dłonią Russella, i przez łzy uśmiechnęła się do taty.

– Postaram się o tym pamiętać – obiecała.

Dzisiejsze spotkanie rodzinne zapowiadało jakąś zmianę, widziałam to wyraźnie. Czyżby wszyscy skapitulowali i zamierzali pozwolić wujkowi Trevorowi sprzedać naszą ziemię? Czy dlatego babcia woląca zostać w domu? Ale tamtego wieczoru nie miałam cierpliwości, żeby wypytywać o takie rzeczy. W mojej głowie kołatała się tylko jedna myśl, a na imię było jej Chris. Dlatego ledwie tknęłam moją porcję klopsa.

Russell zdjął rękę z dłoni mamy i wstał od stołu, żeby sprzątnąć talerz, z którego karmił tatę. Ja też wstałam.

– Przyszukuję się do wyjścia. – Czuję się tak, jakbym wypila kawę. Zrobiłam to raz w życiu –

pierwszy i ostatni – miałam wtedy wrażenie, że stado wiewiórek ugania się po moich wnętrznościach.

Tata uniósł wzrok.

– Uściskasz mnie? – poprosił.

Po chwili wahania pochyliłam się i lekko go objęłam. Wciąż byłam zła.

– Mocniej – poprosił. Uległam z ciężkim westchnieniem. Zarzuciłam mu ręce na szyję i oparłam policzek o jego skroń. – Jesteś wspaniała – powiedział, a ja, całkiem wbrew sobie, poczułam pieczenie pod powiekami i zaczęłam się rozklejać.

Kiedy się wyprostowałam, mama stała tyłem do nas i patrzyła przez okno z takim natężeniem, że też spojrzałam w tamtym kierunku, ale nie zobaczyłam nic oprócz drzew i gór w oddali.

– Pa – rzuciłam ogólnie do wszystkich i wyszłam.

Nikt mi nie odpowiedział.

San Diego

Aidan obchodzi się ze mną delikatnie, jak z chorą, i zresztą tak właśnie się czuję. Robi mi herbatę, otula kocem i siadamy razem w rogu kanapy. Opieram mu głowę na ramieniu i opowiadam o wszystkim, co powinien usłyszeć już dawno temu.

– Pamiętasz, jak wspominałam o tej przyjaciółce rodziny, która złamała nogę? – pytam.

Nie odpowiada od razu, widzę, że nie pamięta tamtej rozmowy.

– Tak...? – mówi wreszcie niepewnym tonem.

– To nie była przyjaciółka rodziny – podejmuję. – To była... – Odchylam głowę do tyłu, żeby spojrzeć mu w oczy. W piękne, brązowe kochające oczy, przesłonięte szklami okularów. – To była moja biologiczna matka.

Czuję, jak Aidan się napina.

– O czym ty mówisz? – cedzi słowa, jedno po drugim, a ja uważnie nasłuchuję, czy nie zabrzmiałoby w nich złość.

– Nie powiedziała ci prawdy o moim dzieciństwie – wyznaję. – O Morrison Ridge. Przemilczałam pewne fakty, bo... bo się bałam.

– Czego? – Nie słysząc złości. Na razie.

– Wiesz, że miałam kiedyś narzeczonego, prawda?

– Szczerze mówiąc, zapomniałem – odpowiada Aidan. – Jak mu było? Jordan? – Marszczy czoło. Odwracam głowę, żeby nie patrzeć mu w oczy.

– Opowiedziałam Jordanowi wszystko o mojej rodzinie – wyjaśniam. – Za dwa miesiące mieliśmy się pobrać, a on odwołał ślub, bo tak się... brzydził tym wszystkim. Więc postanowiłam, że tobie nigdy nic nie powiem. Nie było powodu.

„Wybacz mi, Molly”, powiedział wtedy Jordan, „to dla mnie za dużo”.

– A co go tak brzydziło? – dopytuje się Aidan.

– Powiedział, że jestem nienormalna i że nie chce zakładać rodziny z taką kobietą – mówię krótko. – Może rzeczywiście nie byłam wtedy do końca normalna, ale teraz już jestem, a przynajmniej tak mi się wydawało do tej pory. Bo teraz...

– Molly – przerywa mi Aidan. – Zacznij od samego początku, proszę cię. Gubię się w tym wszystkim i szczerze mówiąc, zaczynam się bać.

Biorę głęboki wdech.

– Powiedziała ci, że moja matka nie żyje – zaczynam. – Ale to nieprawda. To znaczy dla mnie ona nie żyje, ale jeszcze nie umarła.

– Przecież twoja kuzynka powiadomiła cię o jej śmierci...

– Chodziło o moją biologiczną matkę – tłumaczę i opowiadam mu o związku taty z Amalią, jej ciąży i o tym, jak zniknęła, aby później pojawić się w naszym domu z kobietą z opieki społecznej. I o tym, jak

Nora mnie adoptowała.

– Mój ojciec postarał się, żeby mogła mieszkać z nami, na naszej ziemi – mówię. – Blisko mnie. Mieszkałam z nim i z Norą, czyli moją matką adopcyjną, a Amalia miała dom w pobliżu.

– Molly... – wtrąca Aidan z niedowierzaniem – dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? Sami teraz staramy się o adopcję i tyle już przeszliśmy, a ty, z twoimi doświadczeniami... Po prostu nie rozumiem, jak...

– Wiem, że nie rozumiesz – wchodzę mu w słowo. – I wiem, że to...

– Jak wam się układało? To chyba była najbardziej otwarta adopcja, jaką można sobie wyobrazić. Tego się obawiałaś w naszej umowie z Sienną?

– Chyba tak – przyznaję. – Kochałam je obie... A teraz już ich nie kocham. – Znow chwytają mnie mdłości. Zaciskam mocno powieki. Sama już nie wiem, co czuję do tamtych ludzi z Morrison Ridge. – Ale Amalia – ciągnę – była cieplejsza. Lepiej się z nią dogadywałam i chyba uciekałam do niej, kiedy Nora mnie czymś wkurzyła. I masz rację: bałam się, że nasze dziecko będzie miało silniejszą więź z biologiczną matką niż ze mną. Chyba nie zdawałam sobie sprawy z tych lęków. Wiedziałam tylko, że nie chcę z nikim się nim dzielić. Chociaż teraz, kiedy poznałam Siennę, martwię się już trochę mniej.

– Dlaczego powiedziałaś mi, że twoja matka, ta Nora, nie żyje?

– Bo tak było najprościej wyjaśnić, dlaczego nie utrzymuję z nią kontaktu.

– A dlaczego nie utrzymujesz z nią kontaktu?

– Bo... – odpowiadam wymijająco – bo ona jest... taka zimna.

Nora mnie kochała, nie miałam żadnych wątpliwości, ale czy chodziło o mnie samą, czy o to, że byłam córką Grahama? Tego już nie wiedziałam. Nigdy nie zapomnę dnia, kiedy wróciłam z tatą i Russellem z trasy promocyjnej książki o terapii „Jak gdyby”. Nora minęła mnie biegiem, jakbym była niewidzialna, i rzuciła się do taty, który jeszcze siedział w aucie.

– Po śmierci taty wszystko się zmieniło – kontynuuję. – Po pierwsze, moja rodzina wyrzuciła Amalię z Morrison Ridge, a Nora nie zrobiła nic, żeby ich powstrzymać.

– No proszę... – wzdycha Aidan. – Widzę, że jej los ich nie obchodził. Czy Nora była o nią zazdrosna?

– Chyba tak. Ja wtedy już dawno ją znienawidziłam i...

– Dlaczego ją znienawidziłaś?

Szukam jakiegoś powodu, który wiarygodnie rozmijałby się z prawdą.

– Po prostu była oziębła – kłamię. – Kiedy zakomunikowałam jej, że chcę mieszkać z Amalią, powiedziała, że nie dopuści do tego. Że Amalii zarzucono zaniedbywanie mnie, kiedy miałam dwa lata, i w takiej sytuacji żaden sąd nie odbierze mnie matce adopcyjnej i nie pozwoli zamieszkać z biologiczną.

– No proszę – powtarza Aidan. – To były trudne przeżycia, bardzo ci współczuję, kochanie. Czyli straciłaś kontakt z Amalią?

Prawda jest taka, że sama go zerwałam, ale jak mogę mu to wyjaśnić, nie wyznając wszystkiego? Zaczęłam już plątać się w tych zwierzeniach.

– Na nią też byłam zła – mówię po prostu. – Czułam się strasznie, byłam zła na wszystkich i chciałam od nich uciec.

Niechętnie wracam pamięcią do tamtego okresu w moim życiu. Kiedy tata umarł, byłam za młoda, żeby naprawdę uciec z domu – gdzie miałam się podziać? – więc wycofałam się, zaszyłam we własnych myślach, sam na sam z potwornym bólem po stracie ojca. On był całym moim życiem. Z nim mogłam porozmawiać o wszystkim. Miałam pewność, że cokolwiek by się działo, on zawsze będzie mnie kochał. Do samego końca tamtego straszego lata siedziałam zamknięta w swoim pokoju i nie odzywałam się do nikogo.

– Kuzynka Dani uczyła się w szkole z internatem – podejmuję opowieść. – Powiedziałałam Norze, że

chcę do niej dołączyć. Musiałam się wydostać z Morrison Ridge. Nora się zgodziła. Pewnie nawet była zadowolona, że się mnie pozbędzie po śmierci taty. – Krzywię się. Nie mam przecież pewności, czy to prawda. – Dani czasem przyjeżdżała do domu, na weekend albo na wakacje – ciągnę. – Ja po wyjeździe nie wróciłam do Morrison Ridge. Ferie i wakacje spędzałam u znajomych ze szkoły, a Nora nigdy nie próbowała mnie namawiać do zmiany planów, natomiast Amalia dzwoniła do szkoły i błagała, żebym do niej przyjechała. Tata zostawił dla mnie pieniądze, które stały się moją własnością, kiedy skończyłam osiemnaście lat. Po szkole przeprowadziłam się do San Diego i zamieszkałam z koleżanką. A dalej już wiesz: poszłam na studia, poznałam Jordana. Oświadczył mi się. A potem „odświadczył”. I poznałam ciebie. To było najlepsze, co mnie...

– Molly – przerywa mi Aidan – ja w dalszym ciągu nie rozumiem. W porządku, Nora była oziębła, ale czemu nie próbowałaś się z nią dogadać? Z nią i ze swoją biologiczną matką? To do ciebie niepodobne, kochanie. Nie rozumiem, jak mogłaś tak po prostu odciąć się od swojej rodziny.

Łzy płyną mi z oczu. To jasne, że on tego nie rozumie. Ta zaciemniona i mocno okrojona wersja mojego dzieciństwa nie ma najmniejszego sensu.

– To jeszcze nie wszystko, prawda? – pyta mój mąż. – Co przemilczałaś? Chodzi o przemoc albo wykorzystanie seksualne?

Kręcę głową.

– Boję się twojej reakcji, kiedy poznasz całą prawdę.

– Molly... ja cię kocham. Myślisz, że cię zostawię? Nigdy bym cię nie skrzywdził.

Odsuwam się, żeby dobrze widzieć jego twarz. Otulam się szczelniej kocem i obejmuję kolana rękami, zwijam się w kłębek, aby poczuć się bezpiecznie. Aidan obserwuje mnie; wiem, że muszę mu zaufać. Jeśli teraz nie powiem mu prawdy, to przeszłość rozdzieli nas na zawsze murem kłamstw i to będzie nasz koniec.

Wysuwam jedną rękę spod koca i wyciągam do niego. On ujmuje moją dłoń w swoją i opiera na kolanie. Wpatruje się we mnie uważnie, a ja spoglądam w jego pełne ciepła oczy i zbieram się na odwagę.

– Nora zabiła mojego ojca – mówię krótko i tymczasem to jest koniec prostych informacji z mojej strony.

Morrison Ridge

Tamtego wieczoru, kiedy umówiłam się z Chrisem w leśnym domku, Russell zabrał mnie do babci tuż przed siódmą. Cieszyłam się, że mogłam wyjść z domu, zanim krewni zaczęli się schodzić. Nie miałam ochoty na gadki szmatki. Całą drogę milczałam, Russell też się nie odzywał, aż zaczęłam się bać, że coś podejrzewa. Dostałam naprawdę niezłej paranoi. Przecież Russell nie mógł o niczym wiedzieć, ale ja i tak czekałam na kazanie – które ostatecznie nie nastąpiło – a gdy zajechaliśmy na miejsce, poczułam prawdziwą ulgę.

– Odbiorę cię rano – powiedział Russell, kiedy otworzyłam drzwi, żeby wysiąść.

– Dzięki, wrócę na piechotę. – Chwyciłam leżący pod nogami plecak i, zamknąwszy drzwi, ruszyłam ścieżką prowadzącą do domu. Drzwi nie były zamknięte na klucz.

– Babciu! – zawołałam już w progu. Panowała taka cisza, że słyszałam tykanie zegara na gzymsie kominka, pod głową jelenia. Skierowałam się na tyły domu, bo myślałam, że znajdę babcię na zewnątrz, ale gdy mijałam drzwi do biblioteki, dostrzegłam ją w fotelu z otwartą książką na kolanach.

– Babciu – powtórzyłam.

Powoli odwróciła głowę.

– Cześć, kochanie – powiedziała.

Pochyliłam się i pocałowałam ją w policzek. Jej włosy miały taki zapach, jakby nie myła ich od kilku dni, i nie były starannie ułożone jak zwykle, ale zwieszały się martwo.

– Dobrze się czujesz? – zapytałam.

– Jestem zmęczona – odparła, odchylając głowę, aby spojrzeć na mnie swoimi błękitnymi oczami. – Ostatnio jestem bardzo zmęczona.

Słuchałam nieuważnie. Myślimi byłam zupełnie gdzie indziej.

– Obejrzymy sobie film? – zaproponowałam. Dochodziła siódma. Po dwugodzinnym filmie mogłabym powiedzieć, że chcę iść spać około dziewiątej trzydzieści, i wtedy może ona też postanowiłaby się położyć, a ja o dziesiątej bym się wymknęła. Idealne rozwiązanie.

– Czy ktoś już przyszedł na spotkanie? – zapytała babcia, jakbym słowem nie wspomniała o filmie.

– Jeszcze nie. – Usiadłam w drugim wygodnym fotelu w bibliotece, poza tym, na którym ona siedziała, i przycisnęłam plecak do piersi. W klatce żeber bez przerwy harcowały dzikie wiewiórki. – Więc jak będzie? – zapytałam. – Chcesz coś obejrzeć?

Babcia spuściła wzrok i wpatrywała się w książkę leżącą na jej kolanach, jakby mnie w ogóle nie słyszała.

– A może wolisz poczytać? – zaproponowałam, czując narastającą frustrację.

– Niech będzie film – odpowiedziała wreszcie. – Ty wybierz. Mnie jest wszystko jedno, co obejrzymy.

Tak naprawdę mnie też było wszystko jedno, ale ucieszyłam się, że wreszcie podjęła decyzję. Wstałam z fotela, aby poszukać filmu trwającego maksymalnie dwie godziny.

Zasiadłyśmy na kanapie i obejrzałyśmy *M jak morderstwo*, a raczej wyglądało to tak: film leciał na ekranie telewizora, a ja nie spuszczałam wzroku z zegara na kominku, myśląc o tym, jak wymknę się od babci. Byłam tak zatopiona we własnym świecie, że dopiero po jakimś czasie dotarło do mnie, że babcia, zamiast oglądać film, patrzy w ścianę. Widać było, że coś ją dręczy; najprawdopodobniej chodziło o wujka Trevora i rodzinne spotkanie. Wiedziałam, że powinnam ją zagadać, „wciągnąć w rozmowę”, jak powiedziała by tata. Tamtego wieczoru nie miałam jednak siły, aby zajmować się kimkolwiek oprócz siebie samej.

Pół godziny przed końcem filmu babcia spojrzała na mnie.

– Jestem dzisiaj strasznie zmęczona, Molly – powiedziała. – Nie obrazisz się, że pójde już spać? Nie chcę zostawiać cię samej, ale...

– Nie, nie, w porządku – zapewniłam szybko, nie dowierzając własnemu szczęściu. – Nie przejmuj się. Obejrzę film do końca, a później poczytam trochę w łóżku.

– Dziękuję, kochanie. – Babcia wstała, przytrzymując się poręczy kanapy, po czym zrobiła kilka niepewnych kroków. Wyglądała, jakby miała tysiąc lat.

Usłyszawszy skrzypnięcie drzwi do jej pokoju, zaczęłam się niespokojnie wiercić. Te ostatnie pół godziny wydawało mi się wiecznością. Gdy film wreszcie się skończył, wyłączyłam telewizor i wyszłam. Przystanąłam pod drzwiami pokoju babci, przyłożyłam ucho do drzwi, z nadzieją, że usłyszę jej ciche pochrapywanie. Zamiast tego usłyszałam inny, niebudzący wątpliwości dźwięk: płacz. Zamarłam, nie wiedziałam, co robić. Powinnam zapukać, usiąść na łóżku, pocieszyć babcię. Tylko że ona przecież poszła spać, więc najwidoczniej chciała zostać sama. To sobie powtarzałam, kierując się do pokoju gościnnego.

Zaczekałam do wpół do dziesiątej, siedząc sztywno po ciemku, z plecakiem na ramieniu i żałując, że nie mam w kieszeni mojego kamienia trosk. W końcu wstałam, wyszłam na korytarz i jeszcze raz przyłożyłam ucho do drzwi pokoju babci. W środku panowała cisza.

Wymknęłam się tylnym wyjściem, by ograniczyć ryzyko, że ją obudzę. Latarkę włączyłam dopiero na głównej drodze i puściłam się biegiem w kierunku leśnego domku. Minęłam drogę prowadzącą do domu Amalii. Przez brzęczenie cykad przebijały się niesamowite zwierzęce głosy, od których las aż huczał. Tamtej nocy z całą pewnością umierała tutaj jakaś żywa istota. Przeszedł mnie dreszcz.

Dotarłam do odgałęzienia prowadzącego do leśnego domku. Jak zawsze latem ścieżka niknęła pod grubym kobiercem splątanych chwastów i pnączy bluszczu, ale dawała się wyłowić wzrokiem z poszycia, a już wkrótce zobaczyłam światło w oknach domku. „Boże!”, zawołałam w myślach. „Przyszedł! To się dzieje naprawdę!”

Zdjęłam okulary, schowałam je do zewnętrznej kieszeni plecaka, po czym pchnęłam mocno drzwi i zobaczyłam go: stał na samym środku ciasnego pokoiku i uśmiechał się do mnie.

– Udało ci się – powiedział. – Zaczynałem się martwić.

Nagle poczułam się onieśmielona – tak troszeczkę – ale Chris podszedł do mnie, zsunął mi plecak z ramion i położył go delikatnie na podłodze, a następnie po prostu mnie objął i przytulił. To było bardzo miłe. Milsze, niż gdyby mnie złapał i pocałował – a to właśnie sobie wyobrażałam w moich fantazjach. Ale tak było lepiej. Znacznie lepiej. Zależało mu na mnie, na mnie jako osobie, a nie tylko na tym, żeby się ze mną przespać.

– Widzę, że naprawdę masz jazdę na New Kidsów i Johnny’ego Deppa – zauważył, a ja wtuliłam czoło w jego ramię, zawstydzona. Powinnam była zdjąć te plakaty.

– Zostały z zeszłego roku – bąknęłam. Chociaż plakaty rzeczywiście pochodziły z zeszłego roku, to

przecież przeniosłam je tutaj ze swojego pokoju dopiero niedawno, w lipcu.

– Nie ma sprawy – odparł, przesuając dłońmi po moich bokach. – Każdy ma jakieś fanty z dzieciństwa.

– A ty masz? – zapytałam, czując, jak delikatnie trąca nosem moją szyję. – Z dzieciństwa? – uściśliłam, chcąc najpierw trochę porozmawiać. Nie byłam jeszcze gotowa, żeby znów mnie dotykał, tak jak poprzednim razem.

Chris wyprostował się i odsunął lekko, szeroko uśmiechnięty. Dołeczki w policzkach błysnęły w świetle lampy.

– Denerwujesz się?

– Nie! – zawołałam, starając się odpowiedzieć uśmiechem. Szkoda, że nie miałam mojego kamienia. – Naprawdę jestem ciekawa, jakie fanty z dzieciństwa zachowałeś.

– Głównie gadżety z *Gwiezdnych wojen*. – Położył dłonie na moich plecach i przyciągnął mnie do siebie. A potem pocałował delikatnie, tak delikatnie, że aż zadrżałam. Z nienasycenia. – Figurki. Takie tam.

– Mhm – mruknęłam na znak, że słyszałam, co powiedział. Bo odechciało mi się już gadać o dzieciństwie. Pocałował mnie znów, tym razem mocniej. Było tak samo dobrze jak wtedy, u Stacy. Całował niesamowicie, chociaż trudno powiedzieć, żeby miał jakiekolwiek porównanie.

Chwilę później poczułam, że unosi moją koszulkę, żeby ją ze mnie zdjąć. Chwyciłam go za rękę.

– Trzeba zgasić światło. – Cofnęłam się i wyłączyłam lampę podłogową. – Każdy może je zobaczyć.

– A kogo by tutaj przygnało? – W ciemności wziął mnie za rękę i zaprowadził na tapczan. Położyliśmy się razem na cienkiej brązowej narzucie. Po kilku kolejnych pocałunkach znów zaczął zdejmować mi koszulkę i tym razem nie napotkał oporu z mojej strony. Roześmiałam się, gdy wycięcie przy szyi zaczepiło o ucho. Rozpiął mi stanik, ale piersi ledwie musnął dłońmi, bo od razu zabrał się do zdejmowania moich szortów. Kiedy zostałam już w samych majtkach, wziął mnie za rękę i położył moją dłoń na zapięciu swoich dżinsów. Rozpięłam guzik, lecz z suwakiem musiał mi pomóc, bo za bardzo trzęsły mi się ręce. Potem sam ściągnął spodnie i bokserki – Boże, nie mogłam uwierzyć, jak to wszystko szybko poszło! – i nagle leżał już całkiem nagi obok mnie. Znów wziął mnie za rękę i położył ją na swoim członku. Był większy, niż się spodziewałam. Sto razy większy niż tampon. Nie było mowy, żeby się we mnie zmieścił. Nie wiedziałam, co robić, ale on mi pokazał, a w mojej dłoni jego członek zrobił się jeszcze większy i twardszy.

– Szaleję za tobą. – Wyszeptał mi do ucha i wsunął dłoń za gumkę moich majtek. Dotykał mnie, ale z nerwów nie umiałam skupić się na własnych doznaniach.

– Chris? – odszepnęłam.

– Co? – Wydawało mi się, że z trudem dobył głos z gardła.

– Ja raczej... Chyba jesteś dla mnie za duży. – Dobrze, że zgasiłam światło, bo myślałam, że umrę ze wstydu.

Ale on roześmiał się tylko i poczułam, jak wsuwa we mnie palec.

– Nie jestem za duży – zapewnił. – To niemożliwe. Może cię zboleć, bo to pierwszy raz, ale potem będzie lepiej. Jesteś już na maksa gotowa. – Uklęknął na posłaniu, by zdjąć ze mnie majtki, a potem położył się na mnie i rozsunął kolanami moje nogi. – Zrobię to powoli, tak wolno, jak tylko się da, w porządku?

– Prezerwatywa! – zawołałam.

– No tak. Cholera. Przepraszam. – Wychylił się za krawędź tapczanu i po omacku szukał swoich dżinsów. Usłyszałam trzask rozrywanego opakowania, a po chwili znów położył się na mnie i poczułam, jak wsuwa się do środka. Zabolało, tak jak uprzedzał. Pisnęłam, wbijając mu paznokcie w plecy, i nagle

było już po wszystkim. Trzy sekundy. Tyle to trwało. Opadł na mnie, a ja przypomniałam sobie, co mówiła Stacy: „Pierwszy raz był do kitu”. Spodziewałam się jednak czegoś więcej. Nie powiedział nawet, że mnie kocha. To wszystko nie było warte takich starań.

Chris zsunął się ze mnie i znów sięgnął ręką po swoje spodnie. Usłyszałam, jak czegoś szuka, a potem trzasnęła zapalana zapałka i w jego szaroniebieskich oczach odbił się płomień.

– Dymek po stosunku – mruknął, podając mi żarzącego się skręta.

– Po czym? – zapytałam. – Co to znaczy?

– To znaczy po seksie. – Wyjął mi skręta z palców. – Ekstra jest ta twoja miejscówka – dodał głosem zdławionym przez dym. – Można by robić tutaj imprezy.

– To raczej... nie najlepszy pomysł. – Wyobraziłam sobie, jak jego znajomi zostawiają samochody przed wjazdem do Morrison Ridge i idą do leśnego domku na piechotę, główną drogą. Gdyby ktoś z mojej rodziny akurat przejeżdżał i zobaczył ich, od razu by odgadł, że coś się święci.

– Trzeba by tylko uważać – mruknął, wsuwając mi skręta do ust, a ja się zaciągnęłam. – Gdybyś nie miała ochoty, nawet byś nie musiała przychodzić. Dla bezpieczeństwa.

O czym on mówi? Wydmuchałam dym.

– Jak to nie musiałabym przychodzić?

– No, gdybyśmy zrobili imprezę, a ty bałabyś się, że cię nakryją.

Musiałam coś źle zrozumieć.

– To jest mój leśny domek – oznajmiłam. – Jeśli tutaj ma być impreza, to muszę na niej być.

Chris zaciągnął się mocno, a potem westchnął.

– Słuchaj, Molly. Wiem, że kiedy jesteście sami, to jest w porządku. Albo we czwórkę, ze Stacy i z Bryanem. Ale ty i Stacy nie pasujecie do naszych znajomych. Podobasz mi się, jesteś fajna i w ogóle, ale moi kumple są sporo starsi.

Panika chwyciła mnie za gardło. Wiedziałam, że właśnie coś straciłam. Coś, czego w zasadzie nigdy nie miałam.

– A ja myślałam... – Zacisnęłam usta, żeby się nie rozpłakać. – Mówiłeś, że mnie kochasz.

– No tak... – zaśmiał się. – Kocham cię jak kumpelę.

Usiadłam na posłaniu, osłaniając ramionami piersi, chociaż było ciemno i nie mógł mnie zobaczyć.

– Przecież przed chwilą kochałeś się ze mną – wyjąkałam. – Czy to dla ciebie nic nie znaczy? Zawsze sypiasz ze swoimi kumpelami?

– O, super – prychnął z przekąsem. – Teraz zaczniesz marudzić? – Zsunął nogi na podłogę, odwrócił się do mnie plecami i zgasił skręta palcami. – Weź się w garść. – Usłyszałam, jak sięga po spodnie. – Właśnie dlatego zawsze powtarzam, że ze starszymi jest lepiej. Ze starszymi dziewczynami. One tak nie schizują na randkach.

– Ja wcale nie schizuję! – zawołałam, choć ton mojego głosu zaprzeczał słowom.

– Tak? A niby co robisz? – Wciągnął dżinsy i wstał, żeby je zapiąć. – Muszę lecieć – rzucił, schylając się po koszulkę. W ciemności nie widziałam wyraźnie jego twarzy i czułam się tak, jakby stał się zupełnie innym człowiekiem.

Za wszelką cenę pragnęłam go zatrzymać. Rozpaczliwie szukałam w naszej rozmowie słów, które zraziły go do mnie, tak nagle i tak nieodwracalnie.

– Proszę cię – jęknęłam. – Co ja zrobiłam? Powiedziałam coś złego? Nie rozu...

– Bryan ostrzegął, żebym z tobą nie zaczynała – uciał Chris, wciągając koszulkę. – Widzę, że miał rację.

Przycisnęłam ramiona jeszcze mocniej do piersi. „Nie odchodź!”, chciałam zawołać. „Bryan nie miał racji. Będę taka, jak zechcesz! Możesz urządzić tutaj imprezy. Dam ci wszystko, co zechcesz. Nie odchodź, proszę cię!”.

Ale on odszedł. Wypadł z leśnego domku, nie mówiąc już ani słowa.

Siedziałam sama w ciemności, trzęsąc się spazmatycznie. Miałam mdłości i wydawało mi się, że jeśli wstanę z łóżka, to zwymiotuję. Czułam ból i kłucie w sercu. Zostałam wykorzystana. Było mi głupio, było mi wstyd i czułam się zbrukana.

A najbardziej bolała samotność: byłam jak maleńka drobinka kurzu w ogromnym, kamiennym domu. Miałam czternaście lat, a czułam się tak jak czterolatka. Nie miałam ochoty wracać do babci. Chciałam być z rodzicami, z ludźmi, których miłości byłam całkowicie pewna. Z tymi, którzy zawsze będą mnie kochać, bez względu na wszystko. Jeszcze nigdy w życiu nikogo tak bardzo nie potrzebowałam.

Ubrałam się po ciemku, powoli. Wstrząsał mną szloch, a mój płacz odbijał się od kamiennych ścian. Brzmiało to żałosnie, bo przecież byłam żalosna. Na drżących nogach wyszłam z leśnego domku i znalazłam ścieżkę prowadzącą do głównej drogi. Migotliwy promień latarki obijał się o pnie drzew.

Skręciłam na drogę do naszego domu, a oczy wciąż miałam pełne łez. Myślałam, że spotkanie dawno się już skończyło, a rodzice leżą w łóżku. I dobrze. Nie chciałam z nimi rozmawiać; gdyby zobaczyli moją twarz, musiałabym się tłumaczyć, i to gęsto. Chciałam tylko mieć ich blisko, nic więcej. Poczuć się bezpiecznie, w swoim domu. Poczuć miłość.

Gdy stanęłam na schodach prowadzących na werandę, było już wpół do dwunastej. Wślizgnęłam się po cichu do pustego salonu, w którym panowała przeraźliwa cisza; mrok rozpraszało tylko stłumione światło lampki stojącej w kącie na stole. Pewnie zapomnieli ją zgasić po spotkaniu. Ruszyłam prosto w stronę schodów, starając się lekko stawiać kroki, żeby moje martensy nie zaskrzypiały na drewnianej podłodze.

Nagle usłyszałam za plecami głos Russella:

– Molly?

Stanęłam jak wryta na pierwszym stopniu schodów, z dłonią na poręczy. Powinnam jakoś wyjaśnić, co tutaj robię. Odwróciłam się powoli.

– Dlaczego nie zostałeś u babci? – zapytał Russell.

– Nie mogłam zasnąć – wyjaśniłam. – Chciałam się położyć we własnym łóżku.

Russell zrobił krok w moją stronę i przestraszyłam się, że zobaczy całą tę potworną noc wypisaną na mojej twarzy, ale nie: to jego twarz powiedziała mi, że stało się coś strasznego. Nawet w półmroku dostrzegłam, że ma zaczerwienione oczy i zapadnięte policzki.

– Co się stało? – zapytałam.

Zawahał się. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby brakowało mu pewności siebie. I był smutny, wręcz przygnieciony smutkiem.

– Twój ojciec, Molly – powiedział wreszcie. – Bardzo źle się poczuł.

Spojrzałam mu przez ramię w głąb korytarza, wstrzymując oddech. Ruszyłam w kierunku sypialni rodziców.

– Nie możesz tam wejść. – Złapał mnie za ramię.

– Muszę go zobaczyć. – Usiłowałam się wyrwać, ale trzymał mocno.

– Molly... Lepiej nie. – Jego palce zacisnęły się na moim ramieniu.

– Dlaczego? – Wbiłam w niego twardy wzrok.

I znów się zawahał, wpatrując się w moje oczy, jak gdyby chciał zajrzeć mi prosto w duszę. Widziałam dokładnie, kiedy się poddał. Cofnął rękę.

– Chodź ze mną. – Oparł dłoń na moich plecach i ruszyliśmy do pokoju rodziców.

Serce waliło mi jak młotem. Bałam się, co tam zastanę. Otworzyłam drzwi i zamarłam, porażona sceną rozgrywającą się na moich oczach. W przyćmionym świetle zobaczyłam, że tata leży na łóżku, oparty na kilku poduszkach. Oczy miał zamknięte. Obok niego, z głową opartą na jego ramieniu, leżała mama, obejmując go ręką. Kiedy otworzyłam drzwi, uniosła wzrok, a jej oczy rozwarły się w niemym zdumieniu. Wydawało mi się, że dostrzegłam w nich przerażenie.

– Molly! – zawołała cicho, wrywając mnie z otępienia. Podbiegłam do łóżka.

– Co mu się stało? – zapytałam, łapiąc tatę za rękę. Był bezwładny. Za bardzo bezwładny. Chciałam nim potrząsnąć, żeby się obudził. – Oddycha? – zapytałam.

– Powiedziałem, że źle się czuje – poinformował Russell mamę.

Zauważyłam, że pierś taty unosi się i opada. A więc nie umarł!

– Zadzwońiłaś po pogotowie? – zwróciłam się do mamy.

– Russ, zaprowadź Molly do jej pokoju – poprosiła. W jej głosie było słycać znużenie.

– Czy karetka już jedzie? – Odtrąciłam rękę Russella, który znów próbował wziąć mnie za ramię.

– Nie wezwałam karetki.

– Dlaczego?! Zwariowałaś? – Sięgnęłam po telefon stojący na nocnej szafce, ale Russell wyciągnął rękę i położył na słuchawce.

– On by tego nie chciał – oznajmił.

– Przecież jest chory! – Nic nie rozumiałam. Co tutaj się działo?

– Kochanie, posłuchaj. – Mama delikatnie pomasaowała dłonią ramię taty. Głos miała cichy i opanowany. – Posłuchaj mnie, proszę. On wiedział, że w ciągu ostatnich tygodni, a nawet miesięcy, jego stan ciągle się pogarsza. Wiedział, że niedługo umrze, i nie chciał iść do szpitala, kiedy przyjdzie ten czas. Nie chciał, żeby go ratowano za wszelką cenę. Wolał umrzeć w spokoju. I teraz właśnie... On...

– Umiera? – Spojrzałam na nią z niedowierzaniem.

– Tak.

Łzy trysnęły mi z oczu. Sięgnęłam ponad mamą, chwyciłam tatę za rękę, a potem za ramię i zaczęłam nim potrząsać.

– Tata, proszę cię! – wołałam błagalnie. – Nie umieraj! Ja cię potrzebuję!

Poczułam na ramionach dłonie Russella, a mama złapała mnie za nadgarstek.

– Przestań, kochanie – powiedziała stanowczo.

– Przecież nie pozwolimy mu umrzeć! – wyszlochałam.

– Przestań, Molly. Ciszej. – Mama ostrożnie cofnęła rękę, jakby nie wiedziała, czego się po mnie spodziewać. – Pozwól mu odejść w spokoju.

Ukryłam twarz w dłoniach. Wciąż nie wierzyłam, że to się naprawdę dzieje.

– Proszę – wyjąkałam przez zaciśnięte kurczowo palce. – Proszę. – Nie wiedziałam już, o co tak gorąco błagam.

– Molly – odezwał się Russell. Głos miał nieznośnie spokojny, a dłonie wciąż trzymał na moich ramionach. – Nic już nie można zrobić. Wszystko jest dobrze. Dokładnie tak, jak on chciał.

Poddałam się. Opuściłam dłonie, spojrzałam na tatę i zrozumiałam, że Russell ma rację. Na twarzy mojego ojca malował się spokój. Nie zostało już nic więcej do zrobienia.

Mama musnęła moją dłoń końcami palców.

– Jeśli chcesz... i dasz radę się uspokoić... zostań tutaj z nami, z nim i ze mną. Możesz mi pomóc, żebyśmy umiała pozwolić mu odejść.

Zawahałam się.

– Dobrze – powiedziałam wreszcie, tak cicho, że sama ledwie się słyszałam.

Mama wzięła mnie za rękę, uścisnęła delikatnie.

– Przejdź na drugą stronę łóżka, kochanie – poprosiła łagodnym głosem. – Wszystko w porządku. Damy sobie radę. – Spojrzała na Russella.

– W porządku. – Jego głos brzmiał niepewnie. – W razie czego zawołaj.

Obeszłam łóżko dookoła, nie zauważyłam, kiedy Russell wyszedł. Usiadłam obok mojego ojca i oparłam się plecami o wezgiłowie. Wciąż cicho płakałam, a łzy spływały do zaciśniętego gardła. Oddech taty był nieregularny, urywany, co rusz wydawało się, że ustał, aby potem nagle powrócić, ale z jego twarzy nie zniknął pogodny spokój. Wyglądał tak, jakby po prostu spał. Czy naprawdę tego właśnie pragnął? Przypomniał mi się wieczór naszej zabawy, kiedy prosił, żeby nie wzywano karetki. „Tak”, pomyślałam ze smutkiem w sercu. „Najprawdopodobniej chciał, byśmy pozwolili mu odejść”.

– Chcesz potrzymać go za rękę? – zapytała mama.

Odszukałam wzrokiem rękę taty leżącą na posłaniu i skinęłam głową, dotykając jego wciąż jeszcze

cieplej dłoni. Przypomniałam sobie ostatni raz, kiedy leżałam z nim tutaj. Śpiewaliśmy razem *Lyin' Eyes*. Był wtedy taki pełen życia. Taki szczęśliwy.

– Przy kolacji czuł się dobrze. – Spojrzałam mamie w oczy, omijając go wzrokiem. – Z apetytem zjadł klopsa, pamiętasz? Nic mu nie dolegało.

– Tak można było pomyśleć, wiem – przyznała. – Ale już od jakiegoś czasu czuł się raz lepiej, raz gorzej.

– Czy to się zaczęło teraz, podczas spotkania?

Mama przez chwilę zwlekała z odpowiedzią.

– Skróciliśmy spotkanie, bo źle się poczuł – wyjaśniła wreszcie. – Był wyczerpany. – Odwróciła wzrok w stronę ciemnego okna. – Nie mówmy o tym, Molly – poprosiła. – Po prostu bądźmy teraz przy nim. To jest czas dla niego. On wiedział, że to nastąpi, a ja obiecałam, że przy nim będę.

Z powrotem położyła głowę na ramieniu taty i zamknęła oczy. Podziwiałam ją w tamtej chwili za odwagę i postanowiłam, że też będę odważna. Przytuliłam policzek do drugiego ramienia taty i zamknęłam oczy. Niestety, w tej samej chwili powróciły wspomnienia z leśnego domku. Przypomniałam sobie tę głupotę, tę beznadziejną lekkomyślność, na którą pozwoliłam sobie z chłopakiem, który miał mnie w nosie. Tata strasznie by się za mnie wstydził. „To najgorsza noc w moim życiu”, pomyślałam. Najgorsza z najgorszych.

* * *

Nie wiem dokładnie, kiedy umarł.

Ocknęłam się na rękach Russella, który niósł mnie po schodach do mojego pokoju. Byłam tak zmęczona i zdezorientowana, że nie protestowałam, kiedy położył mnie na łóżku i przykrył kocem, zasnęłam w ubraniu.

Obudziłam się gwałtownie, gdy tylko słońce zajrzało przez okno. Tata. Zerwałam się w mgnieniu oka i zbiegłam po schodach. Pokój rodziców był pusty, co dało mi tyleż szaleńczą, co nikłą nadzieję, że tata jednak wyzdrowiał. Że znajdę go w kuchni, pałaszującego w najlepsze stertę naleśników. Już odwracałam się do wyjścia, kiedy moją uwagę zwrócił przedmiot leżący na blacie nocnej szafki. Podeszłam bliżej; za telefonem, częściowo zasłonięty, zobaczyłam piórnik z witrażowego szkła. Obok stała butelka, której używał tata. Na dnie została jeszcze odrobina wody.

Usiadłam na łóżku i, wstrzymując oddech, sięgnęłam po piórnik. Położyłam go sobie na kolanach i uniosłam wieczko, chociaż wiedziałam, co tam znajdę. Nic.

I wtedy przypomniało mi się, jak mama, po naszym powrocie z trasy promocyjnej, wyjęła z kieszeni fartucha jakieś pigułki. Widziałam, jak wkłada je do piórnika i zamyka go w kuchennej szafce.

Zerwałam się na równe nogi i cisnęłam piórnikiem o podłogę tak mocno, że słychać było wyraźnie, jak coś w nim trzasnęło, a potem nadepnęłam go z całej siły, po czym rozplaszczyłam na podłodze podeszwami moich martensów. Wybiegłam z pokoju i pognałam do kuchni. Obok tylnego wyjścia stał Russell i składał wózek taty, a mama wyjmowała z mikrofalówki miskę z jedzeniem. Kiedy wpadłam do środka, oboje podnieśli głowy.

– Zabiłaś go! – wrzasnęłam i rzuciłam się na mamę z wyciągniętymi rękami, a ona, wystraszona, upuściła miskę na podłogę. Chciałam popchnąć ją na ścianę, ale Russell złapał mnie od tyłu.

– Już, już – powiedział. – Uspokój się, Molly.

Mama patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – zapytała. Miała przekrwione oczy, potargane włosy i była ubrana w to samo, co zeszłej nocy, kiedy czuwała przy tacie: w jasne spodnie i koszulę.

– Znalazłam piórnik na nocnej szafce! – Szarpnęłam się, ale Russell trzymał mnie mocno. – Dałaś mu te wszystkie tabletki. Jak mogłaś?

– Kochanie! – Mama zmarszczyła brwi i ominąwszy szczątki roztrzaskanej miski, wzięła z szafki obok kuchennego telefonu jakąś kartkę. Wyciągnęła ją w moją stronę, a wtedy Russell mnie puścił. Sięgnęłam po kartkę. – Kiedy tata umarł, natychmiast zadzwoniliśmy po lekarza – wyjaśniła. – Przyjechał i wypisał akt zgonu. Widzisz? – Wskazała palcem rubrykę „Przyczyna zgonu”, gdzie widniały trzy słowa: „z przyczyn naturalnych”, a pod spodem podpis lekarza.

Uniosłam wzrok.

– A gdzie się podziały te wszystkie tabletki? – zapytałam.

– Spuściłam je rano w toalecie – odpowiedziała. Oczy miała pełne łez, ocierała je opuszkami palców, ale nie chciały przestać lecieć. – To były środki przeciwbólowe, a on ich już nie potrzebuje – dodała.

– Nie wierzę ci – oznajmiłam.

– Dlaczego miałabym go zabić? Zabić?! – powtórzyła, a w jej oczach widziałam cierpienie.

– Nie wiem! – krzyknęłam. – Może za dużo było z nim kłopotu. A może miałaś go dość.

Uderzyła mnie w twarz. Zachłysnęłam się, a oczy momentalnie wypełniły się łzami. Policzek palił żywym ogniem. Mama odwróciła się i wyszła z kuchni. Usłyszałam jej kroki na drewnianej podłodze korytarza, a potem trzasnęły drzwi jej pokoju. Spojrzałam na Russella.

– Uważam, że ona przynosiła tabletki z pracy – powiedziałam. – Zbierała je, żeby zabić tatę.

– Molly – tłumaczył cierpliwie – lekarz go zbadał i orzekł, że nastąpiły komplikacje związane ze stwardnieniem rozsianym. Nie rozumiem, dlaczego uważasz inaczej. Czemu ranisz własną matkę?

W tamtej chwili nienawidziłam go całym sercem. Jego i jej tak samo. Wybiegłam z domu, wsiadłam na rower i pojechałam do Amalii. Zastałam ją przed domem, siedziała na fotelu wyrzeźbionym z pnia drzewa. Widząc, jak skręcam z głównej drogi, wstała i rozłożyła szeroko ręce. Zeskoczyłam z roweru i wpadłam w jej objęcia. Przygarnęła mnie do siebie i wtedy zobaczyłam, że ona też płacze.

– Skąd wiesz? – udało mi się w końcu wyszeptać.

– Russell zadzwonił do mnie rano – odparła.

Odsunęłam się, aby spojrzeć w jej zalaną łzami twarz.

– Amalio... – Staralam się zapanować nad głosem, żeby potraktowała moje słowa poważnie. – To mama. Ona to zrobiła. Miała tabletki, trzymała je w witrażowym piórniku, który podarowałaś tacie. A dzisiaj znalazłam ten piórnik obok ich łóżka. Pusty. Ona go zabiła.

Amalia patrzyła na mnie w takim osłupieniu, że przez chwilę wydawało mi się, że mi uwierzyła.

– Och, kochanie... – szepnęła po chwili. – Przecież to absurd.

– Nieprawda! – zawołałam. – Trzeba zadzwonić na policję.

– Nie. – Poglądziła mnie po głowie. – Przemawia przez ciebie żal i rozpacz, kochanie. Z żalu można oszaleć. Nie myślisz rozsądnie.

– Nikt tutaj nie myśli rozsądnie poza mną! – sprzeciwiłam się.

– Chodź. – Amalia objęła mnie ramieniem i zaprowadziła do swojego domu. Gdy przechodziliśmy przez salon, zobaczyłam w kuchni telefon i chciałam pobiec i zadzwonić na policję, zanim zdążyłaby mi przeszkodzić. Ale ona, zupełnie jakby czytała w moich myślach, skierowała mnie prosto na poduszki leżące pod szeregiem wysokich tarasowych okien. – Usiądźmy sobie tutaj – powiedziała i pociągnęła mnie za sobą na podłogę.

– Chcę, żebyś mnie uważnie wysłuchała – mówiła dalej, nie puszczając mojej ręki. – Po pierwsze, wybij sobie z głowy, że Nora miała cokolwiek wspólnego ze śmiercią Grahama. To czysta głupota, rozumiesz? Dobrze wiesz, że ona go kochała.

– Ale te tabletki...! – jęknęłam.

– Nie wiem nic o „tych” tabletkach – westchnęła. – On brał mnóstwo leków, pewnie w całym domu znajdziesz różne tabletki. Za bardzo się tym przejęłaś, a tymczasem powinnaś zrozumieć coś zupełnie innego.

Wyrzała przez okno na podwórko przed domem. Białka oczu miała pokreślone dziesiątkami cienkich czerwonych kreseczek.

– Co takiego? – zapytałam.

– On chciał umrzeć, kochanie – powiedziała Amalia. – Wiem, że trudno ci w to uwierzyć... Gdybyś mogła w tej chwili z nim porozmawiać, pewnie usłyszałybyś: „Cieszę się, że to już wreszcie koniec”.

– Ale dlaczego?! – podniosłam głos.

– Ciszej – poprosiła.

– Przecież miał dobre życie – upierałam się. – Miał nas. Miał... rampy, specjalną łazienkę i tak dalej. – Zdawałam sobie sprawę, jak słabo i nieprzekonująco brzmią moje argumenty. – Miał nas – powtórzyłam z naciskiem. – Czemu to było dla niego za mało?

– Nie wiedziałaś, co on czuje – tłumaczyła Amalia. – Skutecznie to przed tobą ukrywał. Choroba zabierała mu wszystko, krok po kroku. Dostarczała coraz to nowych upokorzeń. Bał się, do czego jeszcze może go doprowadzić. Nie chciał być ciężarem. Pragnął się od tego uwolnić.

– On nie bał się niczego! – zaprotestowałam.

– Naturalnie, że się bał – odparła Amalia. – Przecież był człowiekiem. Ale jednego nie bał się ani trochę. Wiesz czego?

– Czego?

– Śmierci.

– Opiekowałabym się nim, zawsze, jak długo byłoby trzeba.

– On tego nie chciał. Nie życzył sobie, żeby ktoś musiał się nim tak zajmować.

– Więc ona pomogła mu umrzeć – dokończyłam. Mój gniew na Norę rozgorzał na nowo. – Nieważne, czy on tego chciał, czy nie. Ona nie miała prawa...

– Molly! – Amalia przerwała mi ostrym tonem, ściskając moją dłoń tak mocno, że aż zaboląło. – Ona by nigdy tego nie zrobiła. Nigdy. To okrutne, że tak o niej myślisz.

Wyrwałam jej rękę.

– Dlaczego mi nie wierzysz? – zapytałam. – Te tabletki...

– Do diabła z tabletkami! – Amalia wstała, a gdy spojrzała na mnie z góry, po raz pierwszy w życiu odniosłam wrażenie, że ma mnie dosyć. Że wręcz ją mdli, kiedy na mnie patrzy. – Nie rozumiem, czemu się tego uczepiłaś.

– Po prostu nie chcesz w to uwierzyć – powtórzyłam z uporem.

– Bo to jest niewiarygodne. Jak możesz sądzić, że Nora byłaby zdolna do czegoś takiego?

– Jej jest na rękę, że on nie żyje. Tyle razy mówiła, że trzeba pozwolić mu odejść w spokoju. Cieszy się...

– Przestań! – Amalia rozplakała się na nowo, otarła oczy dłonią. – Nora może czuć ulgę, że Graham w końcu zaznał spokoju – przyznała przez łzy – ale to nie znaczy, że przyłożyła do tego rękę.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie było szans, żebym ją przekonała.

– Nie chcę więcej o tym słyszeć – oznajmiła Amalia. – To wstrętne. Co pomyślałby twój ojciec, gdyby usłyszał, że rzucasz na Norę takie oskarżenia?

Patrzyłam na nią, nie wierząc własnym oczom. Kim była ta kobieta? Tego dnia nikt, absolutnie nikt nie był sobą. Nora. Russell. Amalia. Może ja także? Z żalu można postradać zmysły.

– Idę się na chwilę położyć – powiedziała nagle Amalia, ocierając mokre od łez policzki. – Jeśli chcesz, zostań tutaj albo... – Machnęła dłonią, co chyba miało znaczyć, że jest jej obojętne, co zrobię.

Stojąc w drzwiach, obejrzała się jeszcze na mnie.

– Pragniesz, żeby on wrócił – powiedziała już spokojniej. – Rozumiem. Rozumiem też, że gniew na Norę to sposób, aby obronić się przed poczuciem straty. Ale musisz to poczuć, Molly – podkreśliła. – Musisz przeżyć tę stratę.

Wyszła, a ja zostałam na poduszkach, oparta o szeroką szybę. Byłam na nią wściekła. Do tej pory zawsze mogłam liczyć na Amalię, na jej bezwarunkową miłość i akceptację. Dzisiaj odcięła się ode mnie.

Zamknęłam oczy i starałam się zrobić to, co mi doradziła. Przeżyć stratę. Nie udało się; moje emocje krążyły wokół szklanego piórnika roztrzaskanego o podłogę w sypialni, dłoni mojej matki wsuniętej do kieszeni aptecznego fartucha, wokół słów, które usłyszałam w nocy z jej ust: „Możesz mi pomóc, żebym umiała pozwolić mu odejść”.

I siedząc tam, na tamtej podłodze, zaczęłam się zastanawiać. Gdybym nie poszła wieczorem do leśnego domku, gdybym została w domu, tam, gdzie moje miejsce – może mogłabym go uratować? Może zadzwoniłabym po pogotowie i karetka dojechałaby na czas?

Czy mogłam coś zrobić, żeby mama nie zabiła taty?

Przez kilka dni miałam spokój, z nikim się nie widywałam. Nora zaglądała do mojego pokoju przynajmniej dwa razy dziennie. Przynosiła mi jedzenie, chociaż prawie niczego nie tknęłam, a ja demonstracyjnie ją ignorowałam i puszczałam mimo uszu każde jej słowo. To właśnie wtedy przestałam nazywać ją „mamą”. Od tej pory już zawsze była dla mnie tylko Nora, a jej imię wymawiałam zimnym głosem, aby zaznaczyć dystans, odciąć się od niej. Robiłam to, aby ją zranić – innej broni nie miałam.

Trzeciego dnia po śmierci taty Nora powiedziała mi, że jego prochy pochowano na naszym rodzinnym cmentarzu. Mogłam zrobić tylko tyle, że zaczekałam, aż wyjdzie z mojego pokoju, i dopiero wtedy poddałam się rozpacz. Najchętniej otworzyłabym okno na oścież i krzyknęła na całe gardło: „Nie!”. Po moim ojcu zostały tylko prochy. Coś takiego wprost nie mieściło mi się w głowie. Było nie do zniesienia.

Starłam się przywyknąć do myśli, że jego już nie ma. Powtarzałam sobie: jeśli wstanę z łóżka i zejść na dół, to jego tam nie będzie. Już nigdy nie usłyszę, jak mówi do mnie „kochanie”. Krążyłam po pokoju i powtarzałam w kółko: „Chcę do taty” dziecinnym głosem, bo czułam się jak małe dziecko. Nie miałam pojęcia, kim była tamta dziewczyna, która nocą wymknęła się z domu babci, żeby uprawiać seks z chłopakiem. Jak ona mogła być tak nierozsądna i egoistyczna? Jak mogła tak się pomylić? Te dwa fakty – ucieczka do Chrisa i śmierć taty – dla mnie łączyły się ze sobą wręcz nierozdzielnie. Gdybym nie była z Chrisem, mogłabym uratować tatę. Zdawałam sobie sprawę, że to bezsensowne, ale straciłam zdolność logicznego myślenia.

Przyszła Amalia, ale zastrzegła, że nie będzie ze mną rozmawiać, jeśli zamierzałam się upierać, że Nora miała coś wspólnego ze śmiercią taty. Wydawało mi się, że ją również straciłam.

* * *

Czwartego dnia Nora przyniosła mi kanapkę z grillowanym serem. Postawiła talerz na biurku, a sama przysiadła na skraju mojego łóżka, gdzie leżałam, zagrzebana pod kołdrą.

– Jutro w pawilonie będzie ceremonia żałobna za tatę – powiedziała. – Chciałabym, żebyś przyszła.

– Nie. – Powieki miałam zaciśnięte, a kołdrę podciągniętą pod sam nos. Nie wiedziałam, jak dokładnie ma wyglądać ta ceremonia, ale nie miałam ochoty iść tam i patrzeć, jak Nora udaje przed wszystkimi swój wielki żal.

– W ten sposób uczymy pamięć o nim, kochanie – dodała jeszcze, a kiedy nie odpowiedziałam, westchnęła. – Bardzo się boję, że jeśli nie przyjdiesz, to potem będziesz żałować. – Pogładziła mnie po ramieniu przez kołdrę, a ja szarpnęłam ją i schowałam się cała, razem z głową, i nie ruszyłam się, aż dała za wygraną i wyszła.

* * *

Dopiero w ostatniej chwili postanowiłam jednak wziąć udział w ceremonii, co oznaczało, że muszę

pójść w tych samych szortach i koszulce, w których spałam przez kilka dni. Wstałam po południu i po raz pierwszy, odkąd „tamto” się wydarzyło, przejrzałam się w lustrze. Włosy miałam brudne, a powieki tak opuchnięte, że wyglądały jak parówki, ale musiałam pójść na tę ceremonię. Myślałam tylko o tym, że duch taty też może tam być, a skoro tak, chciałam być razem z nim.

Do pawilonu pojechałam razem z Norą. Czułam, że ohydnie śmierdzą potem, i myślałam, że usłyszę coś na ten temat, ale ona tylko uśmiechnęła się smutno i powiedziała, że cieszy się z mojej decyzji. Nie odpowiedziałam. Skończyłam z nią rozmawiać.

Kiedy dotarłyśmy na miejsce, momentalnie pożałowałam swojej decyzji. Pawilon był pełen: przyjechała rodzina i znajomi taty. Na jednym krańcu podestu stały rzędy krzeseł, a przed nimi – mikrofon. Mniej więcej połowa gości już siedziała. Trzymali na kolanach talerzyki z jedzeniem i rozmawiali, uśmiechając się do siebie, a ja myślałam tylko: „Jak oni mogą się uśmiechać?”. Ktoś włączył muzykę. Zrobiło mi się niedobrze, bo rozpoznałam jedną ze składanek, które przygotowałam z tatą na letnią zabawę. Miałam im za złe, że puścili to teraz. Elvis, potem Beatlesi, Four Tops i Bing Crosby. Tak nie wolno. Wzięłam krzesło i postawiłam je w kącie, jak najdalej od głośników. Siedziałam sama, na uboczu, z dala od tłumu, wypatrując w otaczającym mnie powietrzu śladów obecności taty.

Po przeciwnej stronie pawilonu siedziała Dani; kiedy mnie zauważyła, wstała z krzesła i ruszyła w moim kierunku. Nie chciałam z nią rozmawiać. Nie miałam ochoty odzywać się do nikogo, ale po chwili już była obok mnie.

– Chodź, usiądziesz ze mną i z moimi rodzicami – zaproponowała.

– Wolę siedzieć sama – odparłam, nie patrząc na nią.

Przez chwilę milczała.

– Mama mi mówiła... – odezwała się wreszcie. – Podobno podejrzewasz ciocię Norę, że miała coś wspólnego ze śmiercią wujka.

– To ona go zabiła.

– Molly... – Kątem oka dostrzegłam, że Dani kręci głową. – To chore. Padło ci na mózg?

– Odwal się.

– Wiesz co? – powiedziała łamiącym się głosem. – Ja też go kochałam.

Spojrzałam na nią. Nie była umalowana. Nie miała kolczyka w wardze. Przypomniałam sobie, jak klęczała przy tacie tamtego wieczoru, kiedy spadł z podestu. „Ona nie jest moim wrogiem”, pomyślałam.

– Wiem o tym – szepnęłam ze skrucą.

– Usiądziesz z nami? – zapytała jeszcze raz, ale ja tylko potrząsnęłam głową.

– Dzięki, nie.

Poszła sobie, a ja dalej siedziałam sama i wściekałam się na muzykę. Jakiś czas potem na skraju tłumu, całkiem niedaleko, zauważyłam Petera i Helen. Obok nich siedziała Janet ze swoim wikingiem. Jęknęłam pod nosem, gdy zobaczyłam, że Peter ruszył w moją stronę. Gdy przykucnął obok mojego krzesła, spuściłam wzrok.

– Bardzo ci współczuję, Molly – powiedział.

– Dziękuję – wymamrotałam.

– To był niezwykle inspirujący człowiek – dodał Peter, a ja poczułam, że usta mi drżą. – Gdybym mógł ci w czymś pomóc, daj znać, dobrze? – Wstał i położył mi dłoń na ramieniu. – Jeśli będziesz chciała porozmawiać, jestem do twojej dyspozycji.

„Z tymi swoimi freudowskimi bzdetami? Nie, dziękuję”, pomyślałam. Ciekawe, czy on się cieszył, chociaż trochę, że nie ma już konkurencji zawodowej.

– Dobrze – przytaknęłam, a wtedy Peter, ku mojej wielkiej uldze, wrócił na swoje miejsce.

Wszyscy zajęli miejsca i ktoś wyłączył muzykę. Różni ludzie po kolei podchodzili do mikrofonu. Wujek

Trevor i ciocia Claudia. Russell. Peter. Wszyscy mówili o tym, jakim wspaniałym człowiekiem był mój ojciec, ale do mnie niewiele docierało. Siedziałam z rękami skrzyżowanymi na piersi, jakby to była zbroja, mój pancerz.

W końcu za mikrofonem stanęła Nora, ale zamiast mówić o tacie, uniosła tylko dłoń. W palcach trzymała kopertę.

– Graham zostawił ten list, z poleceniem, żeby otworzyć go po jego śmierci.

Uśmiechnęła się. Z jej twarzy zniknęła bladość; policzki miała rumiane, a pod oczami nie było już tych bladofioletowych plam. „Twoja mama jest trochę podobna do Grace Kelly, prawda?”. Na to wspomnienie oczy wezbrały mi łzami.

– On nie chciał, żeby opłakiwano go zbyt długo – mówiła dalej Nora. – Więc na kopercie jest napisane, żeby włączyć piosenkę *Footloose*... – Wsunęła palce do środka i wyjęła kartkę papieru. – A na tej kartce są takie słowa: „Róbcie tak, jak gdybyście tańczyli”.

Wstrzymałam oddech. Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Wszyscy oprócz mnie. Zauważyłam, że Janet potrząsnęła głową i powiedziała z uśmiechem do swojego wikinga: „Cały Graham”.

Zacisnęłam dłonie na siedzeniu krzesła. Tata wiedział, co robi, gdy polecił mi wydrukować tę kartkę, a to było przecież wiele tygodni temu. Nieświadomie odegrałam rolę w tej koszmarnej farsie. Czyżby naprawdę sam poprosił Norę, żeby dała mu te tabletki? Poczulałam się oszukana i nagle chwycił mnie straszny gniew na ich oboje.

– A więc, kochana rodzino i drodzy przyjaciele – Nora machnęła kopertą w powietrzu – niech jego życzeniu stanie się zadość.

Z głośników buchnęły dźwięki *Footloose*. Ludzie posłusznie wstali z krzesel, odsunęli je na skraj podestu i zaczęli tańczyć. Z początku niezgrabnie, bo widać było, że nikt nie ma na to wielkiej ochoty, ale wreszcie – co mój ojciec najprawdopodobniej przewidział – metoda „Jak gdyby” podziałała i wszyscy zapamiętali się w tańcu, zaczęli wymachiwać rękami, a w niebo nad pawilonem wystrzeliły salwy śmiechu. Może był to śmiech przez łzy; nie wiem. Nie zostałam tam na tyle długo, żeby się dowiedzieć. Zerwałam się z krzesła, zeskoczyłam z podestu i puściłam się biegiem przez trawnik, prosto do domu, zasłaniając uszy dłońmi. Minęłam dom babci, kolisty podjazd pod domem i popędziłam główną drogą, przed siebie, wciąż przed siebie, byle dalej od tych ludzi, od wszystkich, których znałam – i których kochałam – dopóki nie zyskałam całkowitej pewności, że już nic nas z powrotem nie połączy.

San Diego

– Wciąż wierzysz, że twój ojciec poprosił Norę, żeby... pomogła mu zakończyć życie? – pyta Aidan, starannie dobierając słowa. Kiedy zaczynałam opowiadać mu o Morrison Ridge, siedzieliśmy na kanapie w salonie, ale nagle zapragnęłam, żeby mnie przytulił, więc przenieśliśmy się do sypialni, na nasze łóżko.

– Tak. – Kiwam głową. – Przynajmniej tak mi się wydaje. Myślę, że kiedy tata poprosił, żebym wydrukowała mu kartkę z napisem: „Róbcie tak, jak gdybyście tańczyli”, on i Nora mieli już wszystko zaplanowane. Ale gdybym ją wydała, odpowiadałaby za morderstwo. O ile udałoby mi się kogoś przekonać do moich racji.

– Naprawdę byś to zrobiła?

– No cóż, jak widać, nie zrobiłam. Ja... – Pod powiekami znów czuję ukłucia łez. – Kiedy próbowałam z kimś o tym porozmawiać, z Amalią, Russellem albo ciocią Claudią, wszyscy się na mnie wkurzali. Współczuli Norze i uważali, że przeze mnie jest jej jeszcze trudniej. Gdybym poszła na policję, znienawidziliby mnie. A poza tym...

– Co poza tym?

– W głębi serca chyba wciąż ją kochałam.

– Oczywiście, że tak – mówi. – Ona cię wychowała.

Opieram czoło o jego ramię. Mocniej obejmuję go w pasie.

– Jednego nie rozumiem. – Aidan gładzi mnie po szyi, a jego głos jest cichy i trochę niepewny. – Wierzysz, że człowiek ma prawo umrzeć. Wiem, bo o tym rozmawialiśmy i jesteśmy tego samego zdania, prawda?

– Tak – przyznaję. – Ale nikt nie ma prawa odebrać życia drugiemu człowiekowi.

– Mnie się wydaje, że twój ojciec nie miał innego wyjścia, dlatego poprosił o pomoc.

– Wiem – wzdycham ciężko. – Ale... może gdyby Nora powiedziała mi prawdę, łatwiej byłoby mi to znieść.

– Po tym, co powiedziałaś, raczej nie sędzę – mówi Aidan. – Kochałaś ojca, a ona budziła w tobie mieszane uczucia. No i byłaś jeszcze dzieckiem, miałaś czternaście lat... Nie widzę sposobu, żeby ona zdołała jakoś pomóc ci dojść z tym do ładu.

– Wiem – powtarzam.

– Myślisz, że Amalia wiedziała, co naprawdę się stało? Albo ten opiekun? Russell?

– Uważam, że oni tak bardzo chcieli uwierzyć w śmierć z przyczyn naturalnych, że kiedy opowiedziałam im o tabletkach w piórniku, po prostu woleli tego nie wiedzieć – mówię. – Raz próbowałam porozmawiać o tym z Dani. Kiedy trafiłam do tej samej szkoły z internatem, ona była już w ostatniej klasie i wzięła mnie pod swoje skrzydła. Poruszyłam ten temat, bo bardzo potrzebowałam z kimś o tym pogadać, ale odmówiła. Zarzuciła mi, że robię z siebie wariatkę, i zagroziła, że jeśli będę rozpowiadać takie bzdury, przestanie się do mnie odzywać.

– Więc zostałam z tym całkiem sama. – Aidan przygarnia mnie do siebie, a moje oczy znów wypełniają się łzami.

Tak. Zostałam zupełnie sama. Współczuję tamtej czternastoletniej dziewczynie.

– Musisz tam wrócić – oznajmia mój mąż. – Wiesz o tym, prawda?

Kręcę przecząco głową.

– Amalia nie żyje. Mam wyrzuty sumienia, że nigdy się z nią nie skontaktowałam, że odciąłam się od niej tak samo jak od pozostałych, ale naprawdę nie wiem, po co miałabym tam wracać.

Nie chcę już nigdy w życiu oglądać Morrison Ridge na oczy. Najchętniej wykreśliłabym z pamięci tamte lata. Do tego właśnie dążyłam przez znaczną część dorosłego życia.

– Musisz spotkać się z Norą – mówi Aidan.

– Nie chcę.

– Musisz – powtarza. – Musisz tam pojechać.

– Czemu? – Irytuje mnie jego upór.

– Bo to jest twoja kula u nogi, kochanie. – Aidan głaszcze mnie po policzku. – Nikt nie ucieknie przed swoją przeszłością, ani ty, ani ja. Ty uciekałaś przez długi czas, aż w końcu cię dopadła.

– W najgorszym momencie – mówię z przekąsem. – Sienna...

– Sienna rodzi dopiero za miesiąc – przerywa mi i całuje w usta. Widzę jego oczy, chociaż w pokoju jest ciemno. – Będziemy mieli dziecko. – Wiem, że się uśmiecha. – Będziemy rodziną. Jest matka biologiczna, a ty zostaniesz matką adopcyjną. Musisz rozprawić się z demonami przeszłości, Molly. Nie możesz dłużej pozwalać, aby twoja przeszłość wchodziła w drogę przyszłości.

Wzdycham ciężko. Tak. Aidan ma rację.

– W porządku. – Z powrotem kładę głowę na jego ramieniu. – Pojadę tam.

Mimo to i tak myślę, że on nie zdaje sobie sprawy, o co mnie prosi. Chyba nawet ja sama tego nie rozumiem.

Asheville, Karolina Północna

Nocny lot z Los Angeles do Charlotte jest długi. Próbuję czytać, ale nie mogę się skupić. Niebo jest bezchmurne i przez całą podróż rozpościera się przede mną zapierający dech w piersiach spektakł światła w dole. Na próżno wypatruję w ciemności charakterystycznych obiektów. Lecimy nad Teksasem? Arkansas? Tennessee? Im bliżej Karoliny Północnej, tym mocniej bije mi serce. Ogarnia mnie przytłaczająca tęsknota. Opierałam się jej przez dwadzieścia lat, ale teraz słyszę brzęczenie cykad i czuję zapach górskiego lata, a w moje policzki uderza wiatr, jak na tyrolce.

Z Morrison Ridge wiąże się mnóstwo wspomnień, ale pamięć uparcie podsuwa mi tylko jedno: ostatnią rozmowę z tatą na naszej werandzie. Prosił, żebym go przytuliła, potrzebował tego, ale ja, wkurzona, planowałam w głowie spotkanie z Chrisem Turnerem w leśnym domku. „Teraz już rozumiem, tato”, myślę. „Teraz rozumiem”. Ale „teraz” jest już o wiele za późno. Bardzo bym chciała móc przeżyć tamten dzień na nowo. Tyle rzeczy zrobiłabym inaczej. Uściskałabym go, kiedy tego potrzebował.

Przypominam sobie, jak bardzo się cieszył, słysząc, że kiedy dorosnę, być może zostanę terapeutką i będę stosować metodę „Jak gdyby”. Jaką radość miał w oczach, dowiedziawszy się – a najprawdopodobniej miał świadomość, że tamtego dnia umrze – że córka chce pójść w jego ślady. Tylko że po tym, co się stało, kariera terapeutki spadła na ostatnie miejsce listy moich aspiracji zawodowych. Wybrałam prawo, bo ta dziedzina wydawała mi się najbardziej odległa od odgrywania. „Prawo to twarda rzeczywistość”, myślałam. Fakty, prawda i sprawiedliwość. Myliłam się. Praktyka prawnicza to sztuka pozorów. Każdego dnia muszę udawać, że racja jest po stronie moich klientów i że wcale nie naginam prawdy, aby wygrać dla nich sprawę. Zawsze lubiłam tego typu wyzwania i uwielbiam pomagać dobrym ludziom, aby mogli wygrać, ale znam też prawdę o sobie i mojej pracy: to zwykła gra, odgrywanie, udawanie. I jestem tym już trochę zmęczona.

* * *

Łądujemy w Charlotte punktualnie. Po długiej podróży chętnie bym się przebrała, zdjęła dzinsy i czerwoną bluzkę, które miałam na sobie przez całą noc, ale spieszę się do Asheville. Myję zęby w toalecie w wypożyczalni samochodów, wsiadam do wynajętego auta i zaopatrzona w mapę ruszam na zachód.

Kilka godzin później mijam rogatki Asheville – po raz pierwszy, odkąd byłam nastolatką. Dotarły do mnie wieści, że przez te dwie dekady w mieście zaszły radykalne zmiany, i szybko mam okazję się przekonać, że pogłoski są zgodne z prawdą. Niegdyś senne miasteczko tętni życiem, a ja chłonę te widoki, jadąc powoli, nie spiesząc się z szukaniem domu Amalii i Russella. Mam adres, ale przed wyjazdem z Morrison Ridge odwiedziłam moją biologiczną matkę tylko raz i wszystko, co pamiętam z tamtej wizyty, to targający mną gniew. Amalia nigdy nie dała się przekonać, że Nora zabiła mojego ojca. Broniła

jej, chociaż Nora nie zrobiła nic, kiedy rodzina wyrzuciła Amalię z Morrison Ridge. Nie potrafiłam tego zrozumieć. I wciąż nie rozumiem.

* * *

Niewielki dom w stylu craftsman odnajduję na zielonej od drzew ulicy niedaleko centrum Asheville. Po tylu latach trudno mi go poznać. Nie wysiadając z samochodu, sprawdzam adres w telefonie. Tak, to tutaj. Dom jest zupełnie inny niż tamten nowoczesny bungalow z wielkimi oknami, w którym kiedyś mieszkała. Ciekawe, czy była tutaj szczęśliwa.

Na ganek prowadzi ścieżka wyłożona okrągłą kostką. Dzwonek do drzwi zastępuje garść dzwoneczków wiszących na sznurze. „Cała Amalia”, myślę. Pociągam za sznurek i krzywię usta z niechęcią, gdy w powietrzu rozbrzmiewa wesołe dzwonicie. Nie jest mi wesoło. Ani trochę.

Nie słyszę kroków i nie czuję drżenia podłogi, lecz mimo to mam wrażenie, że ktoś się zbliża. Drzwi się otwierają, a w progu staje Russell. Włosy ma obcięte krótko i przyprószone siwizną, ale jego czekoladowe oczy cocker-spaniela są ciepłe jak dawniej, a sylwetka – tak samo mocna i atletyczna. W dzinsach i sportowej koszuli z długim rękawem wciąż wygląda tak, jakby z łatwością mógł podnieść mojego tatę z wózka.

– Molly. – Na jego twarzy maluje się zaskoczenie.

Nie mogę wydobyć głosu z zaciśniętego gardła. W jego oczach i rysach dopatruję się wielu różnych rzeczy. Jest wśród nich wdzięczność, że w ogóle przyjechałam. Żal, że zjawiłam się tak późno, o wiele za późno. Jest też coś jeszcze: nie wiem, czy to wyrzuty sumienia, przebaczenie, czy też może po prostu głęboki smutek. Nie potrafię odgadnąć, czy te emocje, które dostrzegam, są jego, czy moje własne.

Russell rozkłada szeroko ręce, a ja, ku własnemu zdziwieniu, podchodzę i pozwalam się objąć.

– Bardzo mi przykro – mówię.

– Wejdz, proszę. – Russell cofa się i wpuszcza mnie do środka.

Wchodzę do małego salonu urządzonego w stylu arts and crafts. To zupełne przeciwieństwo słonecznego salonu Amalii w Morrison Ridge, w którym królowały olbrzymie okna, ale piękne drewniane szafki i sztukaterie na ścianach, a także liczne obrazy sprawiają, że wewnątrz jest ciepłe i chce się tam przebywać. Z łatwością wyobrażam sobie Amalię w tym pokoju.

– Usiądź. – Russell wskazuje masywną, niebieską kanapę pod ścianą. Zapadam się w miękkie, puchate poduszki. – Napijesz się czegoś?

– Wody – proszę. Żeby zająć czymś ręce.

Russell wraca po chwili z zimną butelką w dłoni. Upijam mały łyk, po czym zaciskam palce na chłodnym szkle, zastanawiając się, co powiedzieć. Może coś o pogodzie? O odrodzeniu Asheville? O ich uroczym domu? Otwieram usta, ale Russell unosi rękę, jakby z góry wiedział, że zdecyduję się na jakiś banał, i chciał mnie przed tym ustrzec.

– Wspominała o tobie niemalże każdego dnia – mówi.

O Boże.

– Przykro mi – powtarzam. – Byłam na nią zła i...

– Nie zasłużyła na taką złość z twojej strony.

Wodzę wzrokiem po kamiennym kominku. Wciąż jeszcze czuję ten gniew, buzuje we mnie nawet teraz.

– Russell, przecież ty wiesz, że Nora go zabiła – mówię. – Nawet jeśli chciała dla niego dobrze, to fakt pozostaje faktem. Mimo to wy wszyscy, ty, Amalia i inni, wmawialiście mi, że zwariowałam, bo w ogóle ośmielałam się tak myśleć. Jak miałam nie być zła?

Russell otwiera usta, ale nie dopuszczam go do głosu.

– Proszę, nie mów mi o zgonie „z przyczyn naturalnych”. Wiem, że Nora kradła leki z pracy. Wszyscy chcieliście wierzyć w naturalne przyczyny, ale to mydlenie oczu. Po prostu nie dopuszczaliście do siebie myśli, że ona mogła to zrobić. Albo było wam wszystko jedno. A może uznaliście, że on chciał umrzeć, a cel uświęcał środki. Nie mam pojęcia, co o tym myśleliście. Wiem tylko, że źle się stało.

Russell wpatruje się w podłogę. Milczymy oboje, ale po chwili on podnosi wzrok.

– Czy w ogóle kontaktowałaś się z Norą? – pyta.

Potrząsam głową.

– Odkąd wyjechałam z Morrison Ridge, ani razu.

– Odwiedzisz ją teraz? To tak blisko.

– Po to tutaj przyleciałam. – Odstawiam butelkę na stolik i pocieram wilgotne dłonie o siebie. – Chciałam spróbować... Sama nie wiem. Zamknąć te sprawy. Ale czy to w ogóle możliwe? Nie wiem nawet, co miałabym jej teraz powiedzieć.

Russell wydaje z siebie przeciągłe westchnienie. Dłonie, które trzymał na poręczach fotela, kładzie na kolanach, pochyła się w przód.

– Zabiliśmy go razem, Molly. My wszyscy – mówi krótko.

Narasta we mnie irytacja, bo uznaję, że posłużył się jakąś przenośnią.

– Chodzi o to, że wszyscy ostatecznie skorzystali na sprzedaży ziemi? – pytam. – Nie wiem, czemu...

– Nie o to chodzi. – Russell podnosi się, staje przy kominku. Zwraca twarz ku oknu nad zabudowaną szafką, jakby nie chciał na mnie patrzeć. – Zabiliśmy go wspólnie. Wszyscy razem. – Dopiero wtedy patrzy mi w oczy.

Czuję na plecach lodowaty dreszcz.

– Nie rozumiem – zacinam się. – O czym ty mówisz?

Russell wsuwa dłonie w kieszenie spodni.

– On chciał umrzeć, ale nie mógł, rzecz jasna, sam tego zrobić – wyjaśnia. – Poprosił nas... – Zaciska powieki; mam wrażenie, że błądzi wśród wspomnień. Czekam cierpliwie, a on zaraz otwiera oczy i patrzy prosto na mnie. – Pamiętasz, że tamtego lata było sporo tak zwanych rodzinnych spotkań? – pyta.

Kiwam głową. Jak mogłabym zapomnieć? Dzięki nim miałam czas i swobodę, aby przeżyć swój nastoletni bunt.

– Myślałaś, że omawiamy pomysły Trevora, który planował rozbudowę Morrison Ridge, a w rzeczywistości spotkania dotyczyły Grahama. – Russell siada na drugim końcu kanapy. – Poprosił nas, żebyśmy pomogli mu umrzeć – mówi. – Z początku, ma się rozumieć, staraliśmy się mu to wyperswadować, ale kiedy nas przekonał, że myśli o tym poważnie i że znajdzie sposób, żeby to zrobić, z nami czy bez nas, zaczęliśmy się zastanawiać, jak możemy mu pomóc. Nie chciał, żeby była za to odpowiedzialna tylko jedna osoba. Ani Nora, ani nikt inny.

Czuję, jak krew odpływa mi z twarzy.

– Jak... Nie rozumiem – powtarzam jeszcze raz.

– Masz rację: to Nora zdobyła leki – ciągnie Russell. – Wiedziała, co mu dać i ile musi połknąć. Chodziło o to, żeby żadne z nas nie dało mu śmiertelnej dawki, ale żeby w połączeniu wystarczyło.

– Boże. – Zasłaniam dłonią usta, usiłując objąć to rozumem. – Ty... pomagałeś?

– Amalia też. – Russell kiwa głową. – Wszyscy pomogli, oprócz twojej babci, chociaż ona wiedziała, co się dzieje, i wszystko rozumiała. Ale i tak... – Przesuwa dłonią po siwiejących włosach. – Moim zdaniem to wpędziło ją do grobu. Po jego śmierci było z nią coraz gorzej, pamiętasz?

Pamiętam. Babcia zmarła kilka miesięcy po tacie. Straciłam dwoje ukochanych ludzi właściwie jednocześnie. Pamiętam, jak płakała w wieczór jego śmierci. Byłam obok, ale niczego nie rozumiałam, bo absorbowały mnie własne plany na wieczór i nie zwracałam sobie głowy jej smutkami. Teraz to

wszystko nabrało sensu.

– Czy tylko rodzina brała w tym udział? – pytam. – Na jednym ze spotkań widziałam Janet i Petera.

– Oni też pomogli, a także Helen, żona Petera. – Russell pochyla się w przód. Dłonie trzyma na udach, a wzrok ma utkwiony we mnie. – Oraz kilka innych bliskich osób. Trevor z początku się opierał. Sprawa była dla niego naprawdę bardzo trudna, bo bez twojego taty miał wolną rękę w sprawie ziemi i z tego powodu, zdaje się, gryzło go sumienie. W końcu jednak dał się przekonać. Twoja ciocia Claudia zdecydowała się dosłownie w ostatniej chwili, kiedy byliśmy już wszyscy razem, w sypialni. Zobaczyła, jak bardzo Graham jest nam wdzięczny, i postanowiła...

– Przestań! – Zasłaniam sobie uszy. – Nie mogę uwierzyć, że wy wszyscy... po prostu się na to zgodziliście? Umówiliście się, że go zabijecie?

Russell potrząsa głową.

– Zgodziliśmy się pomóc człowiekowi, którego kochaliśmy, uciec przed życiem, które było już ponad jego siły.

Nie chcę płakać, ale łzy pieką mnie pod powiekami. Te słowa mnie ranią. Opuszczam dłonie i kładę je z powrotem na udach, zaciśnięte w pięści. Ja też byłam częścią życia tego człowieka. Dlaczego nie znalazł siły, aby żyć dla mnie? Smutek uciska mnie w piersi. Mam wrażenie, że nigdy nie otrząsnę się po tym, co właśnie usłyszałam. I nagle przypominam sobie, że kiedyś, przed jednym z tamtych spotkań, widziałam Dani; była w naszej kuchni i czekała, aż się zacznie.

– A Dani? – Spoglądam na Russella wielkimi oczami.

Przytakuje z wahaniem.

– Uznali ją za wystarczająco dorosłą, by mogła to zrozumieć.

– Jestem z nią w kontakcie, a nigdy nie wspomniała o tym choćby słowem.

– Oczywiście, że nie – mówi Russell. – Żadne z nas nikomu nie powiedziało. I ja teraz też nie powinienem, ale...

– Dlaczego Nora nie wyznała, że wszyscy braliście w tym udział, i pozwoliła mi wyzywać się na sobie?

– A niby jak miała to zrobić? – Russell odpowiada pytaniem. – Nie ośmieliłaby się zdradzić przed nikim, a najbardziej przed tobą. Wzięła na siebie twój gniew, bo inaczej musiałyby wydać nas wszystkich. Ale zapłaciła za to. Wiedziała, że cię straci, i to było dla niej potworne, ale nie umiała znaleźć wyjścia z tej sytuacji. – Przechyla głowę, jakby chciał mi się lepiej przyjrzeć. – Każde z nas poniosło konsekwencje, Molly. Tego twój ojciec nie wziął pod uwagę. Byliśmy przekonani, że postępujemy dobrze, ponieważ kierowaliśmy się współczuciem, lecz sumienie i tak nie dawało nam spokoju. Jeśli mam być szczery, to nie spodziewałem się, że tak będzie. Zdawałem sobie sprawę, jak bardzo cierpiał, chyba tylko Nora wiedziała więcej ode mnie. Ukrywał to przed tobą i innymi, ale ja widziałem, dzień w dzień, na każdym kroku. Wiedziałem, że nade wszystko pragnął umrzeć, ale kiedy to się stało, czułem się winny. Byłem zły, że nie miał innego wyjścia. I że wszyscy musieliśmy wziąć udział w...

– Morderstwie – kończę za niego.

Russell milczy przez długą chwilę.

– Tak – przyznaje wreszcie. W jego głosie brzmi rezygnacja.

– W Karolinie Północnej morderstwo nie ulega przedawnieniu – recytuję tonem rasowego prawnika. Po raz pierwszy, odkąd przestąpiłam próg tego domu, czuję pod nogami pewny grunt. – Nie baliście się, że ktoś pęknie i się wygada? A ty, nie boisz się teraz, kiedy sam mi o tym powiedziałeś?

– A powinienem? – Russell unosi brwi.

Waham się tylko sekundę i przecząco kręcę głową. Nigdy nikomu nie powiem o tym, czego się dzisiaj

dowiedziałam. Nie jestem nawet pewna, czy wyznam to Aidanowi. Co oznacza, że będę miała przed nim kolejną tajemnicę, ale ryzyko jest zbyt wysokie. Zbyt wielu ludzi można w ten sposób narazić.

– Naturalnie, baliśmy się, że ktoś wygada – przyznaje Russell. – Ale ten ktoś obciążyłby też siebie. Liczyliśmy na to, że wszyscy zachowają milczenie.

– A jak wam się udało skłonić lekarza, aby wpisał do aktu zgonu śmierć z przyczyn naturalnych? – pytam.

Russell uśmiecha się smutno.

– To był znajomy Amalii – wyjaśnia. – Zrobiłby dla niej wszystko.

Przypominam sobie, jak Nora i ciocie szykowały w naszej kuchni jedzenie na zabawę. Rozmawiały o lekarzu, znajomym Amalii. „Na pewno jakiś konował”, powiedziała wtedy ciocia Claudia.

Odchylam głowę na oparcie kanapy, pocieram skronie czubkami palców.

– Zdaje się, że jestem w szoku – mówię.

Russell pochyla się w moją stronę. Jego brązowe oczy błyszczą.

– Zrobiliśmy to z miłości, Molly – zapewnia. – Mam nadzieję, że potrafisz to zrozumieć. Chociaż jest już za późno, żebyś ułożyła swoje sprawy z Amalią, wciąż masz jeszcze czas naprawić stosunki z Norą. Dlatego ci to wszystko powiedziałem. – Muska opuszkami palców moją dłoń. – Jedź do niej, Molly. Jedź zobaczyć się z matką.

Morrison Ridge

Po pożegnaniu z Russellem wyjeżdżam z Asheville w kierunku Swannanoa i Morrison Ridge. Górskimi drogami mogłabym jechać szybciej, ale czuję się przytłoczona tym wszystkim, czego się dowiedziałam. Zobaczę się z Norą, ale na razie nie ma pośpiechu. Pół życia w gniewie i poczuciu krzywdy to nie jest coś, o czym da się zapomnieć w kilka minut. Jestem zła na Norę, że w taki sposób przyczyniła się do śmierci taty, i mam pretensję o to, że mnie okłamywano. Wkurza mnie myśl, że jako jedyna osoba w całym Morrison Ridge nie wiedziałam, co się dzieje, i że straciłam ojca, a nawet nie dane mi było się z nim pożegnać. Każdy oprócz mnie mógł to zrobić.

Droga się zwęża, a do okien samochodu zaglądną drzewa. Widok aż zapiera mi dech w piersi. Przyzwyczaiłam się do rozległych krajobrazów Kalifornii i znalazłszy się nagle wśród wysokich drzew, pod ciężkim, duszącym baldachimem gęstego listowia, czuję się wytracona z równowagi.

Gdy droga zaczyna się wiać, zwalniam i wypatruję białej tabliczki z czarnym napisem – drogowskazu oznaczającego wjazd do Morrison Ridge. Za ostatnim zakrętem okazuje się, że w jego miejscu stoi inny znak, tablica wielka jak pół billboardu i zawieszona na dwóch słupach. Jest frezowana w drewnie i rustykalna w stylu, ale widać wyraźnie, że to tylko na pokaz. Ciemnobrązowe drewno i złote litery MORRISON RIDGE, a pod spodem mniejsza tabliczka z napisem: OSIEDLA MIESZKANIOWE.

Dani uprzedzała mnie, że zaszły tutaj spore zmiany, więc w zasadzie nie wiem, czemu jestem w takim szoku, ale jestem. Zatrzymuję samochód na środku drogi, żeby przyjrzeć się tej tablicy. Pretensjonalna do bólu i tak przytłaczająca, że aż boję się skrócić; niestety, nagle w lusterku ukazuje się jakiś samochód i muszę ruszyć. Skracam w prawo i już po chwili jestem w miejscu, które kiedyś tak kochałam: na pętli głównej drogi. To był mój dom. Teraz już tego nie czuję. Po pierwsze, droga ma twardą nawierzchnię. I z całą pewnością została poszerzona. Zdezorientowana mijam zakręt prowadzący do domu, w którym dawniej mieszkałam. „Jeszcze nie teraz”, myślę. Nie tak od razu.

Jadę przed siebie, w kierunku Piekielnego Wzgórza. Na twardej nawierzchni jest chyba mniej stromo, zwykły samochód z wypożyczalni bez trudu daje sobie radę ze wzniesieniem. Ze szczytu wzniesienia widać, że w lesie wycięto ścieżkę spacerową biegnącą wzdłuż jezdni. Dostrzegam kilka osób na rowerach. Mężczyznę z psem. Kobiętę z wózkiem. Morrison Ridge rozkwita. Od głównej drogi odbijają inne, których wcześniej tutaj nie było. Prowadzą na lewo, gdzie wyrastają nowe, gęsto zalesione osiedla, nowe w każdym razie dla mnie, bo niektóre z nich, jak się domyślam, mają już blisko dwadzieścia lat.

Ruszam dalej główną drogą, mijam olbrzymie domy stojące na rozległych działkach, bezsprzecznie dzieło architekta krajobrazu. Przygnębia mnie ten widok. Jakiś facet myjący samochód na swoim podjeździe macha ręką przejeżdżającej rowerzystce. Przypomina mi się, co mówiła babcia, narzekając na wujka Trevora i jego pomysły zagospodarowania naszej ziemi: takie osiedla zapełnią się obcymi ludźmi, którzy nie mają zielonego pojęcia o Morrison Ridge i nic ich to nie obchodzi. Mam ochotę otworzyć okno i wrzasnąć do tego faceta na podjeździe: „To nie jest twoje miejsce!”, ale nie zatrzymuję się, jadę dalej,

zdając sobie sprawę, że to raczej ja nie mam czego szukać w Morrison Ridge.

Zwalniam na widok ławki, jednej z tych, które postawił mój dziadek, na której tata siedział z Amalią pewnej nocy, dawno temu. Chyba ją odnowiono, a może nawet wymieniono na nową, bo deski są bez skazy, pięknie zabejcowane na mahoniowy kolor. Wtedy była tu ze mną Stacy Bateman. Po śmierci taty zerwałam z nią kontakt. Nie dzwoniłam do niej, ona też nie dzwoniła do mnie, i tak było w porządku. W moich wspomnieniach jej postać wpisuje się bardzo mocno w wydarzenia tamtego koszmarnego lata. Nie lubię nawet tego imienia. Znajoma Aidana z pracy nazywa się Stacy i za każdym razem, kiedy o niej słyszę, przechodzą mnie ciarki. To samo z imieniem Chris. Kiedy byłam w ciąży, Aidan zaproponował, żeby chłopca nazwać Christopher. Nie chciałam o tym słyszeć.

Wiem, że gdzieś w pobliżu tej ławki biegnie ścieżka prowadząca do leśnego domku. Serce uderza mi szybciej. Nie mam najmniejszej ochoty tam iść. Poza tym w Morrison Ridge tyle się zmieniło, że wątpię, czy on tam jeszcze w ogóle stoi.

Mijam odnogę, wiodącą do dawnych baraków. „Ciekawe, kto teraz tam mieszka?”, myślę, chociaż w zasadzie wcale nie chcę wiedzieć. Wkrótce potem moim oczom ukazuje się dom babci. Zatrzymuję samochód i ze zdumienia otwieram usta. Widok jest szokujący. Z lewej strony ceglanego budynku wyrąbano cały las, a w jego miejscu znajduje się parking, do połowy wypełniony autami – większość z nich to chyba minivany. Przed domem stoi kolejna tablica z frezowanego drzewa. Złotymi literami wypisano na niej: KLUB. Gdzieś za domem piszczą dzieciaki, słyszę je wyraźnie pomimo zamkniętych okien. Pewnie jest tam basen albo plac zabaw.

„Biedna babcia”, myślę i ruszam dalej. „Może lepiej, że umarła tak szybko. Serce by jej pękło, gdyby zobaczyła, jak zmienia się Morrison Ridge”.

Uznaję, że dość już zobaczyłam. Zawracam na czyimś podjeździe i ruszam w stronę mojego rodzinnego domu. Tam, gdzie zastanę Norę.

* * *

Niemal przegapiłam właściwy zakręt. W ostatniej chwili zjeżdżam z głównej drogi na lewo. Tutaj nawierzchnia też została utwardzona, ale droga jest wąska jak dawniej, skryta głęboko wśród drzew. Kiedy jednak po lewej ukazuje się dom, z trudem go rozpoznaję. W ciągu ostatnich dwudziestu lat Nora kazała go przemaalować. Mój ukochany błękit nieba został zastąpiony kolorem żółtym, w lekko maślanym odcieniu. Wygląda ładnie, ale nie kojarzy mi się z domem.

Parkuję na podjeździe i powoli wysiadam. Nie widać, czy w garażu stoi samochód, i sama nie wiem, czy wolałabym zastać Norę w domu, czy nie. Po wejściu na schodki werandy zauważam, że nie ma już huśtawki, a fotele na biegunach są brązowe, nie białe, jak kiedyś. To dobrze. Nie życzę sobie żadnej swojskości i wspomnień, które ona budzi.

Jestem jeszcze na schodkach, kiedy w drzwiach wejściowych staje Nora. Wybiega na werandę i nie mówiąc nawet słowa, porywa mnie w ramiona; Russell musiał do niej zadzwonić i czekała na mnie. Siła jej uścisku mówi mi, że czekała tak przez ponad dwadzieścia lat. Nie mogę uwierzyć, że znalazłam się tutaj, w jej ramionach, skoro nie dalej niż dwadzieścia cztery godziny temu trzęsłam się ze złości na samą myśl o tej kobiecie.

– Och, Molly – szepcze Nora, zanurzając usta w moich włosach. – Wróciłaś do domu.

Targają mną sprzeczne uczucia. Dwie trzecie życia obwinałam ją o śmierć mojego ojca. A teraz sama już nie wiem, kogo mam winić. Może nikogo. Może tej sytuacji nie należy rozpatrywać w kategoriach winy.

Ostatecznie to ja pierwsza robię krok w tył.

– Russell zadzwonił? – pytam.

Nora kiwa głową. Bierze mnie za rękę.

– Chodź, kochanie – mówi. Głos ma zdławiony, jakby z najwyższym trudem dobywała go z gardła.

Kiedy wchodzę za nią do salonu, wzrok biegnie dalej, za szerokie okna jadalni, w których jak dawniej przeglądają się góry. Ich szczyty, zarysowane wyraźnie na tle błękitnego nieba, są przepiękne i tak bardzo znajome. Podchodzę do okien, ciesząc się, że mam okazję uciec na chwilę przed wzrokiem Nory, lecz z bliska widać już dolinę poniżej naszego domu i dachy domów, które wyrosły w lesie. Są ukryte pośród drzew i ktoś, kto nie wie, jak tutaj było kiedyś, pewnie w ogóle by ich nie zauważył, ale mnie dosłownie kłują w oczy. Wiem, że Nora ma już tylko niewiele ponad hektar ziemi, a dawniej nasza część liczyła sobie dziesięć. Była ostatnim właścicielem, który zdecydował się na sprzedaż; pewnie w którymś momencie uznała, że skoro cała reszta Morrison Ridge się zagospodarowuje, a mnie nie ma, to nie ma też powodu, żeby dłużej trzymać tę ziemię.

Odwracam się, aby spojrzeć jej w oczy.

– Wszystko się zmieniło – zauważam.

Nora uśmiecha się do mnie. Stoi na środku salonu, dłonie oparła na biodrach.

– Nie było cię bardzo długo – odpowiada, grając na moim poczuciu winy. Obserwuje mnie uważnie. Ja też się jej przyglądam i jestem zaskoczona tym, co widzę. Nora ma na sobie czarne dresy do jogi, buty do tenisa i szarą bluzę z kapturem, spod której wystaje niebieska koszulka. Jej jasna skóra jest gładka, bez śladu zmarszczek, a błękitne oczy są pełne życia. Włosy nosi, jak dawniej, związane tuż nad karkiem w krótki koński ogon; wciąż mają ten sam kolor, jasny blond. W moich wspomnieniach wygląda zupełnie inaczej, staro i banalnie. Teraz wydaje mi się młodsza i bardziej energiczna niż dawniej. Gdyby Grace Kelly dożyła sześćdziesięciu pięciu lat, byłaby podobna do niej.

– Pięknie wyglądasz, Molly – mówi Nora. – Ale założę się, że jesteś zmęczona po podróży. Napijesz się mrożonej herbaty? A może kawy? Właśnie się parzy.

– Poproszę kawę – odpowiadam. – W samolocie prawie nie zmrużyłam oka.

Idę za nią. Nie rozpoznałabym w tym gruntownie wyremontowanym pomieszczeniu kuchni z czasów mojego dzieciństwa. Czuję ulgę, naprawdę. Nie chcę wspominać tamtych posiłków, kiedy tata siedział na wózku przy dużym stole, a ktoś karmił go łyżką. Szafki są teraz białe, blaty z kwarcu, armatura ze stali nierdzewnej. Nawet aranżacja wnętrza uległa zmianie.

– Wciąż pracujesz w aptece? – pytam, przyglądając się, jak Nora nalewa kawę do kubków, ale ona potrząsa głową.

– W zeszłym roku przeszłam na emeryturę. – Wyjmuje z lodówki małą butelkę mleka i stawia ją na stole. – Myślałam, że będzie brakować mi pracy, ale znalazłam sobie mnóstwo zajęć. Tenis. Jogę. Kluby książki. Zumbę. – Uśmiecha się do mnie. – Nie uwierzysz, Molly, ile teraz tutaj się dzieje. – Zaprasza mnie gestem do stołu.

Pamiętam zupełnie inną Norę. Nie umiem wyobrazić jej sobie na korcie tenisowym ani na treningu jogi. Zumba? Cóż, nie można zaprzeczyć, że widać w niej jakąś lekkość.

– Strasznie mi się nie podoba, że Morrison Ridge tak się zmieniło – mówię, siadając przy stole. Jest znacznie mniejszy niż za naszych wspólnych czasów, lecz mimo to wybrałam sobie pierwsze krzesło od strony salonu, gdzie kiedyś zawsze siadałam.

– To musiał być dla ciebie szok zobaczyć te wszystkie zmiany naraz – przyznaje Nora. – Etapami dały się znieść. – Stawia przede mną kubek. – To nie jest jakieś siedlisko zła, Molly – dodaje, siadając po przekątnej. – To naprawdę piękne osiedle, zamieszkanе przez miłych ludzi, którzy pragną tylko tego, aby ich rodzinom żyło się jak najlepiej.

Rozmawiamy przez chwilę o tym, co się zmieniło. Pytam o ciocię Toni i wujka Trevora, o ciocię

Claudię i wujka Jima. Staram się prowadzić kulturalną rozmowę, ale po kilku minutach Nora wyciąga rękę i kładzie dłoń na mojej dłoni.

– Musimy poważnie porozmawiać, Molly. – Świdruje mnie wzrokiem. – O czymś zupełnie innym niż zmiany, które zaszły w Morrison Ridge. Strasznie mnie martwi, że Russell powiedział ci prawdę.

– A mnie nie. – Odruchowo cofam dłoń. – Nie miał innego wyjścia. Wciąż byłam na ciebie wściekła. Wciąż jeszcze... trudno mi zapomnieć... bo szok był olbrzymi. I złość też.

– Oczywiście. – Nora kiwa głową.

– Żałuję, że nie znałam prawdy.

– Nie zniosłabyś tego, kochanie. Nie mogliśmy cię tym obciążać. I wymagać, żebyś zachowała milczenie. Miałaś zaledwie czternaście lat. A my byliśmy bardzo... nadopiekuńczy. – Wpatruje się we mnie uważnie. – Nawet teraz mam wątpliwości, czy sobie poradzisz – przyznaje. – Tak czy nie?

Zaglądam do kubka, który ściskam w dłoniach.

– Tak – odpowiadam. – W każdym razie bardzo się staram.

– Miałaś nigdy się o tym nie dowiedzieć – dodaje Nora. – Byłaś... a może nadal jesteś... – Zawiesza głos, czekając, aż na nią spojrzę, i dopiero wtedy kończy: – Nieprzewidywalna.

Potrząsam głową.

– Chciałam donieść na ciebie policji – przyznaję. – Tylko na ciebie. Nie wiedziałam, że inni też brali w tym udział. Kiedy byłam w szkole z internatem, tyle razy siedziałam w moim pokoju, tęskniłam za tatą i obwinałam ciebie za wszystko... Tak bardzo cię obwinałam, ale nie mogłam tego zrobić. Nie mogłam zadzwonić na policję. Nienawidziłam cię, ale chyba mimo wszystko nie przestałam cię kochać.

Nora kiwa głową ze zrozumieniem.

– Wiem, jak to jest, kiedy człowiek jest rozdarty wewnątrz – mówi. – Wiem, co musiałaś przeżywać.

– Upija mały łyk swojej kawy i wzdycha przeciągle. – To było dla nas niesamowicie trudne, Molly. – W jej oczach odbija się prośba o zrozumienie. – On nas błagał. Nigdy nie prosił o wiele, ale teraz potrzebował naszej pomocy. Powiedział, że jeśli mu nie pomożemy, przestanie jeść i pić. Taka śmierć... z głodu, odwodnienia... – Potrząsa głową. – Przysparza strasznych cierpień i ciągnie się bardzo długo. Jest okrutna. Wiedziała, że nie dam rady przyglądać się temu. On cierpiał. Ani ty, ani ja nie jesteśmy w stanie nawet sobie wyobrazić jak bardzo. Czy można było przejść obok tego tak obojętnie?

– Jednego nie rozumiem – mówię powoli, z namysłem. – Dlaczego tak rozpaczliwie pragnął śmierci? Nic go chyba aż tak bardzo nie bolało. Stwardnienie rozsiane nie powoduje takich objawów.

– O nie, bolało go, kochanie, bardzo bolało – odpowiada Nora. – Tylko nie dał nic po sobie poznać. Ale ból fizyczny mógłby jeszcze wytrzymać. Jego największe męczarnie nie były związane z fizycznym cierpieniem.

– Co masz na myśli?

Nora pociera ramiona przez rękawy swojej bluzy, jak gdyby nagle poczuła chłód.

– Czuł się więźniem we własnym ciele – wyjaśnia. – Choć przed tobą starał się to ukrywać. Znacznie pogorszył mu się wzrok, a po przebudzeniu kilka razy nie był w stanie mówić. Zdarzało się, że miał trudności z oddychaniem, tak poważne, że wpadał w panikę. Kilka razy zakrztusił się przy jedzeniu i od tamtej pory strasznie się bał, że udławi się na śmierć. Z przerażeniem myślał, co jeszcze zabierze mu choroba. Zdolność przetykania pokarmu? Komunikowania się z otoczeniem? Nie wiedział i to go przerażało. Czuł się tak, jakby z każdym dniem tracił część siebie, a na koniec miało mu pozostać tylko i wyłącznie cierpienie. Nie chciał tak skończyć. Wolał spotkać się ze śmiercią na własnych warunkach.

Z niechęcią uświadamiam sobie, jak bardzo musiał cierpieć mój ojciec. Wolałam tego nie widzieć. Próbuję wyobrazić sobie, jak by to było patrzeć, jak gaśnie w nim życie. Jak traci wzrok, a może także zdolność porozumiewania się, jak nie jest w stanie zapanować nad żadną częścią ciała. Musiał się bardzo

bać, skoro postanowił odejść. Z takim strachem nie da się wygrać jego metodą, czyli odgrywając odważnego człowieka. Ten strach jest tak wielki, że śmierć wydaje się wybawieniem. Serce mi pęka, kiedy pomyślę, jak bardzo musiał się bać.

Spoglądam na Norę i uświadamiam sobie, że jest inną kobietą, niż wydawała mi się w młodości. W obrazach z mojej pamięci jest zawsze udręczona. Przytłoczona ciężarem zmartwień. Tymczasem okazuje się pełna energii i żyje pełnią życia. Nic jej nie przytłacza, nie krępuje.

– Czasami – zaczynam powoli – czasami myślałam, że zabiłaś go, bo chciałaś się uwolnić. Musiało ci być bardzo ciężko tak się nim opiekować. Żyć jak w niewoli.

Te słowa chyba nie robią na niej większego wrażenia, a na pewno nie szokują. Nora przytakuje na znak, że rozumie.

– Nadal tak uważasz? – pyta wreszcie.

– Nie. – Potrząsam głową, a ona odpręża się i prostuje na krześle.

– Graham i ja dyskutowaliśmy o tym bardzo często – mówi. – Musiałam mieć całkowitą pewność, że nie robi tego ze względu na mnie, żeby uwolnić mnie od ciężkiego losu. – Patrzy w okno, a w jej oczach lśnią łzy. – Bardzo go kochałam, Molly – wyznaje, odwracając się z powrotem w moją stronę. – Nie chciałam go stracić, pomimo choroby i trudności z nią związanych. Ale przekonał mnie, że nie chodzi mu o to, abym odzyskała wolność. – Delikatnie kołyszę swoim kubkiem, mieszając resztkę kawy.

Wracam pamięcią do tamtego lata.

– Przez całe wakacje wymyślałam różne rzeczy, żeby umilić mu życie – mówię. – I miałam wrażenie, że mi się udało. Wydawał się naprawdę zadowolony.

– Przy tobie zawsze czułem się dobrze, Molly – uśmiecha się Nora. – Byłaś dla niego najwspanialszym darem od losu, uwielbiał cię. Ale... mogę być szczerą? Radość, którą u niego widziałaś tamtego lata, brała się głównie stąd, że obiecaliśmy mu pomoc. Cieszył się, bo wreszcie otworzyła się przed nim droga ratunku.

– Boże... – wzdycham. – Naprawdę?

– Naprawdę – potwierdza Nora, po czym wstaje i sięga po dzbanek z kawą stojący na blacie kuchennym. Dolewa mi trochę, po czym dodaje całkiem innym tonem: – No dobrze. Więc nie mam pojęcia, co u ciebie. Nie wiem praktycznie nic. Zdaję sobie sprawę, że sporadycznie kontaktowałaś się z Dani, ale ponieważ zastrzegłaś, żeby nic nam nie mówiła, zachowała absolutną dyskrecję. Ale teraz chcę usłyszeć wszystko. – Siada z powrotem przy stole. – Czym się zajmujesz? Wyszłaś za męża? Masz dzieci?

Odpowiadam, że zamieszkałam w San Diego. Mówię o Aidanie i swojej pracy. A potem dodaję pewną informację, którą, jak sądzę, ona będzie umiała zrozumieć lepiej niż jakakolwiek znana mi osoba.

– Przeszłam histerektomię i nie mogę mieć dzieci.

– Och, kochanie... – W oczach Nory maluje się bezbrzeżne współczucie.

– Więc zgłosiliśmy się do adopcji, wybrała nas pewna dziewczyna, a ja, szczerze mówiąc, żyję w bezgranicznym strachu.

Nora przypatruje mi się uważnie, przyswajając tę informację.

– Czego się boisz? – pyta wreszcie.

– Wszystkiego – przyznaję. – Dziecko urodzi się za około miesiąc. Dziewczyna ma na imię Sienna i jest bardzo miła, ale zanim przysposobienie nabierze mocy prawnej, może w każdej chwili zmienić zdanie. Dlatego się boję, a poza tym... To ma być otwarta adopcja, więc Sienna cały czas będzie obecna w życiu naszego dziecka, a ja... – Urywam w pół zdania, unoszę wzrok i widzę, że Nora uśmiecha się do mnie.

– No cóż – mówi. – Mam trochę doświadczenia w tych sprawach.

– Wiem. – Odpowiadam uśmiechem.

– Domyślam się jednak, że twój mąż... Aidan, tak?

Kiwam głową.

– ...że Aidan nie jest ojcem tego dziecka, a Sienna nie jest jego dawną kochanką.

– Musiało ci być bardzo ciężko – mówię, krzywiąc się na myśl o tym.

– Łatwo nie było – przyznaje Nora.

– No więc Aidan nie jest ojcem dziecka. – Pochyliłam się i tym razem to ja kładę dłoń na jej dłoni. –

Powiedz, jak ci się udało? Jak to zniosłaś? Jakim cudem umiałaś podzielić się mną z inną kobietą, zwłaszcza że twój mąż kiedyś ją kochał?

Nora nakrywa moją dłoń drugą dłonią, rozgrzaną od gorącego kubka.

– Och, Molly – wzdycha, a ja po raz pierwszy dostrzegam na jej twarzy zmarszczki. Na czole. Pomiędzy brwiami. – To było najtrudniejsze zadanie w całym moim życiu.

– Jak to wyglądało? – pytam.

Nora opada na oparcie krzesła, patrząc na mnie takim wzrokiem, jakby po raz pierwszy, odkąd pojawiłam się w jej domu, mogła naprawdę mnie zobaczyć.

– Kochałam cię – odpowiada z uśmiechem. – Wręcz uwielbiałam. Ale byłam twoją matką. Wiedziałam bardzo dokładnie, kim dla ciebie jestem. To ja miałam nauczyć cię dyscypliny i wpoić ci zasady. Amalia nie musiała zwracać sobie tym głowy. Nie musiała się martwić, że trzeba cię ubrać i nakarmić trzy razy dziennie. Nie musiała nad tobą czuwać, uczyć cię, jak podejmować właściwe decyzje, ani wychowywać na odpowiedzialną, rozumną kobietę.

– Ona była bardzo... łagodna – mówię, choć nie mam pewności, czy to jest właściwe określenie.

– Byłam o nią zazdrosna – ciągnie Nora. – Przyznaję. Miałam pewność, że twój ojciec mnie kocha i jest mi wierny, ale wiedziałam też, że zachował w sercu miejsce dla Amalii. A kiedy ty zaczęłaś dorastać, stało się jasne, że także część twojego serca należy do niej.

Głos się jej łamie. Czuję, jak ją to boli.

– Zastanawiałam się nawet – podejmuje po chwili – czy z nią utrzymałaś kontakt, gdy mnie wykreśliłaś ze swojego życia. Czy stała się dla ciebie...

– Nie – wchodzę jej w słowo. – Nie. W ogóle.

– Teraz już wiem. Dani powiedziała mi, że zerwałaś kontakt ze wszystkimi.

Przytakuję.

– Wiem, że Amalia była fajniejsza niż ja. – Nora uśmiecha się delikatnie. – Ale Graham mówił tak: „To nie jest konkurs popularności, Noro”, a ja ostatecznie pogodziłam się z tym. Miałam być twoją matką, a nie kumpelą. I jeśli przez to straciłam trochę w twoich oczach, trudno.

– Czasami wydawało mi się, że wcale mnie tak bardzo nie kochasz.

Niezręcznie się czuję, mówiąc jej coś takiego, ale przecież mamy się przed sobą otworzyć. W końcu powieść sobie prawdę. Tacie zależało na tym, bym nauczyła się rozmawiać z Norą. Chciał, żebym nawiązała z nią głęboką więź. „To jest ta chwila, tato”, myślę. Nareszcie.

– Sądziłam, że to dlatego, że nie byłam twoją biologiczną córką – wyjaśniam. – I martwiłam się, że tak samo będzie z dzieckiem, które chcemy...

– Naprawdę? – Nora wydaje się zasmucona. – Och, Molly, przepraszam, że tak się przy mnie czułaś. Wiem, że nie jestem najcieplejszą osobą na świecie. – Uśmiecha się z żalem. – Ale na swoją obronę powiem, że żyłam w sporym stresie, bo musiałam opiekować się jednocześnie tobą i twoim ojcem.

Kiwam głową. Teraz widzę, z iloma trudnościami musiała się mierzyć. Wyobrażam sobie, jak trudno było jej prowadzić dom i organizować nam wszystkim życie.

– Powiem ci, jak to będzie. – Jej uśmiech tym razem jest szczery. – Kiedy weźmiesz to dziecko na ręce, poczujesz miłość tak wielką, że aż przekraczającą wszelkie wyobrażenie. I od razu zostaniesz jego

opiekunką i przewodniczką. Od razu staniesz się jego matką.

– I to właśnie czujesz do mnie? – pytam.

– Tak, kochanie – odpowiada Nora. – I... szczerze? Wcale nie chciałam tego czuć. Odkrycie twojego istnienia było dla mnie szokiem i tak bardzo zawstydział mnie sposób, w jaki pojawiłaś się w naszym życiu, że... No cóż, wyobrażasz sobie chyba, że nie byłam zadowolona. – Potrząsa głową. – Pamiętam jednak dokładnie pewien letni wieczór. Siedziałam na werandzie i kołysałam cię na rękach do snu. I nagle stało się. Poczułam tę miłość. Była jak potężna fala. Jak tsunami. Zaparła mi dech w piersi. A ty od tej chwili byłaś już moja.

Wstaje i podchodzi, żeby mnie uściskać.

– Bardzo się cieszę, że przyjechałaś – mówi. – Kocham cię nad życie, Molly. Zawsze cię kochałam i nigdy nie przestanę.

Przytulam się do niej i czuję, jak z mojego serca znika wielki ciężar. Mam wrażenie, że po raz pierwszy od dwudziestu czterech lat oddycham pełną piersią. Teraz widzę, że swoją ucieczką z Morrison Ridge wyrządziłam sobie krzywdę. Gdy zerwałam więzy ze wszystkimi ludźmi, na których mi zależało, odcięłam się od miłości.

* * *

Zabieram z samochodu walizkę, anulowałam rezerwację w hotelu. Nora uprzedziła, że w moim pokoju na górze już wiele lat temu urządziła domową pracownię krawiecką, więc kieruję się do pokoju gościnnego, który kiedyś zajmował Russell.

Zamawiamy jedzenie z chińskiej restauracji. Przywożą je pod same drzwi. Siadamy na stopniach werandy i jemy prosto z pudełek, a Nora opowiada mi o tym, co jeszcze się zmieniło w Morrison Ridge.

– Wciąż nie rozumiem jednej rzeczy à propos taty – przyznaję się jej po dłuższej chwili wypełnionej jedzeniem i gadaniem.

– Mianowicie?

– Wydaje mi się, że ja, nawet gdyby było mi bardzo ciężko, dla mojej córki chciałabym żyć mimo wszystko – mówię. – Chciałabym zobaczyć, jak dojrzewa i wyrasta na dobrego człowieka. Wychodzi za mąż. Zakłada własną rodzinę. Nie rozumiem dlaczego... Skoro mnie kochał, to jak mógł mnie tak zostawić? – Czuję smutek, ale na tym etapie nie ma już łez. Teraz jestem zwyczajnie ciekawa, pragnę zrozumieć. – Dlaczego nie chciał żyć dla mnie?

– Chciał, Molly, na pewno – odpowiada Nora. – Serce mu pękało na myśl, że nie zobaczy, jak potoczy się twoje życie, i właśnie ze względu na ciebie trzymał się tak długo, dłużej, niżby sobie tego życzył. – Bierze kęs brokułu, a ja czekam, aż przełknie. – Myślał o tobie do samego końca. Pamiętasz tamten list? Zapomniałam już, co dokładnie w nim napisał, ale bardzo mu zależało, aby ci to wszystko przekazać, abyś zachowała jego słowa w pamięci. Zachowałaś go?

– Jaki list? – Marszczę brwi. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek dostała list od taty.

– Ten, który był w leśnym domku – wyjaśnia Nora. – W twojej skrytce. Pamiętasz?

Muszę się zastanowić.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – odpowiadam wreszcie.

– Och, Molly. – Nora blednie i odstawia pudełko na schody. – Proszę, nie mów, że go nie dostałaś! Byłam pewna, że go znajdziesz.

– Przecież pamiętałabym list od taty – ucinam. – A w ogóle to jak on mógł coś napisać?

– Podyktował mi go – wyjaśnia Nora. – W dniu swojej śmierci poprosił, żebym zapisała jego słowa i włożyła kartkę do twojej skrytki w leśnym domku. Do tej dziury pod kamieniem w ścianie, zgadza się?

Wiedział, że tam go znajdziesz. Jesteś pewna, że...

– Już nigdy potem nie zjrzałam do leśnego domku – wyjaśniam, też odstawiając pudełko z jedzeniem. Nie mogę jej powiedzieć, że to miejsce kojarzyło mi się tylko z Chrisem, seksem, moim buntem i śmiercią taty. Po jego śmierci na samą myśl o leśnym domku dosłownie mnie mdliło.

Nora zasłania twarz dłońmi.

– To straszne! – woła. – Graham mówił, że lubisz tam chować różne rzeczy. Dlatego był pewien, że znajdziesz list. – Wstrzymuje oddech, pochyla się ku mnie. – Ciekawe, czy wciąż jeszcze tam jest – mówi cicho, niemalże szeptem. – Czy to możliwe?

Jej słowa ledwie do mnie docierają. List od mojego ojca! Chcę go przeczytać. Chcę go choćby dotknąć.

– Leśny domek wciąż jeszcze stoi tam, gdzie stał? – pytam Norę.

– Szczerze mówiąc... nie wiem. Powinnaś pójść i sama się przekonać.

– Co napisał w tym liście?

Nora kręci głową z żalem.

– To było bardzo dawno. Zapomniałam. Pamiętam tylko, że w ten sposób chciał się z tobą pożegnać.

– Muszę sprawdzić, czy wciąż tam jest. – Zamykam pudełko z jedzeniem i wstaję. Od śmierci taty minęły już dwadzieścia cztery lata, ale to nie może czekać nawet jednej sekundy. Sekunda to zbyt długo.

– Iść z tobą? – pyta Nora.

Zatrzymuję się z wahaniem na ostatnim stopniu schodów. Tę sprawę muszę załatwić sama.

Patrzę na Norę z góry.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu – mówię przeproszającym tonem – tę podróż do przeszłości wolałabym odbyć sama.

– Oczywiście. – Uśmiecha się. – Weź mój rower. Jest za domem. Tam nie ma gdzie zaparkować.

* * *

Rower Nory znajduję pod drugą werandą, za domem, oparty o balustradę. Na kierownicy wisi kask. Wkładam go na głowę i zapinam pasek. Kiedy jeździmy z Aidanem na rowerach, często przypominam sobie, że w Morrison Ridge nigdy nie zakładałam kasku. Chyba mam szczęście, że żyję. Nasza córka będzie nosiła kask. Wyobrażam ją sobie na rowerku z bocznymi kółkami, rozemocjonowaną pierwszą jazdą. „Pokocham to maleństwo”, myślę. „Moja miłość będzie miała siłę tsunami”. Uśmiecham się do siebie.

Wyjeżdżam z lasu otaczającego nasz dom i skręcam na główną drogę. Z początku obawiałam się, że na rowerze będę rzucać się w oczy. Że zauważy mnie ktoś z rodziny i będę musiała się zatrzymać i zamienić kilka słów. Ale nie jestem bynajmniej jedyną rowerzystką na głównej drodze. Nikt nie zwraca na mnie uwagi.

Piekielne Wzgórze nie jest już takie straszne, nawet na rowerze, i chociaż dyszę ciężko, nie muszę zsiadać i pchać go pod górę. Pedałuję w równym, miarowym tempie i mijam nowe drogi, których wcześniej tu nie było, potem zakręt prowadzący do domu wujka Trevora i cioci Toni, aż dojeżdżam do ławki postawionej przez dziadka. Tutaj zsiadam z roweru i rozglądam się za kawałkiem otwartej przestrzeni pomiędzy drzewami; on pokaże mi drogę do leśnego domku. Okazuje się, że ścieżki już nie ma, ale mimo to prowadzę rower przez zarośla w głąb lasu, bo tam, jak mi się wydaje, biegła kiedyś. Zostawiwszy go pod drzewem, ruszam pieszo przed siebie, mając nadzieję, że obrałam właściwy kierunek.

Kilka minut później nabieram pewności, że się zgubiłam. Może domek rozebrano? To przecież możliwe; nastawiam się na rozczarowanie. Jeszcze kilka kroków – i nagle czuję przejmująco znajomy

leśny aromat, który odzywa się mocnym echem głęboko w sercu. Pędy roślin czepiają się moich kostek i zaczynam myśleć, że powinnam była zostawić jakiś ślad, żeby trafić z powrotem do głównej drogi. Przystaję na chwilę, nastawiając ucha. Słyszę szmer źródła. Nie widać go w gęstwinie, ale jest bardzo blisko. Wyteżam wzrok, starając się przeniknąć otaczającą mnie zielenią i wypatrzeć kamienne ściany. W momencie, gdy dochodzę do wniosku, że leśnego domku już nie ma, nagle dostrzegam go tuż przed sobą: z jednej strony ściany maskuje dziki kłęb pnączy ołownika, a z drugiej – gruba kotara bluszczu. Łodygi obu gatunków płaczą się ze sobą na wysokości dachu. Zielona zasłona zamaskowała okna i drzwi. Widać, że od dawna nikt tu nie zaglądał. Czuję w piersi ukłucie bólu. Nie wiem, co mnie skłoniło, żeby tak się dręczyć. List, przypominam sobie. Błagam, niech tam będzie.

Odgarniam splątane pnącza, żeby otworzyć drzwi. Te rośliny są jak mur, przez który muszę się przebić. Wreszcie udaje mi się namacać gałkę, ale drzwi ani drgną. Zawiasy są zardzewiałe; szarpię za gałkę i tłukę w twarde deski, a serce łomocze mi w piersi. I nagle drzwi stają otworem, gładko, praktycznie bez skrzypnięcia, jakby wreszcie zgodziły się mnie wpuścić. Las nasiąka bijącym z wnętrza wilgotnym powietrzem, które uderza mi do głowy. Oddycham nim głęboko, zbieram odwagę i w końcu wchodzę do środka.

Przez dwadzieścia cztery lata wyniesiono stąd praktycznie wszystko i teraz to już tylko cień tamtego miejsca, które pamiętam. Zostały dwa stare krzesła; stoją równiutko pod kamienną ścianą. Tapczany i mała komoda – zniknęły. Mikrofalówka i stół – tak samo. Jest tylko szafka z małą umywalką, ale w kranie nie ma wody. Ściany są gołe; ciekawe, kto zdjął moje plakaty? Ktoś, kto mnie znał, czy może obcy? Moje spojrzenie wędruje ku ścianie, pod którą kiedyś stał tapczan. Sztuczny kamień wciąż jest na swoim miejscu. Serce wali mi jak młotem, kiedy przestawiam w to miejsce jedno z krzesel, sprawdzam, czy mnie utrzyma, a potem staję na nim. Gipsowa atrapa kamienia gładko wysuwa się z otworu.

Skrytka znajduje się prawie na wysokości wzroku; w świetle wpadającym przez otwarte drzwi dostrzegam szklanego ptaszka, którego dostałam od Nory. A obok niego paczkę papierosów. I zdjęcie siedemnastoletniego chłopaka. Biorę je w palce i, wstrzymując oddech, spoglądam na niego. Jest taki młody. Tamten chłopak, który już zawsze będzie mi się kojarzył z najgorszą nocą mojego życia, był tylko dzieciakiem. O chłopięcej twarzy z dołeczkami. Przez wiele lat wierzyłam, że ten człowiek wywarł olbrzymi wpływ na moje życie; ten człowiek i to miejsce. Tymczasem on był jeszcze dzieckiem, ja tym bardziej. Coś ściska mnie za gardło. Byłam taka młoda. Tak niewinna i naiwna. Tak pogubiona.

Chowam zdjęcie z powrotem do skrytki, wspinam się na palce i wypatruję koperty. Zamiast niej dostrzegam coś innego: małą papierową torebkę. Minęło już dwadzieścia parę lat, a mimo to natychmiast ją rozpoznaję. Takich torebek używano w aptece, w której pracowała Nora. Zaglądam do niej. W środku jest kartka papieru... i ametystowy kamień trosk.

60

Kochana Molly,

kiedy znajdziesz ten list, będziesz już wiedziała, że nie żyję. Od dawna nie czuję się dobrze i poprosiłem mamę, aby po mojej śmierci zostawiła tutaj dla Ciebie ten list. Nie mógłbym odejść z tego świata bez pożegnania z najdroższą mi osobą. Czyli z Tobą, kochana córeczko.

W dniu, gdy pojawiłaś się w Morrison Ridge, moje życie zmieniło się na lepsze. Dziecko zmienia wszystko. Nadejdzie dzień, kiedy sama się o tym przekonasz.

Wiem, że ostatnio przeżywasz trudne chwile, ponieważ wyszło na jaw, że okoliczności Twojego pojawienia się w Morrison Ridge nie były tak sielankowe, jak Ci opowiadaliśmy, a pomiędzy Twoją mamą i Amalią nie układa się aż tak dobrze, jak mogłoby się wydawać. Cóż, wszyscy jesteśmy ludźmi, a każdy człowiek jest trochę pokręcony. Najważniejsze jednak, że masz dwie matki, a obie mocno Cię kochają. Nie powinnaś nigdy w to wątpić. Zaufaj mi, kochanie: jeśli chodzi o miłość do Ciebie, żadna z nich niczego nie udaje.

Ponieważ nie ma mnie już i nie mogę osobiście udzielać Ci rad, postaram się zrobić to w tym liście. Nie napiszę, że masz słuchać się mamy, bo dobrze o tym wiesz. Twoje dobro leży jej bardzo na sercu. Możesz nie zgadzać się z jej zasadami i nakazami, ale one wynikają z troski o Twoje bezpieczeństwo i szczęście. Proszę, słuchaj mamy.

Ostatnio zaczęłaś próbować swoich sił, rozwijać skrzydła. Pewnego dnia będą na tyle silne, że poniosą Cię w świat, ale tymczasem musisz jeszcze pozostać w gnieździe. Pragnę, żebyś spotkała człowieka, który pokocha Cię równie mocno, jak ja. Nie szukaj półśrodków i nie spiesz się. Ten jeden właściwy partner będzie umiał Cię rozbawić, będzie cenił sobie Twoje zdanie, traktował Cię jak równą sobie i nigdy nie zażąda od Ciebie więcej, niż sama zechcesz mu dać. Znajdziesz kogoś takiego, Molly, choć jeszcze nie teraz. Jestem tego pewien.

Z niezwyklej dziewczyny wyrośniesz na wyjątkową kobietę. Myślę, że będziesz świetną terapeutką, o ile wybierzesz ten właśnie zawód. Wzruszyłem się, kiedy mi powiedziałaś, że zastanawiasz się nad tym.

Wiem, że będziesz mnie opłakiwać, kochanie, ale niech to nie trwa zbyt długo, dobrze? Nie boję się i chętnie wyruszę tym nowym szlakiem. Bardzo chciałbym znaleźć się w miejscu, gdzie to stare ciało przestanie mi być potrzebne, gdzie uwolnię się od bólu i strachu. Wyobrażam sobie, że poczuję się tam całkowicie wolny, mniej więcej tak, jakbym jechał niekończącą się tyrolką. Podoba mi się myśl, że będę patrzył na Ciebie z góry.

Rodzina to skarb, nie zapominaj o tym, Molly. Owszem, jest to też złożony zbiór przeróżnych osobowości, ale ci wszyscy ludzie Cię kochają. W końcu zrozumiesz, że każda rodzina jest dysfunkcyjna. Nie ma innych. Założysz kiedyś własną, też pokręconą, szaloną i pełną miłości. Będę na to czekał z niecierpliwością.

Bardzo Cię Kocham,

Zostaję w leśnym domku na długo. Siedzę na krześle i z całej siły ściskam w dłoni ametyst. List od taty przeczytałam z dziesięć razy. Może więcej. Kartka leży na moim kolanie i jest mokra od łez. Oddałabym wszystko, żeby móc z nim porozmawiać. Powiedziałabym mu, że zostałam adwokatką, ale obawiam się, że to jednak był błąd. Powiedziałabym mu też, że nie mogę mieć dzieci, tak jak Nora, ale wkrótce w moim życiu pojawi się maleńki nowy człowiek. I że – znów tak jak Nora – pokocham to dziecko całym sercem.

Straciłam poczucie czasu. W końcu wychodzę i ruszam z powrotem przez las; mam nadzieję, że Nora nie martwi się o mnie. Nie wiem, ile czasu spędziłam w leśnym domku, ale z pewnością byłam tam na tyle długo, żeby poczuć znużenie wywołane zmianą strefy czasowej. Znajduję rower i jadę do domu główną drogą. Pedaluję energicznie, aby jak najszybciej zobaczyć się z Norą. Pokazać list od taty osobie, która dokładnie zrozumie to, co czuję.

* * *

Siadamy na kanapie i czytamy list. Obie płaczemy. Po ostatnich słowach zapada cisza; mam wrażenie, że Nora jest tak samo wyczerpana emocjonalnie jak ja.

– Pamiętam, że nie zostałam do końca ceremonii żałobnej – odzywa się po jakimś czasie.

Przypominam sobie swoją rozpaczliwą ucieczkę z pawilonu. To przed bólem tak uciekałam.

– Było mi bardzo smutno – mówię.

– Chyba mało powiedziane – zauważa Nora. Muszę przytaknąć.

Nora wzdycha, muskając palcami list leżący na jej kolanach.

– Dla nas, którzy zostaliśmy do końca, to było niczym katharsis – mówi. – Ale w twoim stanie umysłu, tak całkowicie odmiennym...

– Było, minęło. – Wzruszam ramionami. – To już tyle lat...

Nora kładzie list na moich kolanach, wstaje z kanapy. Spogląda na mnie z góry i uśmiecha się, chociaż jej oczy lśnią od łez.

– Tańczysz jeszcze? – pyta. – Pamiętam, że kiedyś tańczyłaś wszędzie. Nie mogłaś usiedzieć spokojnie w miejscu.

– Teraz już rzadziej – odpowiadam. Prawda jest taka, że po śmierci taty w ogóle przestałam tańczyć. Moje ciało i duch straciły potrzebną do tego lekkość. – Aidan uwielbia muzykę, ale nie jest najlepszym tancerzem – dodaję.

– Wtedy, na ceremonii żałobnej, nie chciałaś tańczyć – przypomina Nora. – Zrozumiałam od razu – dodaje szybko. – Wiedziałam, że nie jesteś na to gotowa.

– Nie byłam. – Potrząsam głową.

– A teraz?

– Co teraz?

– Czy teraz jesteś? – Nora podchodzi do wbudowanej w ścianę biblioteczki, obok której stoi wieża

CD. Przesuwa palcem po grzbietach pudełek z płytami. – O, jest – mówi i sięga po jedno z nich. Wyjmuje ze środka złożoną kartkę papieru. Upływa chwila, zanim rozumiem, o co jej chodzi.

– Och, nie. – Wstaję z kanapy i cofam się o krok.

– Proszę. – Nora podaje mi kartkę. Biorę ją z ociąganiem, a Nora wyjmuje z plastikowego pudełka płytę kompaktową i umieszcza ją w odtwarzaczu. Potem pochyła się, aby rozwiązać swoje sportowe buty. Ja przez cały czas trzymam złożoną kartkę w drżących dłoniach. Nora unosi wzrok. – Przeczytaj, kochanie – mówi.

Rozkładałam kartkę, przygryzając wargę. Boję się zobaczyć tych kilka słów, które sama napisałam tak dawno temu.

„Róbcie tak, jak gdybyście tańczyli”.

Nagle głośniki wybuchają dźwiękami piosenki *Footloose*. Nora zrzuca buty i zabiera ode mnie kartkę, po czym kładzie ją na stoliku. Wyciąga do mnie rękę i prowadzi na środek salonu. Kiedy się uśmiecha, ja też pozwalam sobie na uśmiech, ale gdy zaczyna tańczyć – nie mogę. Po prostu nie mogę.

Tata powiedział mi kiedyś, że jeśli się komuś nie wybaczy, to tak, jakby się próbowało tańczyć z ołowianym balastem na ramionach. Tak właśnie się teraz czuję. Ten ciężar krępuje mi ruchy. Czyżby tata wiedział, że pewnego dnia będę potrzebować tych słów, abym mogła wybaczyć... jemu? I tylu ludziom, których kocham? Czy mógł wiedzieć, że bez tej pomocy nie będę umiała wybaczyć sobie? Uświadamiam sobie, że przyszedł czas, aby pozbyć się tego ciężaru.

– Wystarczy zrobić tak, jak gdybyś tańczyła, Molly, nic więcej – mówi Nora, płasając po podłodze. Nie miałam pojęcia, że potrafi się poruszać z taką radosną swobodą.

Gdy robię pierwszy krok w rytm muzyki, mięśnie przypominają sobie, jak kiedyś kołysałam się i wirowałam przy tej piosence, która zawsze kończyła zajęcia z Amalią. Moje ruchy są sztywne i wymuszone, odgrywam tylko, że czuję rytm, ale mimo to nie przestaję i tańczę, tańczę, tańczę z wyrzuconymi w powietrze rękami. Widzę, jak Nora – moja matka – okrąża salon, kręcąc piruety, jak jej jasne włosy rozsypują się luźno, uwolnione z kucyka, a troczki kaptura przy bluzie podskakują aż do ramion. Słyszę w głowie, jak mówi: „Wróciłaś do domu”, i gdzieś w połowie piosenki, gdy lekkość ogarnia mnie całą, od stóp po serce, uświadamiam sobie, że niczego już nie odgrywam.

* * *

Godzinę później, w dawnym pokoju Russella, gdy wieszam ubrania w szafie, moja komórka odzywa się piskliwym brzęknięciem. To esemes. Wyjmuję telefon z torebki, przesuwam palcem po wyświetlaczu. Od Aidana.

Sienna jest w szpitalu. Lekarze starają się spowolnić akcję porodową. Możesz wrócić do domu?

San Diego

Siedzimy z Aidanem w poczekalni na porodówce. On spędził w tym przestronnym, względnie mało zatłoczonym pomieszczeniu półtora dnia, a ja ledwie kilka godzin, ale chyba jeszcze nigdy w życiu nie byłam taka zmęczona. Żeby dostać się z Asheville do San Diego, musiałam zaliczyć cztery przesiadki, spędzić dwadzieścia dwie godziny w samolocie i słono za to wszystko zapłacić, ale wreszcie jestem na miejscu, a Sienna rodzi – blisko cztery tygodnie przed terminem.

„Ona jest na pewno bardziej zmęczona ode mnie”, powtarzam sobie. „Nie narzekaj”.

Ginger już dwa razy zajrzała do poczekalni, żeby poinformować nas, jak sprawy się mają. Aidan chwycił mnie wtedy za rękę, bo wyglądała na kompletnie rozbitą. Za drugim razem przyszła cała we łzach.

– Wyzywa wszystkich i o mały włos nie uderzyła położnej. – Usiadła obok Aidana, załamując ręce. – Przepędziła mnie z pokoju. – Przyłożyła drżącą dłoń do skroni. – Jeszcze nigdy nie usłyszałam od niej takich słów jak dzisiaj.

Za trzecim razem Ginger zjawia się uśmiechnięta od ucha do ucha. Natychmiast zrywam się na równe nogi.

– Dziecko? – pytam.

Ginger kręci przecząco głową.

– Nie – mówi rozpromieniona. – Znieczulenie. Znowu jest moją kochaną Sienną. – Zamiast usiąść, staje obok mnie. – Teraz odpoczywa – informuje nas. – Idę coś przekąsić do stołówki. A Sienna was zaprasza. – Ginger przenosi wzrok na Aidana. – Oboje.

„Ciekawe”, myślę, „czy dobrze zrozumiała słowa córki”.

– Mówiła, że woli, abyśmy nie wchodzili do sali porodowej – przypominam. Strasznie się boję urazić Siennę.

– Chce, żebyście przyszli – zapewnia Ginger. Uśmiech nie znika z jej twarzy. – Spokojnie – dodaje. – Wie, co mówi.

* * *

Kiedy wchodzimy, Sienna jest spokojna i uśmiechnięta. Siedzi oparta o podniesiony zagłówek szpitalnego łóżka, a na jej brzuchu leży otwarty numer magazynu „People”.

– Okropność! – woła, kiedy zakłopotani stajemy obok niej. – Myślałam, że kogoś zabiję. – Wstrząsa się, jakby dostała dreszczy. – Dobrze, że nie miałam żadnej broni.

A potem zanosi się śmiechem. Zdaje się, że cudowne znieczulenie zakręciło jej trochę w głowie. – Będę musiała przeprosić każdą osobę, która tutaj zajrzała, i to na piśmie.

– Na pewno są do tego przyzwyczajeni – zapewniam.

– Spójrzcie. – Sienna unosi magazyn, żebyśmy mogli zobaczyć jej wielki jak bęben brzuch, opięty szpitalną koszulą. – Widać skurcze.

To prawda. Widać je na monitorze i pod cienką tkaniną koszuli, choć najwyraźniej dziewczyna niczego nie czuje.

– No, no... – szepczę. Kiedy miała urodzić się Sara, zamierzałam zrezygnować ze znieczulenia, ale cieszę się, że Sienna postanowiła inaczej. Nie chcę, by cierpiała bardziej, niż to konieczne.

– Teraz już nie czuję wszystkiego – mówi. – Przedtem było strasznie, bałam się, że oszaleję.

– Dobrze, że przestałaś się męczyć. – Kładę dłoń na jej ramieniu.

Siedzimy z nią prawie godzinę. Aidan wychodzi na chwilę do kiosku, żeby kupić Siennie jeszcze kilka magazynów. Ja przynoszę pokruszony lód w kubeczku, żałując, że nie mogę zrobić nic więcej. Wreszcie wraca Ginger i zaczyna krążyć nerwowo po sali.

– Dostałam znieczulenie, kiedy rodziłam Siennę – informuje nas. – Ale podziałało tylko na jedną stronę ciała. To dopiero była zabawa – dodaje z przekąsem.

Po chwili Aidan musi wyjść, bo zjawia się położna, żeby zbadać Siennę.

– Jesteś gotowa – oznajmia krótko.

– Gotowa? – Sienna ogląda się na mnie jak na jakąś specjalistkę od porodów. – Na co?

Położna wygląda na korytarz i prosi kogoś, żeby wezwał doktor Singh, po czym wraca do niej. – Czujesz nacisk? – pyta.

– Nie – odpowiada dziewczyna. – Niczego nie czuję. – Monitor pulsuje od jej skurczy. Mam nadzieję, że poczuje, kiedy przyjdzie czas. Wiem, że znieczulenie może wszystko przyhamować.

Do sali wchodzi doktor Singh.

– Podobno twojemu dzidziusiowi spieszno do wyjścia. – Uśmiecha się do Sienny. – Bierzymy się do roboty?

„Powinniśmy stąd wyjść”, myślę. Aidan zdążył już wrócić, ale zaszył się w kącie. Nie wiem, czy z szacunku dla rodzącej, czy może z czystego przerażenia. Tak czy inaczej, chyba nic tu po nas.

– Będziemy w poczekalni. – Kładę dłoń na ramieniu Sienny, ale ona łapie mnie za rękę.

– Nie! – woła. – Zostańcie!

Oglądam się na Ginger, która tylko uśmiecha się i wzrusza ramionami.

– Ona tutaj dowodzi – mówi.

Po znieczuleniu Sienna traci czucie w nogach, a przy łóżku brak strzemion. Ginger przytrzymuje córkę za jedną nogę, położna za drugą, a mnie jako jedynej przypada zaszczytna pozycja od strony głowy. Doktor Singh prosi, aby parła trzy razy podczas każdego skurczu. Dziewczyna łapie mnie za rękę i usiłuje wypełnić polecenie. Widzę, że bez naturalnego odruchu parcia przychodzi jej to z trudem, ale jakoś się trzyma. Dopingujemy ją we trójkę: Ginger, położna i ja, a sala drży od naszych chóralnych okrzyków: „Przyj! Przyj! Przyj!”. Aidan wykazuje się rozsądkiem i woli podpierać ścianę z daleka od łóżka. Co jakiś czas oglądam się na niego, a on posyła mi blade, ale pokrępowane uśmiechy.

– Świetnie ci idzie. Doskonale – chwali ją doktor Singh, aż w końcu oznajmia: – Widać główkę.

– O Boże! – woła Sienna. Ogląda się na mnie i patrząc mi prosto w oczy, pyta: – Co się dzieje, Molly? Idź, zobacz i powiedz mi, co się dzieje.

Celowo czy też nieświadomie, tymi słowami zaprosiła mnie, bym na własne oczy zobaczyła, jak jej dziecko – moje dziecko? – przychodzi na świat. Przecież na miejscu jest Ginger: trzyma nogę swojej córki i wszystko widzi. To ona mogłaby zdać relację Siennie, co się dzieje, ale dziewczyna poprosiła o to mnie.

Ginger uśmiecha się do mnie przez łyżę.

– Zobacz – mówi.

Staję w nogach łóżka, obok doktor Singh, która prosi Siennę, aby dalej parła. Wiem, co zobaczę, lecz mimo to zapiera mi dech na widok tego cudu: oto główka dziecka wyłania się z ciała matki.

– Główna wyszła! – wołam do Sienny, ale żaden ton głosu nie może oddać moich emocji. – Jakże ona ma bujne włoski!

Doktor Singh oczyszcza ssakiem usta i nosek dziecka. Gdy maleństwo odwraca główkę, widzę wyraźnie drobniutkie rysy twarzy i pomarszczone czołko. Potem pojawiają się ramiona i nagle doktor Singh trzyma w dłoniach kwilącego noworodka.

– Dobra robota – chwali Siennę, po czym unosi głowę i rozgląda się dookoła. – Kto chce przeciąć pępowinę?

– Niech jej tata to zrobi – odpowiada pospiesznie Sienna. Widząc, jak gwałtownie dygocze, przez chwilę obawiam się, że ma urojenia i przywidziało jej się, że Dillon jest przy porodzie. Wreszcie jednak dociera do mnie, o co jej chodziło, i oglądam się na Aidana stojącego pod ścianą. Na jego twarzy maluje się wyraz bezbrzeżnego osłupienia, ale szybko zbiera się na odwagę i podchodzi; jestem z niego dumna, bo mijając zagłówek łóżka, pomyślał o tym, żeby położyć dłoń na ramieniu Sienny. Staje przy doktor Singh, która wciąż trzyma w dłoniach wijące się dziecko. Pewną ręką bierze od położnej nożyczki i przecina pępowinę, a ona szybko wyciera maleństwo chustą, po czym kładzie je na piersi Sienny. Wtedy mam okazję zobaczyć coś, czego z całą pewnością nigdy nie zapomnę: czystą miłość do dziecka w oczach młodej mamy. Widzę, jak powstaje więź, której nie zerwie nic i nikt, ani ja, ani żadna inna osoba. Czuję jednocześnie wzruszenie, strach i smutek. Aidan patrzy na mnie i chyba ma takie same odczucia. Ginger nie spuszcza wzroku ze swojej córki i wnuczki. Pochyliła się, aby objąć je obie. Ta chwila należy tylko do nich.

Kiedy Ginger się odsuwa, kładę dłoń na ramieniu Sienny.

– Wyjdziemy do poczekalni. – Staram się nie patrzeć na dziecko, bo boję się, że zacznę płakać. – Żebyś mogła pobyć na osobności ze swoim maleństwem.

Sienna spogląda na mnie. Przez te ostatnie dwa dni wydorosła i nie wygląda już jak dziewczyna, lecz jak kobieta. Dojrzałość, która pojawiła się w jej twarzy, pasuje do poważnego głosu.

Sienna chwyta mnie za rękę.

– Musisz ją potrzymać – mówi, wciąż dygocząc. – Zrób to, kiedy tylko powiedzą, że możesz, dobrze? Chcę, żeby poznała swoją mamę.

– Jesteś niesamowita – szepczę przez łzy, które napływają mi do oczu.

Obok Sienny pojawia się położna.

– Zbadamy i umyjemy dzidziusia – informuje. – Zabieramy małą na oddział, a kiedy upewnimy się, że wszystko z nią w porządku, przyniesiemy ci ją do twojego pokoju. – Układa dziecko w wanience i uśmiecha się do Sienny. – Będzie na sali dla noworodków, niedaleko, w tym samym korytarzu.

Sienna przenosi wzrok ze mnie na Aidana.

– Idźcie z nią, dobrze? – prosi. – Nie zostawiajcie jej. Nigdy.

I zaczyna płakać.

Epilog

Rok później

Jestem u siebie, siedzę w dużym pokoju razem z Sienną. Wokół nas kłębi się morze ozdobnego papieru do pakowania; w tym morzu pływają wstążki i kartki urodzinowe. Składamy to wszystko i chowamy do toreb. Zamierzałam wyrzucić śmieci do pojemnika, ale Sienna zaprotestowała. Jest fanatyczką recyklingu.

– Chcesz, żeby Natalie żyła na czystej planecie, kiedy dorośnie? – zapytała.

Zabrałyśmy się więc do składania i pakowania papierów. Czeka nas sporo roboty, ponieważ Natalie Echo James jest bardzo rozpieszczanym dzieckiem i tego papieru są całe tony.

Malutka siedzi obok nas i bawi się wstążką. Nie ma pojęcia, że to jej święto, chociaż z pewnością dotarło do niej, że dzisiaj była gwiazdą. W zeszłym tygodniu zaczęła chodzić, samodzielnie, bez prowadzenia za rączkę i bez opierania się o meble. Najczęściej chodzi na paluszkach i widać, że jest dumna ze swojego osiągnięcia; wszyscy goście na imprezie urodzinowej byli zachwyceni, patrząc, jak drepcze na chwiejnych nóżkach dookoła pokoju. Umie też klaskać i wołać: „Hej!”. Popisywała się tym dzisiaj bez przerwy, a my w odpowiedzi też klaskaliśmy, wołając: „Hej!”.

Nie zabrakło nikogo. Przyszli rodzice Aidana oraz jego siostra Laurie z mężem Tristanem i bliźniakami, Kaiem i Oliverem. Są Ginger z Sienną, a także Nora, która przyjechała do nas przed czterema dniami. Słyszę, jak rozmawia w kuchni z Aidanem i Ginger. Mieli sprzątać, ale raczej szybko nie skończą. Zgadali się na temat jakiegoś serialu, który wszyscy lubią. Słyszę śmiech Nory. Często się śmieje, odkąd do nas przyjechała. Kiedyś nie śmiała się zbyt często, w każdym razie nie przypominam sobie tego. Musiało jej być strasznie ciężko w okresie choroby taty, a także przez tych parę lat po jego śmierci, kiedy byłam dla niej utrapieniem, a nie córką.

Namawiała mnie, żebym zadzwoniła do Dani, ale wymigałam się, przynajmniej częściowo, i zamiast zadzwonić, wysłałam e-maila. Podziękowałam kuzynce za to, że zachęcała mnie do rozmowy z Norą, i poinformowałam ją, że się pogodziłyśmy. Nie napisałam, że wiem, jaką rolę odegrała w śmierci mojego taty, bo uznałam, że lepiej, aby nie wiedziała i nie musiała się niczego bać. W ogóle nie wspominałam, że ktokolwiek miał jakiś udział w tym, co się stało. Nigdy nikomu o tym nie powiem.

– Wezmę sobie ten papier – mówi Sienna, odkładając na bok płachtę w złote i białe paski. – Jest śliczny.

– To prawda – zgadzam się.

Sienna uczy się w ostatniej klasie szkoły średniej. Wróciła do świata, który obraca się wokół modnych ciuchów, weekendowych imprez i zakuwania do egzaminów, obecnie natomiast czeka na wieści, do którego college'u będzie chodziła w przyszłym roku. Przez pierwszych kilka miesięcy po urodzeniu Natalie widywaliśmy ją często, ale z czasem jej wizyty stały się rzadsze, w miarę jak stopniowo powracała do swojego dawnego życia. Pozwalamy, aby sama zdecydowała, do jakiego stopnia chce się zaangażować. Niedawno wpadł jej w oko chłopak ze szkoły i zdarza się, że zamiast o Natalie rozmawia ze mną właśnie o nim. I tak, moim zdaniem, powinno być. Cieszę się, że żyje tak jak dawniej, chociaż

wiem, że bywa jej trudno.

– Odstaję od moich znajomych – skarżyła mi się przed kilkoma tygodniami, kiedy jadłyśmy razem obiad na mieście. – Bardzo się zmieniłam i nie pasuję już do nich tak całkiem, do końca. Dobrze się bawię w ich towarzystwie, ale oni nigdy nie rozumieją tego, co przeszłam – tłumaczyła z żalem. – Nie zauważą, że mam teraz w sobie coś głębszego.

Na urodzinach Natalie Sienna wzniosła toast.

– Chciałabym coś powiedzieć – oznajmiła i wzięła w dłoń szklanke pepsa, kiedy siedzieliśmy w dużym pokoju i jedliśmy tort.

Wszyscy się uciszyli, żeby posłuchać. Nora wzięła Natalie na kolana. Nawet Kai i Oliver przerwali zabawę samochodami i obejrzelili się na Siennę.

– Dokładnie rok temu, kiedy rodziła się Natalie – zaczęła dziewczyna – przeżyłam jednocześnie najlepszy i najgorszy dzień mojego życia. – Spojrzała na maleńką i uśmiechnęła się. – Nareszcie zobaczyłam moją cudowną córeczkę na własne oczy, mogłam ją przytulić i pokochać, ale tylko po to, żeby potem ją stracić. Z tym że tak naprawdę wcale jej nie straciłam, prawda? – Patrzy na Aidana i na mnie. – W pewien sposób zyskałam znacznie więcej, niż musiałam oddać.

Aidan obejmuje mnie ramieniem. Najpiękniejszy dzień naszego życia był dla Sienny najgorszym. Nigdy o tym nie zapomnę. Wiem, że ona wciąż jeszcze nosi w sobie smutek po rozstaniu. Ale mimo to nie żałuje swojej decyzji.

Prezent Sienny dla Natalie to kołderka z kawałków jej własnych ubrań ciążowych. Uszyła ją sama. („Pierwszy raz w życiu uszyłam coś na maszynie, to było okropne, od początku do końca okropne!”), więc kwadraty nie są idealnie dopasowane, w ogóle rzuca się w oczy kompletny brak wprawy, ale bardzo mnie wzrusza, kiedy patrzę na tę kołderkę i myślę, ile miłości w nią włożyła. Mam nadzieję, że Natalie nigdy jej nie wyrzuci, że będzie ją przechowywać niczym skarb.

Został jeszcze jeden prezent do otwarcia. Po uprzątnięciu papierów zostajemy w dużym pokoju we trzy: Sienna, Natalie i ja. Wręczam Siennie pudełeczko ze sklepu jubilerskiego i przyglądam się, kiedy je otwiera.

Wyjmuje ze środka bransoletkę i spogląda na mnie.

– Na amulety? – pyta, a ja przytakuję.

– Teraz jest na niej tylko jeden, widzisz? – Biorę w palce maleńki dziecięcy bucik odlany ze srebra.

– Ale słodkie...

– Na każde urodziny dostaniesz od nas kolejny – dodaję.

– Śliczny. – Uśmiecha się Sienna. Pomagam jej zapiąć bransoletkę na nadgarstku.

Niedawno napisaliśmy z Aidanem drugi list do „drogiej przyszłej mamy”. Postanowiliśmy dać Natalie rodzeństwo i mamy nadzieję, że się uda. W przyszłym tygodniu idziemy na spotkanie grupowe w agencji; teraz to na nas inne pary będą patrzeć niechętnym wzrokiem, jako na tych, którzy już dostali dziecko i zajmują cenne miejsce na liście. A my tylko chcemy, żeby nasza rodzina była w komplecie. Kto wie, przychodzi mi nagle do głowy, może nawet poproszą nas, żebyśmy usiedli na środku i opowiedzieli o otwartej adopcji? Super, prawda?

Sienna pomaga mi dokończyć sprzątanie w dużym pokoju, a potem ona i Ginger zbierają się do wyjścia. W drzwiach ściskam je obie mocno, przez długą chwilę nie wypuszczając Sienny z ramion. Martwię się o nią: jak będzie się czuła, odjeżdżając stąd w rocznicę najlepszego i najgorszego dnia w swoim życiu?

– Kocham cię – mówi Sienna.

– Ja ciebie też – odpowiadam, a widząc jej dzielny uśmiech, cieszę się, że ma przy sobie Ginger, która pomoże się jej pozbierać, gdyby jednak rozkleiła się w samochodzie.

Aidan i Nora siedzą w kuchni, a Natalie śpi smacznie na kanapie. Biorę ją ostrożnie na ręce i wyciągam się na jej miejscu – opieram głowę na poduszce i układam sobie śpiące dziecko na piersi. Jestem zmęczona, ale czuję się bardzo szczęśliwa.

– No i jak ci się podobało twoje pierwsze przyjęcie urodzinowe? – szepczę mojej córeczce do ucha, muskając ustami jej jedwabiste, ciemne włoski. – Fajnie było, co?

Natalie mlaszcze cichutko i wtula się mocniej w moje ramiona.

Myślę o moim ojcu – może to dlatego, że Nora jest tuż za ścianą, a może dlatego, że właśnie dzisiaj rano złożyłam ostatnie papiery na studia podyplomowe. Chcę zdobyć wykształcenie psychologiczne. Czuję, że to dla mnie właściwa droga. Ta decyzja, muszę powiedzieć, przyniosła mi ulgę. Wiem, że jestem do tego stworzona.

Tak czy inaczej, w tej chwili wyczuwam obok siebie obecność mojego ojca. Ciepłą, pokrzepiającą. Uśmiecham się do sufitu.

– Patrzysz, tato? – pytam cicho. – Czy nasza rodzina jest dla ciebie w wystarczającym stopniu pokręcona, szalona i pełna miłości?

Delikatnie gładzę Natalie po plecach i wzdycham z zadowoleniem.

Nie wierzę w życie po życiu.

Nie wierzę, że tata mnie widzi.

Nie wierzę też, że mnie słyszy.

Ale bardzo chętnie będę robić tak, jak gdyby tak było.

Podziękowania

Lista osób, którym pragnę podziękować za pomoc przy tworzeniu niniejszej powieści i sprawieniu, aby trafiła w ręce czytelników, jak zawsze, jest długa.

Emilie Richards, moja dobra znajoma i koleżanka po piórze, przeczytała wczesną wersję tej historii i podzieliła się ze mną swoimi spostrzeżeniami z punktu widzenia autorki, czytelniczki, a także kobiety, która adoptowała dziecko. Jej uwagi były bardzo cenne i pomogły mi nadać wydarzeniom właściwy kierunek.

Brittany Walls, moja pasierbica, oraz Joann Scanlon, moja siostra, czytały wersję przedostatnią; poznałam ich przemyślenia oraz propozycje. Dzięki Joann, która choruje na stwardnienie rozsiane w tej samej postaci, co powieściowy Graham, zrozumiałam nie tylko ograniczenia natury fizycznej, z którymi musiał się borykać mój bohater, ale także jego zmagania emocjonalne. Nina Babukhadia, opiekunka Joann, była natomiast precudownym żywym wzorcem postaci Russella.

Kathy Williamson służy mi pomocą w wielu sprawach, zbyt wielu, abym mogła je wszystkie zliczyć. Prowadzi moją stronę internetową oraz bloga, wyszukuje dla mnie źródła informacji przy pisaniu książek i na wszelkie inne sposoby usprawnia moją działalność zawodową.

Przyznaję: wybrałam Swannanoa na miejsce akcji nie tylko ze względu na położenie geograficzne, odpowiadające mojej historii, ale także dlatego, że ta nazwa brzmi po prostu niesamowicie. Wspaniale było poznać panią Deborah Potter, która stamtąd właśnie pochodzi i była tak miła, że zgodziła się podzielić ze mną wiedzą o swoich rodzinnych stronach. Carla Hollar i Caryl Houghton, pracujące w tamtejszej bibliotece, również z wielkim entuzjazmem odpowiadały na wszelkie pytania, podobnie jak personel Swannanoa Valley Museum w Black Mountain. Wszystkim paniom jestem ogromnie wdzięczna.

Dziękuję Susan Stripling, która w rozmaity sposób przyczyniła się do powstania tej książki i była na tym samym koncercie New Kids on the Block w Atlancie, co Molly i Stacy. Dziękuję też George'owi Felosowi, który z kolei wyjaśnił mi prawne konsekwencje wydarzeń w Morrison Ridge. Dziękuję Gwen Crews, która przedstawiła mi historię swojej rodziny z Karoliny Północnej, służąc inspiracją do sportretowania rodziny Russella. Dziękuję Barbarze Fisher oraz Myrtle Hepler za ich komentarze i przyjaźń.

Rabbi Marc Gellman pisał o „tańczeniu »jak gdyby«” w jednym ze swoich felietonów z serii „God Squad”. Bardzo się cieszę, że na niego trafiłam. Wiedziałam od razu, w jaki sposób umieszczę to w mojej historii... i miałam też gotowy tytuł książki.

Susan Ginsburg, moja agentka, kobieta pełna uroku i wyrozumiałości, a jednocześnie twarda i odważna – u agenta literackiego tak idealna kombinacja cech charakteru to prawdziwa rzadkość. Jestem jej bardzo wdzięczna, jak również całemu personelowi agencji Writers House; dzięki tym ludziom moje interesy idą gładko, a ja mogę się skupić na pisaniu. Dziękuję również Angharadowi Kowalowi, mojemu agentowi w Wielkiej Brytanii, za całą pracę, którą wykonuje w moim imieniu.

Jen Enderlin, redaktorka z wydawnictwa St. Martin's Press, to kolejna osoba, która pomogła mi spojrzeć na moją opowieść nowym, mądrzejszym wzrokiem. Dziękuję, Jen, za słowa zachęty, za cierpliwość i za pomoc w dopracowaniu tej książki tak, abym mogła być z niej dumna.

Dziękuję również pozostałym pracownikom St. Martin's Press – za wiarę we mnie, nadzwyczajną energię oraz fachowość wydawniczą. Jestem ogromnie wdzięczna wam wszystkim, a moje szczególne podziękowania niech zechcą przyjąć następujące osoby: Sally Richardson, Jeff Dodes, Lisa Senz, Nancy Trypuc, Kim Ludlam, Malati Chavali, Jonathan Hollingsworth, Anne Marie Tallberg, Tracey Guest oraz Lisa Davis oraz ekipy działów sprzedaży z Broadwayu i Piątej Alei. Specjalne ukłony należą się Katie Bassel, mojej agentce prasowej, która jest osobą tak sprawną i kreatywną, że dzięki niej promocja książki jest czystą przyjemnością, oraz Oldze Grlic za kolejną piękną i sugestywną okładkę.

Ekipa brytyjskiego wydawnictwa Pan Macmillan spisała się świetnie. To dzięki nim moje książki trafiają do rąk cudownych angielskich czytelników. Dziękuję Wayne'owi Brookesowi, Louise Buckley oraz wszystkim pracownikom Pan Macmillan, którzy sprawili, że trasa promocyjna po Zjednoczonym Królestwie przyniosła mi wielką satysfakcję i radość.

Żadnej książki nie byłabym w stanie ukończyć bez burzy mózgów, obiadów i korespondencji e-mailowej z koleżankami po piórze z grupy Weymouth 7: Mary Kay Andrews, Margaret Maron, Katy Munger, Sarah Shaber, Alexandrą Sokoloff oraz Brendą Witchger alias Brynn Bonner. Zapewne nie poradziłabym sobie bez przyjaźni i wsparcia tych niezwykłych kobiet.

Moi czytelnicy z Facebooka służą mi nieocenioną pomocą, jeśli chodzi o gromadzenie informacji, jak również o nazwiska postaci oraz nazwy miejsc. Powieść *Jak gdybyś tańczyła* zawdzięcza im wiele, od nazwy Morrison Ridge przez osobiste wspomnienia dawnych fanek New Kids on the Block aż po „przedmioty pożądania” czternastolatki w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym. Entuzjazm moich czytelników oraz ich radosna chęć pomocy sprawiają, że kontakty z nimi są zarazem przyjemne i pożyteczne.

Nie zliczę, ile obiadów zjadłam w towarzystwie Johna Pagliuki, dyskutując z nim nad treścią tej powieści. John, jak zawsze cierpliwy i twórczy, wspierał mnie w zmaganiach z kompozycją i fabułą, tolerował napady paniki wywołane zbliżającymi się terminami i cieszył się wraz ze mną, gdy wszystko wreszcie ułożyło się w jedną całość: fabuła i bohaterowie. Dziękuję ci, John, że zajmowałeś się psami, domem, jeździłeś ze mną do miasta na obiady i dokładałeś swoje do każdej burzy mózgów. Jesteś wyjątkowy i jedyny!

Pytania do dyskusji

1. Z punktu widzenia czytelnika, jak odbierasz strukturę powieści, ciągłe kluczenie pomiędzy teraźniejszością a wydarzeniami z przeszłości? Co by to zmieniło, gdyby fabuła miała ściśle liniową konstrukcję?
2. Co sądzisz o stworzonej przez powieściowego Grahama terapii „Jak gdyby”? Czy twoim zdaniem taka metoda ma sens, a może wątpisz w jej skuteczność?
3. Tata mówił mi, że w młodości ciocia była rodzinną mediatorką, i tak jej zostało. Zawsze starała się wszystkim dogodzić, często stąpając po bardzo kruchym lodzie. Kiedy wyobrażałam sobie w takiej roli siebie, robiło mi się niedobrze.
4. Dziewczyna zdaje sobie sprawę, jaką funkcję ciocia pełni w kręgu rodziny, a świadomość tego faktu ma duży wpływ na jej zachowanie. W których momentach powieści Molly – jako nastolatka, a także później, w dorosłym wieku – okazuje wrażliwość i troskę o potrzeby innych ludzi?
5. Ojciec Molly powiedział jej kiedyś: „Bez wybaczenia trudno iść do przodu. To tak, jakbyś próbowała tańczyć z ołowianym balastem na ramionach”. Jak rozumiał te słowa? W jaki sposób sprawdziły się one w odniesieniu do Molly? Czy w Twoim własnym życiu wydarzyło się kiedyś coś podobnego? Jak podziałało na Ciebie wybaczenie?
6. W rozdziałach opisujących wydarzenia z przeszłości widzimy, jak Molly stopniowo oddala się od swojej rodziny, aby w końcu całkowicie zerwać z nią więź. Wskaż kluczowe wydarzenia – zarówno główne, jak i poboczne – które sprawiają, że Molly zaczyna tracić kontakt z poszczególnymi członkami rodziny. Które z nich są raczej typowe dla wieku dorastania, a które wynikają ze szczególnej sytuacji rodzinnej oraz rozwoju wypadków?
7. Na grupowym spotkaniu w agencji adopcyjnej Molly i Aidan poznają rodzinę, która zdecydowała się na otwartą adopcję. Reakcją Molly najpierw jest szok, następnie zaś strach. Czy ma to dla Ciebie uzasadnienie? Jak wyobrażasz sobie własną reakcję, własne uczucia na miejscu Molly?
8. Jakie były Twoje przewidywania odnośnie adopcji, o którą starali się Molly i Aidan? Czy zmieniały się w trakcie lektury? Czy zaskoczyło Cię zakończenie?
9. W rozdziałach opisujących wydarzenia z przeszłości widzimy, jak Molly kolejno dowiaduje się o różnych decyzjach podjętych przez bliskich jej dorosłych: Amalia postanowiła nie mówić Grahamowi, że jest z nim w ciąży, potem zaś zgodziła się, aby on i Nora wzięli dziecko na wychowanie; rodzina pozwoliła Amalii zamieszkać w Morrison Ridge i sprzątać domy; postanowiono również, że Molly nie dowie się, jak dokładnie wyglądało ich przybycie do Morrison Ridge, dopóki sama o to nie zapyta. Jaka była Twoja własna reakcja na każdą z tych informacji? Czy uważasz, że te decyzje były słuszne, a jeśli nie, to co Twoim zdaniem należało zrobić inaczej? Czy Twoja opinia ulegała jakimś zmianom w miarę rozwoju fabuły?
10. Dlaczego Molly została adwokatem? Co ją później skłoniło do zmiany zawodu i pójścia na studia podyplomowe? Czy potrafisz wskazać we własnym dorosłym życiu decyzje podjęte pod wpływem wydarzeń z dzieciństwa oraz obserwacji dorosłych osób, które wtedy Cię otaczały?
11. Czy zakończenie powieści przyniosło Ci satysfakcję? Wyobraź sobie, co było dalej. Jak widzisz

przyszłość Molly i Aidana, Sienny, Natalie, Nory i Morrison Ridge?

Spis treści

1. San Diego	
2. Morrison Ridge	
3	
4. San Diego	
5. Morrison Ridge	
6	
7. San Diego	
8. Morrison Ridge	
9	
10. San Diego	
11. Morrison Ridge	
12	
13. San Diego	
14. Morrison Ridge	
15	
16. San Diego	
17. Morrison Ridge	
18	
19. San Diego	
20. Morrison Ridge	
21	
22. San Diego	
23. Swannanoa	
24	
25. San Diego	
26. Morrison Ridge	
27	
28	
29. San Diego	
30. Morrison Ridge	
31	
32	
33	
34. San Diego	
35. Morrison Ridge	
36	
37	

[38. San Diego](#)

[39. Swannanoa](#)

[40](#)

[41](#)

[42. San Diego](#)

[43. Morrison Ridge](#)

[44](#)

[45](#)

[46. San Diego](#)

[47. Morrison Ridge](#)

[48](#)

[49](#)

[50. San Diego](#)

[51. Morrison Ridge](#)

[52](#)

[53. San Diego](#)

[54. Morrison Ridge](#)

[55](#)

[56](#)

[57. San Diego](#)

[58. Asheville, Karolina Północna](#)

[59. Morrison Ridge](#)

[60](#)

[61](#)

[62. San Diego](#)

[Epilog. Rok później](#)

[Podziękowania](#)

[Pytania do dyskusji](#)